



ANDREW MILLER

PRZEMYSŁNY BÓL

BIBLIOTECZKA  
**bip**  
INTERESUJĄCEJ PROZY

Prószyński i S-ka

**ANDREW MILLER**

**PRZEMYSŁLNY BÓL**

Przełożył  
Krzysztof Hejwowski

*Prószyński i S-ka*  
Warszawa 1999

*Mojej Rodzinie*

A czy dostałeś w końcu to, czego pragnąłeś od życia?

O tak.

A czego pragnąłeś?

Nazywać się umiłowanym, czuć się umiłowanym na ziemi.

*Raymond Carver*

Część pierwsza

1772

Pewnego gorącego, obrębnego chmurami sierpniowego popołudnia trzech mężczyźni przecinają podwórze gospodarstwa nieopodal wioski Cow w hrabstwie Devon. Pochód wygląda dziwnie uroczyście: dwaj młodszy mężczyźni, niczym heraldzi czy strażnicy, z namaszczeniem kroczą przed swoim gospodarzem albo, jeśli odrobinę popuścimy wodze fantazji, ciągną go za sobą – czarno odzianą, zwalistą postać o czerwonej twarzy – za uzdę niewidzialnej uprzęży. Jeden z gości niesie w rękę skórzaną torbę, z której, gdy podchodzi do drzwi stajni, dobiega stłumione pobrzękiwanie.

To starszy mężczyzna po chwili otwiera drzwi, odsuwając się, by przepuścić pozostałych. Wchodzą powoli w głąb ciemności. Stajnia została dokładnie wyczyszczona. Zapach koni, siana, skóry i nawozu miesza się z zapachem palonej lawendy. Mimo pory roku nie czuć nieprzyjemnego trupiego odoru. Pastor zastanawia się, czy Mary zna tajemnicę balsamowania zwłok. W dawnych czasach bogowie zachowywali zmarłych herosów w nietkniętym stanie, do czasu aż igrzyska pogrzebowe dobiegły końca i zapłonęły stopy. Bez wątplenia są na to sposoby i dziś. Maści, zaklęcia, modły. Mary siedzi na stołku dojarki przy stole. Wstaje, gdy oni wchodzi, nieduża, krępa sylwetka oprawiona w cienie.

– Cóż – odzywa się pastor – mówiłem, że przyjdziemy. Ci panowie – wskazuje na młodszych mężczyzn – to doktor Ross i doktor Burke. Lekarze, Mary.

Ona patrzy obok pastora, i nie na pozostałych mężczyzn, lecz na torbę w rękę Rossa.

– Lekarze – mówi pastor jeszcze raz przytłumionym głosem. Chce powiedzieć do niej „dziewczyno”, ale chociaż, sądząc po wyglądzie, ma mniej lat od niego, wydaje się niepomnie starsza, i to nie po prostu starsza, lecz tak, jakby należała do innej epoki, innego porządku, krewna skała i czcigodnych drzew.

Odchodzi, nie tak zwyczajnie, po cichu, ale bez żadnego słyszalnego dźwięku. Burke patrzy na Rossa, mamrocze słowo „wiedźma”. Żegnają się dyskretnie, jakby poprawiali guziki kamizelek. Burke mówi:

– Powinniśmy zaczynać, bo będziemy jechać z powrotem w burzę. Czy ma pastor lampę?

Jest lampa, zostawiona, gdy przeniesiono ciało. Pastor zapala ją krzesiwem – trzask, trzask, krzemień uderza o stal – i podaje Rossowi. Ross i Burke podchodzą do stołu, na którym złożono Jamesa, ciało obleczone w długą wełnianą koszulę. Jego włosy, niemal białe, gdy przybył na probostwo, zaczęły w ostatnim roku ciemnieć. Mary umyła je, natarła pomadą, uczesała i związała czarną wstążką. Nie wygląda jak człowiek, który śpi.

– Piękne włosy – mówi Burke. – Tak, interesujące rysy.

Pod skrzyżowanymi dłońmi Jamesa leży książka w podniszczonej skórzanej oprawie. Burke chwyt ją, patrzy na grzbiet, uśmiecha się, przekazuje pastorowi, który już ją rozpoznał: „Podróże Guliwera”. James pożyczył ją z gabinetu zaledwie przed tygodniem czy dwoma. Kto ją tu położył? Sam? Mary? Sam powinien dostać tę książkę, jeśli będzie chciał. Chłopiec powinien coś dostać.

Ross obnaża włosy, rzuca koszulę na podłogę. Z torby wyjmuje nóż i podaje go Burke’owi, który przygląda się ostrzu i kiwa głową. Burke kładzie rękę na brodzie Jamesa i rozcina tułów od mostka do miejsca tuż ponad włosami łonowymi. Następnie tnie w poprzek, poniżej żeber, kreśląc w ten sposób odwrócony krzyż o krwawych, wilgotnych brzegach. Robi chwilę przerwy, żeby wyjąć etui z kieszeni kamizelki, wkłada okulary na nos, mrużąc oczy. Mamrocze coś pod nosem, chwytając za brzeg skóry wraz z warstwą tłuszczu i odciąga na bok. Używa noża, by je oddzielić, odciągnąć od tego, co poniżej. Ma ręce masywne jak marynarz. Ross trzyma uniesioną lampę. Krótkim kijem, który podniósł, gdy szli z domu, grzebie we wnętrzościach Jamesa.

– Czy nie miałyby pastor ochoty popatrzeć z bliska? Stamtąd niewiele pan chyba widzi. Pastor z ociąganiem przesuwa się do przodu. Burke napawa go wstrętem.

Doktor Ross mówi:

– Pastor interesuje się bardziej niewidzialnym lokatorem niż samym budynkiem, co?

– Właśnie tak, proszę pana – odpowiada wielebny Lestrade.

– Teraz do serca – mówi Burke.

Zaczynają rozdzierać klatkę piersiową, tnąc żebra ręczną piłą, a potem rozrywając wielkie naczynia nożem. Lekarze są wyraźnie ożywieni, rozpromienieni jak letni poranek. Będzie temat na referat do uczonych towarzystw, oświeconych kręgów: „Spostrzeżenia, hmm, na temat przypadku świętej pamięci Jamesa Dyera. Dociekania... dziwny i niezwykły... który aż do dwudziestego z okładem roku życia był niewrażliwy na... nie wiedział... zupełnie pozbawiony wrażeń... czucia... znajomości... bólu. Z materiałem dowodowym, ilustracjami, okazami i tak dalej”.

Pastor odwraca się, wygląda na podwórko, gdzie dwa ptaki wydziobują ziarna z kupki gnoju. Dalej, w murze, pod którym posadził goździki, zielona furtka prowadzi do ogrodu. Ta furtka kojarzy mu się z Jamesem; Jamesem przechodzącym przez nią i oglądającym gruszki lub po prostu stojącym na podwórku, marszczącym czoło, jakby nie mógł sobie przypomnieć, co ma zrobić.

Hałas, cmoknięcie buta w błocie rozprasza ją go. Ross trzyma w rękach pęknięty mięsień serca Jamesa Dyera. Wygląda, myśli pastor, jakby chciał je zjeść i tylko odrobina wstydu powstrzymała go od tego. Burke wyciera ręce w szmatę, wyjmując złożoną gazetę z kieszeni płaszcza. Rozkłada ją, rozpościera na udach Jamesa, potem bierze serce od Rossa i kładzie je na gazecie.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko, pastorze... – Owija serce, pakuje je do torby.

– Nic, proszę pana.

Martwe serca nie są święte. Niech je badają. I przypomina sobie, a zdarza mu się to często, inne badanie, Mary stojącą nad Jamesem w jego pokoju w domu na Millionnej, jak ogląda się na odgłos oddechu pastora, gdy on staje bez ruchu na progu ze służącą. Potem, wiedząc, że nie będzie mógł się wtrącić, Mary przenosi wzrok z powrotem na uśpionego Jamesa – rozpina mu koszulę, obnażając klatkę piersiową. W pokoju było dość ciemno, jedna mała świeca przy oknie. A jednak on naprawdę coś widział: jej ręka zdawała się ranić Jamesa, a przecież nie zostawiła śladu, tak jakby zanurzyła ją w kozuchu z mleka.

– Pastorze?

– Tak?

– Przeoczy pan niektóre istotne szczegóły. To jest pęcherz moczowy.

– Przepraszam. Ja... wspominałem. Wspomnienie o doktorze Dyerze. Byliśmy razem w Rosji.

– Wspominał pan o tym, pastorze. Kilkakrotnie. To bardzo naturalne, że pan o nim myśli, chociaż pamięć skłania człowieka do sentymentów, co jest godne podziwu w pańskiej profesji, ale w naszej byłoby luksusem. Powinien pan myśleć o tych szczątkach nie jako o pańskim byłym... nie jako o człowieku, którego pan kiedyś znał, lecz jako o surowcu służącym do pożytecznych dociekań filozoficznych.

– Powłoka cielesna – wtóruje Ross, którego oddech niesie, zdumiewający pośród wszystkich innych zapachów tego miejsca, niewątpliwy odór porto i cebuli – pełna zagadek.

Pastor przygląda się lekarzom. Zrzucili surduty, podwinęli rękawy i są unurzani we krwi po łokcie, jak postaci w jakiejś absurdalnej senekańskiej tragedii. Ross bierze nóż od Burke'a, podchodzi do głowy Jamesa, tnie szybko wokół linii włosów i zanim pastor odgadł cel tej operacji, odrywa skalp od kości czaszki i kładzie go na twarzy trupa, niczym jakąś ohydną, krwawą szmatę. Gorący, kwaśny płyn zalewa gardło pastora. Mężczyzna przełyka

go i wychodzi szybko ze stajni, przechodzi przez podwórze i przez zieloną furtkę do ogrodu. Zamyka ją za sobą.

Przed nim krajobraz wznosi się łagodnym stokiem do skraju prastarego boru. Owce skubią trawę, a jakiś chłopak wędruje chłodnym brzegiem lasu. W jego obecnym nastroju widok ten wydaje się pastorowi czarownym kłamstwem, ale jest zań wdzięczny. Pomaga mu, tak jak małe malowane zasłony, które podobno włoscy księża trzymają przed oczyma skazańców, by nie widzieli zbliżającego się szafotu. Zastanawia się, jak go zdołali nabrać, Burke i Ross, a przecież wydawali się godni zaufania, ludzie o dobrej reputacji, z listami polecającymi. I on sam był ciekaw, czy ciała Jamesa nie da się skłonić do wyjaśnienia części zagadki jego życia. Wyobrażał sobie coś nudnego i szacownego. Okazało się natomiast, że wydał przyjaciela w ręce rzeźników, szaleńców. A gdyby ona to zobaczyła? Jest gdzieś w domu i robi Bóg wie co, bo nigdy nie był pewien, jak spędza czas. Reszta służby, która na początku się jej bała, teraz jest dumna, że ma ją między sobą. Ona pomaga im w cierpieniach. Potrafi na przykład ukoić ból głowy, naciskając po prostu twarz cierpiącego.

Skrzypią zawiasy furtki. Ogląda się. Mary stoi pod daszkiem, w wyciągniętych rękach trzyma drewniane pudełko. Jej pojawienie się akurat teraz, jakby przyciągnął ją powiew jego myśli o niej, deprymuje go. Co gorsza, widzi na swoich palcach krew, więc chowa ręce za plecy i pyta:

– Czy coś się stało? Jakies kłopoty?

Ona otwiera zamek pudełka i podnosi wieko.

– Ach tak, planetarium – mówi pastor.

Chciałby je zatrzymać dla siebie. Przywiózł je w końcu do domu z Petersburga razem z resztą rzeczy osobistych Jamesa, kiedy James zniknął. Myśleli, że umarł.

– Jest teraz twoje, Mary.

Ona patrzy na niego przez chwilę, powoli kiwa głową, zamyka pudełko i wraca do domu.

Słychać słaby odgłos piłowania. Gdy cichnie, pastor wraca do stajni, modląc się, żeby już było po wszystkim, żeby można Burke'a i Rossa wysłać w drogę. Nie znieś ich dłużej w domu. Mogą wziąć deszczówkę z wiaderka pod rynną i umyć się na podwórzu. Jamesa muszą poskładać, jak najporządniej potrafią – wandale! Killick położy go do trumny. Jutro w południe go pochowają. Clarke może nawet teraz kopie grób pod murem koło sadu Makina.

– Odkryliście coś panowie? Cokolwiek? – Stara się nadać swemu głosowi odcień pogardy, ale wychodzi to słabo. Odrobina uszczypliwości.

Burke podnosi na niego wzrok. Z tuzin much uwija się nad wiaderkiem przy końcu stołu, pod otwartą głową Jamesa.

– Nic – odpowiada Burke – co mógłbym wyjaśnić komuś niezaznajomionemu ze sztuką anatomii.

– Ale ten upał i robactwo... Był tej samej co panowie profesji. Z pewnością już skończyliście?

– Za bardzo się pan przejmuje, drogi pastoro – mówi Burke. – Spokojnie. Ta bliskość pana gnębi. Nie jest pan spokojny. Byłoby lepiej, gdyby pan się oddalił, tak, i zaopatrzył w jakiś odpowiedni środek przeczyszczający. Powiedzmy, rabarbar.

– Lub miąższ kolokwinty – proponuje Ross, wyraźnie rozbawiony.

– Kolokwinta jest dobra – mówi Burke. – Lub odrobina kory z korzenia – *Euonymus atropurpureus*. Gdyby ją pan miał pod ręką. Dla człowieka o pańskiej fizjonomii nigdy dość przeczyszczania. Zgadza się pan, doktorze Ross?

– To bardzo oczyszczająca metoda, doktorze Burke. Jestem pewien, że biedny Dyer też by ją zalecił.

– Poinformujemy pana o naszych odkryciach.

Punkcik światła na okularach Burke'a miga w powietrzu jak gniewna iskierka. Pastor waha się, a potem mówi:



– Będę w swoim gabinecie.

Wychodzi, pociągając nogami, zbyt zmęczony, by odczuwać wstyd.

## 2

Podwórze migoce – światło gwiazd na kałużach, które zostawiła burza. Pastor zamyka drzwi stajni, przechodzi przez podwórko. W stajni czuwa przy Jamesie Mary. Burke i Ross zostawili ciało jako tako połatane, a pastor i pan Killick ułożyli je o świcie w trumnie i zabili wieko gwoździami. Killick, dobry człowiek, pomógł splukać i wyszorować stajnię, rozrzucić świeżą słomę i kilka garści suchych ziół. Gdy pojawiła się Mary, można tam już było oddychać, po okropieństwach popołudnia nie zostało śladu poza paroma brązowymi plamami na stole. Zasłonili je obrusem.

Znużony, ale spokojny po raz pierwszy tego dnia pastor krąży po ogrodzie. To zwykły wiejski ogródek, nic, czym można by się pochwalić, a przecież zarazem jedna z tych rzeczy w jego życiu, które kocha mocno i bez zastrzeżeń. O czym, o kim jeszcze mógłby tak powiedzieć? O swojej siostrze Dido być może – na ogół, poza tymi chwilami, kiedy ta molestuje go, by zmienić boazerię na coś nowocześniejszego, albo prawi mu kazania na temat jego stroju i zwyczajów, przyrównywanych przez nią z upodobaniem do manier ubogiego wiejskiego wikarego, który prowadzi oberżę.

O swojej protektorce lady Hallam? Postarzała się. Jak ogromny stał się jej biust, cóż to musi być dla niej za ciężar! Ale nadal najśłodsze usposobienie, najśłodsza inteligencja. Warta każdego sonetu, który dla niej nabazgrał, wszystkich godzin ślęczenia nad poplamionymi kartkami, gdy biedził się nad rytmem, mozolił nad rymem nie całkiem wyzutym z sensu. Kilka może być nawet niezłych, tyle spośród setki z okładem, dwustu. Musi je spalić, rzecz jasna, w przyszłym roku lub w następnym, a koniecznie, gdyby podupadł na zdrowiu. To niedopuszczalne, by wpadły w niepowołane ręce – gruby wikary z Cow, który chciał się zabawić w byczka z lady H.<sup>[1]</sup>

Podchodzi do stawu, klaszcze w dłonie i kilka kręgów marszczy powierzchnię wody, pasma światła biegnące ku brzegom. Dobrze, pożywne stworzenia. A z sosem pani Cole – lepszego dania na próżno szukałbyś na złotym talerzu w pałacu biskupim. Niebawem spodziewać się musi wezwania do pałacu w Exeter. Grzeczne naciski, żeby pozbyć się Mary. Jej pobyt tu, gdy żył James, był częścią miłosiernego uczynku pastora wobec lekarza. Ale taka kobieta, taka nieodpowiednia kobieta w domu nieżonatego sługi Kościoła...

Pochyliwszy się, zanurza palce w wodzie, zaintrygowany ciemną misą odbicia swej głowy. Światło miga w oknie salonu. Pastor podnosi się i podchodzi bliżej. Zasłony są rozsunięte. Tabita zapala świece w lichtarzach. Wielka, silna, mocno zbudowana dziewczyna, dziewucha, nieładna twarz, wyróżniająca się tylko młodością, zdrowiem. Przez pierwszy miesiąc Tabita cierpiała na koszmary senne, sikała w łóżko i snuła się osowiała po domu, z czerwonymi oczami, upuszczając szklanki, niezdolna wypełnić najprostszego polecenia. Odbyla się wtedy trudna rozmowa między pastorem a jego gospodynią, panią Cole; pani Cole zagroziła, że odejdzie do siostry w Taunton, jeśli Tabita pozostanie w domu. Powtórzyła to kilka razy – „Taunton, pastorze, Taunton” – tak jakby to miasto leżało po drugiej stronie Bosforu. Ale koszmary minęły, dziewczyna stała się użyteczna, a w zimie Tabita i pani Cole spały w jednym łóżku, gospodyni przyklejona do pleców dziewczyny niczym mech do ciepłego kamienia. Pastorowi przemknęło przez myśl, że sam nie byłby od tego.

Wciąga ostatni haust nocnego powietrza, wchodzi do domu, rygluje drzwi i kieruje się do salonu. Tabita, która trzyma w dłoniach tacę z jego niemal najlepszymi kieliszkami na długich nóżkach, podskakuje przerażona, jakby był diabłem i przyszedł ją pożreć. Nerwowy

---

[1] Gra słów: *cow* to po angielsku „krowa” (przyp. tłum.)

odruch, który zawsze niepomnie go irytuje. Patrzą się na siebie przez chwilę, a potem on przypomina sobie, jak szczerze płakała po śmierci Jamesa. Szlachetne serce.

– Czy idziesz już do łóżka, Tabito? Jesteś zmęczona?

– Tak sobie, proszę pana, ale jakby pan chciał grzane mleko czy coś... Dziadek zawsze pił grzane mleko przed snem.

– Żyje jeszcze?

– Nie, proszę pana. – Tabita uśmiecha się radośnie. – Wpadł raz do ognia i umarł od tego. Ale wesoły był z niego człowiek. Znaczący się, przedtem.

Pastor widzi tę scenę: stary człowiek w ogniu, para pałkowatych nóg, naprawdę pałkowatych, niczym metalowe szczytce do ścinania czubka jajka. Jakby coś z Boscha.

– Nie będę teraz nic pił, moja droga. Posiedzę chwilę. Może poczytam trochę.

Dziewczyna dyga; pastor widzi szparę między jej piersiami, boi się znowu o swoje kieliszki. Przy drzwiach Tabita zatrzymuje się i pyta:

– I mogę przyjść jutro na pogrzeb, co? Pani Cole mówiła, co powinnam zapytać.

– Oczywiście. Chciałbym cię tam widzieć. Lubiałaś go?

– Jezus, proszę pana, już mi go brakuje. A panu go nie brakuje?

– Bardzo.

– Brakuje mi go. – Milczy przez chwilę, zwilża wargi. – Miała o coś pana zapytać, tylko pani Cole powiedziała, co nie powinnam.

– No, to zapytaj teraz.

– Czy to był cud, jak doktor James... znaczący się, doktor Dyer uratował tego Murzyna?

– Obawiam się, Tabito, że nasz wiek nie jest wiekiem cudów.

Wlepią w niego wzrok, jakby powiedział coś niezmiernie ważnego, szokującego.

– No to co to było, jak nie cud?

– Umiejętności doktora.

– Się nazywa teraz Łazarz, ten czarny.

– A jak się nazywał przedtem?

– Wspaniały John.

– To mi się bardziej podoba.

Zostaje sam, ściąga perukę i drapie się energicznie po czaszce. Ćma, która, jak sobie mgliście przypomina, wleciała poprzedniego wieczora, zaczyna fruwać wokół jednej ze świec, potem siada na lustrze. Jej skrzydła są koloru słojów drewna, a na każdym widać plamkę przypominającą otwarte oko. Przebiegłość natury.

Z kredensu wyjmuje karafkę i kieliszek, napełnia go szmuglowaną brandy i opróżnia jednym haustem. Stawia kieliszek na półeczce nad kominkiem, bierze jedną ze stojących tam świec i rusza korytarzem, osłaniając płomień dłonią. Jego gabinet, mały zastawiony meblami pokój z oknem po drugiej stronie domu, pełen jest aromatów inkaustu, wonnego tytoniu, książek. Pastor stawia świecę na brzegu biurka – *escritoire*, jak mawia Dido. Cały blat jest dokładnie pokryty papierami. Listy urzędowe i od znajomych, rachunki: jeden funt osiemnaście szylingów kołodziejowi, horrendalne dziesięć funtów za srebrne łyżki z Londynu. Z przychodów tylko kwit na dziesięć szylingów i sześć pensów od urzędnika parafialnego za udzielenie ślubu aresztantowi z kobietą noszącą jego dziecko. Oprócz tego notatki do kazania, trzy gęsie pióra, tacka z piaskiem, nożyk, zakorkowany kałamarz.

Podnosi świecę i oświetla jej płomieniem grzbiety książek, zatrzymując się przy ulubionych i poklepując delikatnie ich brzegi. Jego podniszczony szkolny Homer, Collierowskie wydanie Marka Aureliusza po ojcu, „Wędrowni pielgrzymi”, ilustrowana, kupiona na Bow Lane podczas pierwszej wyprawy do Londynu. Owidiusz, rozkosznie podejrzany, подарowany przez uniwersyteckiego przyjaciela, który powiesił się rok później. Dwa tomy Milтона w sztywnej czarnej skórce, kolejny prezent, ten od lady Hallam z okazji rozpoczęcia przez niego posług duszpasterskich i ceniony przezeń bardziej za piękne

zawijasy jej dedykacji niż za jakikolwiek tekst pióra Milona. „Kandyd” Woltera, przywodzący pastorowi natychmiast na myśl drobną, śniadą, inteligentną twarz monsieur Abouta. Fielding, Defoe. Niezbyt czytany tom „Obowiązku człowieka” – Allestree. Kazania Tillotsona.

Odwracając się od półek, otwiera skrzynię koło biurka, wyjmując z niej płócienny worek, wkłada go sobie pod pachę i pośpiesznie wraca do salonu, akurat w chwili, gdy zegar dygoce na dziesiątą. Kładzie worek, zdejmując surdut i przerzuca go przez krzesło. Odwracając się plecami do pustego kominka, staje jak zwykle twarzą w twarz ze swoim ojcem, wielobnym Johnem Lestrade’em z Lune w Lancashire. Bardzo średni portret, twarz ojca niby błyszczący jednowymiarowy owal na tle brązowej farby, odbicie księżyca w błotnistym stawie. Wymieniają swoje ciche nocne powitanie.

Pastor usiłuje sobie przypomnieć, co wie o ojcu Jamesa. Farmer, tego jest raczej pewny, ale nie ma pojęcia, czy zamożny, czy biedak. O matce wie, jeśli to możliwe, jeszcze mniej. Jakaś przelotna wzmianka o tym, że umarła młodo. Co kryła ta małomówność? Powściągliwość człowieka, który sam był kowalem swego losu? Jakieś wątpliwości, drobna niepewność co do prawdziwego ojcostwa? Ach, jakie pytania chciałby zadać tej biednej rozkrojonej głowie w stajni! Mary, ta musi mnóstwo wiedzieć. Od dawna już przemyśliwał nad uporządkowaniem petersburskich rzeczy. Reszta może jakoś wyjdzie na jaw.

Pochyla się nieco, pierdzi do kominka. Natychmiast odczuwa przyjemną chęć oddania stolca, którą, nacieszywszy się chwilę tym uczuciem, postanawia zrealizować. Przyciąga swój sedes, dostojny mebel, solidny jak ambona, i ustawia go tyłem do świec. Wystudowanym gestem ściąga spodnie, podnosi wyściełaną pokrywę i usadawia się na drewnianym O. Płócienny worek jest pod ręką; pochyla się i przyciąga go do swych stóp. Rozwiązuje sznurek, wsuwa rękę. Pierwszą rzeczą, jakiej dotyka, jest mniejsza torba, również z impregnowanego płótna, zwinięta w coś na kształt małego pieńka. Wyjmuje ją i kładzie na nieowłosionych udach.

Gdy ją rozwija, narzędzia wydają się budzić, odbijając światło. Noże, nożyczki, piła, igły i inne przedmioty, których nazwę i zastosowanie może jedynie zgadywać, a które równie dobrze mogłyby zostać zrobione po to, by jeszcze bardziej przestraszyć pacjenta. Wysuwa najdłuższy z noży, o dwóch ostrzach, nadal ostry jak brzytwa. To z pewnością nóż, którym James operował nieszczęsnego pocztyliona; bez tego noża, bez jego precyzyjnego cięcia, pochowałiby biedaka w klasztorze. A to owalne lustro wielkości dziecięcej dłoni widział pierwszy raz tej nocy, gdy przyjechali do klasztoru; James przymocował je do świecy i zszywał przy nim własną głowę. Żadne z owych narzędzi nie było używane od tamtej pory, choć kiedy James przybył do domu i wydawało się, że odzyskał znaczną część zmysłów, pastor zaproponował mu ich zwrot. James nie chciał.

Pastor starannie zwija torbę i odkłada na bok. Zanurza ponownie rękę w worku i wyciąga plik dokumentów, wrzuconych beładnie ostatnim razem, gdy je wertował. Właściwie przeglądał zawartość worka kilka razy, ale wraz ze śmiercią Jamesa nabrała ona nowego, specjalnego znaczenia. Jutro, gdy ciało znajdzie się pod ziemią, te rzeczy należeć będą do nielicznych śladów istnienia Jamesa. Dokumenty, które teraz studiuje, podnosząc każdy do góry na odległość sześciu cali od oczu – jego okulary są w kieszeni płaszcza, a nie może zdobyć się na to, by coś zakłóciło delikatny proces oddawania stolca – to przeważnie certyfikaty, przy czym niektóre z nich, a może wszystkie, są sfałszowane.

Pierwszy i najpiękniejszy pochodzi rzekomo z Hotel Dieu w Paryżu. Na nim trzy czarne pieczęcie, z pół jarda wstęgi i zamaszysty, nieczytelny podpis. Pastor jest niemal pewien, że James nigdy nie studiował we Francji. Następny jest bardziej wiarygodny – certyfikat ze szpitala Świętego Jerzego w Londynie, zaświadczaający, że James Dyer uczęszczał na kurs anatomii i *materia medica*. Trzeci pochodzi z Surgeon’s Hall i uznaje Jamesa za zdolnego do pełnienia funkcji pomocnika lekarza okrętowego w marynarce wojennej Jego Królewskiej

Mości. Datowany 1756. James musiał być wtedy zaledwie podrostkiem. Z dokumentem tym wiąże się inny przedmiot; pastor wyławia go z worka. Tabakierka z wieczkiem z kości słoniowej, na denku wyryty napis: *A MUNRO „H.M.S. Aquilon”*. Otwiera ją, wacha. Choć pusta od tylu lat, zachowała jednak ostry zapach, który wdzierając się przez nos pastora do mózgu, ożywia go tak, że Munro przez chwilę majaczy, niepewny i amorficzny w cieniach przy oknie.

Zatrzaszkuje tabakierkę, wrzuca do worka, puszcza metalicznego bąka do emaliowanego sedesu. Kolejna kartka; nie certyfikat, lecz referencje, niezwykle imponujące, tym razem bowiem podpis jest czytelny – John Hunter, ten cesarz chirurgów, który znajduje Jamesa „*wielce znakomitym w leczeniu złamań prostych i powikłanych, w kuracji kontuzji i przeprowadzaniu amputacji oraz właściwym stosowaniu bandaży*”. To tak, myśli pastor, jakby arcybiskup Yorku napisał, że znajduje mnie szczególnie pobożnym, przykładnym pasterzem mej trzódki.

Ostatni – na świetnym papierze welinowym, mocno, co prawda, podniszczonym – jest po francusku. Porządne, równe pismo, zdobione starannymi floresami „F” i „Y”, jest dziełem sekretarza rosyjskiej ambasady. Podpisany przez ambasadora i przypieczętowany carskimi orłami. To glejt Jamesa, przedstawiający go jako *un membre distingué de la fraternité de médecine anglaise*.

Teraz została tylko mała książeczka. Książeczka, która tyle obiecywała, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, i która teraz szydzi z niego bardziej niż kiedykolwiek. Zapewne jest to coś w rodzaju pamiętnika. Jednak cała książka zapisana jest kodem czy pismem stenograficznym, którego pastor mimo wysiłków nie potrafi rozszyfrować. Nawet diagramy są tajemnicze; nie sposób stwierdzić, czy to mapy, czy rysunkowe notatki do operacji chirurgicznych, czy po prostu nic, linie bez żadnego znaczenia. Jedyne czytelne słowo pojawia się na ostatniej stronie: „Liza”. Stara miłość? Czy miał stare miłości? Liza. To też musi pozostać tajemnicą. Pastor sennie zastanawia się, czy jego własne życie też tak będzie wyglądać, księga w języku, którego nikt nie rozumie. Myśli: kto będzie dla mnie siedział przy kominku, próbując rozwiązać zagadkę?

Jego wypróżnienie nie przebiega dobrze. Substancja, choć hałaśliwie zapowiadana, nie chce się pojawić. Wysilek męczy go i pastor przez chwilę obawia się nadwężenia kiszek. Nie byłoby dobrze skończyć tak, jak nieopłakiwany przez nikogo Jerzy II. Morzy go senność, zamyka oczy. Twarze Burke’a i Rossa formują się na moment jak w chmurze tytoniowego dymu, za nimi inne twarze: Mary, Tabita, Dido; ale nie ma Jamesa. Zegar wystukuje upływ nocy. Pastor zastanawia się: co powiem jutro, co powiem, co powiem?..

Z rozwartej garści, z gładkiej, niepewnej powierzchni ud dokumenty Jamesa Dyera spadają na podłogę. Ćma przypieka sobie skrzydła; pastor pochrapuje cicho. Ze stajni – na tyle akurat głośna, by dobiec do otwartego okna pokoju, w którym stoi Dido, płacząc rzewnymi łzami – płynie pieśń, ochrypla i monotonna, zupełnie obca, niezgłębiona i smutna.

## Część druga

1771

Trzy razy do roku wielobny Lestrade i jego siostra puszczają sobie krew. To jeden z rytuałów, jak obsadzanie truskawkowych rabatek w październiku czy coraz nudniejsze wizyty w Bath w maju, które wyznaczają rytm roku i których przeoczenie byłoby powodem do wyraźnego niepokoju. „Puszczanie krwi – oznajmiał często ojciec pastora, a teraz z kolei powtarza sam pastor, bardziej dla przyjemności cytowania ojca niż z głębokiego przekonania – jest bardzo dobre dla mężczyzn i koni. I właściwe dla pracowitych kobiet”.

Zwykle zabiegu dokonuje doktor Thorne, zręczny człowiek, ale w tym roku nie może przybyć, ponieważ jego koń potknął się na króliczej norze i zrzucił go na ziemię.

– Czemu zatem nie James Dyer? – pyta Dido, zamykając książkę i wyciągając ręce do wieczornego ognia. Pastor stuka o zęby końcem fajki.

– Nie, siostrze, nie sądzę, by to był szczęśliwy pomysł.

– Z pewnością widział już przedtem krew.

– Z pewnością – mówi pastor. – Może nawet dość.

– Skoro nie możemy mieć Thorne’a i skoro obawiasz się poprosić doktora Dyer’a – choć żyje on dostаточно dzięki naszej gościnności – sama otworzę sobie żyłę. Lub, jeśli mi się nie uda, poproszę Tabitę.

Z wystudowaną niewinnością pastor pyta:

– Czy doktor Dyer nadużywa twej gościnności, siostrze?

– Nie, nie nadużywa. Z pewnością nie. Jak zwykle źle mnie zrozumiałeś, Juliuszu. To bardzo irytujące. I właśnie dlatego, że tak mnie irytujesz, muszę upuścić sobie krwi.

– Czym cię irytuję, siostrze?

– Sprzeciwianiem się wszystkiemu, czego pragnę.

– Tak jak w sprawie łyżek?

– Łyżek – co za bzdura! Tak, łyżek. A teraz to.

– Może mogłabyś sama go poprosić.

– Mogłabym. Mogłabym też pójść do Caxtona i wypić butelkę rumu.

Dido wstaje, a jej suknia szeleści, jakby była żywa.

– Dobrej nocy, bracie.

– Tak, dobrej nocy, siostrze.

Wychodzi z salonu bardzo wyprostowana. Minęło dobre dwadzieścia lat, myśli pastor, odkąd udało mi się wyjść zwycięsko z takiej utarczki.

Księżyc, w ostatniej kwadrze, wschodzi o dziesiątej trzydziści. Pastor śpi, śni o swoim ogrodzie, budzi się i ubiera, modli się na kolanach przy oknie z otwartymi oczami, wpatrując się w złotą czarę listopadowego poranka. Bekon z kapustą na śniadanie, gorący poncz, potem fajeczka wirginii w gabinecie nad notatkami do niedzielnego kazania. Słyszy psy. Odgłos ten porusza go jak dźwięk dzwonów. Otwiera okno w gabinecie, wychyla się. George Pace, jego służący, jest tam z psami, jest też pan Astick z Totleigh, który przyjechał na poranne polowanie; pociąga z flaszki i rozmawia z Pace’em o psach.

– Dzień dobry, panie Astick. Wspaniały poranek, co?

– Czy będą takie poranki w niebie, pastorze?

– Z pewnością. Psy są rozdrażnione, co, George?

– Rozhukane, ale się uspokoją.

Psy tańczą w swoich gładkich ubrankach, w zabawie chwytając się lekko zębami za gardła. Pastor odczuwa radość, czuje się tak, jakby miał dwadzieścia lat.

– Muszę zamienić parę słów z doktorem. Potem przyłączę się do was.

James ubiera się, gdy pastor wchodzi do jego pokoju.

– Proszę mi wybaczyć wtargnięcie o takiej porze.

– Słyszałem psy – mówi James. – Są wesołe.

– Zostały stworzone do takich poranków. Przychodzę do pana z pewną sprawą, a mianowicie prosić pana o wyświadczenie niewielkiej grzeczności. Jak pan wie, mamy zwyczaj wzywać doktora Thorne'a, by puszczał nam krew w dzień dziesięcinowej kolacji, no, ale biedak spadł z konia, uderzył się w głowę i nie może przyjechać. Chodzi o to, czy pan nie zechciałby zrobić nam tej uprzejmości? Ja osobiście nie mam nic przeciwko temu, żeby sobie to darować, ale moja siostra...

Na chwilę zapada cisza, gdy James zapina nogawkę spodni. Za oknem rozlega się nagle jazgot psów. Pastor zaczyna się wiercić niespokojnie i robi krok do tyłu, ku drzwiom.

– To zresztą nieistotne, zupełnie nieistotne.

– Nie. Nie możemy sprawić zawodu pańskiej siostrze – mówi James.

Uśmiechają się do siebie.

– Życzę udanego polowania.

– Nie zechciałby pan się do nas przyłączyć?

– Jestem kiepskim myśliwym i żywię niezrozumiałą sympatię dla zajęcy. I ta noga. – Klepie się po prawym kolanie. – Byłbym wam zawadą.

– Jak pan sobie życzy. Do zobaczenia przy obiedzie.

Pastor pośpiesznie odchodzi, zeskakując po dwa stopnie. Ze swego pokoju James słyszy odjazd myśliwych, szczekanie psów uderza o niebo, wracając coraz słabszym echem.

Myje twarz w misce porażająco zimnej wody, przygląda włosy i ogląda swoje ręce. Jedna mała blizna na lewej sterczy jak mały otarty sutek, sączy się z niej płyn. Pozostałym bliznom, po piętnaście czy dwadzieścia na każdej ręce, nie można nic zarzucić poza męczącym swędzeniem. Nie ma na co narzekać.

Podnosi brzytwę, trzyma ją i patrzy na ostrze. Z początku widać całkiem wyraźny ruch, drżenie końca ostrza, ale uspokaja się ono, a brzytwa prawie nieruchomieje. Goli się przed małym nierównym lusterkiem. Szczecina brody jest ciemniejsza niż włosy, w ogóle rośnie znacznie bujniej, jakby miała źródło w zdrowszej części jego organizmu, jakiejś części lepiej zharmonizowanej z trzydziestoma dwoma zimami jego żywota niż zniszczona maska twarzy, siwe włosy na głowie. Uśmiecha się do swojego odbicia. Pierwszy prawdziwy dzień wiosny przychodzi w środku zimy. Któż może powiedzieć, że jeszcze całkiem nie wydobrzeję?

Naciąga rękawiczki z miękkiej gieny, którymi osłania ręce, i rusza w poszukiwaniu pożywienia, wchodzi do kuchni, gdzie pani Cole, i Tabita, i Mary, i dziewczyna nazwiskiem Winifred Dade przygotowują dziesięcinową kolację.

– Jezu, aleśmy uharowane! – wykrzykuje pani Cole na widok Jamesa. Przerzywa wyrabianie ciasta, żeby przynieść mu zimnego mięsa z chłodni.

– Czy nie zjadłby pan paru smacznych jajeczek, doktorze, co Winny przyniosła z domu?

– Trochę wieprzowiny z farszem i skibka chleba będą prawdziwą ucztą, dziękuję pani, pani Cole. Dzień dobry, Tabito, Winny, Mary.

Dziewczyny zarumienione od żaru ognia patrzą na siebie głupawo i przygryzają wargi. James tego nie widzi. Przygląda się Mary, która siedzi przy wielkim stole, krojąc cebulę.

– Od cebuli nie chce ci się płakać?

Nie odgrywa pantomimy, żeby wyjaśnić, o co mu chodzi, tak jak inni. Wprawdzie nigdy nie słyszał, by wypowiedziała choć jedno słowo po angielsku, ale wie, że doskonale go rozumie, zarówno wtedy gdy mówi, jak i gdy milczy. Teraz odpowiada mu, krojąc dwa równe perliste plastry cebuli, przenosząc je delikatnie nożem i składając obok mięsa na jego talerzu. Dziękuje jej po cichu.

Je, zadowolony pośród krzątania kobiet. Jeśli będzie siedział cicho, zapomną o nim i będzie mógł obserwować je w ich kobiecym świetle, widzieć je niemal tak, jakby sam był kobietą, jedną z ich grona. Budzi to w nim odległe a silne wspomnienia o matce, o siostrach i służącej, która śpiewała niedorzeczne piosenki i której imię zupełnie mu wyleciało z pamięci. Delektuje się ich zręcznością. Jakimiż doskonałymi chirurgami byłyby te kobiety! A czy z niego nie mógłby być przyzwoity kucharz? Ma ochotę zapytać, czy nie pozwoliłyby sobie pomóc, kroić jarzyny czy mieszać słodką papkę puddingu, ale to by zakłóciło ich spokój i dziewczęta straciłyby koncentrację.

Po skończonym posiłku wymyka się z kuchni z małym dzbankiem ciepłej wody i idzie do ogrodu. Zatrzymuje się, nasłuchując odgłosów polowania, i wydaje mu się, że je słyszy – słabe echo wściekłego ujadania. Obok plebanii stoi szklarnia pastora. Jest to niewielka konstrukcja, zbyt niska, by się w niej wyprostować, pełna doniczek, skrzynek, zapachu pelargonii. Tutaj zawłaszczyl sobie kącik dla własnych eksperymentów i cieszy się, widząc, że jego konopie w ziemi osłoniętej słomą przetrwały zimne noce. Sprawdza gąbki na półce z listewek, ściera początki pajęczyny, bierze jedną z mniejszych gąbek i wsuwa do kieszeni. Gąbki są jego radością, największym osiągnięciem – choć Bóg jeden wie, jak bardzo niedoskonałym – w badaniach nad środkami przeciwbólowymi. Rozpoczął je sześć miesięcy temu, pisząc do Jacka Cazotte'a w Dover, którego nazwisko przypominało mu się ni z tego, ni z owego, a z którym miał kontakt w czasach swej praktyki w Bath. Trzy tygodnie od wysłania listu przyszła zgrabna, aromatyczna paczuszka, pierwsza z wielu zawierających zioła, nasiona i mikstury wraz z poradami Cazotte'a i stronami przepisany przez niego starannym pismem z uczonych ksiąg, do których James nie miał dostępu. I tak z Pliniusza James dowiedział się o właściwościach korzenia mandragory, o tym, jak można go namoczyć w winie i jak często bywał on używany w dawnych czasach, z litości czy cynizmu, by ulżyć w agonii torturowanym więźniom. Z octu i azjatyckiej mirry – i dziwnie rozpalonych emocji – sporządził napój proponowany Chrystusowi na krzyżu; proponowany i odrzucony. Przepis na zastosowanie gąbek pochodził z manuskryptu z czasów Wilhelma Zdobywcy: każda gąbka namoczona w wywarze z opium, świeżej hioscyjminy, niedojrzałych jeżyn, nasion sałaty, soku ze szczwołu plamistego, mandragory i bluszczu. Nasiąknięte cennym ładunkiem, są suszone na słońcu, gotowe do ponownego nawilżenia i użycia.

Nikt poza Mary nie zna charakteru owych eksperymentów. Zdemaskowała go węchem, wchodząc pewnego wieczoru do jego pokoju, wciągając powietrze i leciutko unosząc brwi, jakby chciała powiedzieć: „Czy to wszystko, czego się nauczyłeś?” Pastor i jego siostra są diabelnie ciekawi, ale nie zadają żadnych pytań. Jest im za to wdzięczny.

Ze szklarni idzie do stodoły. Drzwi stodoły są otwarte. Urbane Davis siedzi na pniaku, zjadając kawał sera. Młócił właśnie owies i powietrze jest jeszcze gęste od plew.

– Dzień dobry, Davis.

– Dzień dobry, doktorze Dyer. – Davis unosi ser w geście pozdrowienia.

– Mam nadzieję, że nie wystraszyłeś Sissy swoim cepem.

– Ni. Zyrknełem na nio przede chwilo. Bardzo spokojna była.

– Cieszę się. Idę właśnie złożyć jej wizytę.

– Sissy? Sissy?

Na końcu przejścia, w wygodnym, suchym boksie wysokości człowieka, pod belkami stodoły coś porusza się w cieniu, słycać wątłe miauczenie, na poły wystraszone, na poły błagalne. Stworzenie już się do niego przyzwyczailo, rozpoznaje jego kroki, a zresztą i tak jest za słabe, by uciekać.

Znaleziono ją w drugim tygodniu września, rudą kotkę, dyszącą w czymś na kształt gniazda, które urządziła sobie wewnątrz krzewu kapryfolium w ogrodzie pastora. Sam wypatrzył ją pierwszy i powiedział Jamesowi, a ten leżał w trawie pod krzewem, aż mu ramię



ścierpło, przemawiając *sotto voce*, podczas gdy stworzenie wpatrywało się w niego uporczywie, ze zdumieniem. Była to wiejska kotka, ostrożna stara rozbójniczka, nienawykła do karesów. Cierpliwością i smakołykami z kuchni wkradł się w jej łaski. Po trzech dniach mógł ją wyjąć, zadziwiająco lekki pakunek, jakby mniejszy kot wśliznął się w skórę większego. Zaniósł ją do stodoły, złożył w pudełku ze szmatkami i słomą i zbadał przy świetle lampy. Badanie wykazało guz na wątrobie. Kotka była stara i umierała w bólach.

Co zatem zrobić? Miał tylko trzy możliwości: zostawić ją, by zdechła, zabić, leczyć. Jedynie dwie ostatnie wydały mu się do przyjęcia. Przecież już dokonał ingerencji w życie stworzenia, a postąpiwszy tak, wziął na siebie odpowiedzialność niepozwalającą tak po prostu go porzucić. Co do uśmiercenia kotki, szybko zadana śmierć byłaby najpewniejszą ulgą, a George Pace jest bardzo sprawnym zabójcą, za pan brat z bogami ciemności. Pewne, mocne razy są jego chlebem powszednim.

A jednak czy życie mniej ma być drogie kotu niż człowiekowi? Czy nie jest drogie nawet w chorobie, nawet *in extremis*, ba, droższe nawet wtedy niż kiedykolwiek? A jeśli ból da się uśmierzyć, znacznie uśmierzyć, jeśli posiada się odpowiednie środki, czyż nie byłoby to najlepsze wyjście? Czy nie jest zobowiązany tak zrobić? Czy może stworzenie to tylko mimowolny obiekt jego eksperymentów? Nie podoba mu się ta myśl. Ucieka od niej.

Wyjmuje gąbkę z kieszeni, odrywa kawałek i moczy go w ciepłej wodzie w dzbanku.

– No, Sissy, to jest to, co lubisz.

Cierpienie było nauczycielem zwierzęcia i kiedy James przysuwa namoczoną gąbkę do jego pyszczki, ono wacha i żuje ją, wcierając przy tym płyn we wrażliwą skórę nozdrzy i dziąseł; wzruszający, komiczny widok. Guz zżera kotkę od wewnątrz. Dawkę trzeba codziennie zwiększać. Za każdym razem, gdy James wchodzi do stodoły, spodziewa się, że znajdzie zwierzę martwe. Przychodzi mu do głowy, że kotka może pragnąć żyć głównie po to, by spożywać jego narkotyki. Głaszcząc matowe futro, patrzy, jak zwierzę odpływa w pogodne oglupienie.

Na dole Urbane Davis podjął cep, uderza rytmicznie, nucąc sobie jakiś hymn. Co to jest? „Przyjdź, o nieznaną wędrowcze”. James zbiera swoje rzeczy, schodzi po drabinie, trzyma rękawiczkę przy ustach, by nie wdychać kurzu.

## 2

Pastor, jego siostra, pan Astick i James jedzą obiad przy stole w salonie, gdzie dziś wieczorem pastor będzie podejmował okolicznych ziemian. Reszta spożyje posiłek w kuchni, zgodnie ze zwyczajem. Główną jadalnię, nieużywaną od świętego Michała, trzeba w zimie dwa dni opalać, żeby się porządnie nagrzała, a zresztą jest nazbyt duża dla pierwszej grupy, zbyt wytworna dla drugiej.

– Jeszcze plasterki tej smacznej, tłustej baraninki, panie Astick?

Pastor odniósł korzyść z porannego polowania. Przyniosło mu dwa duże zające. James widział ich zmaltretowane zwłoki w kuchni.

– Nell – to ta siwa suka, doktorze – była dziś jak lwica. Jak oszalała. Ledwo mogła iść z powrotem do domu. Trzęsła się, ozór wywieszony.

– Pozwoli pan, doktorze, że napełnię pański kieliszek – mówi Dido siedząca obok Jamesa.

– Tylko nie upij nam doktora, Dido – ostrzega pastor, sam nieco podchmielony od przedobiedniego ponczu. – Po południu będziemy pod jego nożem.

– Rozumiem, doktorze – odzywa się pan Astick – że chirurdzy zwykle piją przed operacją tyle, co ich pacjenci. Jako że obu stronom potrzebna jest równa odwaga.

– Słyszałem o tym – odpowiada James, dziobiąc kawałek mięsa na talerzu.

– Doktor Dyer nie był jednym z takich – mówi pastor. – Chciałem powiedzieć – wyjaśnia pan Astick – że przeprowadzenie operacji musi wymagać tyleż odporności, co jej przejście. Czyż nie tak?

– Byłem świadkiem – odpowiada James – jak bardzo ceniony chirurg w wielkim szpitalu miał mdłości przed wejściem na salę operacyjną. Widziałem człowieka zarabiającego tysiąc funtów rocznie, który uciekł w połowie operacji.

– Bardzo proszę, panowie – upomina ich Dido, stukając widelcem w stół. – Nie zjedliśmy jeszcze puddingu.

– Racja, moja droga – mówi pastor – już od śniadania nie mogę się doczekać na pudding pani Cole. Cha, cha!

– Własnymi zębami wykopiesz sobie grób, bracie.

– Skoro ty nie chcesz jeść, siostrze, muszę jeść za dwoje. Kiedy nas pan wezwie, doktorze?

– Kiedy państwo sobie życzą.

– W takim razie ogram pana najpierw przy karcianym stoliku, a potem odpłacę to panu własną krwią – mówi pastor.

Nawet Dido śmieje się z tego żartu. Dziwny, pełen podniecenia śmiech.

### 3

Jest w salonie, czyta, kiedy przysyłają po niego Tabitę. Przeczytał ten sam fragment z „Roderyka Randoma” cztery czy pięć razy – Roderyk zalecający się do zramolałej panny Sparkle – ale nie dotarł do niego ani komizm, ani okrucieństwo tej sceny. Myślał cały czas o tym, jakich mógłby użyć wykrętów, jeszcze teraz, i słuchał kroków pastora w pokoju na górze. Na stoliku przy kominku, obok kart z ostatniego, przegranego przez niego, Jamesa, rozdania, stoi porządna szylkretowa kasetka z lancetami. Należy do pastora, należała przedtem do jego ojca. James nie wie, co się stało z jego własnym zestawem. Jest teraz w innych rękach.

Tabita wchodzi do salonu.

– Panna Lestrade czeka już, coby pan do niej przyszedł.

– Panna Lestrade?

– W swoim pokoju, proszę pana.

Wskazuje ręką gdzieś na górę. James pyta:

– Co tam masz?

Dziewczyna podchodzi i wręcza mu emaliowaną glinianą misę.

– Pastor kazał panu dać.

– Dziękuję ci, Tabito.

James bierze miskę, szylkretową kasetkę, wspina się po schodach, skręca w lewo, by zapukać lekko do pierwszych drzwi po prawej.

Dido Lestrade siedzi przy stole koło okna. Przebrała się po obiedzie i teraz ma na sobie suknię z bladożółtą górą i białą pikowaną spódnicą. Jej twarz rozjaśnia popołudniowe światło, malarskie światło. Dido jest, jak sądzi James, mniej więcej w jego wieku. Ma dobre oczy, bardzo ludzkie, ale wyskubała sobie brzydki brwi.

Nigdy przedtem nie był w tym pokoju. Zdaje sobie sprawę, że pokój dla niego wystawiono na pokaz i że powinien go podziwiać. Rozgląda się, dostrzega porcelanę z Chelsea, wachlarze ze strusich piór, misternie haftowany parawan, lakierowaną komodę, draperię z indyjskiej bawełny przy łóżku, ozdobioną drzewem życia. Niekończące się falbanki i ozdóbki; a wszystko to w pokoju starszym niż kościół, izbie, do której lepiej pasowałyby klocki solidnych rustykalnych mebli, tego typu sprzętów, grobowych i cuchnących upływem czasu, jakie stoją w pozostałych częściach domu. Oto protest Dido, jej cichy bunt, buduar z Bath w trzewiach północnego Devonu. Porusza go to i w jakiś niejasny

sposób chciałby ją pocieszyć. Czuje, że istnieje odpowiedni gest, gdzieś w leksykonie takich rzeczy, który dokładnie oddałby jego uczucia, ale nie potrafi go znaleźć. Mówi, bardziej burkliwie, niż zamierzał:

– Ma pani szmatkę do przewiązania ręki?

Na stole leży przygotowany jedwabny szal, jaskrawo farbowany. Jej suknia ma krótkie rękawy, ale James podciąga jeden z nich wyżej, a potem zawiązuje szal. Odczuwa fizyczną bliskość, większą niż kiedykolwiek. Czuje zapach jej ciała, gładkość skóry. Błękit i biel w zgięciu łokcia są wzruszające.

– Nie za mocno? – pyta.

Nie patrzy na niego, kręci głową. On wyjmując kasetkę z kieszeni, zdejmując wieko, wybiera jedno z małych ostrzy, wyciąga je, upuszcza, przeczesuje w jego poszukiwaniu turecki dywan, odnajduje chrząka, ujmując ją za ramię – chłodne pod jego dotknięciem – wyszukuje żyłę, podstawia miskę, nakłuwa żyłę i patrzy, jak krew spływa z ręki do miski. Gdy zebrało się, jak sądzi, sześć uncji, naciska kciukiem ranę, zdejmując szal, bierze głęboki oddech. Motek wełny służy jako tampon. Dido zgina ramię i kładzie je na piersiach jak kwiaty czy chorowitego kotka.

– Jestem pewna, że doktor Thorne upuszcza dwa razy więcej – mówi, zaglądając do miski.

– Bardziej jest potrzebna w pani niż na zewnątrz.

– Mój ojciec uważał, że puszczenie krwi to największe błogosławieństwo dla praktycznych kobiet.

– Czy taka była pani matka?

– Za taką ją uważano. Jak i mnie teraz.

– Nigdy tak o pani nie myślałem – zastrzega się James.

– Tak sądziłam.

– Jak się pani czuje?

– Doskonale, dziękuję.

– Będę z pani bratem, gdyby mnie pani potrzebowała.

Pastor wygląda przez okno; widać ogród, wznoszące się pod kątem pola, las. Wita Jamesa, nie odwracając się. Jest posępny, nagle poważny po polowaniu i dobrym nastroju poranka. Tam, z psami, w pierwszej godzinie czuł, że odwiedza ponownie swą młodość, jego ciało było znowu krzepkim, silnym narzędziem, którego przyjemnie jest używać, i nawet pośród emocji pogoni jego umysł zachował wyborny chłód, jasność, którą on bezskutecznie próbował osiągnąć przy innych okazjach... No cóż, musi być za to wdzięczny, za tę godzinę.

James, któremu pastor w przypływie szczerości wyznał, że pisuje wiersze – choć całe porto chrześcijańskiego świata nie skłoniłoby go do wyjaśnienia, jakiego rodzaju wiersze, a tym bardziej do kogo adresowane – pyta teraz, żeby coś powiedzieć, nieco także poruszony aurą melancholii otaczającą pastora, czy układa w myślach wiersz. Pastor, nagle zakłopotany, odpowiada pośpiesznie:

– Ależ nie. To nie to. Tracę wene jak wszystko inne – włosy, zęby, siły. Nie, myślałem... żeby posadzić trochę pszenicy i rzepy na małym poletku. Co pan o tym sądzi? Czy nie mówił pan kiedyś, że wychował się pan na wsi? Z pewnością tak pan mówił.

– Nigdy się nie uczyłem uprawy roli. Moja wiedza na temat rzepy ogranicza się do tego, że jeśli ją w ogóle lubię, to tylko pieczoną.

– Ja chciałbym wiedzieć trochę więcej – mówi pastor. – To znaczy, co warto robić. Chciałbym dawać przykład. Śmieją się ze mnie w kułak, wie pan, ci farmerzy. Dzisiaj też na pewno sobie tego nie odmówią. Czy będzie pan wieczerał w salonie?

– Myślałem raczej o tym, żeby zostać królem w kuchni. W zeszłym roku wybornie tam sobie pośpiewaliśmy.

– Jak pan sobie życzy.

To po to, żeby być z Mary, rzecz jasna, no, ale propozycja została złożona. Szkoda, duma pastor, zaczynając się uśmiechać, że James nie wykazuje większego zainteresowania Dido. Byłaby z nich ciekawa para, ale ta mała cudzoziemka trzyma go, wiążą ich wielkie, niewidoczne liny. Nie widziałem jednak nigdy, żeby się dotykali. Czy łączy ich więź cielesna?

Zagląda do miski w rękę Jamesa.

– Widzę, że już ją pan obsłużył. Moją siostrę.

– Miałem to opróżnić – mówi James, rumieniąc się. – Nie rozumiem, jak mogłem zapomnieć. Proszę mi wybaczyć.

– Spokojnie, doktorze. W końcu to ta sama substancja, która mnie ożywia – choć moja jest mniej wodnistą zupą. A więc, proszę pana, byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan otworzyć naczynie tu. – Puka się w prawą skroń. – Thorne robił tak wcześniej i czuję, że to by mi ulżyło. Znacznie.

James przypatruje się mu, szukając oznak, które pouczyłyby go, czy pastor mówi poważnie.

– Krew krąży po całym ciele. Jeśli wziąć ją z jednego miejsca, to tak samo jakby wziąć z innego.

– Taka, przyznaję, może być teoria, jednak odczuwam nadmiar, hiperwolemię wyraźnie umiejscowioną w głowie.

– To byłoby niebezpieczne. Zupełnie niepotrzebnie.

– Ach, nie, nie dla kogoś z pańskimi umiejętnościami.

– Myli mnie pan... z moim dawnym ja.

– No, dobrze, dobrze. Będę tu siedział nieruchomy jak skała.

Żeby tego dowieść, zajmuje pozycję na stołku, wyprostowany i znieruchomiały, jakby pozował do portretu. James myśli: odmówię. A potem: dlaczego nie miałbym tego zrobić? Dawniej umiałem to zrobić z zawiązanymi oczami. Niech nas obu diabli wezmą. Zrobię to.

Kładzie dużą chustkę na ramieniu pastora, wybiera lancet i pochyla się nad jego skroń, badając skórę pod szczeciniastymi, szpakowatymi włosami, przez chwilę wolny od wszelkiej niepewności, zagłębia koniec lancetu, czuje mimowolne drgnienie, amortyzuje je, tnie głębiej. Słyszy szybki oddech, sądzi, że to pastor, potem rozumie nagle, że to on sam. Strużka krwi płynie powoli po policzku pastora. Pastor mówi przez zęby:

– Głębiej, doktorze, głębiej.

I nagle dzieje się coś złego, coś złego niczym we śnie, w którym ze spokojnego przepływu obrazów wynurza się bez ostrzeżenia coś potężnego i ohydneho, co zmusza śniącego do ucieczki ze snu. Spazm – jakby przez jego rękę przebiegł prąd; spastyczny skurcz mięśni, Bóg wie co. Natychmiast cała jedna strona twarzy pastora pokrywa się warstwą krwi. Lancet spada, podobnie jak miska, oblewając krwią koszulę siedzącego. Pastor jęczy, kołysze się jak trafiony okręt, chwytą się za głowę. Mówi bardzo opanowanym głosem:

– Pomóż mi, James.

A James wybiega. Wybiega z pokoju pastora i biegnie do swojego. Mijają sekundy, może minuty, zanim potrafi zebrać dość odwagi, by wrócić; minuty rozpaczliwego wpatrywania się w płaszcz wiszący na gwoździu wbitym w drzwi. Potem chwytą wszystkie lniane rzeczy, jakie ma pod ręką – koszulę, szlafmycę, ściereczkę, której używa do wycierania twarzy – i biegnie z powrotem, niby kochanek w farsie, do pokoju pastora.

Pastor leży na łóżku z ręką przyciśniętą do rany. James opada na kolana, delikatnie odsuwa rękę pastora. Upływ krwi jest tak duży, że z początku nie może dostrzec rany. Wyciera krew, robi kompres ze ściereczki i umocowuje go szlafmycą. Podbiega do schodów i woła:

– Tabita!

Jej twarz ze śladami mąki pojawia się na korytarzu na dole. James wysyła dziewczynę po gorącą wodę, gorącą wodę i czerwone wino. Jego pierś faluje, jakby przebiegi pędem całą aleję. Dido ukazuje się na schodach, nadal ze zgiętą ręką, przygląda się Jamesowi ze zdumieniem.

– Co się stało? – pyta. – Czy jest pan ranny?

On wpatruje się w nią przez chwilę, nie potrafi odpowiedzieć, wbiega z powrotem do pokoju i nachyla się nad osłabionym pastorem, jakby osłaniał go przed deszczem. Dido wchodzi za nim, wydaje okrzyk przerażenia, wlepia gniewny wzrok w brata.

– Chryste, bracie... Czy on się zastrzelił?

Słychać dźwięk, złowrogi z początku, wilgotne charczenie, wydobywające się z gardła pastora.

– Czy on umiera? – pyta Dido z pobielającą twarzą, zachowując jednak godne podziwu opanowanie.

– Nie umiera – mówi James. Zna ten dźwięk lepiej niż większość ludzi. – Sądzę, że się śmieje.

Od strony zwiniętego na łóżku mężczyzny dobiega słaby głos, ogromnie rozbawiony:

– Czy on się zastrzelił!... To doskonale... to doskonale, siostró...

Minutę później przybywa Tabita z tacą, winem, wodą. Za nią pani Cole, zaniepokojona opowieścią Tabity o doktorze stojącym na schodach i machającym rękami jak wariat. Widzą pastora siedzącego na brzegu łóżka, bladego, ale uśmiechniętego, z głową osłoniętą zakrwawioną szlafmycą, obok niego Dido z ustami zaciśniętymi niczym muszla ostrygi, a doktor, te wszystkie opowieści o nim mogą być jednak prawdą, siedzi po drugiej stronie pastora i łka jak dziecko.

– Jak tam kolacja, pani Cole? – pyta pastor.

Cóż za heroizm! O tak, to popołudnie było niespodziewanym sukcesem.

#### 4

Idą we dwóch po drewno, mężczyzna i chłopiec, oświetleni listopadowym księżycem. Mężczyzna, trochę przygięty, kuleje z powodu chorej nogi, a jego głowa podskakuje jak głowa pływaka. Chłopiec, który grzeje dłonie, trzymając je pod pachami, idzie dwa kroki z tyłu. Bierze mróz, pobłyskuje wokół światła domu.

Podchodzą do stosu drewna. James wyciąga ręce i czeka, aż chłopiec załaduje na nie polana. Od szczap unosi się odór ziemi, grzyba, gnijącej kory.

– Bierz te z tyłu, Sam. Czy tam są suchsze?

– Wszystkie są trochę mokre.

– Wyciągnij tamte z boku – tę buczynę.

Lato było gorące; jesień mokra i ciepła; kiepskie zbiory. Pszenica kosztuje pięćdziesiąt szylingów i osiem pensów za ćwiartkę; trzy szylingi drożej niż w ubiegłym roku.

– Weźmiemy to, co jest, i wysuszymy przy ogniu.

Ruszają z powrotem w stronę światła. Młody pies, skaczący na naprężonym łańcuchu, zaczyna ujadać.

– Cicho, przyjacielu – mówi James.

Pies cofa się do cienia, z uszami postawionymi na poruszenia, ciche odgłosy okolicy.

Naciskając łokciem klamkę, James otwiera kuchenne drzwi. Rozlegają się nagle pogodne narzekania na zimno ze strony siedzących przy stole mężczyzn, które cichną, gdy Sam zamyka drzwi piętą. Składają szczapy i strzepują ziemię z płaszczy. Przy stole dwunastu mężczyzn, grubych i chudych, stara się, jak może, by nadrobić jedzeniem to, co stracili na dziesięcinę. Nadrabiają, jedząc i pijąc z wesołą determinacją. James zna większość z nich, większość zna Jamesa – zna go, choć niekoniecznie wie, co o nim sądzić.

Tabita upuszcza dzban, jeden z tych dużych. Dzban eksploduje imponująco u jej stóp, zalewając jej pończochy falą jabłecznika. Dziewczyna płacze, bardziej ze zmęczenia niż z przestrawienia czy lęku przed panią Cole, która podaje w salonie. Farmerzy krzyczą wesoło. James podchodzi do niej i mówi:

– Idź spać, Tabito. Sam i ja będziemy ich obsługiwać.

Dziesięcinowa kolacja, wydarzenie niezbyt mile dla kogokolwiek, zbliża się do końca. Stół zavalony jest kubkami i szklankami, tłustymi, powgniatanymi cynowymi talerzami, obgryzionymi i wysanymi szkieletami kaczek, kurczaków i zajęcy, zbrązowiałymi, gruzłowatymi kośćmi wołowymi, spiczastymi baraniami.

– No, to jak, Sam – mówi James – czy wszystkie te zwierzęta odnajdą swoje szczątki w Dniu Sądu?

– To tam nie będą same ludzie?

– Mój Boże, nie. Kury, koty, Jonaszowy wieloryb.

Patrzy na Sama: żywy, kościsty, cudownie brzydki jedenastoletni chłopak. W wieku piętnastu lat nie da się go odróżnić od innych rumianych synów pług, w chustach w kropki na szyjach i skórzanych spodniach, pokrzykujących na rynku w jakimś targowym mieście. Gdy skończy trzydziestkę, będzie jednym z tych przy stole; jeszcze krzepkim, ale już złamanym trudem i troską, pijącym, by zapomnieć.

Siedzą razem na ławie przy kominku. James czuje na twarzy żar ognia.

– Mówił pan, że opowie pan historię, doktorze James.

Doktor James – otwarcie zwraca się w ten sposób do niego tylko Sam, między sobą mówią tak i inni.

– Jaka to miała być historia, Samie?

Wiadomo, jaka historia.

– O wyścigu.

– Ach tak.

– I o królowej i tak dalej.

– O cesarzowej, Samie. To więcej niż królowa.

– I o Mary.

– Czy słyszysz coś w tym całym zgiełku?

Sam kiwa głową.

Dla Jamesa to eksperyment; przerabianie swego życia na anegdoty dla dziecka. Seria małych, bezpiecznych detonacji, zapobiegająca, ma nadzieję, zalaniu potokiem przerażających, nieprzetrawionych rewelacji kogoś obcego lub, co gorsza, kogoś, kto go zna. A Sam jest dobrym słuchaczem, pobłażliwym wobec poprawek, podążającym za rozwojem opowieści, jak za ostrzem pług na polu.

– A dokąd dotarliśmy przy ostatniej okazji?

– Do pana przyjaciela, pana Gummera – mówi Sam.

Wizja: twarz Gummera, to znaczy oczy, ponieważ reszta osłonięta jest szalem od zimna. Czy rzeczywiście mógł przedstawić Gummera jako przyjaciela?

James popija z kubka, ściąga jedną rękawicę, ociera usta wierzchem dłoni; czuje siatkę blizn.

– Wiesz zatem, jak pierwszy raz spotkałem pana Gummera, kiedy byłem chłopcem, jak zaskoczył mnie, gdy leżałem na brzuchu w trawie na wzgórzu starego fortu w dniu wesela, i jak spadłem z drzewa wiśniowego...

– I złamał pan nogę.

– Właśnie...

– A ten człowiek, co ją nastawiał...

– Amos Gate, kowal. No dobrze. Więc kiedy moja noga się wygoiła – od tamtej pory znowu się odgoiła – w domu pojawiła się... choroba. Bardzo ciężka choroba, tak że moja matka, i bracia, i siostry – wszyscy pomarli...

– Wszyscy?

– Tak, wszyscy – potwierdza James swoje kłamstwo. – W każdym razie zostałem sam i wyruszyłem na piechotę do Bristolu, żeby znaleźć pana Gummera, bo sądziłem, że skoro okazał mi swego rodzaju zainteresowanie, to może przyjmie mnie do siebie. Byłem mniejszy niż ty dziś, Samie, a jednak przeszedłem tę drogę prawie cały czas w deszczu, jak pamiętam. A ty, czy byłeś kiedy w mieście, w jakim wielkim mieście?

Sam kręci głową.

– Ja wtedy też nie. Taka ogromna ciżba ludzi! Żołnierze, marynarze i grubi kupcy; piękne damy unoszące suknie ponad błotem – bo miasto jest znacznie brudniejsze niż wieś. Po raz pierwszy ujrzałem wtedy Murzyna i Chińczyka. I były tam okręty z każdziutkiego zakątka świata, jeden obok drugiego, jak zwierzęta w zagrodzie. I sklepy, Samie, oświetlone niczym na Boże Narodzenie, i wielka krzątania, ogromna wrzawa ludzi i zwierząt. No więc znalezienie pana Gummera pośród tej... hm... entropii było, jak sobie pewnie wyobrażasz, wcale nieprostym zadaniem, a jednak, idąc za swym nosem, znalazłem go, i bardzo się czuł zaskoczony i w pewnym sensie zadowolony, choć muszę ci powiedzieć, że nie był to dobry człowiek. Ale że i ja nie byłem dobrym chłopcem, jakby pasowaliśmy do siebie. To był...

– Hej tam! Ludzie umierają tu z pragnienia!

Kilku z zebranych macha na dowód kubkami, a inni zaczynają bębnić pięściami w stół. Łomot nabiera rozpędu, dudni jak maszerujący żołnierze.

– Chodź, Samie.

James wstaje, uśmiecha się, przeprasza farmerów lekkim ukłonem. Zbiera kubki, po dwa w każdą dłoń, i przechodzi przez drzwi z tyłu kuchni do chłodni, pomieszczenia bez okien z kadziami słodu i beczkami, gdzie pastor co kwartał nadzoruje warzenie swego stołowego piwa i gdzie pani Cole wytwarza wiejskie wina, których butelki poukładano pod dwiema ścianami. Mimo zimna siedzi tam Mary, nieruchoma na krześle z plecionką, nie robiąc nic dostrzegalnego. Świeca pali się u jej stóp, złączonych równiutko, z kocią precyzją. James ściąga piwo. Gdy skończył, mówi:

– Chodź tam. Tu jest zimno, nawet dla ciebie.

Ona obserwuje go oczami jak dwa czarne kamyki.

– To tylko drobni farmerzy – mówi James. – Wrzask i wściekłość. To nic nie znaczy. Nic poza tym. – Podnosi jeden z dzbanów. – Chodź, usiądź ze mną i z Samem przy ogniu.

James wnosi piwo do kuchni, stawia je na stole. Bardzo pragnąłby być pewien, że jest szczęśliwa; zadowolona przynajmniej.

– Aa! Pański liksir życia, doktorze. Uratował nas pan od suchego grobu.

– Sto lat, panowie. Zdrowia i szczęścia.

– Nie popije pan z nami?

– Jeśli sprawi to panom przyjemność.

– Dobrze gada.

Dzban krąży, piwo bryzga na stół przy napełnianiu każdego kubka.

– Toast, chłopaki!

– Za króla!

– Za Farmera Jerzego i Starą Tabakę.

– Za najlepszą dupę w chrześcijańskim świecie!

– Nie, chłopaki – mówi Ween Tull. – Za naszego własnego doktora Dyera. Niefortunne nazwisko, trzeba przyznać... – okrzyki uznania dla tego żartu<sup>[2]</sup> – ...ale skoro doktor nie daje

---

<sup>[2]</sup> Nazwisko Dyer kojarzy się z angielskim czasownikiem *to die* „umierać” (przyp. tłum.).

medykamentów żadnemu mężowi ni niewieście, a noża używa jedynie do krojenia chleba, ocala więcej żywotów niż jakikolwiek inny lekarz w królestwie!

Toast zostaje spełniony.

– To ładnie z waszej strony, panowie. Bardzo – dziękuje James.

Jakiś głos woła:

– Gdzie jest Will Caggershot? Powiedz nam jeden z twoich wierszyków, Will. Powiedz nam „Sally Salisbury”!

Caggershot niepewnie wstaje z ławy.

– Epitarium biednej Sally Salisbury.

Zebrani wpatrują się w niego jak rozbawieni uczniacy. Caggershot chrząka.

*Tutaj leży na wznak, ale wreszcie spokojnie*

*Biedna Sally; okrutna śmierć ją dopadła.*

*Dzielnie przecie walczyła w nierównej z grzechem wojnie.*

*Nic dziwnego, że z siły zupełnie opadła.*

*Do słodkiego celu zawsze prosto dążyła,*

*Aż raz jej w pół drogi nie starczyło oddechu;*

*Chociaż wszyscy pragnęli, by im długo żyła...*

Przerywa, gapi się ponad głowami innych w stronę drzwi warzelni. Pozostali obracają się na swoich miejscach, żeby też spojrzeć. James wstaje z ławy przy kominku, z rozłożonymi ramionami, jakby miał nadzieję fizycznie połączyć towarzystwo.

– To tylko Mary, panowie. Nie trzeba przerywać piosenek.

– Wiemy, kto to jest, doktorze.

Caggershot siada na swojej ławie. Farmerzy wbijają wzrok w środek stołu. James wzrusza ramionami, podchodzi do Mary i usadwia ją na ławie obok Sama. Powoli rozmowa ożywa, jak stara pompa, którą coś na chwilę zablokowało. Piją, napełniają puste kubki. Zapominają o Mary. Caggershot śpiewa swoje piosenki, coraz sprośniejsze. Potem Een Tull, brat Weena i niekwestionowany największy półgłówek w całym towarzystwie, wycelowuje pokrzywiony palec w Mary, wołając:

– Żeby ta kobita, doktorze, pokazała zęby i tego!

Prośbę podchwytują inni, tak szybko, że widać, iż Een powiedział tylko to, o czym oni myśleli. James obawiał się trochę takiego obrotu sprawy, miał jednak nadzieję, że się pohamują z szacunku dla niego jako „doktora”, jako przyjaciela pastora, jako – najwyraźniej – opiekuna Mary. Boli go ta widoczna zdrada. I to on jest winien, on ją naraził. Wstaje, nabrawszy powietrza.

– Panowie, nie będzie tu żadnego cyrku! – oświadcza z mocą.

Nikt w tym pokoju, nawet Mary, nie znał Jamesa Dyera jako eleganckiego młodego człowieka, wyruszającego do Rosji jesienią 1767 roku. Nikt nie widział go wystrojonego, prosto z igły, w modnym surducie, ściskającego dłoń carskiego ambasadora, tak jakby to ambasador powinien być zaszczycony tym spotkaniem. Nikt nie wyobrażał sobie nawet czegoś takiego, może poza Samem, ustawiającym w myślach okazałe marionetki w coś na kształt historii życia. Przez chwilę farmerzy są zupełnie ujarzmieni.

Ciszę przerywa dźwięk przypominający początek deszczu. Mary podchodzi do szczytu stołu, ręce na biodrach, jakby chciała im zaśpiewać. Czeka – to jej zacięcie aktorskie – a potem rozwiera usta w psim grymasie, obnażając aż po dziąsła przednie zęby, spiłowane w ostre kły. Od stołu słychać niski jęk podziwu. O ileż to lepsze od dwugłowej owcy czy ryby, która umie liczyć, w śmierdzącej jarmarcznej budzie. Ich mimika jest tak śmieszna, niektórzy mimowolnie naśladują grymas Mary, że złość Jamesa przekłada się na śmiech, głośny, wyzwalający śmiech, który mógłby wywołać parę gniewnych słów, gdyby właśnie wtedy do



kuchni nie wszedł pastor, z twarzą, mimo puszczania krwi, niebezpiecznie nabrzmiałą po pięciu godzinach jedzenia, picia i kart. Spogląda pytająco na Jamesa, a potem zwraca się do farmerów:

– Panowie, obawiam się, że nie mogę was dłużej zatrzymywać. Sam jestem już dość długo farmerem, żeby rozumieć, iż pragniecie powrócić do swoich domów.

Pojawienie się osoby wyższej rangą, nawet tak pozbawionej splendoru jak pastor, działa nieprzyjemnie otrzeźwiająco. Wystukują fajki, wysączają resztki piwa z kubków. Ich twarze zdradzają przeczucie zimna jutrzejszego świtu; kolejnego dnia walki z upartymi zwierzętami, brnięcia przez martwe, ciemne pola, niczym pierwsi czy ostatni ludzie na ziemi.

James wyciąga kapelusze i palta, szaliki i rękawice, i jest mu przykro, że się śmiał. Podwórze wypełnia ruch, szuranie i stąpanie ludzi i koni. Pies, który na ich widok wpadł w szal ujadania, dostał ostrego klapsa w nos od pastora i teraz leży na brzuchu, demonstrując ekstatyczną powściągliwość. Kopyta dzwonią na kamieniach jak orkiestra krzesiw. Farmerzy odjeżdżają, ich konie odnajdują ścieżkę prowadzącą do drogi, aż w końcu pozostają tylko James, Sam i pastor, w zapadłej nagle ciszy, jak na obrazie mistrza światłocienia zebrani wokół lampy pastora.

Chłopiec drży. Pastor patrzy na niego, jakby zdziwiony, że go tu widzi.

– Gdybyś miał trochę oleju w głowie, Sam, mogłeś się zabrać do domu z którymś z naszych gości.

– Ja go odprowadzę – mówi James. – Zatrzymałem go starymi opowieściami.

– Ach, opowieści... – Pastor kiwa głową, jakby to słowo miało dla niego specjalne znaczenie. – No tak, musi ich pan mieć niemało.

– Niektóre są naszą wspólną własnością.

Uśmiech pojawia się na twarzy pastora.

– To prawda. – Wciąga powietrze. – Niech pan uważa na tym lodzie, doktorze. Czy weźmie pan lampę?

– Nie. Sam i ja uczymy się gwiazd. Będziemy je lepiej widzieć bez lampy.

Sam biegnie z powrotem do domu, żeby przynieść ich płaszcze i rzeczy Jamesa. Czekaając na podwórzu, James spogląda na brzeg opatrunku wystającego spod peruki pastora. Chce go o to zagadnąć, ale sprawa puszczania krwi nadal go kłopotce. Czuje ulgę, kiedy pastor wskazuje otwarte drzwi, w których widoczny w resztkach światła Sam stoi obok Mary, żegnając się z nią.

– Lubi ją – mówi pastor.

– Tak. Coś jest między nimi.

– Czy ona odzywa się do niego?

James wzrusza ramionami.

– On rozumie, co ona do niego czuje.

Sam przynosi mu płaszczy, długie, grube palto z kieszeniami tak głębokimi, że mieszczą się w nich książki, i jabłka, i papier do szkicowania.

– No cóż.

– Z Bogiem.

– Dobranoc, pastorze.

– Dobranoc, dobranoc, Samie.

Rozdzielają się. Pastor rusza ku domowi, drapie psa za uchem i wzdycha, wzdycha tak ciężko, aż go to zaskakuje, jakby jego ciało posiadało jakąś tajemną wiedzę, która nie przeniknęła jeszcze do świadomości. Skroń mu pulsuje; dotyka jej delikatnie dwoma palcami. Dziwne, że Jamesowi tak puściły nerwy. Dziwne, jak człowiek potrafi się zmienić. Skończony jako lekarz, rzecz jasna. Taki talent! To prawda, że był przedtem twardym i niezbyt sympatycznym człowiekiem. Ale użytecznym; na Boga, jak użytecznym. Czego świat potrzebuje bardziej – dobrego zwykłego człowieka czy kogoś wybitnego, choć z

sercem z lodu, z kamienia? Trudne pytanie. Ten pies jest za chudy. Trzeba go odrobaczyć. Czas spać. Śnić coś dobrego.

5

Z domu prowadzi niemal mila wyboistej ścieżki, zanim dotrze się do mostu i drogi biegnącej pod górę do wioski. Jest tu ciemniej, w cieniu drzew i wysokich żywopłotów, ale księżyc nadal ich prowadzi, ukazując głębokie koleiny, ozdobione cekinami szronu, i węzowe linie gałęzi na tle rozproszonego światła między dwiema połączonymi niewidzialnego. Tam gdzie znajdują odsłonięte niebo, zatrzymują się, Sam biegnie wzrokiem za luką wyciągniętej ręki Jamesa i wymienia nazwy gwiazd; obaj wpatrują się w głębie niebios, aż zda się, że czują, jak ziemia kołysze się pod ich stopami, i muszą spojrzeć w dół, żeby nie dostać zawrotów głowy. Ich kroki płoszą jakieś zwierzę; oczy w ciele z umbrą, stworzenie zwiewne jak szybki, suchy szelest jego ucieczki przez krzewy. Sam twierdzi, że to lis, mówi, że powie o nim George'owi Pace'owi i zarobi pensa.

Wkrótce James przekonuje Sama, żeby mu coś zaśpiewał. Sam idzie kawałek w milczeniu, przepatrując swój repertuar, a potem zaczyna „Starego Jana Żytka”. Jego głos jest z początku zbyt cichy, potem nagle łapie właściwy ton, niezbyt mocny sopran, matowy przy wyższych nutach:

*Trzej ludzie, co z Zachodu przyszli  
O szczęście się pokusić,  
Złożyli raz solenny ślub:  
Jan Żytko umrzeć musi...*

Przez jakie trzy czy cztery minuty ten śpiew jest dla Jamesa lepszym wyrazem naturalnej melancholii życia niż cokolwiek innego, co słyszał w katedrze czy sali koncertowej. Czy w domu wariatów.

*Wozili go po polu wkoło,  
Aż doszli na pastwisko.  
Złożyli tam solenny stóg  
Z biednego Jana Żytka...*

Wychodzą na most, kamienny garb z niskimi balustradami, i ruszają pod górę do Cow. Pojedyncze światełko miga słabo z domu na skraju wzgórza – knajpa Caxtona. Przechodząc, rzucają okiem przez na wpół zasłonięte okno na plecy mężczyźni zmagających się ze swoimi napitkami. Potem idą dalej w strefy cienia, krążąc między zamkniętymi kamiennymi twarzami śpiących chat, ciemnymi ogrodami, sapaniem i szuraniem zwierząt. Z dala, jednak bardzo wyraźnie, dobiega krzyk sowy i odpowiedź, równie wyraźna, równie odległa.

Dom kościelnego wyróżnia poświęca się przez szybę okna na parterze. Światło zmienia położenie na odgłos ich kroków i drzwi otwierają się, zanim zdążyli zapukać. Matka chłopca stoi w progu ze świecą.

– Mam nadzieję, że nie naprzykrzał się panu, doktorze. – A potem zwraca się do chłopca: – Jak możesz sprawiać panu doktorowi tyle kłopotu, żeby cię odprowadzał taki kawał po nocy?

W jej głosie słychać więcej ulgi niż gniewu.

– Proszę nie być dla niego zbyt surową – mówi James. – To moja wina. A spacer w taką noc to żaden kłopot. Sam mi śpiewał. Ma ładny głos. Pomyślałem nawet, że chłopiec

powinien należeć do chóru. Nie mają tam nadmiaru talentów... Pani szanowny mąż oczywiście stanowi chlubny wyjątek.

– Bardzo to uprzejmie z pana strony.

Robi króciutki dyg, ledwie dostrzegalny w migocącym świetle świecy. Mimo obecnej pozycji Jamesa – właściwie pieczeniara w domu pastora – otacza go pewna niesprecyzowana aura sławy i pewna dystynkcja, która sprawia, że jest on, przynajmniej w jej oczach, jednym z ważnych ludzi. Wzrusza ją także jego przyjaźń dla jej syna. To dobre światło dla chłopca, dobre ciepłe światło.

– Wejdzie pan? Łyczek na nocny chłód?

– Nie mogę się pani narzucać o takiej porze, pani Clarke... – Ale już idzie za nią i jej światłem do domu, obok wydłużonego cieniem kapelusza kościelnego, którego chrapanie dociera do nich, gdy zasiadają w kuchni. Obmurowane palenisko grzeje ich przyjemnie.

Dom jest tylko odrobinę mniejszy od tego, w którym James był dzieckiem, domu w Blind Yeo, i wiele w nim z tego – skromne, wyszorowane sprzęty, złożona mieszanka zapachów, gra światła na wypolerowanych powierzchniach – co jest mu znane jak własna twarz.

Pani Clarke przynosi kufel swego męża napełniony jasnym piwem i stawia go przed gościem. Dla siebie mały kieliszek imbirowego wina. Sam, stojący jak lokaj za krzesłem Jamesa, pije mleko z drewnianego kubka.

– Mąż pani miewa się dobrze?

– Dziękuję panu, tak. Ale musi mieć swoją porcję snu, wie pan. Mówi, że praca z tak wieloma śpiącymi snem wiecznym sprawia, że sam ma na to ochotę.

– Ochotę na co, proszę pani? – Nagle ciepło po rześkim powietrzu napełniło Jamesa sennością. Pani Clarke rumieni się.

– Na sen, doktorze. Tylko na sen. – Spogląda na syna, potem śmieje się niespodziewanie.

– To taki żart, doktorze.

James mówi:

– Nie ma na świecie zawodu, który nie miałby swego specyficznego humoru. Żałuję, że dowcip medyków jest chyba najcięższego kalibru. Kontakt z cierpieniem innych rodzi żarty raczej okrutne niż naprawdę komiczne. Zaczyna się to jako obrona przed okropieństwami, ale wkrótce staje się niemal drugą naturą.

– Jestem pewna, że z panem tak nie było – mówi pani Clarke.

Rozmowie z doktorem zawsze towarzyszy przyjemna atmosfera, zachęcająca do niedyskrecji.

– Nie, proszę pani, nie było, ponieważ cierpienie innych nie sprawiało mi najmniejszej przykrości. Rozumiałem je tylko o tyle, że istniał związek między natężeniem bólu a wysokością wynagrodzenia, jakie można było uzyskać za jego złagodzenie.

James, który mówiąc to, wpatrywał się w stół, teraz podnosi wzrok, żeby oszacować efekt tego wyznania. W jej oczach widać chwilowe zmieszanie, które szybko mija. Pokazuje, że jest zdecydowana być dla niego miłą.

– Z pewnością znał pan swój fach najlepiej, doktorze.

– Niezawodnie, proszę pani. Byłem – i to nie są przechwałki – jedynym znanym mi chirurgiem, którego reputacja nie polegała na wierutnej blade. Większość z nich miała języki i wyobraźnię, które z karczemnej bójki zrobiłyby obłędnie Troi, ale gdyby przyszło do prawdziwego leczenia, mogłaby pani równie dobrze wezwać gęś. Złote miecze, a serca z najtańszego mosiądzu.

Przerywa, uśmiecha się, żeby złagodzić gniewny ton, który wkraśl się do jego głosu.

– Widzi pani, jaki jestem niezycliwy dla przedstawicieli mojej dawnej profesji. Byli wśród nich dobrzy medycy, tak, i dobre medyczki. Ci, którzy potrafili pocieszyć bez rozbudzania nadziei, gdy nadziei nie było. Prawdę mówiąc, pani Clarke, bardzo niewiele możemy zrobić, bardzo niewiele. Urodziliśmy się za późno i za wcześnie – pomiędzy wiedzą

tajemną dawnego świata a odkryciami przyszłego wieku. Miałem pewien talent, proszę pani, głównie do noża. Ale nigdy nie miałem tego... – robi niewyraźny gest w powietrzu ponad swoim piwem – ...tego rodzaju uwagi dla cierpień innego człowieka, jaka cechuje prawdziwego uzdrowiciela.

– Myślę, że jest pan dla siebie zbyt surowy, doktorze.

James kręci głową.

– Nie, proszę pani, jestem tylko sprawiedliwy. Byłem dobry w największym znaczeniu tego słowa. Niezwykle zręczny, ale nikt nigdy nie przyszedł do mnie po słowo pociechy.

Jest w tych słowach ciężar, a w tonie głosu jakaś stalowa twardość, która sprawia, że nie da się na to odpowiedzieć. Po dłuższej chwili milczenia pani Clarke mówi:

– Ma pan, zdaje się, siostrę?

– Miałem dwie.

– One?...

– Tak, śliczna Sara. Umarła jako dziecko razem z moim bratem. Myślę, że ta druga nadal żyje, moja Liza. To znaczy nie wiem nic o tym, żeby umarła. Nie widziałem jej od czasu, kiedy byłem małym chłopcem.

– Powiedział mi pan, że wszyscy umarli – wtrąca Sam. – Że został pan sam.

– Nie przerywaj – strofuje go matka, bojąc się, żeby nie zburzyć kruchego, ulotnego nastroju.

– Tak powiedziałem, Samie? No cóż, było to dość bliskie prawdy. – Milknie.

Pani Clarke czeka chwilę, a potem podsuwa:

– Może ją pan jeszcze spotka.

– Nie byłaby z tego zadowolona, jak sądzę. Nie ma powodu, by mnie kochać.

– Siostra nie potrzebuje powodu, by kochać brata, doktorze. To jej obowiązek.

– Nie może tu być mowy o obowiązku. Skrzywdziłem ją.

– Jako chłopiec. Chłopcy często krzywdzą swoje siostry. Boże, gdy pomyślę o moich braciach! A przecież jesteśmy teraz dobrymi przyjaciółmi.

James kręci głową.

– Nie potrafiłbym chyba spojrzeć jej w oczy.

– Ale może ona chciałaby spojrzeć na pana. Krew nie woda.

– Niemożliwe.

– Przebaczenie to wielka rzecz – mówi pani Clarke – dla tych, co mają po temu serce.

James z ręką na ramieniu Sama wysuwa się zza stołu. Cichym głosem wyjaśnia:

– Ona jest niewidoma. Była niewidoma. Ospa.

Sam zostaje wysłany do łóżka. Pani Clarke, ze świecą w ręku, tak jak przedtem, prowadzi Jamesa do drzwi. Wychodząc z domu, James pyta:

– Czy mówiłem dziwnie?

– Jest pan u nas zawsze miłym gościem, doktorze.

– Dziękuję. Czuję to. Uszanowanie dla męża.

Zauważa znowu niezręczny dyg. Drzwi zamykają się, zasuwają się rygiel, a kroki kobiety cichną w głębi domu. James rusza ścieżką, mruga, by pozbyć się odbicia świecy w oczach. Jest teraz zimniej, kamienie chrzęszczą pod jego stopami jak szkło. Dociera do drogi, gdy zatrzymuje go ciche „psst!” od strony domu.

– Będzie pan dalej opowiadał, doktorze James?

Głos sączy się z małego okienka pod okapem dachu.

Sam pozostaje niewidoczny.

– Będę.

– O cesarzowej?

– Tak, Samie.

– I dlaczego Mary ma spiłowane zęby?

– Idź do łóżka, Samie. – James unosi rękę i macha na pożegnanie.

Piwo kościelnego, choć z pewnością orzeźwiający i zdrowy, nie stanowi jednak wystarczającej ochrony przed mrozem wtykającym swe długie palce między poły Jamesowego płaszcza. Po rozmowie z panią Clarke James nie czuje też ochoty na mozolny marsz prosto do domu – do domu! – do domu pastora i do zimnego, najpewniej pustego łóżka. Pół godzinki w kompanii innych ludzi, szklaneczka rumu z wodą, rozmowa o niczym – to go postawi na nogi. O co mu chodziło, kiedy mówił takie rzeczy pani Clarke?

Podchodzi do karczmy Caxtona, pochyla się w niskich drzwiach, staje w migotliwym świetle i wdycha cuchnące powietrze. Mała izba od frontu z małym kominkiem, ławy wypolerowane do glansu przez niezliczone spodnie i cztery stoły, na których pojedyncze świece wydzielają grube pasma dymu i sadzy. Caxton we własnej osobie stoi przy kominku, wzięwszy się pod boki, patrząc ponad ramionami z pół tuzina niedawnych gości pastora, grających w domino, otępiąłych kompletnie ze zmęczenia i nadmiaru alkoholu. Na widok Jamesa Caxton układa twarz w powitalny grymas i obaj mężczyźni wymieniają pozdrowienia. Ponieważ James nie wstępował tu od miesiąca, zapomniał już, jak bardzo nie lubi Caxtona; nie za powiązania karczmarza z miejscowymi kłusownikami – kłusownicy są na ogół ludźmi honoru – ani za pogłoski, wielce prawdopodobne, że sprzedał policji informacje, które doprowadziły do powieszenia chłopca oskarżonego o kradzież zegarka kieszonkowego pewnego dzentelmena. Jego niepokój dotyczy córki Caxtona, dziewczyny w zaawansowanej ciąży, która stoi o dwa kroki od ojca i obgryza paznokcie. Czując na sobie spojrzenie Jamesa, dziewczyna usiłuje się uśmiechnąć, ale udaje jej się tylko wyrazić głębokie zmieszanie. Caxton woła:

– Co podać, doktorze? Co dziewczyna ma panu przynieść?

James zamawia rum, dziękuje za propozycję zagrania w domino i usadawia się przy jednym z pozostałych stołów. Dziewczynka – bowiem w wieku czternastu czy piętnastu lat, mimo jej stanu, trudno ją nazwać inaczej – przynosi mu kieliszek, wyciera stół mokrą od piwa szmatą i stawia przed Jamesem kieliszek. On pyta ją, jak się miewa, rzucając okiem na jej ogromny brzuch, który, zda się, za chwilę weźmie nad nią górę. Unikając jego wzroku, dziewczyna odpowiada:

– Nieźle.

– Wkrótce będziesz w połogu, Sally. Nie boisz się?

– Będę rada, jak się go pozbędę, proszę pana.

– Kto się tobą zajmie?

– Matka Grayley.

– Ma duże doświadczenie – mówi James, wstrząśnięty w głębi ducha, że kobieta znana z pijaństwa i mogąca się pochwalić legionem martwych noworodków może być wzywana przez kogokolwiek poza diabłem. Takie musi być życzenie Caxtona.

– Co proste, to najlepsze, Sally. Jesteś młoda. Nie ma potrzeby szpikować się cudownymi lekami i tak dalej.

Dziewczyna szepcze podziękowania i szybko odchodzi. James unosi kieliszek i pije. Krótka rozmowa z Sally, widok jej ojca, sprytnego gburą, nawet farmerów zgarbionych nad prostokącikami domina, stos brudnych monet pośrodku stołu, wszystko to go przygnębia. Nie ma tu prawdziwego szczęścia; niewiele choćby nadziei. W bezradności dziewczyny i w brutalności mężczyzny mieści się równa miara uporczywego cierpienia; a choć część cierpienia zasłużona, część bólu niechybnie jest czymś w rodzaju nemezis; jakież w tym pocieszenie, jaka satysfakcja? Każdy ból jest wystarczająco realny dla tych, co go znoszą; wszyscy w równym stopniu potrzebują współczucia. Bóg wie, że pragnie go dla siebie.

Drzwi otwierają się; James podnosi wzrok. Człowiek takich rozmiarów, że zda się, iż zrobiono go z materiału na dwóch ludzi, człowiek o czarnej skórze – czy może brązowej, a właściwie jakby szarej, niby noc ponad śniegiem? – wchodzi do małej izby, jak dorosły do

domu dzieci. Pochyla się pod belkami i sunie w zniszczonych szkarłatnych pantoflach w stronę Caxtona. Wyciąga mały dzban, dzban na śmietanę, i szepcze głosem przypominającym szmer cicho przegarnianych węgla jedno słowo:

– Dżin.

– Dżin?

Czarny mężczyzna kiwa głową i nieznacznie wskazuje na dzbanek. Caxton bierze dzban i wręcza go córce, która idzie na zaplecze, by go tam napełnić. Czarny człowiek sięga do kieszeni krótkiej kurtki, wyciąga sakiewkę i wytrząsa z niej sześciopensówkę na swą otwartą dłoń. James myśli: w takiej dłoni można by ukryć piłkę krykietową. Jakie sztywne ma palce, jak u starego człowieka. A jednak potężne.

Murzyn odbiera od Sally swój dzban, dziękuje jej i czeka na resztę od Caxtona, aż w końcu zrozumiał, że jej nie dostanie, kiwa ze znużeniem głową i sunie z powrotem do drzwi. Drzwi zamykają się za nim. Przez dwie, trzy sekundy nie słyhać nic poza nierównym rytmem płonącego ognia, potem farmerzy zaczynają gadać z ożywieniem, każdy z nich opowiada drugiemu, co widział, jakby każdy był jedynym świadkiem tego niezwykłego zdarzenia. Gratulują Caxtonowi, że tak oszukał obcego. Pewien farmer ostrzega go, że trafi do garnka czarnego. Ryki śmiechu. Inny, zwracając się do Jamesa, pyta, czy Murzyn zbudowany jest tak samo jak biały człowiek, czy też może murzyńskie kości są czarne, tak jak skóra.

– Nie – mówi James, czując nieprzeparowane pragnienie opuszczenia tego miejsca. – Murzyni są zbudowani tak jak my.

– Słyszałem, że ich nasienie jest czarne, z przeproszeniem Sally.

– Nie potrafię powiedzieć.

– A ich serca? – dopytuje się Caxton. – Czy są czarne?

– Nie bardziej niż pańskie... czy moje.

Ku jego irytacji, uwaga ta zostaje odebrana jako dowcip i zmuszony jest wychodzić wśród chóru wesołych pożegnań. Nie potrafię, myśli, stąpając ostrożnie po oblodzonej drodze, nawet okazać pogardy.

Oczyszcza umysł parunastoma głębokimi łykami zimnego powietrza, myśli o jutrze, mając nadzieję, że będzie to kolejny olśniewający, świetlisty dzień, dzień z powietrzem jak szampan. Uśmiecha się, przypominając sobie poranną werwę pastora. Człowiek musi tworzyć sekretne zbiory takich poranków, gromadzić je na rozpaczliwsze czasy. Jeśli jutro będzie ładnie, może wezmę tusz i papier i pójdę do posiadłości lady Hallam narysować tę małą świątynię nad wodą.

Zaczął szkicować ją w głowie, gdy dźwięk okutych żelazem kół na drodze z tyłu skłonił go do zejścia na trawę. Przez kilka minut powóz istnieje tylko jako zbiór dźwięków; jęk osi, oszalała perkusja garnków i patelni, skrzeczący, pijacki śpiew. W końcu James rozróżnia kształty pojazdu, wozu z budą, ciągniętego przez jednego konia, toczącego się z pagórka od strony Cow. Gdy wóz przejeżdża obok Jamesa, głos przestaje śpiewać i wykrzykuje:

– Kto tam idzie? Czy to chrześcijańska dusza, czy co?

James odpowiada:

– Nie musicie się mnie obawiać.

Jest teraz w stanie w miękkiej poświacie gwiazd dostrzec dwie postaci, jedną bardzo małą, rozmiarów dziecka, lecz wnosząc z tonu i oparów dżinu otaczających jej słowa, z pewnością nie dziecko; drugą jest Murzyn od Caxtona.

– Nieprzyzwoicie się tak skradać pod żywoplotem o ty porze – mówi kobieta, a potem, niemal jednym tchem, głosem słodkim jak miód: – Nie masz dokąd iść, co? Biedaczek. Czy może się u nas zatrzymać, John? Nie ma gdzie spać.

– Cśś – mówi Murzyn.

– Pani propozycja jest bardzo szlachetna, ale mam dach nad głową i łóżko niedaleko stąd  
– odpowiada James.

– No, to w porządku. Ruszajmy, John.

John cmoka, koń napina mięśnie i wóz rusza naprzód, ciągnąc za sobą cieniutką wstążkę piosenki.

– Spróbuj powietrzak siężycowej nocy... w twej wonnej altance... gdzie w gałęzi topoli...  
wplecionej wino odświata cię osłoni...

James śpi z Mary, znajduje ją w swym łóżku, gdy bez świecy po omacku trafia do pokoju. Wsuwa się za nią, przytula piersią do jej pleców. Noga boli jak diabli, ale to go nie martwi. Wie, że będzie spał, wdychając zapach jej skóry, niby jeden z narkotyków, którymi nasącza swoje gąbki. Całuje ją w ramię na powitanie, a zarazem na pożegnanie, ona bowiem powróci do swego pokoju, gdy on będzie jeszcze spał, i na długo zanim zacznie się ruch w domu.

W pokoju obok pastor siedzi, w swoim śnie, nagi i bardzo towarzyski, grając w karty z lady Hallam. Dido śni o mężczyźnie, który czule wysysa krew z jej ręki. James – o drzewie wiśniowym, wielkim jak dom, i o tym, że patrzy w dół przez lśniąca lawinę jego zielonych liści, gdzie Murzyn ubrany w wiśniowe jedwabie i atlasy wyciąga ramiona, by go złapać.

## Część trzecia



Zima roku 1739 jest najgorsza, jaką pamiętają ludzie: przenikliwa, paraliżująca pora, która trzyma kraj w okowach jak biblijna zemsta, piękna i zabójcza. Na rzekę Ouse w Yorku, na zamrożoną Tamizę wyciąga się prasy drukarskie, by drukować wiadomości ze świata lodu, niby z nowo powstałego królestwa, które w nagły a cudowny sposób pokryło dawne. W piwnicach beczki dławią się winem i piwem; bywa, że bydło zastaje się świtem zamrożone w oborach; pojawiają się dziwne światła. Ciemność skrzypi. Wrony i inne ptaki spadają sztywne jak ozdoby z otwartego nieba.

Drażący, przenikający do szpiku kości mróz zabiera biednych, bardzo młodych, starych, schorowanych. Niemowlęta grzebane są obok zgarbionych babć i weteranów spod Blenheim. Łopata grabarza, której kształt przypomina serce, dzwoni jak siekiera na żelazie, a groby są tak płytkie, że w wioskach na zachodzie krążą pogłoski o hienach cementarnych, aż do chwili gdy dozorca na cmentarzu w Kenn strzela do watahy psów rozwlekających deski trumny zebraka.

W Blind Yeo, wiosce, która wypełzła leniwie z szarych murów średniowiecznego klasztoru, a teraz, w trzynastym roku panowania króla Jerzego II, ciągnie się wzdłuż drogi z Bristolu do Coverton niczym garnitur rzadkich i dziurawych zębów, niewiele widać oznak życia poza sinym dymem snującym się z krytych strzechą bądź szarą dachówką dachów i paroma postaciami na dworze, opatulonymi w długie płaszcze, potykającymi się w zamrożonych koleinach – każdy ich krok słyszalny jest w szklistym powietrzu, każdy oddech widoczny.

Zmierzch zapada zaraz po drugim dojeniu, światło sączy się z okien domostw i chałup.

Za wioską wzgórze wznosi się jak wyspa ponad wrzosowiskami. Patrzący stamtąd obserwator, tupiąc dla rozgrzewki butami, mógłby sądzić, że dzień już się wypalił, że wioska zsunie się w długą noc niczym szalupa do czarnej wody. Lecz przy brzegu rzeki widać błysk światła, potem jeszcze dwa, potem tuzin, a towarzyszą im okrzyki: „Z drogi” i zgrzytliwy świst, niechybnie dobiegający spod łyżew.

Łyżwiarze zawieszają latarnie na niższych gałęziach drzew. Drzewa wyginają się, czarne i błyszczące, ponad zamrożoną rzeką. Grupa piętnastu, może dwudziestu osób ślizga się na oświetlonym lodzie. Niektórzy zręcznie, odpychając się błyskawicznymi ruchami tylnej łyżwy, z rękami założonymi za plecy, ciałami wychylonymi do przodu, mkną lodowymi tunelami swoich własnych torów. Inni, przygarbieni, wyglądają jakby szykowali się do złapania ogromnej piłki, lub machający ramionami jak kobiety składające pościel w wietrzny poranek. Niektóre głowy regularnie znikają z widoku. Słychać krzyki, przyjazne, sąsiedzkie „Niechieszlagjohn!” albo „Czymajsiealice!” – i śmiech, wysoki i pijany.

Księżyc, zaciśnięty jak pięść, wisi na zachodzie ponad ujściem. Psy na całym wrzosowisku, na farmach, gdzie gnój błyszczy jak diamenty, ujadają wpatrzone w jego jasne światło. Nawet psy gończe z Coverton Hall zbijają się w swych budach w aksamitną masę i wyją. Łyżwiarze też to czują: szaleństwo pełni zimy; uwodzicielski punkt zerowy roku.

Butelka rozbija się na lodzie. Jakaś postać gramoli się na brzeg. „Totyjoshua?” Postać opiera się o pień olchy, kiwa głową i wymiotuje strumieniem ciepłego jabłecznika między kolana. Młoda kobieta w szalu ciasno owiniętym wokół ramion zatrzymuje się na lodzie za nią. Mówi:

– Jeśli sądzisz, że cię zaniosę do domu, to się mylisz. Łachudra!

Wymiotujący nie zwraca na nią uwagi. Głos łaje, ale pobrzmiwa w nim ziarenko rozbawienia, i gdy druga łyżwiarka, przejeżdżając obok; chwyta kobietę za ramię, ta pozwala się odciągnąć.

Powietrze dzwoni pojedynczą wysoką nutą skrzypiec. Podnosi się radosny okrzyk, a skrzypek, stary mężczyzna z czaszką owiniętą wełnianym szalem, rozpoczyna wiązanek tanecznych melodii, muzyki znanej im tak dobrze jak dźwięk własnych głosów – „Get Her Bo”, „Jumping John”, „Nadchodzą wesołe dni”. Łyżwiarze, spoceni w polarnym powietrzu, tańczą, przewracają się i chwytają nawzajem z nową energią. Nadchodzi ich więcej, opuszczają się z brzegu rzeki na lód. Nie ma obawy, że lód pęknie. Jest twardy jak kość.

Skrzypce milkną. Tancerze stają, ich oddechy, gdy spoglądają w górę, przypominają maseczki z gazy. Spadające gwiazdy! Nad Pigs' Green, nad Ladyfield; pierwsza, potem druga spada. Dziesiątki ramion wyciągają się, wskazując kierunek. Psy, zaniepokojone nagłą ciszą, milkną.

Elizabeth Dyer stoi na łyżwach przy brzegu w ciemności, dziesięć jardów za skrajem światła lamp. Ma dwadzieścia dziewięć lat, jest matką trojga dzieci, żoną gospodarza Joshuy Dyera. Łyżwy, na których jeździ, ma od czasu, gdy skończyła czternaście lat. Ostatnio trafiły ją nieokreślone smutki. Dziś widok nieba sprawia, że krew krąży w niej z taką siłą, iż kobieta boi się, by nie ulecieć w powietrze i nie zniknąć ponad dachami wioski.

Z tyłu dobiega miękki, skrzypiący odgłos kroków, ale ona nie odwraca się, by zobaczyć, kto to, a kiedy dłoń – nie jej męża i nie żadnego farmera, lecz długa, lekka i gładka – wsuwa się pod jej szal i ściska jej pierś, kobieta nadal patrzy w górę, choć gwiazdy już się wypaliły i niebo odzyskało nieruchomy spokój. W pośpiechu nieznajomy traci równowagę; przewraca się i popycha ją na lód, padając na nią całym ciężarem, aż jej zapiera dech. Wiją się w zaspie, lecz żadne nie próbuje się podnieść. Zadziera jej spódnice. Ona wie, że ma dość sił, by mu się oprzeć, zrzucić go z siebie. Zamiast tego sunie po omacku ku brzegowi, grzebie rękami, aż chwyta korzeń zimny jak metal, przytrzymuje się go obiema dłońmi, cumując siebie i obcego niczym jakiś niezgrabny statek rzucany falą przy ciemnym brzegu. On zawisa na kościach jej bioder, dźga kilka razy, zanim udaje mu się w nią wejść. Wszystko kończy się po paru sekundach, po kilku pchnięciach; on wbija w nią paznokcie, ona słyszy świst jego oddechu między zębami. Potem mężczyzna oddala się od niej; jej koszule, halki i spódnice opadają jak kurtyna.

Pozostaje tam dość długo, ze zmarzniętymi palcami wokół korzenia, żeby upewnić się, że już poszedł. Jej ciało lekko drży; ma wyraźną wizję mężczyzny przemykającego się między koronkowymi zaroślami, poprzez zamrznięte puste pola. Zdumiewa ją jej spokój. Ryzyko było ogromne i bezsensowne. Nie potrafi tego wyjaśnić. Unosi się, dotyka tyłu sukni, owija szal ciasno wokół ramion i jedzie z powrotem ku światłom. Skrzypek znowu gra, przytupując niezgrabnie na brzegu. Przyjaciółka ujmuje ją za ramię, jedzie przez chwilę obok.

– Czy to powietrze nie parzy twojej skóry?  
– Parzy, Marto, parzy.  
– Nie będziesz miała dziś w nocy kłopotów z twoim Joshuą.  
– Nie, Marto, chyba nie. – I Elizabeth odjeżdża, czując, jak wystygłe już nasienie mężczyzny liże wewnętrzną stronę jej uda.

Dziecko rodzi się we wrześniu, w pokoju gorącym od ognia i oddechów kobiet. Kobiety tłoczą się wokół łóżka. Pani Llewellyn, pani Phillips, pani Rivers, pani Marta Bell. Pani Collins z Yatton, pani Gwyny Jones z Failand i matka Joshuy, wdowa Dyer, która pakuje sobie do nosa wirginijską tabakę i zagląda przez ramię akuszerki. Położna wypaca właśnie cały wypity dzin. Żadna matka nie umarła jej od roku, ale za tę nie będzie odpowiadać.

Dziecko nie chce wyjść. Minęło już wiele godzin, chociaż czuje czubek jego głowy, pasemka mokrych włosów, jak wodorosty w rzece.

Elizabeth Dyer jest coraz słabsza. Ma zbieleiałe wargi i poszarzałą skórę wokół oczu. Akuszerka widziała to już wiele razy przedtem: nagle odpływają, przestają krzyczeć, odwracają twarz do ściany. Jeszcze godzina lub dwie, jak Bóg da, i matka albo dziecko będzie martwe; wtedy nic po niej. Dziecko może już nie żyje.

Dziewięcioletnia Liza Dyer stoi uwięziona między fałdami kobiecych sukni i patrzy. Palce jednej ręki ściska palcami drugiej. Jej twarz zdradza zwykle przerażenie. Kobiety zauważają to, przypominając sobie własne inicjacje przy łożach porodów i łożach śmierci.

Pani Gwyny Jones szepcze:

– Czy nie należałoby posłać po pana Vineya?

Wdowa Dyer mówi:

– Nie potrzeba nam tu mężczyzny.

Takie wyczerpanie! Elizabeth nie potrafi tego określić, nie wyobraża sobie słów. Jej brzuch jest zamrożony. Dziecko jak szpunt z lodu zabija ją. Zimny, słony pot wypala jej oczy, płynie strumieniami z napiętej skóry, wsiąka w materac. Jak Joshua da sobie radę bez niej? Kto będzie kochał dzieci tak jak ona? Kto zrobi dobre masło? Kto odchowuje jagnięta zdechłych owiec albo załata koszulę, mimo że bolą oczy i palce? Nie pamięta żadnych modlitw, ani jednej. Ma pustą głowę. Jakiś głos poucza ją, każe jej przeć z całych sił. Jacy są okrutni, każąc jej tak cierpieć! Krzyczy; potężny dźwięk, odpychający kobiety, kołyszący nimi, wszystkimi z wyjątkiem wdowy, najmocniej zakorzenionej. Liza pada na podłogę, ogłuszona, jakby uderzona pogrzebaczem między oczy. Pani Collins pomaga jej wstać. Nikt nie proponuje, żeby dziewczynka wyszła.

Akuszerka krzyczy:

– Idzie!

– Chwała Bogu! – mówi Gwyny Jones. Przykłada dłoń do serca, odruch radości.

Akuszerka wyciąga dziecko, chwytając śliskie kostki w garść, i unosi je do góry. Pokryte jest od głowy do stóp krwią i zwisa bezwładnie z ręki kobiety. Wdowa Dyer pyta:

– Czy jest żywe?

Akuszerka potrząsa nim; dziecko porusza ramionami i dłońmi, ślepy pływak, ślepy starzec szukający drzwi. Nie płacze. Jest nieme. Kobiety unoszą głowy. Liza wyciąga rękę. Akuszerka przecina pępowinę ogromnymi zardzewiałymi nożycami.

### 3

Chrzczą je trzy dni później. Joshua, wdowa, Liza i farmer Moody, który ma być ojcem chrzestnym, idą do kościoła. Elizabeth jest za słaba, żeby wstać z łóżka. Mleko kapie z jej sutków, niepotrzebne. Dziecko karmi niańka, kobieta o skórze rekina.

Choć to wczesne popołudnie, w kościele jest tak ciemno, że ledwie się widzą. Dziecko pewnie nie przeżyje. Przekonała ich o tym wdowa Dyer. Żadne zdrowe dziecko nie mogłoby zachowywać się tak wbrew naturze, nie wydać dźwięku przez trzy dni. Śpi, budzi się, je; nie płacze, ani razu. Na głowie ma kilka jedwabistych czarnych loków. Oczy błękitne, jak to u niemowlaka. Wdowa Dyer mówi, że najlepiej, żeby umarło.

Pastor przychodzi spóźniony z obiadu, wypuszcza najdyskretniej, jak potrafi, gazy z brzucha, bierze dziecko, pyta Moody'ego, czy wyrzeka się Szatana, i nadaje dziecku imię – James Dyer. Jedno imię w zupełności wystarczy takiemu chorowitemu stworzeniu, mniej też roboty dla kamieniarza.

W chrzcielnicy nie ma wody. Pastor pluje na dłoń i robi krzyż na czole dziecka, czuje, że dziecko się rusza, podaje je dziewczynie. Joshua Dyer grzebie w sakiewce, wkłada pastorowi

pieniądze do ręki, kiwa głową poważnie, niezgrabnie. Brną do domu przez ścierniska. Liza tuli mocno dziecko do żeber.

#### 4

Na zewnątrz domu słyszą kroki jego konia na alejce. Liza biegnie do okna. Wdowa Dyer podnosi głowę znad cerowania, wyprostowuje swą zwalistą postać i śpieszy do ognia. W samym sercu ognia tkwi pogrzebacz. Elizabeth mówi:

– Nie, daj mi to zrobić, Willa – ale starsza kobieta ignoruje ją, wyciąga pogrzebacz, osłaniając dłoń opaloną szmatą. Przy ogniu stoi przygotowana waza ponczu. Wkłada koniec pogrzebacza do płynu, rozlega się gwałtowny syk. Hałas budzi dziecko. Spało na kołdrze w dzieży. Patrzy na grubą kobietę przy ogniu, patrzy na nią, jak zanurza palec w ponczu, a potem odłamuje kawałek głowy cukru i miesza.

– Zawsze lubił słodko – mówi wdowa. – Czy jedzenie gotowe? Będzie wygłodzony po całym dniu na jarmarku.

Starsze dzieci pobiegły do pokoju od frontu, żeby zobaczyć, jak ojciec idzie alejką do domu. Teraz biegną z powrotem do kuchni, do tylnych drzwi, które, jak wiedzą, wejdzie, zaprowadziwszy konia do stajni. Po minucie słyszą jego buty i przepychają się, żeby być najbliżej drzwi. Słychać skrzypnięcie żelaznej klamki, drzwi kuchni otwierają się i podmuch zimowego powietrza przepływa przez pomieszczenie.

Pozwala dzieciom przez chwilę tłoczyć się koło niego, potem zamyka drzwi i wchodzi do izby. Wdowa Dyer nalewa chochlą poncz do kubka i podaje mu. Mówi:

– Podejdź do ognia, synu – i prowadzi go w tym kierunku. Nie pyta go o paczkę pod pachą. On z przesadną ostrożnością kładzie paczkę na stole kuchennym, potem pije poncz tak szybko, jak może. Pozostali obserwują go, stojąc wokół w niedomkniętym kręgu. Jest częścią zewnętrznego świata. Z głębokich, na wpół zamrożonych fałd jego płaszcza unoszą się zapachy koni, skóry, tytoniu. Nawet mroźny, przejmujący zapach samej nocy.

Sara, już nie najmłodsza, odkąd pojawiło się dziecko, wspina się na paluszki i kładzie badawczo rękę na paczce. Liza odciąga ją od stołu i łaje. Joshua uśmiecha się do starszej dziewczynki. Drocząc się z nią, pyta:

– A ty nie chciałabyś zerknąć do środka, dziewczyno?

– A więc sprzedałaś gęsi, tato – mówi Liza.

On śmieje się i wyciąga kubek.

– Ty zawsze o interesach, Lizo. Zatem napełnij mi kubek. Witaj, żono.

Elizabeth kiwa mu głową. Podniosła dziecko i trzyma je w ramionach. Joshua odwraca wzrok i patrzy na swoją matkę.

– Dostałem dobrą cenę za ptaki.

Elizabeth zastanawia się, czy Joshua dużo wypił na targu. Pamięta noc sześć miesięcy temu, gdy spadł z konia, jadąc do domu, i miał cały bok w fioletowych siniakach. Pamięta, jak leżał na stole, jęcząc, ani chwili spokoju, aż przyszedł Viney z kompresami i naparami.

W tym roku jest bardziej sobą, ale paczka – wygląda na ciężką i drogą – niepokoi ją. Zna mentalność mężczyzn takich jak Joshua. Jej ojciec był taki sam; chętnie targował się całą noc o cenę owcy czy buszla jabłek, lecz wystarczyło pokazać mu coś nowego, coś niezwykłego, a natychmiast rozstawał się z pieniędzmi, jakby był spadkobiercą księstwa. Nic dziwnego, że szarlatani i kuglarze nigdy nie odchodzili z pustymi rękami. Zawsze odjeżdżali na pięknych koniach, w pięknych szatach na grzbiecie.

– Kupiłeś coś, widzę. Coś pożytecznego. – Kątem oka widzi, jak wdowa patrzy na nią wilkiem. – Tak – mówi, widząc rumieniec na twarzy męża.

On rzuca jej na poły obrażone, na poły gniewne spojrzenie, które we wczesnych latach ich małżeństwa mogło zwiastować wymianę ciosów, a potem zapasy w nowym łóżku. Jej

przycinki zaostrzały wówczas ich apetyty, ale praca, choroby, dzieci, ciągle zmagania z niepogodą, ze zwierzętami, które dobrze potrafiły jedynie zdychać, wszystko to odebrało im wigor, tak że teraz żyją tylko zrywami, spazmami. Przez chwilę wytrzymują swoje spojrzenia, potem Joshua odwraca się do niej tyłem, przysuwa rękę do płomieni.

– Jedzenie – mówi.

Dzieci odstępują od niego po cichu.

Je. Jedzenie uspokaja go. Skończywszy, ociera tłuszcz z twarzy i przypala fajkę od ogarka. Sięga przez stół i przysuwa paczkę do siebie, tak że leży ona na stole między nim a Lizą. Owinięta jest w workowe płótno i wydziela wyraźny odór tłustej wełny. Przecina sznurek nożem, którym jadł, popycha paczkę w stronę dziewczyny.

– To dla was wszystkich, ale skoro dziewczyna starsza wiekiem i rozumem, zostanie u niej, żeby wam pokazywała, jak zechce.

Do chłopca mówi:

– Przynies tu tę świecę, Charlie. Tak. Postaw koło niej.

Liza, z powagą królowy przyjmującej dar od cudzoziemskiego dworu, rozwija płótno, aż wreszcie ukazuje się wypolerowane drewniane pudełko wielkości rodzinnej Biblii. Z przodu ma mosiężny zatrzask. Liza spogląda na ojca. On mówi:

– No, otwórz to, dziewczyno. Samo się nie otworzy.

Liza dłubie przy zatrzasku, otwiera pudełko, wpatruje się w jego zawartość, a potem patrzy po zebranych. Wszystkie twarze, z wyjątkiem twarzy ojca, zdradzają takie samo pełne napięcia zaciekawienie, jak jej twarz. Wewnątrz pudełka znajduje się drewniana tarcza, biała, do niej przyłączone są cienkie druty i kule różnych wielkości i kolorów – czerwona i niebieska, czarna i biała, i jedna złocista, większa od pozostałych. Wokół krawędzi białej tarczy rozmieszczono nazwy miesięcy i znaki zodiaku. Z boku wystaje rączka, taka jak w małym młynku do kawy.

Dziewczyna przesuwając palcem po złocistej kuli. Joshua mówi:

– Gorące, nie?

Jego twarz pała radością.

– Nie gorące – odpowiada dziewczynka.

– Gorące latem, zimne zimą. Widzisz je cały dzień, ale w nocy znika.

Wymyślił tę zagadkę, jadąc do domu, i jest z niej bardzo zadowolony.

– Już wiem! – Elizabeth zapomniała na moment o wydatku, jaki pewnie poniósł jej mąż. Klaszcze w dłonie. – To Słońce, a to nasz świat... a to Księżyc?

– A to Merkury, a to Wenus – wyjaśnia Joshua. – Wenus od miłości i Merkury od czegoś innego. Zakręć tą rączką, Lizo. O tak. – Kładzie rękę na dłoni dziewczynki. – Widzisz?

Koła zębate, ukryty mechanizm maszyny, zaskakują i obracają się. Kule zaczynają się poruszać, każda swym własnym ruchem. Powoli i dostojnie, jak biskupi tańczący menueta. Dzieci siedzą oczarowane, prawie bez tchu.

– To się nazywa planterarium – mówi Joshua niemal szeptem. – Po grecku to znaczy „cały świat”.

Wdowa Dyer mądrze kiwa głową; Sara i Charlie hałaśliwie upominają się o swoją kolej; miniaturowy wszechświat obraca się powoli w lusterkach oczu małego dziecka – Rak, Lew, Panna – miesiąc po miesiącu, rok po roku.

To najwcześniejsze wspomnienie Jamesa Dyera.

Kuchnia jest jego pierwszym światem. Płomienie liżące ruszt, światełka migające na dnie miedzianych rondli. Przytulna rzeźnia, gdzie stworzenia powietrza, pól i rzek są skubane, patroszone i powierzane płomieniom. Służąca, Jenny Scurl, o palcach grubych jak szyjki

butelek, jest alchemiczką zwierzęcych zwłok, dokonującą transformacji tuszki królika czy śnieżnobiałego ścierwa martwej gęsi; rozdziera, skrobie, tnie, wrywa wnętrzności z korzeniami i napycha miękkie otwory cebulami, gotowanymi jajkami, szałwią, pietruszką, rozmarynem, siekanym jabłkiem, kasztanami. Żeby zabawić dzieci, obdziera węgorze ze skóry żywcem.

James mieszka w dolnych rejonach, pełza po kamiennej podłodze pod kuchennym stołem, gdzie w cieniach czają się chude, bezimienne, bezwzględne koty, które siadają obok niego, obserwując szybujące pierze i opadającą mękę, które toczą z nim wojnę o odpadki i przekonują się, że jest waleczniejszym przeciwnikiem niż jego poprzednicy. Niezauważony, spędza tam połowę dni, śledząc drewniane obcasy kobiet i okryte wełną kostki pod brzegiem morza halek – tu i tam, tu i tam, ciągle w ruchu.

Później, po dziesiątkach niemych upadków, uczy się wspinać na kuchenne krzesło – gdy siedzi na nim, jego stopy ledwo sięgają brzegu mebla – bezgłośnie przyjmuje szturchnięcia i pieszczoty, kawałeczki chleba czy słodkiego ciasta, które mu się dostaną. Jego milczenie coraz bardziej przyciąga uwagę dorosłego świata. Niektórzy biorą go za idiotę i huśtają na kolanach, przemawiając do niego jak do psa. Kobiety rozpieszczają go dla jego błękitnych oczu, dla komicznej powagi jego spojrzenia. Gdy Liza ma go dla siebie, obślinia całą jego twarz pocałunkami. On siedzi nieruchomo na jej kolanach, odległy jak pająk czy gwiazda.

Elizabeth mówi:

– Zmieni się z czasem. Dajcie dziecku czas. Czy Sara nie była opóźnień, małowymnym dzieckiem? A przecież teraz mówi dobrze i aż za dużo.

Obserwuje Jamesa, jakby jego pierwsze słowa miały być denuncjacja. Przyprawiła ci rogi, Joshuo Dyer! Słyszac hałas we wsi, boi się, że to kocia muzyka, którą grają pod oknami cudzołóżnic. Niech jej Bóg wybaczy, próbowała z tuzin razy pozbyć się dziecka, a przecież inne, bywało już, traciła przed terminem. Ostatnie dwa przenosiła zaledwie cztery miesiące. Ale ten był zaparty, uczeplił się w jej brzuchu. A teraz te jego błękitne oczy, milczenie głośnie jak róg myśliwski wprawiają ją w pomieszanie. Ta starucha, wdowa, o tępej czerwonej twarzy i oczach łasicy, z umysłem, który wychwytuje informacje z powietrza, nie śmie jeszcze otwarcie jej oskarżyć. Obserwuje chłopca, a potem kieruje spojrzenie na Elizabeth, spojrzenie niewymagające objaśnień.

W miarę jak dziecko podraasta, jej myśli stają się coraz czarniejsze. Wyczuwa obecność ciemności: złośliwy błysk w oku barana, gałązka, która chłoscze ją po twarzy, mucha pełznąca po jej białym nadgarstku. Pamięta dłoń nieznajomego, długą i jasną, i fragment piosenki, którą śpiewała jako mała dziewczynka: „Diabeł to elegancki pan, pięknie tańcować umie...”

Pewnego popołudnia, w trzecim roku życia dziecka, gdy jest z nim sama i obserwuje jego spokojne, puste spojrzenie, jakby rozumiało wszystko albo nie rozumiało nic, szczypie go mocno w ramię, ścisła paznokciami, prawie do krwi. Kiedy chłopiec spogląda na nią z lekkim zdziwieniem, a potem spokojnie opuszcza wzrok na wąski, zaogniony ślad na swoim ramieniu, napełnia ją przerażenie, strach przed tym dzieckiem i wstręt. Ale panika mija i po chwili Elizabeth czuje przypływ tkliwości. Jaki on śliczny! Jak absurdalnie smutny, zamknięty w swoim milczeniu. Przytula go i ssie znak, jaki zrobiła na jego ramieniu, ale nie może usunąć sińca, widzi go jeszcze długo później, memento jej wstydu, przerażenia, miłości.

Z czasem boi się, że wdowa porozmawia z Joshuą, ale obie wiedzą, że Joshua uwierzy tylko w to, co zechce, w to, w co najwygodniej wierzyć: że żona jest mu wierna i kocha go tak, jak on ją. Raz dziennie z obowiązku pyta: „Co tam z chłopakiem?”, ale nie czeka na odpowiedź ani nie struga wieczorami drewnianych lalek i fryg, jak to robił dla starszych.

W ciszy, pod baldachimem dorosłych obaw, świat Jamesa powoli się rozrasta. Jego umysł, pokój wypełniony ogniem, kotami i malowanymi słońcami, teraz wypełnia się życiem farmy. Ubranego w stare spodenki z króliczej skóry, wyprowadzają go na błotniste podwórko, gdzie obserwuje kłótnie kur i pająki tkające sieci wokół zawiasów zaklinowanych drzwi. Uczy się zapachu wapna na polach, widzi tropy zajęcy na śniegu, słucha młocarzy, których głosy brzmią nieziemsko pośród kurzu i cieni stodoły, którzy noszą na nogach stare kapelusze, żeby nie połamać słomy na strzechę.

Poznaje Toma Purely'ego, „Truskawkę”, nazwanego tak ze względu na różową narośl na skórze szyi. Tom zabiera chłopca, żeby mu pokazać świnię; znajdują ją w sadzie, wysoką białą świnię z dużymi uszami, której oddech pachnie jabłkami i kapustą, i kwaśnym mlekiem z wylewek w mleczarni. James przygląda się, jak ją szlachtują, a potem jak mężczyźni, wyginając ręce, opalają jej szczecinę słomianymi pochodniami.

Jenny Scurl zabiera go na spacer do sadu. Pod żywopłotem całuje się z Bobem Ketchem, Danem Millerem albo Dickiem Shutterem. Bob Ketch ściska ją za cycki, a ona wzdycha, jakby się jej zrobiło smutno. W maju wkłada kwiaty we włosy, swoje i chłopca. Jego włosy są jaśniejsze, ze złotym pobłyskiem w lecie. Oczy James ma nadal błękitne, choć wszyscy mieli nadzieję, że ściemnieją, tak jak u pozostałych dzieci. Pan Viney, zatrzymując się pewnego dnia, mówi Joshui, że takie rzeczy się zdarzają, jedno niebieskookie dziecko wśród rodzeństwa, to się zdarza.

Gdy tylko jest dość duży, przenoszą go z sypialni rodziców do pokoju obok. To mały pokój. Dwa materace po obu stronach okna i dwie drewniane skrzynki na rzeczy dzieci. W rogu mały kominek, a na ścianie nad łóżkiem dziewczynki obrazek krowy narysowany przez Sarę, płaskiej i czerwonej na tle płaskiego, błękitnego nieba.

Przebudzenia w chłopiące poranki, odzyskiwanie świadomości, gdy świat na zewnątrz bardziej jest jeszcze nocą niż dniem, wyglądają mniej więcej tak: stukot i zgrzyt końskiej podkowy, przytłumione zaczepki parobka czy stajennego pod adresem Jenny, która wchodzi do mleczarni, żeby wydoić krowy. Potem słyszy rodziców. Buty ojca, od których trzęsie się dom, szept matki. Potem światło świecy migocące za drzwiami, drzwi otwierają się cicho i starsze dzieci, Charles i Liza, w pomiętych nocnych koszulach, machają nogami, bardzo szybko wkładają ubrania i bez jednego słowa idą za świecą na dół.

Później Liza wraca, jej ręce pachną śmietaną, dymem z kominka i piźmowo-łajnianym odorem zwierząt. Szoruje ich – Jamesa i Sarę – szmatką i wodą, którą przyniosła ze studni, odnajdując małe fałdy na ich twarzach na poły czułymi, na poły gwałtownymi ruchami. Dzień się zaczął. Tuzin znajomych głosów unosi się z podwórek i pól, nawoływanie psów, pędzenie bydła, witanie sąsiadów. Piły, młotki i siekiery zaczynają swą pracę; krąży stadko gołębi z gołębnika w Coverton Hall, a biedacy, kilkanaście wdów, sierot i mężczyzn, zbyt chorych, by mogli pracować, wypełzają ze słomianych barłogów i ciągną ku domówi nadzorczy albo stoją zgięci wpół pod drzwiami sąsiada, czekając na porcję ciepłego mleka, szorstkie słowo, kęs wczorajszego chleba.

## 6

Za panowania królowej Anny lady Denbeigh ofiarowała wiosce Yeo niewielką szkołę. Nauczyciele byli na ogół bardzo młodzi, albo bardzo starzy, albo pod jakimś względem zwichnięci. Obecny nauczyciel, Septimus Kite, mieszka w dwóch małych pokojach z tyłu szkoły. Tu, między małym łóżkiem a małym stołem, śpi, je i faszkuje się laudanum. Ma asystentkę, kulawą starą pannę z wioski, nazwiskiem Lucket. Dzięki pensji i pieniądzom ze sprzedaży wyrabianych przez siebie dżemów, panna Lucket nie musi na razie liczyć na miłosierdzie parafii.

Wszystkie dzieci Dyerów chodziły do szkoły, kiedy nie były potrzebne na farmie. James pierwszego dnia idzie z Lizą, chociaż Liza już dawno skończyła naukę. Idą alejką wzdłuż krzewów głogu, których świeże liście dzieci żują na wiosnę. Przy alejce stoi budynek szkoły z cegieł, które nadal wyglądają świeżo przy poszarzałych murach klasztoru. Liza przedstawia chłopca panu Kite'owi. Kite spogląda na niego, chrząka, pyta:

– To ten, co nie mówi?

– Jeszcze nie, proszę pana, ale bardzo dobrze wszystko rozumie.

– Posadź go tam – poleca Kite. – Chciałbym mieć więcej takich jak on.

James siada w ławce przy oknie. Liza wkłada mu do kieszeni ciepłego ziemniaka. Mówi:

– Rób, co ci każą, Jem.

Chłopiec nie odwraca się, żeby popatrzeć na odchodzącą siostrę.

Panna Lucket, z jedną nogą o trzy cale krótszą od drugiej, przez co jej chód przywodzi na myśl rzucany falami statek, a co uczniowie małpują, idąc za jej plecami alejką do szkoły, jest pocziwą kobietą oddaną swemu zajęciu. Młodzi mężczyźni i kobiety, z dziećmi na rękach, zatrzymują się nieśmiało, żeby z nią porozmawiać i przypomnieć jej swoje nazwiska, choć ona ich nie zapomniała.

Od niej James uczy się rysować litery kredą na tabliczce. Jest na swój sposób pojętym i zdolnym uczniem, chociaż coś w nim niepokoi pannę Lucket, która szczeni się tym, że po miesiącu obcowania z dzieckiem potrafi je określić, przewidzieć, jak będzie żyło z innymi i co z niego wyrośnie. Jeśli chodzi o Jamesa, po sześciu miesiącach pozostaje równie nieświadoma jego prawdziwego charakteru, jak pierwszego ranka. Nie jest lubiany, to wie, ale dzieci go nie zaczepiają. Starsi chłopcy starają się z nim nie zaczynać. Widać w nim jakąś niezależność, wyniosłość, nie na miejscu u sześciolatniego chłopca, której nie zaobserwowała u jego brata ani sióstr, nierównych, impulsywnych, zwykłych dzieci. Słyszała oczywiście plotki, widzi chmurę domysłów unoszącą się wokół Elizabeth Dyer od narodzin chłopca.

Zastanawia się, czy James czuje się niešťęśliwy, a ponieważ sama jest kimś w rodzaju eksperta od zmartwień, próbuje go ośmielić spojrzeniami i drobnymi gestami życzliwości, czego on wydaje się zupełnie nie rozumieć. Jego praktyczne zdolności są znakomite. Szyje porządniej niż dziewczęta, drobnutkim równym ściegiem. Dobrze rysuje, to znaczy bardzo dokładnie kopiuje ilustracje; nigdy nie maluje czegoś, czego nie ma przed oczami. Bajki go nudzą, z tym się jeszcze nigdy nie spotkała. Wygląda, jakby ich nie rozumiał, tak że kiedy popołudniami, które wiszą jak wielkie niebieskie lub szare jeziora nad wrzosowiskami, ona czyta im „Podróże Guliwera” albo opowiada o wieśniakach z Wiltshire, co próbowali wyłowić księżyc ze stawu, czy o Tomciu Paluchu, tylko jego twarz pozostaje obojętna, pusta, niemal głupkowata.

Jest w szkole chłopak – Peter Poundsett – rok starszy od Jamesa, nad którym wszystkie dzieci uwielbiają się znęcać. Nic go specjalnie nie wyróżnia. Nie jest ani gruby, ani chudy; ma regularne rysy twarzy. Dość silny jak na swój wiek, potrafi rzucić piłką czy skakać przez rów nie gorzej niż inni. Jego ojciec jest cieślą, matka wypieka znakomite ciastka, a ich dom bynajmniej nie jest najbiedniejszy we wsi. A jednak dzieci, tak jakby widziały na chłopcu jakieś znaki, jak te, które pszczoły dostrzegają na pewnych kwiatach, znaki niedostrzegalne dla dorosłego oka, przekręcają jego nazwisko w różne głupie wyrazy, dziecięce nieprzyzwoitości. To jego śniadanie ginie i tonie w rzece. To na jego plecach lądują kulki łajna. Jego oskarża się o spółkowanie ze zwierzętami, kradzież kulek i monet innych dzieci, o wypowiedanie klątw, od których inni chorują. Ci, którzy najokrutniej Petera prześladowają, najgorliwiej też go oskarżają. Notoryczni złodzieje oskarżają go o kradzież, szturczenie o szturchanie, a ci, którzy go łapią i ściągają z niego spodnie, co zdarza się przynajmniej dwa razy każdej zimy, oskarżają go najpewniej o taką właśnie przewinę wobec nich. Kręcą się przymilnie wokół kolan panny Lucket, a odważniejsi przy nauczycielu, w nadziei, że ich ofiara dostanie lanie. Często im się udaje i Peter Poundsett, rozciągnięty na krześle, dostaje



baty od pana Kite'a specjalnym narzędziem, półmetrowym paskiem wyprawionej skóry, który wisi na gwoździu obok portretu lady Denbeigh.

James nie bierze udziału w tych zabawach, choć przygląda im się z oddali, z małym marsem zdziwienia na czole; panna Lucket bierze to za oznakę czulszego serca. Podobnie Peter Poundsett, który, rozpaczliwie szukając sojusznika, uśmiecha się do Jamesa i z miłości robi to, czego nie zrobił nigdy z chciwości czy strachu – kradnie kawałki jedzenia i pensy z pudełka pod łóżkiem rodziców, dary, które James przyjmuje bądź odrzuca, w zależności od tego, czy pragnie danej rzeczy, czy też nie. Peter Poundsett drży z nadziei. Jego prześladowcy wyczekują.

Mija miesiąc. Dzieci obserwują. Mija drugi i nadal się wahają. Tak jakby James narysował kółko wokół chłopca i chociaż dzieci dotykają stopami jego krawędzi, to przecież żadne nie ma odwagi przekroczyć linii.

Aż w końcu przekraczają. Jest piątek, przerwa śniadaniowa, tydzień przed zamknięciem szkoły na czas żniw. Kitty Gate, córka kowala, krzepka dziesięciolatka, rzuca kamieniem w nogę Petera Poundsetta, gdy ten, przykucnięty obok Jamesa, gra w kulki pod ścianą klasztoru. James słyszy hałas, słyszy jęk Petera, patrzy na niego, patrzy na Kitty. Nie spuszczać wzroku z Jamesa, dziewczynka sięga powoli po następny kamień. James odwraca wzrok. Jego kolej w grze. Peter szepcze: „Jem?” Potem głośniej: „Jem!” Nie ma odpowiedzi. Kitty rozumie, dość, jeśli nie wszystko. Wydaje okrzyk radości, potem rzuca, tak naprawdę, z całej siły, trafia swą ofiarę w twarz i rozcina Peterowi dolną wargę, która natychmiast zakwita krwawą różą, a aksamitne płatki spadają i rozpryskują się na koszuli chłopca.

Panna Lucket widziała całą scenę z okna klasy. Teraz jak kulawa furia wypada ze szkoły, z jej ręki zwisa pasek. Boi się, że dzieci się rozbiegną, zanim do nich dotrze, ale Kitty jest zahipnotyzowana widokiem twarzy Petera Poundsetta i zdaje sobie sprawę z nadejścia panny Lucket dopiero wtedy, gdy palący pas spada na jej plecy, a szok wywołany uderzeniem zbija ją z nóg. Ale to nie Kitty jest prawdziwym celem panny Lucket. Nauczycielka śpieszy dalej, przekraczając swe ciało na zawiasie zdrowej nogi w stronę muru, pod którym stoi Peter Poundsett i skąd jego zdrajca spokojnie obserwuje jej nadejście. Przede wszystkim pragnie zdzielić go pasem po twarzy, coś, czego nigdy wcześniej nie zrobiła, co nawet nie przyszło jej do głowy. Zatrzymuje się przed nim bez tchu, unosi pasek, ale gdy spotyka jego wzrok, cała wściekłość z niej uchodzi. W jego oczach, błękitnych jak chabry na polach, nie widać złośliwości. To, co widziała w nim wcześniej, nie było dobrocią, to, co widzi teraz, nie jest jej przeciwieństwem. Wpatrują się w siebie przez kilka sekund, potem ona odwraca się od niego, chwytając Petera Poundsetta za kołnierz i prowadzi go do szkoły, a chłopak jak niefachowo szlachtowane zwierzę krwawi i wyje u jej boku.

## 7

Żniwa. Wioska przygotowuje się niczym armia w przeddzień kampanii. Joshua Dyer najmuje tylu parobków, na ilu może sobie pozwolić; dziewięć pensów dziennie plus wyżywienie dla mężczyzny, pens dla chłopców i kobiet. Na ogół pracują u niego miejscowi wieśniacy, gdy zwiozą już swoją część siana z resztek wspólnej łąki. Czasem droga sprowadza obcych: żołnierzy, nawet marynarzy, zbiegłych, kulawych bądź odprawionych po Dettingham, Fontenoy, Culloden.

Właśnie w czasie żniw 1749 roku wdowa Dyer, niosąc chleb i jabłecznik dla robotników, doznaje nagłego paraliżu, i to akurat James, którego wysłano, by sprawdził, co się stało z napojami, znajduje ją rozciągniętą na ścieżce i przypominającą górę prania. Widok jest intrygujący. Obchodzi ją wokół dwa razy, obserwując jej tłuste łydki, włosy, które wysunęły

się spod lnianego czepka, i wielki przekrwiony księżyc twarzy. Końska mucha paraduje jej po policzku.

James czeka, czy leżąca czegoś nie robi, czy na przykład nie umrze. Jej usta się poruszają, artykułując nieme prośby. Chłopiec pije z jednego z upuszczonych dzbanków, trochę napoju kapie mu po brodzie. Potem idzie poszukać matki.

Ośmiu mężczyzn ciężko dyszących i powłóczących nogami niesie wdowę do domu. Umieszczają ją na składanym łóżku w saloniku, a potem posyłają po proboszcza, ten posyła po wikarego, który przychodzi spocony z pola, by odczytać modlitwę za umierających. Rodzina stoi wokół łóżka, czekając na moment odejścia chorej. Jej oddech przypomina odgłos, jaki wydaje worek węgla ciągnięty po kamiennej posadzce, ale do wieczora jakby jej się poprawia. Posyłają Charliego do Madderditch, żeby sprowadził pana Vineya.

Viney przyjeżdża, jego szara kłacz błyszczy jak mleko w ciemnościach. Bada wdowę, Joshua trzyma świecę przy twarzy matki. Viney puszcza jej krew, potem mówi:

– Zostawcie ją tu, gdzie leży. Jeśli przeżyje noc, przyślijcie po mnie znowu. Modlitwa jest dla niej teraz najlepszym lekarstwem.

Wypija z Joshua szklaneczkę jabłeczniaka, potem wsiada na konia i odjeżdża w ciemność alei.

Joshua i Elizabeth siedzą w salonie. Elizabeth zajmuje się robótką. Dom ucicha, postępuje; wdowa świszcze i chrapie. Świt zastaje ją nadal żywą. Charles jest potrzebny na polu. Po aptekarza wysłany zostaje James.

Do Madderditch będzie godzina spokojnego spaceru. Dom Vineya, opleciony bluszczem, stoi na skraju wsi. Drzwi otwiera ciotka Vineya, kuma wdowy, która czyta wiadomość – napisaną przez Lizę – wyjaśniającą, po co przysłano chłopca, i wpuszcza go do środka. Wysyła służącą po aptekarza, potem stoi i przygląda się chłopcu z pewnym zainteresowaniem. A więc to jest bękart Elizabeth Dyer, jej wstyd. Mówią, że chłopak jest niemową. Wcale jej się nie podoba. Bękart powinien być najpokorniejszym stworzeniem na całym bożym świecie. A ten przypatruje się jej, jakby była kucharką. Kobieta mówi:

– Nie wiesz, kim jesteś? Nie wiesz, kim jest twoja matka? Mam ci powiedzieć, chłopcze? Powiedzieć ci?

Wchodzi Viney; jego twarz – sprytna, zatroskana, dobrotliwa – błyszczy z gorąca. Ciotka podaje mu kartkę i wychodzi z pokoju. Aptekarz czyta ją przez składane okulary, kiwa głową. Mówi:

– Myślę zatem, że możemy mieć pewną nadzieję na to, że uda się ją uratować. Spróbujemy ją wyleczyć, co, chłopcze?

Pokazuje Jamesowi, żeby poszedł za nim. Przechodzą przez korytarz, potem przez drzwi. Pokój jest nagrany słońcem, które wpada przez uchylone okiennice; obszerne pomieszczenie, ale niemal całkowicie zawałone aptecznymi różnościami. James wdycha powietrze. Są tu aromaty niepodobne do niczego, co poznał wcześniej. Gorzkie i metaliczne, ale również słodkie, tak jakby aptekarz zmieszał kwiaty i kowadła, proch i zgniłe jaja, żeby stworzyć niepowtarzalne, cuchnące perfumy.

Pośrodku pokoju stoi stół zarzucony moździerzami, słoikami, nożami o przydymionych ostrzach. Jest tam stolnica do robienia pigułek, mały stos krabich szczypiec, ludzka czaszka i kilka książek o zmiętych pożółkłych stronach, jakby kiedyś leżały pod wodą. U sufitu wiszą wiązki suszonych roślin.

– Teraz, dziecko, znajdziemy coś, co pomoże wdowie wyzdrowieć – mówi Viney. – Może napar z ogórecznika.

Sięga do góry i bierze garść niebieskich gwiazdkowatych kwiatów.

– I coś na przeczyszczenie. Kiedy zło zagnieździ się w ciele, trzeba je wypędzić.

Bierze liście senesu i imbir.

– Moja sztuka – tego nie dotykaj! – polega na pośredniczeniu między człowiekiem a naturą. Ta sztuka została dana naszym przodkom przez Boga – tak, podaj mi ten garnek – zatem wszelkie uzdrawianie jest darem boskim – postaw go na piecu. Arogancja dzisiejszych lekarzy jest ich zgubą. Nie możemy uzdrawiać – to płuco lisa – ani zdrowieć bez pokory. Dobrze, teraz woda wyciągnie to, co dobre, z roślin. Jesteś zręcznym pomocnikiem, James. Wspomnę o tym twojemu ojcu.

Kiedy jadą do Blind Yeo, James siedzi przed aptekarzem z palcami wplecionymi w końską grzywę. Wieśniacy mówią: „Niech pana Bóg prowadzi, panie Viney”, „Dzień dobry panu!”, „Czy to chłopak Dyerów tak dzielnie z panem jedzie?”

Jeżdżenie tam i z powrotem do Madderditch po lekarstwo jest szczególnym obowiązkiem Jamesa. Spędza coraz więcej czasu w izbie aptekarza, obserwując, a potem pomagając w sporządzaniu mikstur, maści i płynów do płukania gardła. Uczy się toczyć pigułki, robić emulsję z żółtek, przygotowywać olejki z lawendy, goździków i imbiru. Sam Viney bardziej pochłonięty jest swoimi metalami, swym tygłem i piecem, swymi piramidami liczb. Niejeden raz zmuszeni są umykać przed kłębami trującego dymu, wybiegać do ogrodu, by zaczerpnąć haust świeżego powietrza, podczas gdy ciotka w desperacji macha na nich swym wachlarzem.

Ale wdowa przychodzi do siebie, choć teraz jest równie niema jak chłopiec, utraciłszy głos na zawsze gdzieś ponad letnimi polami. Na Boże Narodzenie wstaje z łóżka, z plecami w odleżynach i twarzą zapadniętą między kości czaszki. Nie ma już wizyt w Madderditch. Bardziej niż kiedykolwiek chłopiec spędza czas samotnie, pojawiając się i po cichu znikając. Jego milczenie, jego niema obojętność brane są za bunt, krnąbrność. Joshua bije go, wpada we wściekłość. Nawet Elizabeth traktuje go chłodno, zdenerwowana tym, że chłopiec zwraca na siebie uwagę innych, a tym samym na nią i na jej przeszłość. Obserwuje go pewnego ranka, jak wspina się po zboczu fortowego wzgórza, niczym jakiś zawzięty skarłatały dzikus, i myśli: żeby tak nie przestał, żeby tak wspinał się i wspinał, żeby nie wrócił.

Ale te myśli rozdierają jej serce.

## 8

Jest lato roku 1750. Roku trzęsienia ziemi w Londynie. Najgorętsze lato w życiu chłopca, gorętsze nawet niż w roku 1748, kiedy to przyleciała szarańcza. James leży na brzuchu na zboczu wzgórza, obserwując przygotowania do wesela w sadzie w dole. Małe figurki, ledwie rozpoznawalne, krzątają się, wynosząc różne rzeczy z domu. Nie słyszy, jak obcy podchodzi do niego po miękkiej trawie; nagle jakaś ręka chwyta go za kark i stawia na nogi. Nieznajomy bada go wzrokiem, zwalnia chwyt i mówi: – A to ładny ptaszek! Ukrywasz się, dziecko, czy szpiegujesz? Jesteś miejscowy?

James wykrzywia twarz, masuje kark i kiwa głową.

– A zatem, Robinie Dobroduszk<sup>3</sup>, zatrudniam cię. Gdzie jest farma Dyera?

James wskazuje ręką w dół. Nieznajomy mruży oczy, wachluje się kapeluszem, pluje na pszczołę. Przez chwilę zastanawia się jakby nad sensem schodzenia. W końcu mówi: „Prowadź, chłopcze”, i ruszają, schodząc bokiem ku stadku owiec w cieniu wiązu przy bramie, która wychodzi na drogę. Gdy idą, James ukradkiem przygląda się obcemu mężczyźnie: jego błękitnym oczom, ospowatej skórze, peruce z koziej wełny obsypującej pudrem ramiona surduta. Nieznajomy ma wstążki przy surducie, ale trudno wyobrazić go sobie jako znajomego Joshuy, a tym bardziej Jenny Scurl czy Boba Ketcha. Z pewnością nie

---

<sup>3</sup> Wszystkie cytaty i imiona postaci ze „Snu nocy letniej” w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego (przyp. tłum.).

jest farmerem, nie wygląda też na handlarza, bo nie ma tobołka domokrażcy. Ani na dżentelmena. Najbardziej przypomina Jamesowi aktorów, którzy grali na farmie Moody'ego dwa lata temu i których podglądał przez dziurę w desce, kiedy się przebierali, tańczyli i wrzeszczeli do siebie w mroku zaszczurzonej stodoły Moody'ego.

Wchodząc na drogę, obcy zaczyna mówić głośnie, jakby czuł się niepewnie w tym otoczeniu, ale nie chciał okazać, że ma się na bacności.

– ...wesele, chłopcze, o, to jedna z najwspanialszych rzeczy, jakie można sobie wyobrazić, najcudowniejszych, rzecz jasna, gdy nie jest się spokrewnionym z żadną ze stron. Byłeś już kiedyś na weselu? Może twoich rodziców?

James kręci głową.

– Pogrzeb jest jednak jeszcze lepszy. Człowiek zaopatrzony w porządne ubranie może sobie wygodnie żyć przez całe lata niemal wyłącznie dzięki próżności zmarłych. Kiedyś byłem na jednym w Bath. Pogrzeb nałogowego hazardzisty, który...

Nieznajomy zatrzymuje się na drodze koło ścieżki do farmy. Nachyla się. Przygląda się chłopcu.

– Nie wyglądasz, chłopcze, jakby cię ulepili z błota i słomy na podobieństwo innych mieszkańców tej wioski. Właściwie to kogoś mi przypominasz. Nigdy nie byłeś w więzieniu? Newgate? Fleet? Bridewell? Nie... widocznie mi się zdaje. Powiedz, czy masz w kieszeni jakieś pieniądze? Może pensa?

James kręci głową. Obcy wzrusza ramionami.

– Pusta kieszeń jest tym, co nas łączy. Chodzisz tu do szkoły?

Kiwnięcie głową.

– Umiesz czytać?

Kiwnięcie głową.

– Do licha, chłopcze. Mógłbym sobie przyjemniej pogawędzić z własnym kapeluszem. Nigdy nic nie mówisz?... Aha, stworzenie kręci głową. A czy stworzenie jest zadowolone z tego, że urodziło się niemową?... Nie wie. A gdzie stworzenie mieszka?... Uwaga! Pokazuje... Tutaj? Tutaj! Czy Dyer jest twoim ojcem?

Zanim James zdąży poruszyć głową w odpowiedzi, nieznajomy ujmuje twarz chłopca w dłonie i studiuje ją jak portret. Jego ręce pachną tytoniem. Śmieje się, brzmi to bardziej jak szczekanie niż śmiech, a potem szepcze „A niech... a niech...”

Nieopodal, na drodze, słychać nagle gwar głosów. To powóz weselny, świeżo pomalowany żółtą farbą, wyjeżdża z alei kościelnej, wioząc Jenny Scurl i Boba Ketcha oraz kilkoro weselników, śpiewających, krzyczących i pociągających z butelki.

Obcy przygląda się jeszcze chwilę chłopcu, a potem rusza w stronę sadu, kłapiąc podszwą buta.

James wbiega do domu. Kobiety harują w pocie czoła w kuchni. Idzie na górę niezauważony. Sara, Liza i Charles już dawno się przebrali. Ich codzienne ubrania leżą porozrzucane na łóżkach. Teraz, kiedy dzieci są starsze, pokój przedzielony jest kotarą. James dotyka palcami wełnianych sukienek sióstr i drewnianego grzebienia, w którym pasemka rudozłotych włosów Sary połyskują światłem. Ona jest tą najpiękniejszą w rodzinie. Kocha się w niej pół wioski, jej imię wyrzeźbiono na korze kilkunastu drzew, a chociaż Joshua rozpowiada głośno o swojej rusznicy naładowanej zardzewiałymi gwoździami, ciągle przychodzą mężczyźni i chłopcy, opętani pożądaniem.

Liza też ma adoratorów, ale traktuje ich tak okrutnie, że większość odchodzi w poszukiwaniu łatwiejszych podbojów i czulszych serc. W istocie jej serce jest już zajęte, podzielone na pół między ojca i najmłodszego brata.

James rozbiera się, wkłada parę skórzanych spodenek i lnianą koszulę. Ogląda się uważnie w lustrze. Jest wysoki jak na swój wiek, smukły, o skórze lekko śniadej od słońca. Taki

tajemniczy wygląd, taka cicha, wszystkowiedząca twarz. Są chwile, gdy myśli, że ta twarz do niego przemówi, że powierzy mu tajemnice, niezwykle tajemnice. Patrzy, aż zaczyna mu się kręcić w głowie.

Na schodach słyszy tupot drewnianych obcasów, potem głosy Jenny Scurl i swojej matki, które śmieją się i przekomarzają. Wychodzi na na schody. Twarz Jenny Scurl jest okrągła i biała jak przekrojone jabłko. Sporo już wypła i widok chłopca porusza jakąś czułą strunę w jej sercu. Schyla się i całuje go głośno w policzek. Elizabeth mówi:

– Wyjdź na dwór, Jem.

W sadzie gwar weselnego przyjęcia jest już nienaturalnie głośny. Goście siedzą przy długim stole, nakrytym białym obrusem, częstując się jadłem i napojami Joshuy Dyera. Joshua, wciśnięty w płaszcz, który miał na sobie w dniu swojego ślubu, siedzi obok wdowy Scurl, nitkowatej, nerwowej kobiety w nieforemnym kapeluszu, którego rondo uderza w nos pastora za każdym razem, gdy ona obraca się, żeby coś do niego powiedzieć. Pastor niemal tego nie zauważa. Poci się i opowiada historię, której nikt nie ma ochoty słuchać. Pusta butelka po porto błyszczy za nim w trawie. Obok pastora siedzi wdowa Dyer, gęsta, naburmuszona chmura. U jej boku Bob Ketch i jego siostra Amelda, która patrzy na coś, co nieznamy trzyma w dłoni i kiwa swą rozpaloną, piękną głową, słuchając tego, co on mówi. Pod stołem uwija się czarny pies, o grubym karku, zbierając resztki spod stóp biesiadników.

Zbiory znowu dobrze się zapowiadają. Joshua, upajający się rolą zastępcy zaginionego na morzu ojca Jenny, dopilnował, żeby stół był odpowiednio zastawiony daniami. Widząc Jamesa, woła go do siebie i niezręcznym ruchem sadza sobie na kolanach. Panna młoda chwiejnie trafia na swoje miejsce, z przyklepionym do twarzy uśmiechem od ucha do ucha. Wdowa Scurl szczyrzy zęby, odrywa kawałek białego mięsa z kurczaka i wpycha go chłopcu do ust. On trzyma kęsek na języku, aż do chwili gdy Joshua podnosi nóż, żeby coś ukroić. Wtedy ześlizguje się z kolan farmera, odchodzi chyłkiem za najbliższe drzewa i wypluwa mięso na trawę.

Krąży między rzędami drzew owocowych, zbliżając się coraz bardziej do starej wiśni, najwyższego drzewa w sadzie, zdejmując surdut i okrąża drzewo, aż znajduje sęk na pniu, który może dać oparcie stopie. Wspina się, brudząc przód koszuli mchem, dosięga do najniższej gałęzi. Przerzuca nogi, podciąga się i leży chwilę na gałęzi jak senny kot. Potem siada, odnajduje kolejną gałąź i widzi, jak można się wspinać z jednej gałęzi na drugą, jakby się wchodziło po krętych schodach. Ptaki podkradające wiśnie eksplodują w powietrze niby małe pociski, gdy się do nich zbliża. Od czasu do czasu zatrzymuje się w gorącym cieniu, żeby zjeść trochę owoców, i wypluwa pestki, które odbijają się od niższych gałęzi. Patrząc, jak spadają, dostrzega czarny kształt, poruszający się u podnóża drzewa. Zwierzę zauważa go w tej samej chwili, unosi pyszczek i patrzy na niego w górę z tęsknotą. James podejmuje wspinaczkę, teraz ostrożniej, ponieważ czuje, że gałęzie uginają się pod nim. Zastłona z liści robi się coraz rzadsza, a potem z płataniny cienkich gałązek, jakby się wyklął z jadeitowego jaja, wysuwa głowę w niebo, wdycha wonny wietrzyk i mruży oczy przed słońcem.

Obraca się, ustala położenie. Wzgórze fortowe, farma Moody'ego, wieża kościelna, wrzosowisko. Dalej dookoła, aż dochodzi do białej plamy stołu, gdzie większość gości nadal się posila, choć mała grupka zebrała się wokół Ameldy Ketch, która odpięła chustkę z szyi i wachluje nią Elizabeth. Joshua i pastor stukają się kubkami, wykrzykują torysowskie toasty. Sara i Charles drażnią się z psem, uciekając między drzewa i wracając, a pies wytrwale goni za nimi. Jakiś głos domaga się tańców i staruszek, ten sam, który grał nad rzeką w czasie wielkiego mrozu, pokrzywiony jak korzeń, wydobywa ze swych skrzypek długą wibrującą nutę. Pan młody z panną młodą, chrypiącą w jego ramionach, daje przykład. Wkrótce dołączają do nich inni – krążąc, nurkując, podskakując i wirując – nawet wdowa Scurl, która porusza się po trawie jak mała kanapa o tajemniczym napędzie.

Muzyka ucicha, a tancerze, bez tchu, biją sobie brawo i szykują się do następnego tańca, kiedy Liza, przysłoniwszy oczy, pokazuje coś palcem i krzyczy do Elizabeth, która woła do Joshuy; ten stara się bardzo coś zobaczyć, aż wreszcie widzi i wrzeszczy:

– Złaż stamtąd, James! Gdzie ty masz rozum, chłopie?

James, wyobrażając sobie, że jest niezmiernie wysoko, niezmiernie daleko, nie może uwierzyć, że wskazują na niego, machają, wykonując rękami gwałtowne ruchy w dół, jakby chcieli ubić powietrze. Staje wyżej na rozwidleniu dwóch cienkich gałęzi. Machanie nabiera intensywności. Joshua huczy niczym odległe działo. James wychyla się z drzewa. Krzyki ustają. Nawet ręce zamierają w powietrzu. Czuje, że jeśli zrobi krok przed siebie, nie będzie miał trudności z lataniem. Wyciąga ramiona, wpatrując się w odległe krańce popołudnia. Ciężar jego ciała przesuwa się poza pewną linię, cienką jak włos, a potem James leci, zdumiewająco szybko, w zielone niebo, a potem nic, nic tylko wspomnienie lotu, słabe i zamierające, i metaliczny smak krwi w ustach.

## 9

Jak tam, Jem?

Wszyscy goście stłoczyli się w małym pokoiku obok przedsionka, gdzie wdowa Dyer leżała w czasie choroby. Pokój nadal pachnie nią i lekarstwami, które James przywoził z Madderditch. Amos Gate, wielki jak chmura, pochyla się nad rannym chłopcem, marszczy brwi nad jego nogą. Stopa zwisa bezwładnie niby za luźna skarpetka; można by ją oderwać gołymi rękami. Amos odwraca się i mówi do zebranych:

– Wszyscy, co nie mają tu interesu, lepiej se idźta. Tu nie walka psów.

Odchodzą, oglądając się za siebie, z nieco przerażonymi twarzami, jak to ludzie, którzy zbyt gwałtownie wytrzeźwieli.

Joshua, Elizabeth, Amos i nieznajomy zostają.

– Marley Gummer – mówi nieznajomy – do usług szanownej pani. Mam trochę doświadczenia, jeśli chodzi o zabiegi chirurgiczne.

Amos kładzie rękę na ramieniu Joshuy.

– Wyjdź tera z twojo panio. Poradzę se chibciej i zgrabniej, jak bede tylko z panem Gumly.

– Nazywam się Gummer, proszę pana. Marley Gummer.

Joshua patrzy na żonę. Ona siedzi na brzegu łóżka. Wpatruje się przez kilka sekund w twarz chłopca, potem całuje go w czoło.

– Ale on dzielny – mówi. – Widzisz, jaki dzielny?

Po wyjściu Joshuy i Elizabeth obaj mężczyźni zdejmują surduty, Amos zostaje w swojej jedynej porządnej koszuli, Gummer w wytwornej, choć spłowiałej kamizelce morskiego koloru. Ponad łóżkiem przeprowadzają pośpieszną konsultację. Kilka razy kowal mówi chłopcu, żeby był spokojny. Gummer widzi, że chłopiec jest spokojny, zdumiewająco spokojny.

Amos grubymi palcami bada złamanie. Nastawił już może ze dwadzieścia kości w swoim życiu. Nigdy jeszcze nie widział tak dokładnego złamania jak to. Im dłużej zwleka, tym mniejsza nadzieja na uratowanie nogi. Może już jest za późno.

– Głupia zabawa włożenie na drzewa, nie, Jem?

– No, głupotą jest raczej spadanie niż włożenie – mówi Gummer.

– Jak nie włożysz... Cholera, czułbym się lepiej, żeby trochę popiszczął. Leży tak tylko – to nienormalne.

– Nigdy nic nie mówi?

– Nigdy.

– A jednak wygląda na to, że rozumie. Jamesie Dyer, czy jesteś świadom tego, że złamałeś nogę?

James spogląda na swoją nogę, potem na Gummera. Kiwa głową. Gummer wytrzymuje spojrzenie chłopca, potem patrzy na kowala.

– Lepiej się weźmy do roboty – mówi Gate.

Gummer podnosi rękę.

– Jeszcze chwilkę, proszę pana. Zaczyna mnie to intrygować. James, czy czujesz tam coś? Jakby ogień?

Gummer szybko uderza spuchniętą stopę. Chłopiec ma zamyślony wyraz twarzy, jakby czekał na plusk kamienia wrzuconego do studni. Kręci głową.

Mężczyźni wymieniają spojrzenia. Gummer wstaje szybko z łóżka, szuka gorączkowo po pokoju i bierze ze stolika pod oknem świecę i hubkę z krzesiwem. Zapala świecę i przynosi ją do łóżka.

– Zamknij oczy, chłopcze, i podaj mi rękę.

W jego głosie jest coś dobrotliwego, co po raz pierwszy wzbudza w chłopcu niepokój. Po chwili wahania James zamyka oczy. Czuje, jak Gummer bierze go za rękę, mocny chwyt; potem wrażenie, jakby Gummer łaskotał końce jego palców piórem. Czuje jakiś zapach, przypalonego mięsa. Kowal mówi:

– Dość tego, Gumly.

Gdy James otwiera oczy, widzi na końcach palców czerwoną przydymioną pręgę. Gummer gasi świecę.

– Niezwykle sugestywne, panie Gate, nieprawdaż?

Amos drapie się po szczecinie na szyi.

– Myśli pan, że stracił czucie od upadku?

– Dziwne jest nie to, proszę pana, że on nie czuje bólu, ale to, że nie spodziewa się go odczuć. Co pan na to, proszę pana?

– To nie do wiary.

– Niezupełnie, dzięki Bogu, niezupełnie. Rzeczy naprawdę nie do wiary są bezwartościowe, a nie wątpię, że to sprzedawałoby się lepiej niż kobieta – królik z Godalming – gdyby się tym odpowiednio zająć, rzecz jasna. Musiałby tym pokierować właściwy człowiek...

– Pokierować czym?

– Drogi panie Gate, pan chyba nic nie rozumie. Czy pan nie widzi? Jeśli moje przypuszczenia są prawdziwe, mamy tu do czynienia z osobliwością niezwykle subtelnego rodzaju. Co, chłopcze? Z wybrykiem natury. Prawdziwym *rara avis*. Właściwie z... – ścisza głos – ...z towarem.

Śmieje się, odrzuca głowę do tyłu dziwnym, raptownym ruchem.

– Mój Boże, dzień dzisiejszy obfitował w niespodzianki. Życie, panie Gate. Czy nie uważa pan, że to rozkoszne?

Kowal ma namaszczonego wyraz twarzy. Taki sam przybiera, gdy prostuje podkowy.

– Syn Josha Dyera nie jest na sprzedaż i nigdy nie będzie. Tyle, panie, mogię panu powiedzieć. A tu mamy kość do nastawienia. To się za to weźmy. Trzymaj go pan mocno.

Stojąc w nogach łóżka, Amos ujmuje stopę chłopca. Gummer wrusza ramionami, ściąga perukę, ukazując nierówno przystrzyżonego jeża.

– Jak pan sobie życzy, panie Gate. Chociaż nie sądzę, żebyśmy musieli go specjalnie przytrzymywać.

Unieruchamia dziecko ramionami.

– Ciągnij!

Przez dwa tygodnie James leży na składanym łóżku, obserwując przyprływy i odpływy światła na pobielonych ścianach. Pszczoły, muchy i motyle zaglądnają przez otwarte okno. Nogę ma unieruchomioną między dwoma deskami, które zostały po budowie obory. Z czasem deski obsrały kury, jak wszystko wokół. James odrywa stwardniałą czarno-białą substancję i rzuca nią w różne cele na przeciwległej ścianie. Przez trzy dni ma gorączkę. Potem gorączka obniża się. Upadek jest osi, wokół której on powoli wiruje we wspomnieniach, w snach, w marzeniach na jawie. Dwa razy wieczorami, kiedy zostaje sam ze świecą, powtarza eksperyment Marleya Gummera. Raz robi to w obecności Lizy. Przerazona siostra odrywa jego rękę od płomienia. W ten sposób James zbiera dowody.

Noga goi się z prędkością, która zdumiewa wszystkich, wszystkich oprócz niego. Odwiedza go Viney, bada chłopca przez pół godziny, mówi, że jeszcze niczego podobnego nie widział. Panna Lucket przychodzi z koszykiem truskawek ze swojego ogródka. Elizabeth przynosi mu jedzenie, patrzy, jak on je, obserwuje, jakby chciała go na czymś przyłapać. Pewnego ranka wtacza się wdowa, zanurza palec w jego nocniku, wacha, patrzy na Jamesa spode łba. Gummer nie przychodzi. Chciałby, żeby Gummer przyszedł.

Najczęstszym gościem jest Liza. Przynosi artykuły, które przepisała z miejscowych gazet. Czyta je Jamesowi, siedząc w nogach łóżka i starając się bardzo nadać lekturze ton plotkarski czy sensacyjny, tchnąc nieco życia w wiadomości o losach lordów i okrętów. Znowu wybuchła zaraza bydłca; pewnego kwakra obrabowano pod groźbą użycia broni na łące w St Phillips; stara kobieta, która zostawiła świecę koło firanki, zginęła w płomieniach. Ich wysokości księżę i księżna St Albans przybyli do wód w Bristolu. Zmarł Irlandczyk John Falls, który wsławił się tym, że wypił kiedyś dwie kwarty whisky za jednym posiedzeniem, a potem był w stanie sam wrócić do domu.

Liza czuje, że on słucha, wyglądną na świat zewnętrzny poprzez te skrawki informacji. Gdy nie ma już co czytać, papple, opowiadając mu, kogo widziała w ciągu dnia i kto co komu powiedział. Zadaje bratu pytania i sama na nie odpowiada. Ten styl rozmowy rozwinął się w ciągu lat; tak się rozmawia z Jamesem. Ją to uspokaja, a reszta rodziny już dawno straciła nadzieję, że on zacznie mówić. Więc kiedy pewnego wieczoru Liza siedzi na brzegu łóżka, masując mu nogę – a on jej odpowiada – oglądną się w stronę drzwi, żeby zobaczyć, kto wszedł. Powiedział tylko „tak” czy „nie”, żadne z nich nie pamięta później jego pierwszego słowa, ale to wystarczy. Milczenie Jamesa jak ogromna szklana tafla rozprysło się na drobne kawałeczki. W ciągu minuty wszyscy zbierają się przy łóżku.

– Zadajcie mu pytanie! – zachęca Liza.

Nikt nie wie, o co zapytać.

– Jak tam dziś twoja noga, synku? – pyta Elizabeth.

Przez dłuższą chwilę James nie odpowiada. Potem mówi:

– Chcę teraz spać.

Joshua zdejmuje kapelusz, kręci głową w zadziwieniu. To tak, jakby zdjęto z Jamesa kłatwę. Uśmiecha się szeroko do żony.

– Co będzie dalej? – mówi. – Co będzie dalej, hę?

Wietrzyk wpada przez okno do pokoju. Liza podchodzi do okna, wdycha powietrze.

– Będzie padać – mówi ze łzami w głosie. Zamyka okiennicę i zaciągną zasłonę.

Czwartego wieczoru po weselu Amelda Ketch zauważa na czole czerwoną wysypkę, która następnego ranka pokrywa większą część jej ciała. Wezwany do niej pan Viney stawia ostrożną diagnozę: odra. Sześć godzin później wzywają go ponownie, Silas Ketch wali gorączkowo w jego drzwi. Viney po powtórny m zbadaniu dziewczyny, gdy widzi, że krosty utworzyły duże skupiska, ostrzega ich, by przygotowali się na najgorsze. W drodze



powrotnej zatrzymuje się na wzgórzu i patrzy na spokojny wiejski krajobraz, gdzie śmierć skrada się już po polach. Modli się, nie zsiadając z konia, jedzie do domu i wiedząc, że przez najbliższe tygodnie będzie się ciągle znajdował przy czyimś łóżku, idzie prosto do sypialni i kładzie się spać.

Następnego dnia widzi, że grudki zmieniły się już w wypełnione wodą bąble, które wkrótce zniekształcą twarz dziewczyny do tego stopnia, że nie będzie jej można poznać. Robi, co może, żeby przynieść jej ulgę zarówno w bólu fizycznym, jak i śmiertelnym przerażeniu, które chwyciło ją w swe szpony, ale niewiele może pomóc i wie, że ona to wyczuwa. Każę rodzinie dorzucać do ognia i dawać chorej tyle wody, ile zechce, z odrobiną wina, żeby ją wzmocnić. Najważniejsze, by doglądali jej tylko ci spośród służby i rodziny, którzy sami chorowali już na ospę. Nie mogą Ameldy odwiedzać żadne dzieci. Z jej pokoju należy usunąć wszystkie lustra. Tak, widział gorsze przypadki, z których chorzy wychodzili. Nie wolno tracić nadziei.

Tego wieczoru tworzą się krosty; o północy chora mający i ku przerażeniu i uldze tych, którzy się nią opiekują, umiera dwa dni później, godzinę przed wschodem słońca.

Viney nie był obecny przy jej śmierci. Ma już pięć nowych przypadków, z których trzy to dzieci. To zaledwie zarzewie; może tylko zgadywać, jak szaleć będzie płomień, jak się rozprzestrzeni. Jeździ od jednego zarażonego domu do drugiego, je posiłki w siodle lub stojąc w kuchni, gdzie jakaś zapłakana kobieta kroi mu plaster pieczeni. Gdyby był człowiekiem bez serca, mógłby się bawić tym, jak jego bezsilność skłania ich do pokładania w nim jeszcze większej ufności, jakby samo pojawienie się na horyzoncie sylwetki na końskim grzbiecie wystarczało do odsunięcia katastrofy. Jest bardziej samotny niż kiedykolwiek w swoim życiu.

Pierwsza śmierć. Wiadomość dociera wszędzie w ciągu paru godzin. Elizabeth słyszy ją od żony Dana Millera, Ruth, która słyszała ją od Biddy Bidewell, która słyszała ją od innej kobiety. Dzieci Dyerów siedzą przy stole w kuchni, wszystkie oprócz Jamesa, który nadal leży w małym saloniku. Elizabeth nie mówi im nic, ale twarz ją zdradza. Liza rzuca matce zmartwione, pytające spojrzenie.

– Z kim rozmawiałaś, mammo?

– To tylko Ruth Miller z ploteczkami.

Wie, że bardzo szybko i tak się dowiedzą. Z całej rodziny jedynie Joshua i wdowa chorowali na ospę.

Elizabeth niesie koszyk do mleczarni, napełnia go serem, masłem i śmietaną, żeby zabrać to następnego ranka do Ketchów, a potem idzie na górę do swojego pokoju. Kiedy przychodzi Joshua, oboje siadają na brzegu starego łóżka, trzymając się za ręce, niemi i bladzi, nie słysząc żadnego dźwięku ze świata poza własnymi oddechami.

Dowiedziawszy się o śmierci Ameldy, Sara i Liza płaczą przez godzinę; potem trzeba wypełnić zwykłe obowiązki w mleczarni, nakarmić kury, zacerować koszulę. Nie czują się specjalnie zagrożone; są pełne siły i młodości i chociaż widziały ślady po ospie na twarzach dorosłych, nigdy nie widziały choroby w działaniu. Życie płynie dalej. Dochodzą wieści o kilku przypadkach w Coverton. Podobno ważą się losy jednej ze służących lady Denbeigh. Elizabeth pociesza się, jak może, i wmawia sobie, że choroba nie rozprzestrzeni się tak szybko, jak się obawiali, że nie ma tak wielu przypadków śmiertelnych. Może to choroba łagodniejszego typu, a śmierci Ameldy bardziej winna była słabość organizmu. Poza tym nie zachorował nikt z najbliższych sąsiadów. Najgorzej jest chyba w okolicy Kenn i w stronę morza. Na dzień czy dwa jej czujność słabnie. A wtedy, jakby czekała na tę chwilę nieuwagi, choroba uderza.

Sara skarży się na uporczywy ból głowy. Bolą ją nogi i ręce. Ma gorączkę. Kiedy pojawia się wysypka, Elizabeth z rezygnacją ogranicza się do ratowania tego, co się da. Po Sarze

kolej na Lizę. Potem na Charlesa. Pielęguje ich bez łez i westchnień. Stawia czoło potędze choroby, próbuje odeprzeć atak nieustannym niesieniem miłości. James unika zarażenia. Elizabeth trzyma go z dala od siebie i pozostałych dzieci. Dom dzieli się na obozy. Elizabeth, Sara, Liza i Charles. Joshua, wdowa i James. Z jednego obozu dochodzą dziwne, żałosne krzyki, atmosfera gorączki. Z drugiego napięta i bezsilna cisza.

Elizabeth przenosi swoją pościel do pokoju dzieci i mieszka tam z nimi, podając im łyżeczką wodę z miodem, zmieniając mokre od potu ubrania, mamrocząc modlitwy w drodze od jednego dziecka do drugiego. Czuje dziwny spokój, tak jak owej nocy na zamarznętej rzece, ale tym razem lód jest cienki i popękany, a głosy jej dzieci, sączące się przez spuchnięte błony ich ust, są dźwiękiem ciemnej rzeki, toczącej dołem swój zimny nurt.

Joshua, zakładając, że później nie pójdzie do Jamesa, odwiedza pokój chorych, krążąc nad łózkami dzieci jak planeta pozbawiona wpływu, dotyka ich z rozpaczliwą czułością. Widok Sary, której uroda napełniała go tak wielką, niewysłowioną dumą, jest dla niego największym ciosem. Choroba zmieniła jej twarz w maskę sinych pęcherzy; kiedy córka umiera, jest niemal zadowolony, choć w godzinie jej śmierci czuje, jak spowija go chmura szaleństwa. Przyjeżdża Viney, pomaga ubrać zwłoki i okryć je całunem. Widzi determinację Elizabeth, twardą i zahartowaną. Wie, że ona przetrwa, przynajmniej do końca burzy. Namawia Joshuę, żeby zajął się pracą, opowiada mu o innych rodzinach, również pogrążonych w żałobie. Joshua niemal go nie słyszy.

Wychodząc, Viney rozmawia ze swoim dawnym pomocnikiem przez zamknięte drzwi salonu.

– Twoja siostra Sara jest już z Panem Bogiem, Jem, ale twoja matka to świetna pielęgniarka. Mam wielką nadzieję, że pozostali wyzdrowieją.

Głos chłopca dociera przytłumiony przez drewniane drzwi:

– Czy ja też umrę?

Pytanie jest spokojne, bez cienia rozpacz.

– Wszyscy musimy kiedyś umrzeć, Jem.

– Ale czy umrę teraz? Jak Sara?

– Myślę że nie, dziecko.

– Ja też – mówi głos.

Fura, na kołach owiniętych workami dla stłumienia hałasu, przyjeżdża następnego ranka. Joshua idzie, żeby pożegnać córkę. Elizabeth zostaje z Lizą i Charliem. Dzieci są w malignie, ich głosy snują się i drżą w powietrzu. Charlie umiera dzień po pogrzebie swojej siostry. W ostatnim geście sięga rękami w górę, jakby chciał zerwać jabłko. Liza leży, jedną ręką trzymając matkę, drugą śmierć. Nikt nie nakręcił zegara w korytarzu. Wskazówki stoją na wpół do czwartej. Nikt nie napalił w kuchni. Nawet koty odeszły.

James staje się ekspertem w odczytywaniu dźwięków, rozpoznaje stłumione głosy grabarza Pegga, Vineya i proboszcza. Czasem przychodzi sąsiad, gdy dobroć wygra z ostrożnością. Często chłopiec słyszy Joshuę, świst w jego oddechu, nagłe gromkie przekleństwa. Wdowa Dyer przynosi Jamesowi jedzenie, prosta, zimna dieta, ale chłopiec zjada wszystko z wielkim apetytem, wylizuje talerz do czysta.

Spodziewa się, że Liza odejdzie tak jak pozostali, ale pęcherze na jej twarzy wysychają i zablizniają się. Elizabeth przytrzymuje ją za rękę, żeby nie zdierała strupów. Rankiem dwunastego dnia Liza siada w łóżku i słabym głosem woła matkę. Elizabeth, która składa ubrania Sary, zauważa niewidzące spojrzenie dziewczynki, wodniste oczy, podchodzi do niej, obejmuje ją, przetacza resztki swych sił w jej ciało. Jedno życie zostało ocalone, niezmiernie zwycięstwo, i z czymś na kształt obojętności Elizabeth zauważa czerwone plamy na swoich własnych rękach.

Kitty Gate jest ostatnią, którą dopada choroba; chłopiec nazwiskiem Slight – ostatnim, którego zabiera. Wieśniacy chowają swoich zmarłych, a cmentarz lśni świeżo rozkopaną ziemią. Kamieniarz ma nowego czeladnika. Niektórzy znajdują pociechę w kościele, inni w butelce. Viney wprowadza wreszcie konia do stajni, śpi za dnia, a przesiaduje w nocy, pijąc brandy i mamrocząc do tych, którzy przebiegli obok niego do wieczności, przebiegli jak dzieci w zabawie w wilka i owce, z tupotem stóp, łatwo wymykając się jego niezręcznym rękom.

Wielu, głównie młodych, nosi na twarzach świeże ślady choroby. Mijając się w wiosce, kiwają sobie ostrożnie głowami i rozglądają się wokół siebie, jakby w poszukiwaniu swego dawnego życia. W końcu jednak jego rytm powraca. Pierwszy śmiech, pierwsze niepomne dzieci, kręcące baki na chodniku; pierwsi kochankowie spacerujący po tych samych ścieżkach, po których chodzili ich rodzice i dziadkowie. Owoc dojrzał i trzeba go zbierać. Tej jesieni mniej rąk do pracy, mniej sprawnych dłoni. Ten niedostatek paraliżuje pozostałych, są zbyt zmęczeni, by myśleć, zbyt znużeni, by rozpaczać. Jabłka są po siedem szylingów i sześć pensów za buszel; zima nie będzie czekać, aż oni przestaną płakać. I tak czas, zwykły ciężar dni, wprawia ich w ruch jak woda koło młyńskie.

Farmer Dyer, jego ślepa córka i kulawy syn są przedmiotem litości. Wśród arystokracji cierpienia farmer Dyer jest lordem. Nie najmożniejszym, ale wystarczająco znamienitym, by go unikać, by mówić o nim uroczystym głosem. Wygląda na to, że traci zmysły, dziczeje. Pani Kelly, spotykając panią Coles na drodze do Madderditch, wyraża przypuszczenie, że przed Wielkanocą Dyer będzie na utrzymaniu parafii. Ta druga, kręcąc głową, odpowiada, że Josh Dyer będzie już wtedy dziesięć stóp pod ziemią i że nie wróży to dobrze dzieciom i starej matce. Kto ich teraz weźmie, choćby na służbę? To słowo wisi w powietrzu, niewypowiedziane. Przytułek.

Podwórze – dawniej czyste i zdrowe serce farmy – staje się teraz zaśmiecone, zarośnięte, bezużyteczne. Świnia sprzedana, podobnie jak owce, w sadzie rośnie wysoka trawa. Zajeżdża Christian Vogue, zarządca Denbeighów, i rozmawia z Joshua, nie zsiadając z konia. Kiedy Liza pyta, czego chciał Vogue, Joshua nie odpowiada, patrzy na nią, wstydząc się mówić. Jamesa przestał zauważać.

Gdy się upije, woła Lizę, żeby mu śpiewała kołysanki. W te noce, gdy nie znajduje pociechy w jej głosie, wytacza się na podwórze i wygłasza tyrady do nieba, póki zmęczenie nie zagna go z powrotem do domu.

W Nowy Rok Joshua wchodzi do salonu, gdzie James sypia od czasu swego upadku. Budzi chłopca, trzęsąc nim i wyciągając go z łóżka. Mówi:

– Widziałem ją! W oborze! Ona jest teraz aniołem, Charlie.

Liza w płaszczu na ramionach stoi przy drzwiach na podwórze. Chwyta brata za ramię. Cała trójka przechodzi przez zamrażnięte podwórko, w dłoni Joshuy kołysze się lampa. Wchodzą do obory. Na ścianach wiszą narzędzia i pachnące workowe płótno, ziarno chrzęści pod ich stopami. Joshua podnosi lampę.

– Tam!

– Co to jest, Jem? – pyta Liza.

Szarpie go za rękę. James wpatruje się w miejsce, gdzie światło lampy ledwo rozprasza ciemność odległego końca obory. Coś tam się rusza, białe i lekko połyskujące. Dopiero po kilku sekundach chłopiec rozpoznaje miękkie S szyi, drobną głowę, w której błyszczą oko jak diament.

– To łabędź – mówi James.

– Łabędź? Tato, Jem mówi, że to łabędź.

– Chwała Panu – mówi farmer. – Ona wróciła.

Ptaka pozostaje przez kilka dni, a potem, niepokojony częstymi wizytami Joshuy, znika tak nagle, jak się pojawił. Joshua nie wygląda na zmartwionego jego odejściem. Przemiana, jaka w nim zaszła, niezwykle odwrócenie upadku, wywołane pojawieniem się ptaka, trwa. Joshua nie pije, goli twarz i nosi niedzielne ubranie. Najczęściej jest sam w swoim pokoju, pogrążony w modlitwie lub medytacji. Farmą się nie interesuje. Jego myśli unoszą się ku wyższym sprawom, a gdy Liza droczy się z nim delikatnie, uśmiecha się do niej i głaszcze ją po twarzy, mówiąc:

– Niedługo, dziewczyno. Już niedługo.

James wie, że niedługo znaczy nigdy. Jest zaciekawiony, trochę zniecierpliwiony, chciałby przekonać się, jak się to wszystko skończy. Podejrzewa, że Joshua pewnego dnia zniknie, odchodząc bez uprzedzenia, bez żadnej wskazówki, dokąd poszedł.

Panuje wiosenna odwilż, gdy wreszcie nadchodzi ten dzień. Fiołki rosną w przydrożnych rowach i pierwsze żółte motyle latają nad żywopłotami. Joshuy nie widziano od poprzedniego wieczora. Gdy zapada zmrok, Liza, ochrypnięta od nawoływania, posyła Jamesa, żeby sprowadził Toma Purely'ego. Tom wraca z Jamesem. Wdowa lamentuje w milczeniu, ma już czerwone oczy. Tom bierze lampę i wyrusza na obchód farmy. James idzie z nim, ale Tom nie traktuje go tak przyjaźnie, jak w dawnych czasach. Nie jest jedynym, który myśli, że chłopiec jest w jakiś sposób źródłem nieszczęść rodziny.

Nie muszą długo szukać. Joshua jest w oborze, w głębi, tam gdzie nadal leżą pióra łabędzia. Z początku go nie widzą, ale światło odbija się od gwoździ w jego butach. Leży na brzuchu, w swym ciemnym garniturze, ściskając mocno nóż w prawej dłoni. Jest krew, czarna kałuża, która okala jego głowę. Tom podchodzi trochę bliżej; światło drży w jego dłoni. Wyciąga rękę w dół, chwytając Joshuę za ramię i powoli odwraca go na plecy.

Ponad rozciętym gardłem usta zdają się jeszcze uśmiechać, a otwarte oczy wpatrują się w górę, tak jakby w chwili agonii Joshua Dyer zobaczył coś cudownego, unoszącego się nad nim w powietrzu. Tom z krzykiem wybiega z obory. James zostaje przez chwilę w ciemnościach, trąca zwłoki stopą, jakby się chciał upewnić, że farmer odszedł, potem odwraca się, wychodzi po omacku na podwórko, przystaje, rzuca ostatnie spojrzenie na oświetlone gwiazdami śmietnisko, wreszcie idzie do swojego pokoju po zimowy płaszcz zmarłego brata, Charliego.

Świt zastaje go maszerującego dziarsko drogą do Bristolu, z paczką pod pachą. W Blind Yeo, w martwym domu, dziewczynka woła raz po raz jego imię. Nikt nie przychodzi.

## Część czwarta

Ból, przyjaciele, pochodzi od diabła. To jego dotknięcie, jego pieszczota. Jego trujący uścisk! Któż z tu obecnych nie słyszał człowieka w agonii krzyczącego i przeklinającego swego Boga... Lub kobiety w położu chłuszczącej uszy nienarodzonego dziecka jękami i wrzaskami... Kochająca matka przemienia się w wilkołaka. Dziecko z bólu porzuca swą modlitwę, dobry człowiek swoją dobroć. To piekło na ziemi! Rzuca nas w płomienie jeszcze za życia... A lekarze! Wiemy, co potrafią! Wiemy, że ich posługi mogą podwoić nasze cierpienia... potem okradają nas, kiedy jesteśmy zbyt słabi, zbyt ogłupiali, żeby wyrzucić ich na zbity pysk z naszego domu. Śmierć jest słodkim wybawieniem. Przypomnijcie sobie teraz, bardzo was proszę, o swoim największym cierpieniu, o dniu, o nocy, kiedy dopadł was wściekły ból zęba czy wnętrzości, głowy czy nogi... oparzenie, upadek z konia lub jedna z tysięcy zjadliwych chorób, które rozrywają nas od wewnątrz. Przypomnijcie sobie, jak chętnie każdy z was, w męczarniach, zamieniłby się z największym nędzarzem królestwa, byle tylko doznać minuty, nie, pół minuty ulgi.

Tak, posłuchajcie, co wam powiem: przyjdzie do was znowu, i to gorszy niż poznaliście dotąd, dziesięć razy gorszy. Jesteście świecami; wasze cierpienie płomieniem. Ono się wami żywi! Czegóż zatem nie dałby człowiek za to, żeby mieć pod ręką jakiś niedrogi lek, który sam mógłby sobie podać? Pomyślcie o tym, przyjaciele. Pomyślcie, czego byście nie dali za takie dobrodziejstwo... – Gummer robi pauzę, żeby słowa wywarły odpowiedni skutek. Jest dziś przy głosie, a słucha go spory tłumek, może nawet z pięćdziesiąt osób, stłoczonych w zaduchu stęchlizny, trawy i alkoholu. W powietrzu unosi się dźwięk pieniędzy, bardzo słaby, ale wyraźnie słyszalny dla Gummera.

James, znający tę przemowę na pamięć, wierci się, żeby się lepiej przyjrzeć ludziom, dla których będzie wkrótce występował. Farmerzy w ciepłych wełnianych ubraniach, parujący jak bydło w oborze; czeladnicy w barchanie, głodni jakiegokolwiek rozrywki, czegoś, co można by zatrzymać w pamięci i przeżuwać później podczas nudnej pracy. Przekupki w lnianych czepkach i sukniach, niektóre popękanymi dłońmi trzymają za ręce miejscowych elegantów w skórzanych kamizelkach. Co najmniej dwie twarze rozpoznaje z poprzednich jarmarków – zawodowi kuglarze. Jeden chodzi po linie, drugi sprzedaje amulety chroniące przed ranami postrzałowymi, tryprem lub bólem zęba. Oni go oczywiście też rozpoznają, ale nie będzie z tego powodu kłopotów. Kuglarze mają swój nieoficjalny cech. Dobra nowa sztuczka jest bardziej korzyścią niż zagrożeniem. Więcej ciekawskich, większe podniecenie. Sakiewki same się rozchylają.

Kobieta stojąca obok Jamesa daje mu ukradkiem sójkę w bok. Znaczy to: „Stój spokojnie. Nie zwracaj na siebie uwagi”. Kobieta nazywa się Grace Boylan; była prostytutka, nadal dostępna dla tych, którzy preferują większy, macierzyński typ dziwki. Gummer mówi, że ona ma dobrą twarz, to znaczy taką, która w najmniejszym stopniu nie zdradza jej charakteru. Nie odgrywa też swej roli przesadnie, jak ladacznica, którą najęli w Devizes i która machała rękami i lamentowała niczym wioskowa Tysbe. Tłum się z niej śmiał i wszystko szło w niebezpiecznym kierunku. Grace potrafi się zachować; jest wiarygodna. A co najważniejsze, dziwnie trudno ją zapamiętać.

Gummer wyciąga chusteczkę z rękawa i ociera czoło. Jest ubrany w porządny czarny surdut; trochę przypomina pastora, trochę lekarza. Pot jest jak najbardziej prawdziwy; tak jak żar i oddech stuokiego stworzenia o tępych, wlepionych w niego wzroku. Oszustwo to coś bardzo fizycznego; trudny, ale stylowy sektor rynku. Coś, z czego można być dumnym, i Gummer jest dumny. Jego jedyną ambicją, od czasów dzieciństwa spędzonego w jakiejś podłej dzielnicy któregoś z angielskich miast, było stać się Marleyem Gummerem; i dzięki

nieustającym wysiłkom, dzięki oku nieomylnie wychwytyjącemu cudze słabości osiągnął to. W duchu spaceruje po polach wyścielanych złotogłowiem. Tylko z rzadka, w skacowane, ciemne, niełaskawe dni ogląda się przez ramię na młode wilki sunące za nim, ogląda się i drży.

– Przyjaciele! Jestem chrześcijaninem i dżentelmenem. Jako taki przychodzę dziś między was. Nie szukam osobistych korzyści – czeka na szydercze okrzyki; dobiega go kilka głosów; zamyka oczy jak ktoś, kto od dawna przywykł do takiej niesprawiedliwości – nie szukam osobistych korzyści, ponad to, co umożliwi mi kontynuowanie mojej krucjaty. Jeśli bowiem ból pochodzi od diabła, to walcząc z bólem, walczymy u boku aniołów!

Za Gummerem stoi skrzynia okuta żelazem. Mężczyzna otwiera ją i wyjmuje butelkę ciemnobrązowego płynu. Przez resztę występu przyciska ją obiema dłońmi do serca.

– Byłem za młodu zaręczony z dziewczyną niewypowiedzianej słodyczy. Dziewczyną tak piękną i cnotliwą...

Jakiś głos woła:

– Albo jedno albo drugie. Razem nie da rady!

– ...tak cnotliwą chrześcijanką, że podobnej już nigdy nie spotkam. Nie na tym świecie. Była moją narzeczoną przez jeden krótki rok, potem uległa chorobie, która zdumiała najbardziej uczone umysły. Widok jej cierpień – tłumi szloch; słyhać okrzyki współczucia ze strony niektórych kobiet – doprowadził mnie na krawędź szaleństwa. Modliłem się, żebym mógł zająć jej miejsce, żebym mógł umrzeć, by ona żyła. Tak się nie stało.

Jego oczy napełniają się łzami; dorodna kropla spływa po policzku. Przez chwilę wydaje się, że Gummer nie jest w stanie mówić dalej. Wzdycha.

– Czemu, pytałem, ja zostałem oszczędzony? Po co? Nie było dla mnie szczęścia na tym świecie bez mojej narzeczonej. A potem objawiło mi się we śnie, że ja, Marley Gummer, zostałem wybrany na instrument, za pomocą którego zmniejszy się ciężar ludzkiego cierpienia. Ciężkie zadanie! Szukałem przez wiele lat pośród mądrości starożytnego świata. Pochłaniałem całe biblioteki. Studiowałem Galena. Korespondowałem z wielkim Boerhaavem. Wszystko na próżno. Byłem już, wyznaję, bliski zaprzestania moich poszukiwań, kiedy w wielkiej Bibliotece Aleksandryjskiej tamtejszy uczonec, człowiek pradawnego rodzaju, przyniósł mi tom pokryty kurzem wieków i powiedział...

– W jakim języku rozmawialiście?

Krzykacz ma niepokojąco kulturalny głos. Przez twarz Gummera prześlizguje się cień zakłopotania, zdradzający chwilową utratę kontenansu. Nie może dojrzeć, kto wołał. Rzuca odpowiedź w kierunku całego tłumu:

– On mówił, szanowny panie, we własnym języku, a ja w swoim. Każdy z nas miał w głębie jeden język. „Ta księga – rzekł ów starożytnik – jest właśnie tym, czego poszukujesz”. Otworzyłem tom i zacząłem czytać, tak, i czytałem jeszcze, kiedy zapał kur i słońce wspięło się na niebo. Ta książka, przyjaciele, została napisana przez tego samego doktora, który wyleczył łuczniczkę Filokteta ukąszonego przez węża...

– Czy to leczy brodawki?

– Ile to kosztuje?

– Cierpliwości, cierpliwości... na owych stronach odkryłem przepis na miksturę, którą, z pewnymi modyfikacjami, aby dostosować ją do wymagań chrześcijańskiego świata, przedstawiam wam dzisiaj.

Gummer unosi butelkę wysoko niczym kielich z komunią.

– Nie chciałbym jednak, byście wierzyli mi na słowo. Co więcej, zabraniam wam kupić choćby jedną buteleczkę, dopóki skuteczność lekarstwa nie zostanie udowodniona ponad wszelką wątpliwość.

– Jak chcesz to zrobić?

Grace znowu szturcha Jamesa pod żebro. Tym razem znaczy to: „Przygotuj się”

– Zamierzam na waszych oczach, tu, na tym podium – (tuzin skrzynek po herbacie przykrytych ubłoconym płótnem) – zademonstrować w sposób jak najoczywistszy cudowną siłę tego napoju. Nie noszę ze sobą żadnych zaświadczeń, choć mógłbym nimi wyłożyć drogę stąd do Szkocji, gdybym zechciał. Wolę odwołać się do świadectwa waszych własnych oczu. Tomasz nie był w końcu mniej święty przez to, że chciał dotknąć ran naszego Zbawiciela.

– Pan bluźni, proszę pana! – Znowu ten sam głos.

Gummer mówi:

– O tym piszą ewangelie, przyjacielu, gdybyś zechciał je przeczytać.

Stawia butelkę na małym stoliku, na którym stoi także ogarek świecy i coś, co błyszczy w słońcu: narzędzie.

– W poszukiwaniu *verum* – jego głos huczy – trzeba będzie oczywiście zadać ból, zanim będę mógł go uśmierzyć. Cierpienie nie będzie długie, ale im ostrzejsze kły, tym słodsza potem ulga. Kto z obecnych zechce wystąpić? Kto poświęci odrobinę krwi dla dobra bliźnich? Ryzyko, zapewniam was, jest znikome.

Podnosi narzędzie. Jest to stalowa szpila, najwyraźniej dobrze naostrzona.

– Niech ktoś podejdzie... – Wskazuje na najmniej prawdopodobnych ochotników w tłumie, zbiera ich odmowy, ich pośpieszne: „Nie ja, na Boga”. Jego wzrok zatrzymuje się na Jamesie, potem na Grace.

– Szanowna pani, czy pani jest matką tego dorodnego chłopca?

– Tak, proszę pana. Wychowuję go sama, odkąd jego ojciec zginął we francuskich wojnach.

Pomruk aprobaty i zainteresowania. Gummer mówi:

– Oddał życie za kraj. Szlachetne. A czy chłopiec, proszę pani, mógłby przelać kroplę bohaterskiej krwi ojca za coś większego niż narody? To znaczy, proszę pani, za prawdę?

– Mój Billy? Nigdy! Przecie on ma skórę jak jedwab. Wystarczy, że zadrapie sobie kolano, i już robi się biały jak ściana.

– Wrażliwe dziecko?

– O tak, bardzo, za przeproszeniem szanownego pana.

– Czy nie widzi pani zatem, że jest to właśnie osoba, jakiej mi potrzeba? Jeśli pani pozwoli mi się nim zająć – parę okrzyków: „Pozwól mu!” – będzie to, przyrzekam pani, powód do największej dumy, że pani Billy przyniósł światelko zrozumienia, iskierkę nadziei, balsam ukojenia tym – szeroki ruch ręką – dobrym ludziom. No, proszę pani, cierpienie potrwa tylko chwilkę. Jak mrugnięcie okiem. Na pamięć jego ojca.

– Pozwól mi, mamó – odzywa się James. – Chcę być odważny jak mój ojciec.

Doświadczenie nauczyło Gummera, że w tych sprawach wszystko musi być dopowiedziane do końca. Wyciąga ramiona ponad głowami tłumu z egzaltacją metodysty.

– Przekażcie chłopca! Przekażcie go mnie.

Ręce tłumu podają chłopca do przodu. Miejscowy rzeźnik, z krwią zaschniętą na czarno za paznokciami, stawia chłopca na podwyższeniu.

– Dobrze – mówi Gummer – dobrze. To wielki dzień dla ciebie, Billy. Wielki dzień.

James patrzy na tłum. Nigdy nie odczuwał choćby chwilowej tremy. Gummer trzyma rękę na jego ramieniu. James spogląda w dół, na głupawo rozwarte usta. Pod ścianą namiotu, niedaleko wyjścia, dostrzega dużą perukę, pół twarzy, inteligentne oko, kołnierzyk, ubranie z porządnej tkaniny. Przez moment oko zatrzymuje jego wzrok, bada go, potem Gummer odwraca Jamesa i przedstawienie się zaczyna.

Gummer zaprasza rzeźnika na scenę, żeby przytrzymał chłopca. Rzeźnik uśmiecha się zadowolony, trochę zażenowany. Gummer wymachuje stalową szpilą, żeby gapie mogli ją dobrze obejrzeć. Prosi rzeźnika, żeby dotknął ostrego końca. Rzeźnik stuka w ostrze palcem. Pojawia się kropla krwi. Rzeźnik marszczy brwi, przyglądając się swemu palcu, potem



uśmiecha się znowu i podnosi palec, pokazując go ludziom. Gummer chwytając Jamesa za palce i odwraca jego rękę wnętrzem dłoni do góry. Przez kilka sekund, jakby walcząc ze skrupułami, trzyma szpilę ponad napiętą skórą chłopca. Potem nakłuwa dłoń, ostrze szpilki robi małą płytką ranę. James wrzeszczy i pada zemdłony w ramiona rzeźnika. Zebrani wybuchają podnieconym gwarem. Gummer macha ręką, żeby ich uciszyć. Odkłada szpilę na stół i zapala świecę. Podsuwa chłopcu pod nos sole trzeźwiące. Chłopiec odzyskuje przytomność. Rzeźnik klepie go po ramieniu jak zmartwiony wujek, a potem na prośbę Gummera przytrzymuje chłopca ramionami. Tym razem Gummer chwytając chłopca za przegub i szybko przesuwając płomień świecy po delikatnej skórze. James wije się w uścisku rzeźnika, wrzeszczy, wyje, błaga; śmieje się. Znowu mdleje; znowu jest cucony. Świeca wraca na stół.

Teraz odkorkowana zostaje butelka z lekarstwem i podniesiona do ust chłopca. James łyka jak najmniej płynu. Zna jego smak aż za dobrze – ocet, laudanum, miód. Butelka zostaje zakorkowana. Tłum chłonie każdą chwilę widowiska. Po kilku zaledwie sekundach chłopcu zaczynają jakby wracać siły. Wstaje pełen energii. Zdumiewające, jak mało okazuje lęku. Gummer ponownie bierze szpilę. Rzeźnik zamierza znowu przytrzymać chłopca, ale Gummer kręci głową. Znowu ostrze szpili zawisa nad dłonią chłopca, a potem powoli, powoli Gummer przebija ciało, aż pół cala stali pojawia się po drugiej stronie dłoni Jamesa. Rzeźnikowi opada szczęka. To jest chwila, którą Gummer uwielbia. Nie ma teraz w całym namiocie ani jednego umysłu, nad którym nie sprawowałby kontroli. Wyciąga szpilę, wyciera ją w białe płótno i podnosi płótno do góry jak prześcieradło po nocy poślubnej. Chwytając świecę i przypala ciało chłopca. Chłopiec nawet nie wydaje westchnienia.

Jeszcze zanim Gummer zdąży zgasić płomień świecy, pierwsze głosy zaczynają domagać się leku. James zeskakuje z podwyższenia i wraca do Grace Boylan. Niektórzy z zebranych dotykają go jakby na szczęście. Gummer zabiera się do interesów, załatwiając kilku klientów naraz – pieniądze od tego, reszta dla tamtego, zamówienie od trzeciego, uśmiech zachęty dla czwartego. Trwa to godzinę. Ludzie, którzy nie widzieli pokazu, ale widzą nieustanny strumień wychodzących z namiotu z butelkami w dłoniach, wchodzą, żeby też kupić lek. Coś, co cieszy się takim wzięciem, musi być dobre. Przy ostatnich dwudziestu butelkach Gummer podwaja cenę. To ryzykowne posunięcie, ale nikt nie narzeka. Ostatnią butelkę kupuje dzentelmen o zielonych oczach. James i Grace opuścili jarmark. Siedzą pod drzewem, jedząc chleb i zimny bekon. Nie należy się za dużo pokazywać. Po zmroku wracają do namiotu. Poły wejścia są zasznurowane, został tylko mały otwór na dole, przez który na łokciach i kolanach James i kobieta wczołgują się do wypełnionego ciszą namiotu. Służący Adam Later śpi pod workiem. Gummer siedzi na skrzynkach. Po jego prawej stronie płonie świeca, rzucając niewyraźne cienie na płótno. Obok świecy leży ozdobny pistolet o długiej lufie, z odwiedzionym kurkiem.

– Aa! – Uśmiecha się do nich promiennie, trochę już pijany. – Podrzutek i dziwka! Chodź tu, chłopcze. Odbierz swą nagrodę.

James podchodzi. Uderzenie przewraca go na zdeptaną trawę.

– Niech ci to przypomni, że masz zachowywać swoje uśmiechy dla siebie – mówi Gummer. – Śmiech, na Boga! Mieliśmy dość kłopotów, żeby cię nauczyć wrzeszczeć.

James wstaje, strzepuje trawę z kurtki. Gummer kręci głową.

– Niestety, bicie go nie ma właściwie sensu. Cóż za cud natury! Jakie niebezpieczne dziecko. Chodź, nie uderzę cię więcej.

Kładzie rękę na ramieniu chłopca. Przez kilka sekund wpatrują się sobie w oczy.

– Śpij – mówi Gummer. – Pani Boylan i ja skończymy butelkę.

Wyjmuje zegarek z kieszeni.

– Wy dwoje wyruszacie dwie godziny przed świtem. Spotykamy się w Lavington.

– Ale najpierw się rozliczymy – mówi Grace.

Gummer kiwa głową.

- Będziesz miała złoto, droga Grace. Złoto i srebro.
- A ja? – James stoi tuż za pierwszym kręgiem światła świecy.
- Ten chłopak mnie przeraża – mówi Grace, sięgając po butelkę. Gummer wzrusza ramionami.
- Nie musisz go kochać. W końcu on nie potrafiłby okazać ci więcej miłości niż ten przedmiot.
- Stuka dłonią w lufę pistoletu.
- Tak – mówi Grace. – Nie daj Boże, żeby dożył wieku męskiego.

## 2

James leży przez godzinę pod swym płaszczem, słuchając szumu ich głosów. Jakieś postaci przechodzą koło namiotu, niektóre śpiewają urywki piosenek pijackimi głosami, niektóre się kłócą; jakiś pies zaczyna ujadać. Jak znajome stały mu się te dźwięki ludzkiego lasu! Z początku nie dawały mu spać, nasłuchiwał, oceniając każdy krzyk. Był czujny i choć nigdy się nie bał, utrzymywał stałą gotowość do ucieczki. Nie przyszło mu do głowy, że Gummer mógłby go obronić.

Znalazł Gummera w Bristolu, w domu przy Denmark Street, tuż koło krzątania portu. Nie było trudno go znaleźć; wystarczyło pytać tych, którzy wyglądem najbardziej go przypominali. I tak tropem szulerów, kuglarzy, szalbierzy i alfonsów dotarł do drzwi jego domu. Wpuściła go kobieta w średnim wieku i przekazała młodszej, która zaprowadziła Jamesa do pustego pokoju z ubraniami porozrzucanymi na łóżku i na podłodze, stołem z resztkami jedzenia, z kieliszkiem o utraconej nóżce. Gummer klęczał pod ścianą, jakby pogrążony w modlitwie. Odwrócił się na dźwięk otwieranych drzwi. Nie wydawał się zaskoczony widokiem chłopca. Spojrzał na niego, potem znów na ścianę, a potem kiwnął na chłopca, żeby się zbliżył. W ścianie była dziurka po małym sęku. Gummer odsunął się na bok. James przyłożył oko do dziury, poczuł chłodny powiew powietrza. Pokój, do którego zaglądał, był większy niż izba Gummera, na ścianach wisały obrazy, stało tam też łóżko z baldachimem, pod łóżkiem obok nocnika siedział kot. Na podłodze stary mężczyzna, nagi, na kolanach i na rękach, ujeżdżany był przez kobietę, która biła go po sflaczałym tyłku szpicrutą i kazała się wozic po całym pokoju, choć mężczyzna ledwo łapał powietrze, a pot spływał mu po nogach. Gdy go uderzała, jego twarz rozjaśniała się w zachwycie. Kobieta spojrzała ku dziurze w ścianie, wywaliła język i uśmiechnęła się szeroko.

- Obrazy ludzkich przyjemności – szepnęła Gummer.

Przez pierwsze tygodnie nowego sojuszu James towarzyszył Gummerowi w wędrówkach po mieście: obchodach tawern, burdeli, szulerni, jarmarcznych namiotów. Mężczyźni przyglądali się chłopcu bystrze, taksując go tak, jak szacowaliby cudzego konia, cudze szczęście. Kobiety, znęcone jego ładną buzią, zbliżały się do niego z ostrożną, znużoną serdecznością.

Pod koniec czerwca, gdy siedzieli w pokoju na Denmark Street, słońce rozpościerało się jak pomarańczowa flaga na czarnych deskach podłogi, a mucha obijała się o podzielone na romby szyby, Gummer zasugerował, w jaki sposób zarobi – nie, oni obaj zarobią pieniądze. Zdążył już, nawet kilkakrotnie, upewnić się, że to, co widział w saloniku w Blind Yeo, nie było przypadkiem. Szpilki, świece i klapsy nie wywoływały większej reakcji, niż gdyby torturował stół. Żeby się pozbyć wszelkich wątpliwości, pożyczył narzędzie od murarza i wyrwał Jamesowi ząb. Efekt był tak przekonujący, tak przytłaczający, że pochylił się i uściskał chłopca, brudząc sobie koszulę jego krwią. Chłopiec nie wiedział, co to cierpienie! Chłopiec nie cierpiał nigdy w całym swoim życiu! Co więcej, każda rana, jaką mu zadano, goiła się w takim tempie, że można było niemal siedzieć i patrzeć, jak się zabliznia, łączy,

blednie, znika. Oparzenie stawało się całkiem niewidoczne po trzech dniach i choć ręce dziecka przekłuto kilkanaście razy, skóra była gładka, bez skazy.

Plan był prosty. Jeśli zrealizują go odważnie, zarobią więcej w jedno lato, niż Gummer zdołał zarobić w ciągu dziesięciu pracowitych lat szwindli i szulerstwa. Naturalnie musi towarzyszyć temu pewne ryzyko. Ludzie nie bardzo lubią, jak się ich oszukuje, robi z nich durniów. Największym niebezpieczeństwem było to, że James mógłby zostać rozpoznany. Aby tego uniknąć, będą brać udział w jarmarkach oddalonych od siebie i szybko przemieszczać się z jednej części kraju do drugiej. Najważniejsze, żeby chłopak był przekonujący. Musi się nauczyć udawać cierpienie, musi je studiować, poznać jego efekty. Powinien uczyć się go jak obcego języka, a do tego powinien mieć nauczyciela.

Gummer miał na myśli pewnego człowieka; wytropił go w knajpie koło Christmas Steps, gdzie pośród nachylonych pleców, nieczułego gwaru, parnego smrodu Kato Leigh, wykolejony aktor, z nogami obrzękłymi od puchliny wodnej, twarzą jak tuzin twarzy, z których każda czerwoną maską nakrywała pozostałe, przeżywał zwykłe inferno swoich nocy.

Deklamował za szklaneczkę wersy z „Fausta”, gdy zobaczył kątem jednego dużego oka, przez soczewkę łyzy, chudą sylwetkę Marleya Gummera, psa gończego na dwóch nogach, na którego zamówienie w roku tysiąc siedemset którymś udawał hiszpańskiego granda, realizując skomplikowany plan, mający na celu oskubanie kartelu handlarzy sherry. A obok Gummera – chłopca o oczach jak błękitne gwiazdy.

– Ten człowiek, Jamesie – powiedział Gummer, kiedy zwabili Leigha na Denmark Street obietnicą czegoś mocnego – będzie twoim nauczycielem.

Leigh spojrział na chłopca. Dzieci go onieśmiewały. Z trudem wierzył w to, że sam kiedyś był dzieckiem.

– A czego mam nauczyć chłopca, panie Gummer? – zapytał.

– Ma go pan nauczyć cierpieć.

– Życie, proszę pana – Leigh machnął ręką w powietrzu – nauczy go tego szybko.

– Ale pan nauczy go szybciej, panie Leigh. Zaczynajcie dziś. Musi umieć krzyczeć, wić się z bólu, wszystkie te typowe okropieństwa. Musi być dobry. Musi przekonywać. Ma pan tydzień.

– Cóż to za dziecko pan odkrył, panie Gummer?

– Dziecko, które wyczarowałem gdzieś na wsi, panie Leigh. Przecudowny, zimnokrwisty potwór. A więc od czego zaczniecie?

Z początku James nie rozumiał, czego od niego chcą. Błazeństwa aktora były dla niego czymś zupełnie zagadkowym, ale Leigh nie poddawał się i chłopiec pojął, o co chodzi. Wkrótce rajfurka, która prowadziła dom, zaczęła się skarżyć, że odstrasza jej gości. Posterunkowy zakłatał do drzwi okutą żelazem pałką i trzeba go było oprowadzić po wszystkich pokojach, zanim uwierzył, że nie popełniono tu morderstwa i że nie uprawia się czarnej magii.

Od codziennych przypadłości przeszli do odgrywania bardziej spektakularnych nieszczęść: konwulsji wywołanych przez trucizny i wszelkich możliwych ran zadanych sztyletem, pistoletem, mieczem. Po tygodniu Gummer przeegzaminował chłopca, każąc mu przewrócić się na ulicy i trzymać się za kolano lub wrzeszczeć w przerażeniu po otrzymaniu klapsa bądź też biegać i wyć na skutek oparzenia. Pierwsze próby były przesadzone albo nieprzekonujące. Widzowie zdradzali zakłopotanie, podejrzliwość. Ale James nie był leniem. Czego nie nauczył się od Katona Leigh, wziął od innych, idąc za człowiekiem, którego chłostano na ulicy, przykucając, by obserwować męki kobiety, której nogę zgruchotało koło wozu. Pewnego słonecznego popołudnia zasiadł na barkach Gummera, żeby obejrzeć ponad głowami tłumu wieszanie przestępcy przed bramą bristolskiego więzienia. To było wszędzie, to coś zwane cierpieniem. I w takiej nieskończonej różnorodności! Przerażeni ludzie chowali się

przed tym, modlili do swojego Boga, żeby było im to oszczędzone, a jednak wydawało się, że nikt nie mógł tego uniknąć, to znaczy, nikt poza nim. Nawet Gummer nie był od tego wolny, żyjąc tak jak inni w ciągłym zagrożeniu – na łasce spróchniałego zęba, obluzowanej dachówki, zepsutej ostrzygi.

Wyruszyli w lipcu zielonym parowem polnej drogi. Miasto skończyło się nagle; dom, stos cegieł, dym, brzydkie dzieci. Potem tylko pola, rozwinięty nad drogą baldachim drzew i wiejskie obejścia, gdzie stare psy z lekko uchylonymi powiekami wylegiwały się w otępieniu na słońcu, a kobieta w żelaznych patynkach stawała przed otwartymi drzwiami, osłaniając oczy dłonią, żeby popatrzeć, jak mijają jej dom. Marley Gummer, Adam Later, James Dyer i Molly Wright – pierwsza z „matek” Jamesa – podskakujący ramię przy ramieniu na wysokim wozie, załadowanym skrzyniami, tyczkami i rulonami płótna.

Pierwszy był jarmark w jakimś targowym mieście w Gloucestershire. Pokaz był tak bezwzględny sukcesem, niemal zbyt łatwym, że Gummer obawiał się, iż nie zdołają go powtórzyć. Trzy dni później w Somerset udało im się to znowu, a potem jeszcze raz po drugiej stronie walijskiej granicy. Później pojechali na wschód, wśród żniw, do Oksfordu, potem dalej na wschód, przez płaski kraj, podróżując od jednej wieży kościelnej do drugiej, aż do Norwich; wiatr przyniósł do nich dźwięk dzwonów tamtejszej katedry, gdy miasto było jeszcze niewidoczne.

„Matki” przychodziły i odchodziły. Napój rzadko bywał taki sam; jego składniki kupowali od miejscowych aptekarzy, którym dobrze płacili za powściągnięcie ciekawości. Tylko tłum był zawsze taki sam, tłum i pokaz, choć czasem Gummer improwizował, gmatwał opowieść o tajemnych recepturach, brodatych magach, czarodziejskich składnikach.

Wedle swoich własnych kryteriów, Gummer traktował chłopca dobrze; nowe ubranie i buty, cukierki, apaszka tak zielona i ciemna jak morze, nad którym spacerowali w Cromer. Nauczył Jamesa sekretów półświatka: jak odciąć sakiewkę, jak oszukiwać w kartach, jak ukryć nóż, tak żeby wśliznął się prosto do ręki w razie potrzeby. Dawał mu też przypadkowe, nieproszone rady na temat kobiet, co lubią i jak. Na wsi pod Lincoln, po obiedzie, czyli króliku z rożna, Gummer pokazał Jamesowi kawałek baraniego jelita, który nazwał londyńską peleryną. Ochrona, powiedział, przed mademoiselle Gonoreą, mrugnął i wymachiwał owym przedmiotem w powietrzu, śmiejąc się. Tylko raz uznał za konieczne ukarać chłopca. Nie chodziło o to, co zrobił, ani o to, co powiedział. Chodziło o spojrzenie, szokujące spojrzenie, które Gummer widział już kiedyś wcześniej w oczach sędziego skazującego wszystkich na szubienicę pod koniec długiej sesji sądowej w Dorchester. Za tę niesubordynację przywiązał Jamesa mocno do koła wozu i zostawił tam na noc. Grace Boylan, obecna „matka” Jamesa, zarzekła się, że potrafi znaleźć sposób, żeby zrobić mu krzywdę, ona z jej doświadczeniem, jej talentami, i przez minutę czy dwie Gummer pozwolił jej próbować. Potem odepchnął ją, uwolnił chłopca i czule prowadził go wokół, czekając, aż odzyska władzę w nogach.

– James – westchnął – czym bylibyśmy bez siebie, co? I gdy wracali do wozu wśród cieni drzew, zaśpiewał:

*Latem, kiedy błyszczą lasy  
I zielenieją drzewa,  
Wesoło jest w pięknym lesie  
Słuchać, jak ptactwo śpiewa...*

Grace budzi go, trącając czubkiem buta. Czas ruszać. James z łatwością przenosi się w stan jawy, otrząsa się ze snów, wdycha powietrze przedświt. Podnosi swój pakunek, wkłada

płaszcz, pod którym spał, i czeka przy wyjściu z namiotu. Nadchodzi Grace, trzęsąc się, rozcierając twarz dłońmi. Najgorsza jest o tej porze, pełna niewypowiedzianej wściekłości na ciemność, chłodne powietrze, czekający ich długi marsz. Także na los, na zbyt wiele lat na grzbiecie i na tego dziwnego, nietykalnego chłopaka, idącego drogą u jej boku. Starą ma on duszę albo i nie ma żadnej. Spodziewałyby się kto, że zacnie gwizdać, zapyta, jak daleko jeszcze albo kiedy będą jeść. Nie on.

Czerń; czerń i złoto. Noc pierzcha. Światło zwiesza się strzępami z drzew. Chmury wielkości wiosek płyną na zachód. Przez pięć minut czubki źdźbeł chwytają promienie światła i iskrzą się. Są już przy pracy zbieracze poklosia, kobiety wybierające resztki – drugie żniwa. Gromadzą garstkę, wiążą ją i przekazują jednemu z dzieci, które biegnie do bramy, gdzie jakiś chłopak stoi na warcie.

Grace i James jedzą śniadanie na skraju łąki. Potem Grace kładzie się na trawie, beka, opadają jej powieki. Oddech świszczę w nosie, końska mucha siada na brzuchu kobiety. James otwiera tobołek. Planetarium owinięte jest w stary płaszcz. Stawia pudełko na płaszczu, otwiera zamek. Planety odbijają poranne światło. Obraca rączką. Na trybach jest trochę rdzy, tylko troszeczkę, ale to znaczy, że musi użyć większej siły, by nimi zakręcić. Druty drżą, planety wibrują. Kiedy Grace wstaje, nadal się tym bawi, starą zabawką Lizy. Grace nie widziała jej przedtem. Podchodzi bliżej, klęka ciężko na trawie i patrzy. Uśmiech pojawia się na jej twarzy, dotyka mosiężnego słońca. James puszcza rączkę, zamyka pudełko, owija je płaszczem. Idą. Przed nimi długa, pusta droga.

#### 4

Ból, przyjaciele, pochodzi od diabła. To jego dotknięcie, jego pieśzcota...

Salisbury, 10 października 1752 roku. W ściany namiotu tłucze wiatr; ogromne miękkie pięści uderzają w płótno. Gummer musi podnieść głos, żeby przekrzyczeć ten hałas. Wiatr sprawia, że ludzie są niespokojni. Rozprasza ich. Myślą o dachach, porwanym praniu, podróży do domu. Dopiero kiedy Gummer zaczyna rozmowę z Grace Boylan, uciszają się i pochylają lekko w stronę kobiety i bladego, ładnego chłopca w niebieskim płaszczyku stojącego obok niej.

– Pozwól mi, mamó. Chcę być odważny jak mój ojciec. – Dobrze mówisz, chłopcze! Pozwól mu! Pozwól mu! Znowu na scenie. Tym razem w torturach pomoże młody mężczyzna o ramionach grubych jak szynki, zezujący lewym okiem. Szpila, płomień, napój, znowu szpila. Jest trochę śladów, czerwone piegi, tam gdzie igła przebijała ciało poprzednio, nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Jego ciało zdaje się nie pamiętać.

Gdy Gummer przynosi świecę, James widzi znowu z tyłu namiotu te same zielone oczy, które widział już na czterech pokazach. Nie powiedział Gummerowi. Czeką, żeby zobaczyć, co ten człowiek robi. Płomień liże jego rękę. Zielone oko bada go. Tłum wydaje okrzyk podziwu, jakiś głos woła: „Wezmę dwie!” Poruszenie, wir postaci, wiatr uderza dwa, trzy razy w płótno, zielonooki już wyszedł. Gummer zaciera ręce, zabiera się do interesów.

Na dworze wiatr miota ptakami fruującymi wokół kominów. Jakiś człowiek goni swą perukę w stronę rzeki. Gazeta, wyrwana z dłoni prawnika, nagle owija głowę żebraka. Grace i James idą w stronę katedry. Wewnątrz słychać uroczyste echo wiatru. Grace opada na ławkę, wyciąga butelkę spod spódnicy, opróżnia ją i wsuwa pod ławkę.

– Lepiej, na Boga.

Rozgląda się za chłopcem, nie widzi go. Zamyka oczy. Jest w niej znużenie – czarna woda w kościach – którego żaden sen już nie wypędzi. Kilkanaście głosów na chórze śpiewa pierwsze wersy „Te Deum”. Wysoko ponad jej pochyloną głowę nietoperze szybują między lukami, znikają w cieniu. James podchodzi do ołtarza, patrzy na chłopców w chórze. Są mniej więcej w jego wieku, mają twarze blade jak wosk, oczami wodzą za rękoma

chórmistrza. Jeden chłopiec ma twarz podobną do Charliego. James myśli o swoim zmarłym bracie, potem o matce; pamięta, jak go podnosiła – bardzo wyraźnie! I pamięta jej zapach. Ciało, mleko, ciepły jabłkowy oddech. Krew dudni mu w uszach. Podnosi rękę do piersi, potem do twarzy, dotyka swych własnych gorących policzków. Coś jest na jego dłoni – woda. Liże ją. Słona. Chłopcy śpiewają; ich głosy unoszą się jak fontanna, opadają jak deszcz. Podchodzi do jednego z bocznych wyjść. Przy drzwiach stoi mężczyzna z kapeluszem w dłoni. Kiwa głową Jamesowi, odsuwa zasłonę wiszącą na drzwiach. James przystaje, rozgląda się, szuka Grace Boylan. W odległej ławce widzi kształt, który może należeć do niej, postać pochyloną we śnie lub w modlitwie. Gdy się odwraca, mężczyzny już nie ma. Z różnych miejsc katedry dochodzą go głosy, stłumione i niewyraźne, szemrzące. James robi krok naprzód. Za kotarą ktoś na niego czeka. Z nawy głównej dobiega go mignięcie światła; wchodzi Gummer, mały pośród kolumn, wielkich grobowców, gór szarego kamienia. Widzi Jamesa, macha do niego. James przesuwa się w stronę bocznych drzwi, przechodzi przez nie. Nie widzi mężczyzny, ale czuje uścisk na ramieniu. Jakiś głos mówi: „Szybciej!” i popycha go do przodu przez rzekę rozszalałego powietrza. Czeka na nich powóz i czwórka koni. James i mężczyzna już biegną, aleją, po moście. Rzeka połyskuje, pusta łódź ślizga się bezładnie po jej powierzchni. Gdy dobiegają do powozu, inny mężczyzna wychyla się z niego, wciąga Jamesa do środka, zatraskuje drzwi. Powozem szarpie do tyłu, potem do przodu. W oknie pojawia się nagle twarz Gummera, jakieś ramie owija się wokół jego szyi, odciąga go. James wygląda i widzi, jak na skraju drogi dwaj mężczyźni obalają Gummera na ziemię. Jeden ma kij. Zaczynają go okładać. Nie słychać nic oprócz wiatru. Mężczyzna o zielonych oczach delikatnie popycha Jamesa na siedzenie, opuszcza roletę w oknie powozu, zahacza ją. Z ciemności mówi:

– Jesteś teraz bezpieczny, dziecko. – Dłoń wysuwa się do przodu, klepie Jamesa po kolanie. – Zupełnie bezpieczny.

## 5

Kraj gładki jak butelkowe szkło. Schludne złote lasy, zielonostalowa serpentyna strumienia. Jezioro rozsądnych rozmiarów, nad którego taflę ledwo wystaje iglica zatopionego kościoła. Podjazd nakrapiany cieniami młodych drzew; włoskie ogrody; alejki; krajobrazy; całe mile muru z czerwonej cegły, żelazne pręty.

James otwiera oczy. Nie wie, co go obudziło. Jakiś ptak wpatruje się w niego z najwyższej gałązki krzewu, przekrzywiając głowę na boki. James patrzy na cienie, żeby sprawdzić, jak długo spał. Co najmniej dwie godziny. Słońce zaskakuje go. Śnił mu się śnieg, śnieżny świat, i głos wołający go, otaczający.

Wstaje ciężko. Tak dużo teraz śpi, tak głęboko, jakby przygotowywał się do nowego życia. Klaszcze w ręce; ptak odlatuje, zabierając ze sobą sen.

W wieczornym powietrzu dom prezentuje się wspaniale. Jasny kamień wchłania miodowy róż światła; każde okno odbija swe własne niepowtarzalne słońce. Obszerne palladiańskie skrzydła rozpościerają się po obu stronach głównego budynku. Gdy podchodzi do domu, pod jego stopami chrzęści wygrabiony żwir. Po płaskich stopniach wspina się do podwójnych drzwi. Nie musi pukać. Niewidoczne oczy zawsze go widzą. Ręce w obcisłych rękawiczkach wpuszczają go do środka. Lokaje w żółtych surdutach.

To są drzwi, przez które wszedł, gdy tu przyjechał w towarzystwie zielonookiego mężczyzny, który głaskał go czasem po ramieniu, jakby chciał mu dodać odwagi. Dżentelmen oddał Jamesa pod opiekę służącemu, a James poszedł za nim wokół wiru balustrad, przez korytarze szerokie jak drogi z drzwiami po obu stronach, jak daleko sięga wzrok. W powietrzu unosiły się głosy, język, jakiego wcześniej nie słyszał, swobodna, a

zarazem ekspresyjna paplanina; spojrzawszy w górę, zobaczył mężczyzn na rusztowaniach, ciemnowłosych mężczyzn o subtelnych twarzach, z długimi pędzlami w rękach. Pracowali przy fryzie nad jednym z wielkich okien. Przerwali pracę, spojrzeli w dół na Jamesa, uśmiechali się, kręcąc głowami. *Ah, povero ragazzo!*

Zaprowadzono go do pokoju z osłoniętym kotarą łóżkiem, ogniem płonącym spokojnie w palenisku. Służący spojrzął na chłopca, już bez szacunku przyklejonego do twarzy, jak aktor, który nagle przestaje grać swoją rolę.

– Jeżeli będziesz chciał jeść, to pociągnij za ten drut.

A James zapytał:

– Czy ten człowiek przyjdzie? Ten człowiek, z którym tu przyjechałem.

– Pan Canning? – Służący kręci głową. – Przyśle po ciebie, jak będzie cię potrzebował. To człowiek bardzo zajęty. Nie jesteś jedynym, nie?

Drzwi zamknęły się, zanim James zdołał sformułować pytanie: „»Jedynym« kim?»

Nikt do niego nie przychodzi poza służbą, ale są to inni służący niż ten, który prowadził go pierwszego dnia; ani tak poufali, ani tak szczwani, ani tak rozmowni. Sprzątają pokój, przynoszą jedzenie na tacy. Po zieleninie z bekonem i tanim chlebem u boku Grace i Gummera, dieta obfituje w mięso, dziczyznę i słodycze. Bogata dieta, która napęcza go niepokojem. Nie może ustalić, czy jest więźniem, czy gościem. Co prawda nikt nie przekręca klucza w drzwiach, nikt nie stoi na korytarzu i nie pełni funkcji strażnika. James zaczyna się rozglądać, wychodzi ze świecą w rękę, kiedy w domu panuje cisza, a jego kroki tłumi miękki dywan i tylko krąg kremowego światła mógłby go zdradzić.

Za pierwszym razem nie spotyka nikogo; dom jest ostentacyjnie pusty. Po godzinie gubi się, zmylony symetrią, i odnajduje swój pokój dopiero przed świtem, z dawno już wypaloną świecą, jego drzwi pojawiają się przed nim nagle, gdy nadal myśli, że jest na niewłaściwym piętrze, niewłaściwym korytarzu.

Następnej nocy idzie dalej. Dwaj służący, żółte kaftany udrapowane światłem świec, przechodzą przed nim przez jakieś duże, okazałe pomieszczenie, zwalniają na chwilę, żeby spojrzeć w stronę płomyka świecy Jamesa, potem znikają. Cóż za tajemnicze życie prowadzą ci ludzie, nieuchwytni jak węgorze. Kiedy James próbuje iść za nimi, nie ma po nich żadnego śladu, żadnej poświaty, która zdradzałaby kierunek.

Dopiero trzeciej czy czwartej nocy spotyka kogoś, z kim może porozmawiać, nocy tak jasno rozświetlonej księżycem, że jego światło dociera nawet do korytarzy pozbawionych okien, kładąc się jasnymi płachtami u drzwi. Spaceruje już niemal godzinę, kiedy zegary w stu pokojach zaczynają wybijać północ; słyszy głos, cichy, ale gderliwy, i umiejscawia go za dużymi drzwiami, które są akurat na tyle uchylone, by mógł wejść. Wchodzi i przy świetle księżyca widzi mężczyznę, srebrną sylwetkę człowieka, stojącego na czymś w rodzaju ambony przy półce z książkami. Mężczyzna, sięgając do półki, żeby odłożyć książkę, odwraca się i patrzy na chłopca.

– Kto ty jesteś, co? I czego tu chcesz? To jest biblioteka. Chłopcy, jak zauważyłem, nie przepadają za bibliotekami. Może szukałeś kuchni.

Stęka z wysiłku, wsuwając książkę na miejsce, i gramoli się na dół. Wydawał się dość wysoki. Teraz widać wyraźnie, że nie jest wyższy od Jamesa.

– No, to chodź, skoro tu jesteś. Oprowadzę cię. Jestem Collins, bibliotekarz pana Canninga. Byłem z nim w Hiszpanii i we Włoszech. O tak, we Włoszech byliśmy wiele lat. Mówi tym językiem jak Włoch. Potrafi recytować Dantego godzinami. Te półki to historia. Herodot, Pliniusz, Tacyt. Homer. Tu filozofia. Arystoteles, Bacon, Newton, Erazm... Hobbes, Locke... W tej szafie, do której tylko ja i pan Canning mamy klucz, są pewne rzadkie i... szczególne tomy. Ile masz lat, chłopcze?

– Trzynaście.

– Czy miewasz erotyczne myśli?  
– Erotyczne?  
– Tak. Gorące myśli. Lubieżne. Czy lubisz podglądać przez dziurkę od klucza? Czy płoniesz, gdy widzisz falujący biust?

James zastanawia się przez chwilę nad biustami, które widział. Raz Lizy, białe główki szczeniąt, gdy uniosła koszulę pewnej letniej nocy. Aktorek u farmera Moody'ego. Grace Boylan, kiedy dawała się obściskiwać Gummerowi. Kręci głową. Bibliotekarz wzrusza ramionami.

– Nie będziesz mnie zatem męczył o klucz. Dokąd to doszliśmy? Filozofia? Te półki to poezja, coś, co pan Canning lubi szczególnie.

Przystaje. Podnosi rękę. Nasłuchuje i patrzy ponad ramieniem Jamesa ku drzwiom.

– Słyszałeś je? – pyta.

James liczy palce u dłoni bibliotekarza. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć.

– To bliźniaczki – mówi Collins i przez chwilę na jego twarzy gości bardzo dziwaczny uśmiech.

James odwraca się. Dwie głowy wyglądają zza drzwi. Czworo oczu bada go, a potem głowy znikają i James słyszy szelest ich pantofli w biegu.

– Za nimi! – Bibliotekarz dźga Jamesa między łopatki. – Pośpiesz się, bo ich nie dogonisz!

James rusza w pościg, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby nasłuchiwać, potem biegnie dalej. Dostrzega je na schodach, potem na odległym końcu galerii, jak prześlizgują się przez drzwi do innego korytarza. Na pół minuty zupełnie traci trop; potem słyszy stłumiony odgłos upadku i okrzyk: „Cholera! Cholera!” Biegnie w tym kierunku, znajduje okruchy porcelany, ale ani śladu dziewcząt, żadnego odgłosu ich kapci.

Są w pokoju, który uczy się później nazywać „salą posągów”. Księżyc świeci, wbity klinem między dwa cyprysy za oknem, a posągi rzucają długie, ostre cienie na marmurową posadzkę. Mężczyźni o kręconych włosach, nagie, muskularne, rozluźnione ciała, opierają się na włóczniach lub gestykują ze znużeniem utraconymi ramionami. Kobiety, boginie, z rękami złożonymi na piersiach, głowami bez nosów, pustymi oczami wpatrzonymi do wewnątrz.

Dziewczęta siedzą na ławce pod oknem, śpią. Podchodzi blisko, żeby na nie spojrzeć. Są wciśnięte w siebie; ich głowy o wysokich białych czołach wspierają się wzajem. Oczy pod bezkrwistymi powiekami wydają się niezwykle duże. Usta mają bliźniaczki małe; wargi ściągnięte jak u dzieci.

Jedna z dziewcząt otwiera oczy, bardzo gwałtownie, jakby tylko udawała, że śpi. Uśmiecha się.

– Śniłeś mi się – mówi. – A teraz jesteś tutaj.

– Skąd mnie znasz?

– Pan Canning powiedział, że tu przyjedziesz. A potem widziałam cię z mojego okna. Pan Canning powiedział, że wyglądasz jak zwykły chłopiec, ale że wcale nie jesteś zwykły, zupełnie nie. Nie przywiózłby cię tu, gdybyś był zwykły.

– Nie widziałem pana Canninga. Od czasu, kiedy tu przyjechałem.

– Och, nie możesz oczekiwać, że go zobaczysz. A przynajmniej nieczęsto. Przyśle po ciebie, kiedy będzie cię potrzebował. Nazywam się Ann. A to moja siostra Anna. Byłyśmy w cyrku, zanim pan Canning nas znalazł. Nie lubiliśmy tego. Ty też byłeś w cyrku.

James kręci głową.

– Ja brałem udział w pokazie. Żeby sprzedać lekarstwo.

– Czy to było dobre lekarstwo?

– To nie było nic. Nic dobrego.

– Pan Canning daje nam dobre lekarstwo. Sam je przygotowuje.

– A co wam jest?



– Prawie nic, tylko że czasem bołą nas głowy i czujemy się tak zmęczone, że zasypiamy w pół zdania.

– Zawsze jesteś ze swoją siostrą?

Ann parska śmiechem, jakby powiedział coś zabawnego, choć nie w najlepszym guście.

– Oczywiście; a z niej często kiepskie towarzystwo. Ale wkrótce zostaniemy rozdzielone i wtedy nie będę jej widzieć przez cały tydzień albo nawet miesiąc, tak że jak się spotkamy, będziemy mogły porozmawiać jak zwykli ludzie.

I wtedy pojmuje. Sprawia to coś w ich wspólnej pozie na ławce, jakby były dwiema połówkami kleksa. Pyta:

– Kiedy macie się rozdzielić?

– Jak będziemy miały szesnaście lat. Pan Canning nam obiecał.

– He lat macie teraz?

Ann śpi. Jej siostra patrzy na niego.

– Męczysz nas strasznie, mówiąc tak dużo. Czemu nie jesteś w łóżku?

– A czemu wy nie jesteście w łóżku, skoro jesteście takie zmęczone?

– Podoba nam się tu. Lubimy patrzeć na rzeźby. Zwłaszcza ten nam się podoba.

Wskazuje róg sali. Przysadzista postać z wielkim nabrzmiałym kutasem, sterczącym ku niebu.

– Pan Canning mówi, że to bóg ogrodów. Priap. My go nazywamy... – Szepcze jakieś imię, którego James nie słyszy, a potem chichocze ostrym histerycznym śmiechem. Druga siostra się nie budzi. Jej duża głowa kołysze się na piersiach. James pyta:

– Jak długo tu jesteście?

Anna wzrusza jednym ramieniem.

– Odkąd pan Canning nas znalazł... Malują nasz portret. Pan Molina go maluje. Może ciebie też namaluje, jeśli przyjdiesz.

– Gdzie was maluje?

Anna wskazuje ręką do góry, gestem tak eleganckim, jakby należał do którejś z rzeźb. Potem również zasypia.

James przez dłuższy czas stoi, obserwując ich sen, czekając, czy któraś z nich się obudzi. Czuje z nimi jakieś pokrewieństwo; nie jest to uczucie ciepłe ani przyjazne. Pan Canning zatem to kolekcjoner, a on, James Dyer, tak jak bliźniaczki, jak pan Collins, został skolekcjonowany. Czy, w jego przypadku, raczej ukradziony. To go wcale nie martwi. Canning posłuży mu, tak jak służył mu Gummer. A są w tym domu rzeczy, o których chciałby się dowiedzieć czegoś więcej. Sześciopalcy bibliotekarz; dwie dziewczyny jak jedna. Jak to Gummer go kiedyś nazwał? *Rara avis*. Ile ich tu jest, w złotej klatce pana Canninga?

## 6

Mija wiele dni, zanim znowu ma okazję z nimi porozmawiać, choć kilka razy widzi Ann i Annę spacerujące po parku pod identycznymi białymi parasolkami, czekające na swe szesnaste urodziny. Dwa razy zobaczył, jak szły w towarzystwie służącego do małego domu, stojącego na wzgórzu koło jeziora. Służący zawsze niesie wiaderko; pełne, kiedy idzie w tamtą stronę, puste – sądząc po tym, jak nim wymachuje – kiedy wraca. Co do studia pana Moliny – nie może go odkryć. Zaczął się zastanawiać, czy malarz nie istnieje przypadkiem tylko w wyobraźni bliźniaczek.

Ilekrót jest znudzony czy pragnie jakiegoś towarzystwa, idzie do biblioteki. Pan Collins – tak jak wcześniej Viney – szybko orientuje się w zdolności chłopca do pochłaniania wiedzy; namawia go do wyciągania oprawnych w skórę tomów z półek i czytania. Nie poezji, rzecz jasna, czy opowieści – chłopiec jest na nie ślepy – lecz podręczników o anatomii, atlasów,

traktatów o eksperymentach naukowych; księzek ze skomplikowanymi, nęcącymi wykresami, księzek o astronomii, geometrii... Z panem Collinsem u boku, z grudniowym deszczem na szybach, ze świecami rozświetlającymi długi popołudniowy zmierzch James przedziera się przez łacińskie strony „De motu cordis” Harveya. Ale to przede wszystkim obrazki przykuwają jego uwagę: świat pod skórą; płatanina jelit, sfery i bulwy dużych organów; płachty mięśni rozpięte wokół kratownicy kości; skomplikowana budowla serca, żyły i tętnice promieniujące, wijące się, rozwidlające na małe dopływy.

Przez ponury schyłek roku pan Collins karmi chłopca Borellim i Malpighim („Poświęciłem niemal cały żabi gatunek...”), Fabrycjuszem z Padwy, a z najwyższej półki bibliotekarz, stojąc na paluszkach na swej ruchomej ambonie, ściąga anatomię Vesaliusa „De humani corporis fabrica”, której tytułowa strona ukazuje tego wielkiego człowieka z rękami zanurzonymi w brzuchu kobiecych zwłok na publicznej sekcji w Padwie. James uczy się nawet kilkunastu słów po grecku.

Studio Moliny, które James odkrywa w ten sam sposób, jak wszystko inne w tym domu – przypadkowe naciśnięcie klamki u niesforsowanych dotychczas drzwi – mieści się wysoko pośród mrowiska służbówek, ponad koronami drzew, niemal na tym samym poziomie, co kołujące gawrony. Jest zarzucone prywatnymi śmieciami malarza: poplamionymi farbą koszulami, filiżankami i imbrykami, butelkami po winie, dużym zepsutym zegarem, pędzlami w słoikach z jakimś płynem. Szary kot siedzi przy talerzu z rybimi łebkami, nie zwraca uwagi na obecność chłopca. Molina stoi do niego tyłem, nie odwraca się od swego płótna, tylko wyciąga do tyłu jedną rękę i pokazuje chłopcu, żeby usiadł; jakaś rozerwana wybuchem sprężyn orientalna kanapa, nieopodal której siedzą dziewczęta. Bliźniaczki sprawiają wrażenie oszołomionych nieruchomością swej pozy, ich sukienka połyskuje, twarze wyglądają na rozgorączkowane w świetle kilkunastu kandelabrow.

Molina mówi:

– *Ya está...* odpocznijcie teraz.

Obchodzi płótno, wrzuca pędzel do kieliszka od szampana, przeciąga się potężnie.

– Więc to jest chłopiec, o którym mi opowiadały.

Wytrzymują swoje spojrzenia, malarz kiwa głową: wysoki, wychudzony mężczyzna o krzaczastych brwiach i gęstych brązowych włosach, związanych czarną wstążką.

– Czy przyszedłeś, żebym cię namalował, przyjacielu?

– Najpierw musisz nas skończyć! – protestują bliźniaczki.

– Nie obawiajcie się – odpowiada Molina. – Wasza nieśmiertelność jest już niemal gotowa.

Bliźniaczki zeskakują z kanapy, stają przed płótnem. Klaszczą w dłonie w zachwycie.

– Czy namalujesz nas potem? Dobrze? James, nigdy nie zgadniesz, co się stało! Pan Canning mówi, że nas przedstawi u dworu! Wyobrażasz sobie?

Molina śmieje się.

– Może James też tam pójdzie i zatańczy z wami na balu. Najpierw z jedną, potem z drugą. James, możesz je teraz poprosić. Potem będą rozchwytywane. Moje drogie, musicie znowu usiąść, jeszcze na małą chwilkę...

– Znudziło nam się! Chcemy porozmawiać z Jamesem.

– James posiedzi tu z nami i posłucha waszej paplaniny. Tak jak przedtem, tak... Twoja ręka, Anno, bardziej tak... doskonale. Teraz maluję.

Molina pracuje. Kiedy bliźniaczki umilkły, wpadły ponownie w trans pozowania, zwraca się do Jamesa:

– Miarą jakości artysty jest uwaga. Rozumiesz? Sposób, w jaki patrzy na swój obiekt. Może jest to również miarą człowieka, co? Powiedz mi, James, lubisz swój nowy dom?

– Dość.

– Tak sobie. Rozumiem, że masz bardzo specjalne... hmm... właściwości. Żadnych uczuć, żadnych... wrażeń. Naprawdę nie potrafisz sobie wyobrazić czegoś takiego.

– A jakie są pana właściwości? – pyta James.

– Ta, mój przyjacielu. Tylko ta nędzna zabawa z farbami. Spójrz, śpią. Na tym polega ich problem. Muszą się dzielić tą samą krwią. Nie mają jej dość. Czy sądzisz, że są ładne? Pokażę ci coś. Kiedy tak śpią, można strzelać z armaty i się nie obudzą.

Molina podchodzi do dziewcząt, i chwyta za rąbek ich sukni.

– Chodź, James.

Unosi materiał. Cztery pulchne nogi w czerwonych pończochach zawiązanych wstążką ponad kolanami. Cztery białe uda, bardzo nagie, i dwie równiutkie brody z gęstych rudych loków. Zrost jest na biodrze. Molina bierze rękę Jamesa, kładzie ją dokładnie tam, gdzie ciała się łączą; zbieg kości i krwi. W oczach ma łzy.

– Takie miękkie, co? Takie... *No sé cómo se dice...* Ma się wrażenie, jakby wystarczyło lekko popchnąć, a ręka znalazłaby się w środku. Widziałem to raz, James, raz w mojej ojczyźnie, w Granadzie... Pewien człowiek, Maur, uzdrowiacz... sięga do wnętrza ciała chłopca i wyciąga część, która jest zła. Żadnego noża, żadnej krwi. Widziałem to na własne oczy. Chłopca trochę bolało, ale tylko trochę. Matka go trzymała. Maur sięgnął... jakby wyciągał rybę ze stawu. Chciałbym namalować je bez ubrania, ale one się wstydzą. Może jak im dam trochę wina. Wtedy może to zrobią.

James delikatnie maca ciało. Zastanawia się, jak podzielone są między bliźniaczki główne organy: jelito i okrężnica, śledziona, nerki, trzustka... a jeśli nie ma ich dość, jeśli na przykład mają jedną wspólną wątrobę? Czy jest jakiś sposób, żeby się o tym dowiedzieć wcześniej, czy dopiero jak będą na stole operacyjnym? Czy pan Canning wie?

Molina podnosi rękę chłopca, zakrywa dziewczęta sukienką.

– Czy malowałeś kiedyś, James?

– W szkole rysowałem różne rzeczy. Szło mi to łatwo.

– Tak myślałem. Masz ręce malarza. Ręce artysty.

Patrzy na chłopca, uśmiecha się. Jest to przyjazny, współczujący uśmiech.

– Naprawdę nic nie czujesz, mój przyjacielu?

James kręci głową. Nie lubi, żeby mu współczuć.

– Żadnego bólu?

– Nigdy.

– A przyjemność? Czy odczuwasz przyjemność?

Nikt go o to wcześniej nie pytał. Patrzy na kota obgryzającego delikatnie ostatnią rybią głowę.

– Przyjemność?

Z pewnością są rzeczy, które lubi: wiedza w książkach pana Collinsa, pewne potrawy, planetarium, bogactwo Canninga. Czy te rzeczy to przyjemności? Czy też Molina ma na myśli coś innego, fizycznego, jakieś odczucie? W jakimś odległym dziewczym świecie wewnątrz zna odpowiedź. Ból, przyjemność. Dostrzegął z dala ich wybrzeża, ich wysokie klify, czuł w snach zapach przybrzeżnej bryzy. Ale nadal jest otoczony przez spokojne, nieczule morze; jego statek o wysokich burtach jest nienaruszalny, powiewają wielkie szare proporce. Czy mogłoby być inaczej? Taka myśl nie budzi w nim entuzjazmu.

Molina jest znowu przy płótnie, przerabiając biel na błękit na starym talerzu, który służy mu za paletę. James pyta:

– Co jest w domu nad jeziorem? Widziałem, jak chodził tam służący. Bliźniaczki też tam chodzą.

Molina kiwa głową, nadal pochłonięty mieszaniami farb.

– To jedna z najcudowniejszych... rzeczy pana Canninga. Oczywiście nie rozpowiada o tym wokół. Tylko swoim przyjaciółom; uczonym dzentelmenom.

– Nie powiedział pan, co to jest.  
– To dlatego, że chciałbym, abyś to zobaczył z... – Molina szuka gdzieś w powietrzu słowa – ...z czystym umysłem.  
– Zabierze mnie pan?  
– Zabiorę cię.  
– Kiedy?  
– Dziś wieczorem.  
– Co jeszcze ma pan Canning?  
– Wiele rzeczy. Wiele. Jest chłopiec z księżycą.  
– W to nie wierzę.  
– Są ludzie, James, którzy nie uwierzyliby w chłopca, który nie czuje bólu.  
– Jak on wygląda, ten chłopiec?  
– Bardzo dziwnie, a właściwie wcale nie tak dziwnie. Nie bardzo duży ani bardzo mały. Żadnych rogów. Zobaczysz go też. Któregoś dnia.

James obserwuje profil Moliny, ale nic z niego nie można wyczytać. Malarz jest całkowicie pochłonięty swoją pracą. Maluje błękit oczu dziewcząt i odnajduje plamy błękitu w innych miejscach obrazu.

Kot skończył posiłek. Liże łapy z wielką starannością.

Zmierzch przynosi godzinę światła; świat rozbłyska. Jest kolor, śpiew ptaków, posrebrzana trawa. Godzina, potem chmury niosące noc przetaczają się ponad wzgórzami, wioską, jeziorem. Światło ustępuje smukłą złocistą wieżą. W domu służba śpieszy od pokoju do pokoju, zapalając świece. Roznieca się ogień, rygluje okiennice.

James spotyka Molinę na tylnych schodach. Malarz mruga, macha kluczem.

– Gotów?

Wychodzą przez niskie drzwi z boku domu. Molina wziął lampę od jednego ze służących, słabe światło, ale wystarcza, by widzieć na dwa, trzy kroki. Nie rozmawiają przed dojściem do domu nad jeziorem. Dom jest mały, imitacja świątyni. Obok stoi posąg Neptuna, brzuchatego, zgryźliwego, patrzącego spod zmarszczonych brwi w stronę jeziora. Molina skrobie kluczem w zamku.

– To, co zobaczysz, Jamesie, pan Canning znalazł koło wyspy Capri. Mówią, że cesarz Tyberiusz również coś takiego posiadał. Że używał tego dla swojej przyjemności.

Zamek ustępuje. Molina otwiera drzwi, ostrożnie, jakby to coś, co jest po drugiej stronie, mogło się przestraszyć. James idzie za nim. W powietrzu czuć wyraźny rybi odór. Światło lampy lśni marmurkowym błyskiem na powierzchni sadzawki. Molina przykuca przy jej brzegu.

– Chodź, przyjacielu. Nie zrobi ci krzywdy.

Ale James nie jest przestraszony, jest podejrzliwy. Myśli o Gummerze, unoszącym swą butelkę bezwartościowego płynu ponad głowami tłumu. Czy Molina próbuje go nabrać?

Widać jakiś ruch, węzowy cień na dnie sadzawki. James klęka obok malarza, wpatruje się w wodę.

– Widziałeś? – pyta Molina.

– Nic nie widziałem – odpowiada James.

Woda nie jest przejrzysta. Tam gdzie przebija ją światło, widać cząsteczki mętów, jaskrawozielone. Molina zanurza rękę w wodzie.

Nuci jak kochanek:

– *Venga, carina, venga.*

Woda marszczy się, światło wiruje zygzakami na powierzchni. Jakaś sylwetka gęstnieje, unosi się ku nim, rozrywając zwiotczale mięśnie wody. Jakiś kształt – głowa? – majaczy tuż pod skórą sadzawki. Potem błysk brązu, krzyk, mew, beznadziejny, straszny. Przez moment

James widzi, sylwetka obramowana kipiela jej własnego ruchu; oko, niewątpliwie ludzkie, niewątpliwie obce; potężne, jasne ramię, długi, wygięty grzbiet, ogon ciągnący czarne wodorosty i okryty łuską; szeroki, postrzępiony grzebień płetwy. Stworzenie wydaje znowu krzyk, obraca się, ukazując brzuch, biel i róż piersi, i zanurza się, machając ogonem, oddalając się od płytkiej sieci ich światła. Woda znowu pluszcze o kamienny brzeg basenu, z wolna, z wolna uspokaja się.

Molina wstaje, gestem pokazuje chłopcu, żeby szedł przed nim, na dwór, zamyka drzwi, chowa klucz do kieszeni. Zaczęło padać. Deszcz na powierzchni jeziora wygląda jak pole malutkich białych kwiatków. Biegna do domu, a gdy biegna, jarmarczny cud Canninga pływa coraz głębiej w pokładach mózgu chłopca i krąży tam, budząc sny, prądy niepokoju.

## 7

Styczeń ścina lodem. Luty przynosi nagłą odwilż. Rzeki omywają swe brzegi, drogi zmieniają się w breję. W dzień świętego Walentego James dostaje medalion z lokiem włosów związanych nitką. Również zagadkę, z bardzo oryginalną ortografią. Kiedy następnym razem spotyka bliźniaczki, przygląda się, żeby zobaczyć, której z nich brakuje obciętego kosmyka włosów, ale pośród pierścieni i loków, całego ich bogactwa, nie da się tego ustalić. Może pochodził od nich obu. Skoro cierpią te same myśli, czemu nie te same uczucia? Przez tydzień używa loka jako zakładki do książek, potem gubi go, zostawiając bodaj wewnątrz egzemplarza „De revolutionibus” lub między kartami należącego do pana Canninga pierwszego wydania „Optyki” Newtona. Nadchodzi wielki dzień dziewcząt. Czasem mdleją na samą myśl o nim.

Goście. Z tuzin powozów, koła z oponami błota, służący przy drzwiach jak pszczoły przy wlocie do ula, pan Canning w płaszczu z grubego zielonego aksamitu, spokojny gospodarz. Dżentelmeni kłaniają się, podają sobie ręce, wygłaszają powitalne uprzejmości, a jednak zdaje się, że są w ponurym, roztargnionym nastroju, jakby nosili w głowach delikatne piramidy myśli, których trzeba nieustannie doglądać. Ściskają laseczki, śpieszą do marmurowego holu. Przyjeżdża ostatni, konie zbryzgane błotem od kopyt do głów; gruby dżentelmen, krzywiąc twarz, daje się przenieść ponad kałużami do kamiennych stopni.

– Drogi panie Bentley...

– Witam, panie Canning. Obrzydliwa pogoda.

James podgląda ich przez balustradę ponad holem.

Canning podnosi wzrok, dostrzega go i kiwa głową, nic więcej, ale nastąpił przepływ informacji: Canning zobaczy się z nim później, James do niego przyjdzie. Wszystko jest zupełnie jasne.

Mężczyźni rozmawiają na dole, głowy skupione w małych kręgach, potem idą za Canningiem ku zachodniemu skrzydłu. Pochłania ich dom. Służący ściera ślady butów.

James czeka w studio Moliny. Portret bliźniaczek jest skończony, oparty bezceremonialnie o łóżko malarza. Molina mówi:

– Bałem się, zanim bliźniaczki go zobaczyły. Malarstwo nie jest uprzejmą sztuką. Sztuka nie jest miła, nie jest uprzejma. Przyszły i patrzyły na niego, patrzyły długo. Są bardzo szczęśliwe. Tak szczęśliwe, że płaczą. Więc ja też płaczę, bo wiem, że obraz jest prawdziwy. Myślałem o tobie, mój przyjacielu, o namalowaniu ciebie. Myślę, że to będzie bardzo trudne, ale chciałbym spróbować. Spróbujemy, co?

Próbują. James stoi na tle taniej brązowej draperii. Na stoliku obok niego Molina umieszcza otwartą książkę, przeszmuglowaną z biblioteki, w chwili gdy pan Collins oddalił się za potrzebą. Jest to rzadkie wydanie „Tabulae anatomicae clarissimi viri” Bartolomea Eustachio – na otwartej stronie widać sylwetkę mężczyzny ze stopami wrośniętymi w dolne

rogi strony, z rękami wyciągniętymi ku niebu. Głowa obrócona jest na bok i ma wygląd rozgniewanego księżycy. Cała skóra została usunięta, żeby ukazać naczynia krwionośne. Na rysunku przypominają one skomplikowany system korzeni, jak na ilustrację anatomiczną jest to wszystko dziwacznie ekspresyjne. Mężczyzna zdaje się wyraźnie odczuwać swoją sytuację, czuć ból i obrzydzenie, jakby padł ofiarą jakiejś skandalicznej i niewytłumaczalnej operacji chirurgicznej. Jego obnażone serce wygląda jak niedbale owinięty pakunek. Ukazano nawet małe naczynka jego członka, który zwisa niczym mały ciemny kolec między obdartymi ze skóry mięśniami ud. Przede wszystkim mężczyzna sprawia wrażenie, jakby czekał, napięty w przerażeniu, na powrót swego oprawcy. Molina uważa, że ilustracja pasuje do portretu. Nie mówi dlaczego. James zakłada, że odzwierciedla to jego zainteresowanie takimi rzeczami.

Molina rysuje, najpierw przy świetle dziennym, potem przy świecach. Pierwsze szkice wyrzuca; nad późniejszymi ostrożnie kiwa głową. James patrzy na zepsuty zegar, mówi:

– Muszę już iść.

Molina przyzwala skinieniem.

– Dżentelmeni zapewne cię oczekują.

Służący czeka na niego w jego pokoju. Strój, którego James wcześniej nie widział, leży rozłożony na łóżku: garnitur z czerwonego atłasu, jedwabne pończochy, buty ze srebrnymi kłamrami. Nigdy nie miał na sobie ubrań takiej jakości. Przegląda się w lustrze. Służący czeka, starając się nie być widocznym w lustrze. Kiedy James odwraca się do niego, prowadzi go tam, gdzie zebrali się dżentelmeni, do pokoju na parterze, pachnącego dymem z fajek i chemikaliami. Jedno mocne światło stoi na stole. Obok – centralny punkt pomieszczenia – skomplikowane urządzenie, wąskie na dole, u góry rozszerzające się w błyszczącą szklaną kulę. Wewnątrz kuli siedzi gołąb, chwilami spokojny, chwilami bijący skrzydłami o szkło. Dno szklanej kuli obryzganę jest odchodami ptaka. Dżentelmeni zgromadzili się wokół stołu. Kilku nosi okulary; jeden robi notatki na arkuszu pergaminu. Pan Canning stoi obok maszyny, trzymając korbkę przyczepioną do dwóch owiniętych w skórę tłoków u podstawy urządzenia. Te tłoki usuną ze szklanej kuli powietrze. Pan Canning nazywa szkło „pojemnikiem”. Poza postrzępionym kręgiem światła pokój jest bardzo ciemny. Nie wiadomo, czy w ciemnościach są inne osoby. James podchodzi bliżej, twarze obracają się, żeby zobaczyć, kto wszedł, spojrzenia zawisają na nim na chwilę, potem wracają do eksperymentu. Widzieli go już kilkanaście razy, ale maszyna Canninga, zbudowana jego własnymi rękami, jest egzemplarzem wyjątkowo luksusowym.

– Teraz, panowie – mówi Canning.

Zaczyna obracać korbkę. Ptak natychmiast reaguje na zmianę atmosfery. Ostatnia szaleńcza próba lotu, rozbicia szkła. Wściekły, spięty wybuch energii. Potem niewidzialna ręka opada na grzbiet gołębia, przyciskając go do dna pojemnika. Niektórzy z dżentelmenów kiwają głowami. Ten, który notował, patrzy ponad okularami, mruczy: „Tak, tak”. Inny spogląda w bok, w ciemność. Pan Canning obraca korbkę; ptak jest w konwulsjach, na wpeł rozpostarte skrzydła są rozpląszczone na szkle. Ciało skręca się. Spazmy są coraz mocniejsze. Potem słabną, przechodzą jakby w słabe drżenie. Słychać tylko równomierne cykanie zapadek nad tłokami. Ptak nieruchomieje. Pan Canning puszcza korbkę. Cisza, potem szloch. Ktoś poza kręgiem światła. Pan Canning uśmiecha się. Ma twarz mądrego anioła. Wyciąga rękę i ustawia mechanizm na szczycie pojemnika. Słychać syk powietrza, ptak natychmiast ożywa, choć porusza się jak pijany. Pan Canning sięga, ostrożnie wyjmując ptaka ze szklanej kuli, otula go delikatnie dłońmi. Bliźniaczki, ocierające łzy, ale już pocieszone, wynurzają się z cienia. Pan Canning podaje gołębia Ann. Ptak wygląda zupełnie spokojnie, jakby już zapomniał o swym cierpieniu. Dżentelmeni biją brawo, służący wnoszą

więcej światła, a za światłami inni służący niosą kryształowe karafki z porto, bordeaux i brandy. Goście wznoszą toasty:

- Za przyszłość!
- Za wiedzę!
- Za Newtona!

Pan Canning obchodzi stół i zbliża się do Jamesa.

– Bardzo dobrze wyglądasz w nowym ubraniu, drogi chłopcze.

Poprawia połę surduta Jamesa; matczyne dotknięcie.

– Panowie! Chciałbym was prosić o chwilkę uwagi... Pragnę przedstawić wam tego młodego człowieka – pan James Dyer – który od pewnego czasu mieszka w moim domu. Mam nadzieję wiosną przywieźć go do Londynu i przedstawić bardziej oficjalnie na jednym z naszych regularnych spotkań.

Mężczyźni badawczo obserwują chłopca; niektórzy pochylają głowy w nieznacznym dobrodusznym ukłonie. Bliźniaczki podchodzą i stają obok niego. Canning stoi za nimi z jedną ręką na ramieniu Jamesa, drugą na ramieniu Ann. Mówi:

– To moja rodzina. Kocham ich jak własne dzieci. Myślę, że są już w tym wieku, kiedy można wypić kieliszek wina.

Bliźniaczki stają się obiektem wielkiego podziwu. Bordeaux barwi ich policzki, w oczach odbijają się wszystkie płomyki świec, noski drżą. Dżentelmeni, popijając obficie, są coraz bardziej szarmanccy. Zdają się smakować szczególnie urok bliźniaczek. Dziewczęta obdarzają łaskawymi uśmiechami Jamesa. Jego sposób bycia sprawia, że wygląda na znacznie starszego, niezależnego. Gdyby nie przepych jego surduta, mógłby uchodzić za dziecko kwaków. Niektórzy z dżentelmenów wykazują zainteresowanie chłopcem, dyskretnie go wypytyją, ale szybko nużą się lapidarnością jego odpowiedzi. Wracają do karafek, bliźniaczek lub swojego towarzystwa. Gruby mężczyzna, z ropuszą głową na pofałdowanej, obwisłej szyi, Bentley, zostaje. Przeprowadza chaotyczne dochodzenie na temat diety Jamesa, godzin snu, ogólnego stanu zdrowia. Przez cały czas jego paznokcie wpijają się w przegub chłopca, aż przebijają skórę i krople krwi plamią koronki nowej koszuli Jamesa. Bentley mówi:

- Jaki sprytny ten Canning, że cię znalazł. Spędzimy razem trochę czasu, ty i ja. Wyciąga z kieszeni dużą chustkę i ściera krew chłopca ze swoich palców.

## 8

Nie ma ostrzeżenia.

Budzą go wcześniej pewnego ranka, każą mu się ciepło ubrać, dają czekoladę do picia, jajka na śniadanie. Pan Canning czeka w holu, służący wygładza ramiona jego podróżnego płaszcza.

– Nie byłeś jeszcze, zdaje się, w Londynie – mówi Canning. – Niektórzy mówią, że to najwspanialsze miasto od czasów Rzymu Cezarów. Inni, że salon diabła. Oba opisy są prawdziwe. Czy widziałeś się z bliźniaczkami?

– Nie, proszę pana.

Od owej nocy z pompą powietrzną bliźniaczki leżą w łóżku z gorączką: sny pełne dymu, sny pełne ognia.

– Mniejsza z tym – mówi Canning. – Przywieziemy im coś z Londynu. Wachlarz, grzebień. Coś *à la mode*. Tak lubię robić im niespodzianki.

Wychodzą, kroczą korytarzem późnomarcowego słońca i wsiadają do chłodnego skórzanego wnętrza powozu. Słychać okrzyk: „Wio! W drogę!” i koła skrzypią po żwirze, przenoszą ich przez łagodne cienie drzew, podjazdem, przez żelazną bramę. Canning wyjmuje z kieszeni egzemplarz „Traktatu filozoficznego” i zaczyna czytać, od czasu do

czasu kiwając lub kręcąc głową nad jakimś wybornym lub kontrowersyjnym fragmentem. James wygląda przez okno. To samo, z którego po raz ostatni widział Gummera, rozciągniętego na bruku w Salisbury, bitego przez tych ludzi. Chciałby znowu zobaczyć Gummera, dowiedzieć się, co się z nim stało. Stanowili na swój sposób bardzo dobraną parę i zabawnie było nabierać tyłu ludzi. Może służący Canninga go zamordowali, a może chwije się gdzieś na rozstajach, skuty łańcuchami, za które ciągnie gawieź. Kto właściwie płakałby nad takim bezużytecznym, choć sprytnym człowiekiem?

O zmierzchu mijają Kensington Gardens. Mimo chłodu Canning otwiera okno, żeby chłopiec mógł lepiej widzieć, widzieć i słyszeć, miasto bowiem, ze swymi eleganckimi, oświetlonymi placami, żołnierzami na koniach, wózkami, wozami i przekupniami, tętni bardzo przyjemną wrzawą.

W kilku miejscach mijają kłębowski powozów i lektyk. Woźnice i tragarze wrzeszczą na siebie, rozwścieczeni i komiczni, a wiązanki ich przekleństw brzmią dziwnie oficjalnie. Dzieci o wielkich oczach i wątych kończynach przemykają pośród ulicznego ruchu. Żebracy wyciągają ręce do okna, cofają się przed batem woźnicy. Powiew spalenizny, powiew ścieków, a nawet lekki aromat perfum, gdy blisko nich przejeżdża powóz modnej damy.

Przez Piccadilly, St James's Street, potem Horse Guards Parade, Strand, Fleet Street... Powóz przystaje, lokaj otwiera drzwi, James i Canning wysiadają. Skręcają w wąskie podwórko z lewej strony. Na końcu podwórza stoi dom, przed którym świeci się latarnia. Gdy się do niego zbliżają, starszy mężczyzna w fartuchu i z laską wychodzi im na spotkanie.

– Witam pana, panie Canning. Większość dżentelmenów już się zebrała.

– Bardzo dobrze, Lute. – Canning wciska mężczyźnie do ręki monetę. – Prowadź.

Wchodzą do budynku, idą po schodach, mijając portrety przewodniczących i wychowanków Towarzystwa.

– Czy wiesz, kto to jest, Jamesie?

Canning zatrzymuje się przed najbardziej okazałym portretem. Człowiek o wąskiej twarzy, pozbawiony poczucia humoru, najwyraźniej bardzo poirytowany.

– Sir Isaac Newton, Jamesie. Miałem zaszczyt go poznać, kiedy byłem młody.

Lute prowadzi ich do drzwi w tylnej części domu. Nad drzwiami w złotym zwoju: *Nullius in verba*. Gdy Lute otwiera drzwi, słychać szum głosów, cichnących na widok Canninga. James rozpoznaje twarze kilku osób – w tym Bentleya – które były u nich w domu. Lute stuka końcem laski w podłogę, anonsuje ich przybycie. Canning bierze Jamesa za rękę i wchodzi z nim na podwyższenie. Stoi tam stół, a na nim szklanka i butelka.

– Czy znalazłeś dla mnie te rzeczy, Lute? – pyta Canning.

– Mam je tu, proszę pana.

Podaje Canningowi małą skórzaną torbę, która wygląda na zupełnie nową. Canning otwiera ją szybko, zagląda do środka, kiwa głową. Zegar wybija ósmą. Godzinę wybijają zegary w mieście. James stoi obok Canninga, wyglądając ponad głowami mężczyzn do ogrodu. Zaczęło padać.

– Panowie! Szanowni koledzy... Przybyłem tu dziś, tak jak obiecałem, żeby przedstawić wam najnowsze z moich cudownych odkryć. Jest to chłopiec, którego zobaczyłem występującego – w najlepszej wierze – w jarmarcznej budzie wędrownego szarlatana. Łajdak demonstrował na chłopcu skuteczność środka przeciwbólowego. Pokaz był niezwykle przekonujący, ale kiedy zbadałem owo panaceum, przekonałem się, że jest to kompletny humbug. A jednak widziałem na własne oczy tego oto chłopca, zupełnie niereagującego na zadawany mu ból. Skoro nie było to działanie leku – co z całą pewnością stwierdziłem – jak można by to wytłumaczyć? Poszedłem na kilka z owych pokazów i wysłałem moich ludzi na inne. Naturalnie podejrzewałem, że jest w tym jakieś oszustwo, jakaś sztuczka, jedna z tych, w jakich celują szulerzy i prestidigitatorzy. Dopiero kiedy upewniłem się, że nic takiego nie



ma miejsca, uwolniłem to dziecko z owej nieszczęsnej sytuacji i zaopiekowałem się nim w moim własnym domu. Chciałbym teraz, za pozwoleniem zebranych, przeprowadzić mały eksperyment, który, jestem pewien, przekona największych sceptyków, że mamy tu do czynienia z niezwykłym przypadkiem, wartym zainteresowania członków naszego Towarzystwa.

Canning wyjmuje z torby siedmiocalową igłę. Ma ona bardziej profesjonalny wygląd niż ta, której używał Gummer, ale pod wszelkimi istotnymi względami jest taka sama. Canning nakłuwa swój palec, żeby zademonstrować, że igła jest ostra. Odwraca się do Jamesa. James wyciąga rękę wnętrzem dłoni do góry. Canning ujmując go za palce, celuje końcem igły i przebija nią dłoń chłopca. James wrzeszczy. Canning patrzy na niego. W pokoju zapada cisza; ktoś chichocze.

Niskim głosem Canning mówi:

– To nie jarmarczny namiot, chłopcze. Niczego nie zamierzamy sprzedawać.

W jego wzroku nie ma teraz nic serdecznego, nic rodzicielskiego. Zwraca się do zebranych. Za jego plecami James wpatruje się w grubasa, który w odpowiedzi szeroko się uśmiecha.

– Muszę wyjaśnić, panowie, że od chłopca wymagano udawania bólu na początku pokazu, żeby przekonać tłum, iż jest on normalnie odczuwającą istotą, jednym z nich. Jeśli mogę jeszcze raz poprosić o panów uwagę, powtórzę eksperyment.

Powtarza go. Tym razem chłopiec nawet nie mruga. Szmer zdumienia ze strony zebranych. Dźwięk, który chłopiec dobrze zna.

Canning zanurza rękę w torbie i wyławia z niej szczypce. Podnosi je z wesołą miną, ukazując widzom, a następnie zaczyna zdzierać nimi paznokiec lewego kciuka chłopca. Wymaga to sporej siły, na górnej wardze Canninga pojawiają się kropelki potu. Znowu podnosi szczypce do góry – teraz w ich stalowych zębach tkwi paznokiec. Aplauz. Niektórzy z dżentelmenów wstają. Canning owija kciuk, klepie Jamesa po głowie.

– Chciałbym, szanowni panowie, móc powiedzieć, że odkryłem, jak to się dzieje, iż chłopiec, pod każdym innym względem podobny do innych chłopców w jego wieku, nie odczuwa bólu. Niestety, nie mogę się tym pochwalić. Wygląda to tak – przed chwilą panowie sami widzieli – jakby jego zdolność do cierpienia została zamrożona, i rzeczywiście wiemy, że schłodzenie bolącego miejsca często przynosi ulgę. Możliwe, że w tym wypadku wyrażenie „zimnokrwisty” jest czymś więcej niż tylko metaforą. A jeśli tak – jeśli zmysły są w jakiś sposób zamrożone – to powstaje ciekawe pytanie, jak roztopić ten lód i jakie wrażenie wywarłoby na dziecku doświadczenie bólu po raz pierwszy...

Następnym mówcą jest wielbny Joseph Seeper. Przywiózł dziwną mysz ze swego ogrodu w Stroud. Żadna z tych dwu występujących istot nie czuje się zbyt pewnie. Publiczność powoli się wymyka.

Jest już po północy, gdy powóz skręca z Charles Street na Grosvenor Square, gdzie pan Canning wynajmuje małe, ale luksusowe mieszkanie. Zostali zatrzymani przez swych wielbicieli, dżentelmenów z Towarzystwa, którzy ugościli ich jedzeniem i winami w górnej sali Mitre<sup>[4]</sup> na Fleet Street. Kilku z nich bardzo pragnęło, by pan Canning powtórzył swoje eksperymenty, ale on odmówił, twierdząc, że uchybiałoby to godności Towarzystwa. James tymczasem opróżnił butelkę wina, niemal niezauważony. Był ciekaw, jaki to będzie miało skutek, czy sprawi, że on stanie się tak samo hałaśliwy, jak inni, ale nie poczuł nic poza odległym wrażeniem ciepła, lekkim przyśpieszeniem myśli. Kiepska mikstura, mocno przereklamowana.

---

[4] Słynna gospoda, jedna z dwu o tej samej nazwie, mieszczących się przy Fleet Street; bywali w nich Samuel Johnson, Ben Jonson i Samuel Pepys (przyp. tłum.).

Gdy wchodzi po schodach do domu, Canning jest w dobrym humorze. Śpiewa cicho po włosku, wita wszystkich służących, zwracając się do nich po imieniu, i pozwala się całować w rękę, jakby był biskupem. W pokoju pełnym kryształowych kul opatruje kciuk chłopca. Ranka po igle już zaczyna się goić.

Służący prowadzi Jamesa do pomieszczenia na pierwszym piętrze, gdy służący wychodzi, chłopiec siada przy oknie i patrzy na ogród na placu. Pomimo późnej pory po ulicach nadal chodzą ludzie, nadal krążą pojazdy. Przechodzi straż: „Minęła pierwsza. Wszystko w porządku!” Człowiek w obszarpanym płaszczu przemyka przez plac jak karaluch. James używa nocnika, potem wdrapuje się do łóżka.

Jest nadal ciemno, gdy się budzi, ani śladu poranka. Usta i gardło ma suche jak papier. Nie wie, jak długo spał. Wstaje. Przy łóżku stoi świeca, ale nie ma czym jej zapalić. Po omacku wychodzi z pokoju. Korytarz jest ciemny, poza jednym lukiem światła z na wpół otwartych drzwi. Sunie w tym kierunku, słyszy dochodzący stamtąd stłumiony śpiew. Zagląda do środka; ma doskonały widok. Pan Canning siedzi nagi przy kominku w swojej sypialni, czytając „St James Chronicle”. Papier szeleści, Canning przewraca stronę, a potem, jakby nagle znudzony lekturą, składa szybko gazetę i upuszcza ją na podłogę. Z początku wygląda to na grę świateł. Canning, oprócz członka zwiniętego między udami, ma piersi. Nie duże ani pełne, nie piękne, ale niewątpliwie piersi. Jakiś ruch chłopca zdradza jego obecność, siedzący spogląda w tę stronę, oczy jak błyskawice w kamiennej twarzy, potem, widząc, kto to, Canning uśmiecha się, jakby chciał powiedzieć: „Nie domyślałeś się? Z pewnością się domyślałeś”.

## 9

W połowie lipca nadchodzi burza gradowa, grad wielkości gołębih jaj, wystarczająco duży, by ogłuszyć owce, a nawet je zabić. Przez tydzień ludzie mówią, że to zły znak, potem zapominają o wszystkim w ferworze prac żniwnych. Pan Collins w swym letnim surducie otwiera okna biblioteki; wpadają przez nie zielone muchy, wirują w powietrzu przesyconym zapachem książek.

James czyta albo drzemie, odbył jeszcze dwie wycieczki do Londynu z panem Canningiem i stracił dwa paznokcie. Niczego się od niego teraz nie wymaga. Bliźniaczki nadal niedomagają: wymioty w maju, wysypka z gorączką w czerwcu. Kiedy w sierpniu pierwszy raz od wielu tygodni zażywają świeżego powietrza, wspierając się na ramieniu Moliny, wyglądają, gdy James patrzy na nie z okna biblioteki, jak dwie staruszki, które wyszły na spacer z ulubionym siostrzeńcem.

Późne lato przynosi poprawę; odzyskują kruchą żywotność. Wkrótce potrzebują towarzystwa Jamesa podczas wypraw po polne kwiaty. Kiedy idzie z nimi Molina, szkicuje całą grupę; niektóre z tych szkiców przerabia na obrazy olejne: dwie dziewczynki i chłopiec siedzą pod drzewami, zamgleni w rozproszonym słońcu. Ze wszystkich portretów Jamesa Dyera – chłopca-wybryku natury, modnego lekarza – te namalowane przez Molinę, prawie szkice farbą nakładaną w bardzo swobodny sposób, zawierające niewiele szczegółów, są chyba najciekawsze. Dziewczęta zostały ukazane w swej tragicznej, nienaruszonej postaci; chłopiec siedzi wyprostowany, opierając się o drzewo, wyraz jego twarzy jest równie niewzruszony, jak u rzeźb pana Canninga. To twarz młodocianego mordercy, zidiociałego króla. Nawet postronny obserwator odczuwa niepokój. Ma do czynienia z zagadką.

Co w końcu każe Jamesowi tam pójść? Dlaczego tego dnia, a nie innego? Coś go wciąga, naoliwione tryby ogromnej maszyny. Nie wie, jak to nazwać. W jego gruczołach krąży światło i sienny pył. Sny roją się od psów. W poprzednim tygodniu wpatrywał się przez godzinę w wypreparowane genitalia kobiety w atlasie anatomicznym, studiując je niby mapę

krainy, po której niedługo będzie podróżować. Tego ranka budzi się, narzuca szlafrok i idzie prosto do sypialni dziewcząt, jakby otrzymał od nich wiadomość, zaproszenie snujące się potajemnie wąską nitką od ich do jego pokoju.

Zastaje je siedzące w łóżku, obierające jajka na twardo. Jeszcze tydzień do ich urodzin, dwa tygodnie do jego. Na szyi każdej z nich wiszą perły, przedwczesny prezent od pana Canninga. Uśmiechają się, ich uśmiechy krzyżują się tam, gdzie on stoi. Dziewczęta odkładają na wpół obrane jajka. Ann odrzuca kołdrę, James wchodzi do łóżka, kładzie się na plecach, wpatruje w baldachim.

Później, pamięta, było dużo chichotów, dziewczęta najwyraźniej sporo wiedziały. A wiele lat później, jadąc odsłoniętym powozem w Bath, z dwiema młodymi kobietami na siedzeniu naprzeciw, zdaje sobie sprawę z tego, że wiedza bliźniaczek mogła być jedynie owocem doświadczenia. Z kim? Canning? Molina? Czy były kochankami Moliny?

Pomiędzy chichotami dziwne chwile pełnej skupienia ciszy. Całe minuty ciężkiej fizycznej pracy. Ponieważ są połączone, każda z bliźniaczek odczuwa przyjemność drugiej. James gładzi jedną pierś, obie siostry wzdychają. Jak długo to trwa? Dość długo, by go znudzić. Dziewczyny sapią jak inwalidki, gruchają do niego i drażnią się z nim, chwilami stają się gwałtowne. Kontynuuje, pragnąc, by to doświadczenie było czymś porządnym, by miało właściwe zakończenie. Po pół godzinie pęka nitka pereł Anny; ciepłe perły jak rtęć rozbiegają się między ich ciałami, po załamaniach pościeli. Dziewczęta piszczą, kłękają, zaczynają je zbierać, umieszczając znalezione perły w ustach. James obserwuje przez chwilę bliźniaczki grzebiące w pościeli, z ustami pełnymi pereł. Potem wkłada szlafrok, wraca do swojego pokoju.

Inny dzień. Jest jeszcze ciemno. Grubas siedzi przy łóżku Jamesa. Trzyma w ręku świecę. Pachnie deszczem i brandy.

– Jak się miewa mój cudowny chłopiec?

Wyciąga zimną rękę, dotyka policzka chłopca. James mówi:

– Czy to dziś? Dla bliźniaczek?

– Tak, dziś.

– I mogę to obejrzeć?

– No pewnie, że możesz.

– Czy one umrą?

– A co by cię to obeszło? Ale to ciebie chciałbym pociąć. Założę się, że są w tobie tajemnice. Co powiesz, chłopcze – może to będziesz ty? Mógłbym być wtedy pewien, że będziesz spokojny. Że będziesz trzymał zamkniętą jadaczkę.

Drzwi otwierają się, zagląda pan Canning.

– Bentley?

– Tak, Canning. Już idę.

Wychodzą.

Chłopiec leży z otwartymi oczami.

Wchodzi do prywatnej sali operacyjnej pana Canninga przez drzwi prowadzące do ławek na balkonie nad stołem operacyjnym. Jest z nim Molina, pod pachą trzyma przybory do rysowania. Canning poprosił go, żeby sporządził dokumentację. Molina nie wygląda dobrze; cuchnie mu z ust. Kiedy bierze węgiel, ręka mu drży.

Canning ma na sobie atłasowy surdut, biały, wyszywany w srebrne róże, jakby to był dzień jego ślubu. Obok Canninga kilku panów z Towarzystwa siedzi już na swoich miejscach. Rozmawiają z ożywieniem, nieco za głośno. Światło dnia wślizguje się równo

przez świetlik w dachu, a wokół stołu, stołu z surowego drewna, takiego, jakie stoją w kuchniach, z drewnianymi klockami pod głowy dziewcząt, stoją trzy wysokie kandelabry; jest też służący z nożyczkami do przycinania knotów. Pod stołem ustawiono równo skrzynki z trocinami.

Otwierają się drzwi na dole. Wchodzi kwartet muzyków. Siadają, grzebią w nutach i badają swoje instrumenty, jakby dopiero niedawno je odkryli. Wydobywają kilka niepewnych tonów, potem zapada cisza. Wchodzi pan Bentley ze swoim asystentem, panem Hamptonem, i asystentem pana Hamptona, odźwiernym Lute'em, który niesie dużą tacę zakrytą ściereczką. Dżentelmeni w ławkach klaszczą. Operatorzy kłaniają się, zgrabnie i w porę. Potem pan Bentley odłącza się, podchodzi do drzwi, otwiera je i wprowadza bliźniaczki na salę operacyjną. Jeszcze większe oklaski. Bliźniaczki ubrane są w coś w rodzaju koszuli, rozciętej pośrodku i związanej tasiemkami. Aplauz się wzmacnia. Pan Canning wstaje; pozostali idą za jego przykładem. Molina zaczyna szybko szkicować, węgiel skrzypi po papierze. Szkic wygląda jak próba ukrycia czegoś.

Bliźniaczki zerkają w stronę balkonu, ku ławkom, na pochylonych, szarmancko uśmiechniętych mężczyzn w świeżo upudrowanych perukach, czystych koszulach, eleganckich surdutach, nie ma ani jednego, który nie skorzystałby z usług golibrody Canninga. Bliźniaczki są oszołomione, mrużą oczy. Po narkotykach, może alkoholu. Kiedy ich wzrok dociera do Jamesa, niemal go nie rozpoznają. Bentley trzyma rękę na łokciu Anny. Lute stoi między dziewczętami a drzwiami, jakby chciał zagrozić im drogę, gdyby próbowały uciekać. Dżentelmeni ponownie zajmują miejsca. Canning daje znak ręką. Bentley kiwa głową, prowadzi dziewczęta do stołu, pomaga im wejść, układa ich głowy na drewnianych podglówkach. Lute jak prestidigitator wyciąga z zamkniętej dłoni dwie chusteczki i kładzie je na twarzach obu dziewcząt. Chusteczki unoszą się i opadają gwałtownie nad ich ustami. Nieosłonięta niczym taca błyszczy od noży. Bentley i Hampton przebierają w nich, jakby chcieli któryś kupić. Lute mruczy coś do ucha jednemu z muzyków. Skrzypek stuka stopą w podłogę i sala wypełnia się dźwiękami wykwintnej uwertury do czegoś, co akurat cieszy się popularnością w mieście. Operatorzy biorą narzędzia, rozwiązują tasiemki przy koszuli dziewcząt. Bentley maca biodra dziewcząt, znajduje odpowiednie miejsce i wbija nóż. Ciało bliźniaczek podskakuje. Lute i Hampton przyciskają je do stołu. W pokoju robi się nagle bardzo ciepło. Dziewczęta nie krzyczą aż do czwartego cięcia. Molina z jękiem rzuca się w tył, James wychyla się do przodu. Wrzask trwa około minuty, potem następuje gwałtowny upływ krwi, czerwona fala zalewa stół. Lute kopie jedną ze skrzynek, żeby krew spłynęła do niej, ale kopie za mocno, tak że krew wychlustuje się górą. Hampton próbuje znaleźć naczynia, które Bentley przeciął. Widzi jedno, zaciska je, zaczyna podwiązywać, ale krew bucha nieubłagany strumieniem. Muzycy już się pogubili; każdy gra to, co potrafi jeszcze odnaleźć w swej głowie. Nóż wyslizguje się Bentleyowi z ręki i z brzękiem spada na podłogę. Bentley klnie i chwyta następny z tacy. Jego fartuch jest zupełnie przemoczony. James odwraca się i widzi Molinę, skulonego, z poszarzałą twarzą, wymiotującego na własne buty.

Chusteczki nad twarzami dziewcząt już się prawie nie poruszają. Hampton pracuje z furją; peruca zsuwa mu się na prawe oko, a gdy ją poprawia, zostawia na niej krwawy odcisk dłoni. Bentley odsuwa się od stołu, macha na służącego, żeby mu przyniósł kieliszek. Służący bardzo ostrożnie napełnia go brandy, ale i tak ją rozlewa. W końcu przynosi kieliszek na małej tacce. Bentley opróżnia go; wraca do pracy. Bliźniaczki są już połączone tylko niewielkim kawałkiem ciała w ramionach. Bentley pochyla nad nimi swe potężne bary i rozłącza je. Hampton nie nadąża. Krzyczy coś zupełnie niezrozumiałego do Lute'a. Kolejna fala krwi, tym razem pochwycona w skrzynkę. Bentley do Hamptona, wskazując na krwawiącą tętnicę:

– Złap ją, człowieku! Złap ją!

Oboista wyszedł z sali. Skrzypek i flecista grają dalej, jak we śnie, każdy sobie. Chusteczki już nie unoszą się i nie opadają. Bentley odkłada nóż, rozgląda się za szmatą do wytarcia rąk i nie widząc żadnej, zdejmuje chusteczkę z twarzy Ann. Twarz dziewczynki zwrócona jest w stronę siostry, usta są otwarte, powieki uchylone. Nie widać najmniejszych oznak życia. Molina już wyszedł. James bierze papier i węgiel, zaczyna rysować. Hampton płacze, nadal się z czymś mocując, chyba z jakąś tętnicą. Mówi, jakby przemawiał do dziewcząt:

– Za sibko! Cholela, za sibko!

Canning wstaje, mówi cicho:

– Dziękuję panu, panie Bentley. Jestem pewien, że zrobił pan wszystko, co było w pana mocy.

Wychodzi jak król Francji, jego dworzanie za nim. Bentley lekceważąco macha ręką. Kiedy patrzy potem w górę na ławki na balkonie, jest tam tylko James, który kończy swój szkic.

Tego wieczoru, myjąc się rozebrany do pasa, James znajduje na skórze małe kawałeczki skorupki od jajka. Nadzwyczaj trudno je usunąć.

Muzycy, całkowicie odmienieni, zostają, żeby zagrać muzykę żałobną w kaplicy na pogrzebie bliźniaczek. Pan Canning płacze rzewnie w swej ławce przez dziesięć minut, wygląda na całkowicie pogrążonego w bólu, ale potem odzyskuje siły i jest już znowu sobą na przyjęciu po pogrzebie, spacerując po galerii ramię w ramię z panem Bentleyem.

Dziewczęta zostają pochowane w oddzielnych trumnach, na prywatnym cmentarzu posiadłości pana Canninga. James stoi tam, zaglądając przez krawędź grobu, żeby zobaczyć, jak opuszczają trumny. Zastanawia się przez chwilę, która jest która, czy Ann, czy Anna jest na górze. Nie da się tego odgadnąć. Jest zimno jak na wrzesień; żałobnicy odchodzą, gdy tylko na trumny spada pierwsza grudka.

Spotyka Molinę dopiero w następnym tygodniu, kiedy zastaje go sikającego do jednej z amfor pana Canninga. Malarz jest pijany, ale nie bardzo.

– No cóż, mój przyjacielu. Wszystko się kończy. Ty, ja, Canning. Nawet ten wspaniały dom kiedyś obróci się w pył. Co do mnie, wolę złożyć kości w cywilizowanym kraju. Angielskie okrucieństwo jest jak angielskie gry. Nie rozumiem go. Jadę do domu. Żegnaj, James. Uciekaj z tego miejsca.

– Powiedział pan kiedyś, że pokaże mi pan chłopca z księżycą – upomina się James.

Molina rozgląda się, marszczy brwi w zdziwieniu, potem coś mu świta i malarz śmieje się.

– Chcesz zobaczyć?

Chłopiec kiwa głową.

– *Bueno, vamos...*

Idą przez wielkie salony, obok połączonych luster, gobelinów, kradzionych bożków, obok ogromnych malowideł, obok eleganckich mebli... Schody, korytarze, niespodziewane okna, znikające plecy służącego, drzwi zamykane gdzieś w oddali.

– Tu – mówi Molina. – W tym pokoju.

James rozgląda się po korytarzu, chwilowo zagubiony. Myślał, że podeszli do jego własnych drzwi. Teraz zdaje sobie sprawę, że rzeczywiście tak jest. Molina otwiera drzwi.

– Wejdz, Jamesie. Nie krępuj się.

Bierze chłopca za rękę, wcale nie delikatnie, i ciągnie go do pokoju, przed lustro.

– Znacie się już?

Molina wraca do drzwi.

– *Adiós*, mój przyjacielu. To niebezpieczne miejsce. *Peligroso*. Nawet dla ciebie.

James patrzy. Chłopiec z księżycą spogląda na niego. Na dworze pada drobny błękitny deszczyk. Służący z wiaderkiem drepcze do domu nad jeziorem.

Chłopiec, wyższy o dwanaście miesięcy, wychodzi z lasu, niosąc w rękach świetlistą kulę purchawki, niczym głowę olbrzyma, którego właśnie ubił. Za nim kuśtyka pies, szary trzynogi kundel. Są swego rodzaju towarzyszami; pies pełen ślepego oddania, chłopiec tolerujący obecność tego niezdarnego cienia. Czasem James rzuca psu patyk, śmiejąc się z jego komicznego galopu, entuzjazmu. Pies służy mu też do innych celów. Przybłąkał się do domu poprzedniej wiosny, z lewym uchem zwisającym na pasemku czerwonego mięsa. Przy pomocy pana Collinsa, który przytrzymał psa, James, posługując się igłą i nitką, przyszył mu ucho z powrotem, zręcznie, choć może nie całkiem równo. Był to jego pierwszy pacjent; kiedy pies zawiódł jako dostawca kolejnych ran, James zadawał mu je sam, nożem lub kijem, tak że pies, który przebiega teraz obok niego ku misternie przystrzyżonym krzewom we włoskim ogrodzie, ma na ciele kilkanaście blizn – niektóre z nich są sine, inne przybladłe, ale każda kolejna zręczniejsza niż poprzednia.

James idzie za nim do ogrodu, traci go z oczu wśród równo przyciętych zielonych ścian, słyszy, jak jego nerwowe ujadanie przechodzi w crescendo, a potem nagle milknie. Woła go; pies nie przybiega. James wchodzi do ogrodu, widzi taczkę do połowy wypełnioną obciętymi gałązkami, ale nie ma ogrodnika ani psa, chociaż ślad trójnogiego zwierzęcia jest widoczny w trawie. Krzewy lśnią, migoczą. Stado ptaków podrywa się nagle do góry i odlatuje w stronę lasu. Jakiś głos śpiewa, cicho, ochryple, zapewne to służący, w zakazanych zalotach do swej ukochanej. Potem głos odzywa się do chłopca, zwraca się do niego po imieniu, z wnętrza wiecznie zielonego kulistego krzewu.

– James! Tutaj.

Ryjąc od południowej strony, do kuli można wejść. James wczołguje się do środka. Siedzi tam Gummer, wesoły jak skowronek, obok martwego psa.

Przez chwilę James nic nie mówi. Patrzy na Gummera, jakby znalazł go zakonserwowanego w słoju z formaliną. Gummer rzeczywiście jest zakonserwowany, choć z nosa wystają mu siwe włosy, jego zęby przybrały inny odcień brązu, a skóra na szyi jest luźniejsza. James czuje się tak, jakby śnił to spotkanie w zielonym, przemokniętym mroku ogrodu, nawet jego szczegóły, takie jak pistolet o krótkiej lufie i dużym otworze, pistolet, który Gummer od niechcenia wycelował w jego brzuch.

– Kiedy ruszamy?

– No, to rozumiem, chłopcze! Kiedy tylko zechcesz. Czy mogę ci zaufać? Tak, myślę, że mogę. Czy przyniesiesz z domu swój ekwipunek? A gdybyś przypadkiem zapakował trochę sreber pana Canninga, cóż, byłaby to tylko rekompensata, odszkodowanie bez konieczności ciągnięcia tego łobuza po sądach; przecież byłeś moją własnością, chłopcze, a ten skurwiel mi cię ukradł. Trochę sera, skoro już o tym mówimy, mięsa i butelkę dobrego wina. Zajmę stanowisko przy drodze w takim miejscu, żeby widzieć, jak wchodzisz i wychodzisz. W razie jakiejś niespodzianki przyłączysz się do tego biednego Cerbera.

Czule klepie zwłoki psa.

– Comprendy vous? – kaleczy francuszczyznę. – Cholera, ale się cieszę, że cię widzę, chłopcze.

James wchodzi do domu, przez chwilę zastanawia się, czy nie zawiadomić służby o obecności Gummera, potem szybko pakuje co porządniejsze sztuki swojej garderoby. Idzie do biblioteki i wybiera te z ulubionych książek, które może szybko znaleźć. Z galerii bierze cztery srebrne tabakiery, a z kuchni, gdzie kucharka chrapie, grzejąc nogi przy kominku, ściąga dwa pieczone gołębie i pół butelki dżinu.

Nie jest trudno uciec. Siedzi za Gummerem na jego koniu, jadą na południe, torba Jamesa przewieszona między nimi. O ile to możliwe, trzymają się z dala od bitych dróg i wiosek. Co jakiś czas wieśniak z motyką na ramieniu lub dziewczyna zbierająca jagody rzucają im

badawcze spojrzenie, ale na ogół są sami, obserwowani jedynie przez bydło, owce i te stworzenia, które nocą przyciąga światło ich ogniska.

Trzeciego dnia wspinają się krętą dróżką między krzewami niebieskimi od owoców. Ptaki morskie szybują nad nimi, potem sto jardów za grzbietem wzgórza świat się kończy, a słony wiatr zrywa Gummerowi z głowy kapelusz, który pikuje do morza.

Przeprawiają się promem przez ujście rzeki Test i widzą Portsmouth w ostatniej godzinie słońca, pierwszej godzinie nocy. Woda dłużej pozostaje jasna niż ląd. Nawet w Bristolu nie widział James nigdy takiego zgromadzenia okrętów, okrętów w portowej zatoce, i wielkiego ich tłumu, którego nie dałoby się szybko policzyć, w cieśninie Spithead. Pomiedzy wielkimi okrętami mniejsze statki wszelkiego rodzaju – barki, szalupy, gigi – pływające tu i tam, głosy marynarzy brzmiące dźwięcznie niby krzyki ptaków. Wjeżdżają do miasta. Wszędzie żeglarze spacerujący rozkołysanym krokiem, marynarze na przepustce w krótkich kurtkach, wszyscy rozmawiają hałaśliwie, a u ich boku szpetne dziwki, równie wrzaskliwe jak ich mężczyźni. James i Gummer przejeżdżają obok świateł biura werbunkowego. Z górnych okien zwisa biała flaga z czerwonym krzyżem, wielka niczym żagiel. Mężczyźni w mundurach, o ciemnych twarzach, błyszczących, taksujących oczach, obserwują ich przejazd. Jeden woła: „Hej tam, chłopcy...”, a Gummer ściska boki konia piętami i ponagla go seria cmoknięć.

Dom stoi na uboczu. Koń musi szukać drogi wśród śmieci. Jakieś postacie przemykają obok w ciemnościach.

– Oto nasz dom, chłopcze – na razie. Chodź, przywitaj się z mamusią.

Dom, sądząc po niewyraźnych konturach, wygląda jak przybudówka w wiejskim gospodarstwie i może kiedyś nią był, zanim połknęło go miasto. Wewnątrz jednak wykazuje pewne cechy domowego ogniska. Ogień płonie w palenisku, na ścianach wiszą obrazy, w kredensie stoi porcelana, nawet dwie pelargonie zdobią parapet zasłoniętego okna, a w górze duża papuga o złośliwym wyglądzie huśta się nerwowo na swoim drążku.

Grace Boylan stoi przy drzwiach ze świecą w ręku i szalem na głowie. Rzuca okiem na chłopca, potem sięga ponad jego ramieniem, bierze Gummera za rękę i prowadzi do ciepła. Sadza mężczyznę na krzesło, nalewa mu szklaneczkę zsiadłego mleka z piwem, a gdy Gummer pije, głaszcze go po policzku, szczebiocze i składa swe zwaliste ciało na jego kolanach.

Gummer opróżnia szklanę z westchnieniem, rozjaśnia się i mówi:

– Mówiłem, że go przywiozę. Zobacz, jak urósł. Ho, ho, musieli go dobrze odżywiać.

Spycha kobietę z kolan, krzywi się i wstaje.

– Najpierw obowiązki.

Pokonuje odległość z niezwykłą zwinnością i trafia chłopca sierpowym w bok głowy. James chwieje się na nogach, a wtedy Grace wymierza mu drugi cios, potem trzeci, doskonale wyważone i wymierzone. James pada na podłogę. Zaczynają go kopać.

– Nie po głowie! – krzyczy Gummer. – Nie po głowie!

Kontynuują swe zajęcia przez pięć minut, potem opadają na krzesła, ciężko dysząc. Boylan wygląda na wykończoną, jakby to ją kopali, a jednak uspokojoną; chyba dobrze jej to zrobiło, przyniosło nieco ulgi.

James leży rozciągnięty na podłodze. Nie jest mu niewygodnie, tylko nie może złapać oddechu. Sufit pulsuje jak skóra. W pokoju się ściemnia. Chłopiec widzi, jak Gummer zdejmuje buty i grzeje stopy nad paleniskiem.

– Jutro, Gracie, musimy to uczcić. Wypijemy wszystko, co jest w mieście. Co ty na to?

Papuga jak upadły anioł szybuje ze swej żerdzi i siada na oparciu krzesła Gummera.

– Nie po głowie! – krzyczy. – Nie po głowie! Nie po głowie!

Kiedy James się budzi, leży na łóżku w ubraniu. Naprzeciwko łóżka jest małe okno. Szare początki dnia przesączają się ponad dachem domu po drugiej stronie drogi. Siada, zdejmując koszulę i patrzy na pręgi na piersiach. Imponujące. Zsuwa się z pośłania, podchodzi do okna. Nie ma parku, nie ma labiryntu, nie ma sinych lasów. Na ulicy w dole, przykucnięta w brukowanym rynsztoku dziewczynka obejmuje za szyję psa i obserwuje złotą strużkę swoich sików, wijącą się między kamieniami. Jakiś człowiek wychyla się z okna, drapie się po twarzy, sprawdza, jaka pogoda.

U stóp łóżka leży paczka. James siada na łóżku i bierze ją na kolana. Stare ubrania, w większości zupełnie już bezużyteczne, za małe, podarte. Upuszcza je na podłogę. Pod łóżkiem stoi pudełko z odrapanymi ściankami, odłupanymi kawałkami drewna. Chłopiec otwiera je. Wenus toczy się wewnątrz pudełka niczym kulka do gry. Słońce jest wgniecionie. Księżyc zatacza się jak pijak, oddalając się od Ziemi.

James zabiera się do pracy, cierpliwie odtwarza swój wszechświat.

Dla przygodnego obserwatora w mieście wyglądają jak rodzina. Gummer czasem o tym wspomina, nawet Grace zdaje się wczuwać w swoją rolę i kiedy w bufecie knajpy „Pod Kotwicą” sutener Israel England wskazuje na podobieństwa – ręce ojca, nos matki – przysuwa się do Jamesa i detonuje w pobliżu jego policzka pocałunek z ostryg i porteru.

Z „Kotwicy” do „Powrotu Marynarza”, potem do „Czarnego Konia”, „Królowej Anny”, „Gwiazdy”, „Białego Konia”, „Winogron”, z powrotem do „Czarnego Konia”; potem z werwą i krzykiem do „Homara”, gdzie Gummer wali czołem w nadproże, ale jest na razie tak nieczuły na ból, jak chłopiec, jak młodzieniec, jak młody mężczyzna idący za nim.

Grace przykładą Gummerowi chusteczkę do skaleczenia, zamawia dzin i gorącą wodę. Piją, jakby nie pili od wielu dni. Tylko James widzi, co się dzieje, widzi dłonie zasłaniające usta jak karty, słyszy ciche szmery rozmów spiskujących mężczyzn, dostrzega, nie całkiem rozumiejąc, obecność niebezpieczeństwa. Jeśli im teraz powie, czy ich ocali? Czy mu na tym zależy? Patrzy na Gummera. Nie było mu przykro, kiedy zobaczył go tam, w krzewie, jego chytry uśmiech, szybkie, rozbiegane oczy. Ale Gummer się zmienił albo on sam się zmienił. Co mu się właściwie w nim podobało? To, że Gummer poznawał go wtedy, kiedy inni nie poznawali, albo przynajmniej udawali, że nie poznają. Bo jeśli istniał jakiś zapas dobrej woli, mizerny zapas, dawno się już wyczerpał.

– Do dna, Gracie! – mówi Gummer.

Facet w białym drelichu, z rękami wytatuowanymi w niebieskie pajęczyny, wychodzi, patrzy przez ramię na chłopca, gdy go mija. Spojrzeć mu w oczy znaczy zostać współnikiem. James spogląda; nic nie mówi.

Grace i Gummer kończą napoje i chwiejnie wychodzą. Jest już ciemno. Gummer tańczy, bardzo swobodnie, potem wsparty na ramieniu chłopca woła:

– To jest to, czego nigdy nie poznasz! – Robi ruch ręką, jakby przedstawiał mu noc. – Żal mi ciebie. Żal mi ciebie. Boże!

Pada na kolana. Grace podnosi go, opiera na swoich plecach, zarzuca sobie jego ręce na szyję, głowa Gummera opada na jej ramię, stopy wloką się z tyłu po ziemi. James rozgląda się za marynarzem, zdaje mu się, że go widzi w podcieniu sklepu; jego i jeszcze jednego.

Kierują się do domu, James nieco z tyłu. Gummer śpi spokojnie na plecach kobiety. Wygląda księżyc, nadając ulicy czarny połysk. Mężczyźni w pewnej odległości idą za nimi. Przed drzwiami domu James rzuca okiem do tyłu, ale ulica jest pusta. Grace mówi:

– Pomóż mi go wnieść.

James bierze Gummera za nogi. Schody są bardzo wąskie, bardzo ciemne. Grace zapala świecę za piątą próbą.



Gummer leży na łóżku, z obwisłą szczęką, szparki białek lśnią między powiekami. Grace szczypie go w policzek. Mężczyzna budzi się, siada i śpiewa: „Przynieście wina starego dzban...” Potem znów pada, uśmiechnięty, głęboko uspiiony. Grace mówi do Jamesa:

– Zarygluj drzwi.

James schodzi na dół. Ogień jeszcze się żarzy. Znajduje ogarek świeczki na półce, przypala go od żaru. Uchyla drzwi frontowe na dwa cale, idzie na górę spakować torbę. Planetarium owija w swój aksamitny surduty, wkłada głęboko do torby, potem znosi torbę na dół i czeka przy kominku. Nie trwa to długo. Słychać szelest, cichutki, jakby pies grzebał w śmieciach. Chłopiec podchodzi do drzwi. Stoi tam uśmiechnięty mężczyzna z pałką w dłoni, kładzie palec na ustach. James wskazuje na górę. Do człowieka stojącego za nim, ogromnego Chińczyka, marynarz mówi:

– Zostań tu, Ling-ling. Zaopiekuj się naszym nowym kumplem. Warren, Kinneary. Za mną.

Gdy wchodzi po schodach, James widzi, że są na bosaka. Chińczyk wkłada różne rzeczy do kieszeni. Nie wygląda to jak kradzież. James, który dał Gummerowi tylko trzy tabakierki Canninga, daje czwartą Ling-lingowi. Chińczyk bierze ją, puka w wieczko palcem. Mówi:

– Nazywają mnie Ling-ling, jak dzwon. Naprawdę nazywam się Easter Smith. Moje dawne nazwisko brzmi Li Chian Wu.

Sponad sufitu słychać potężny łomot, jakby ktoś podniósł łóżko i opuścił je na podłogę. Jeden z marynarzy, Warren czy Kinneary, slaniając się, schodzi po schodach i wypluwa zęby. Na górze Grace Boylan wrzeszczy: „Mordercy! Mordercy!” Ling-ling idzie na górę. Głuche odgłosy, przekleństwa, coś dużego i pustego rozbija się o ścianę. Nagła cisza, potem pojawia się Ling-ling z Gummerem na rękach, za Ling-lingiem pozostali marynarze, a za nimi Grace Boylan złażąca na czworakach po schodach.

– Łaski! – krzyczy poprzez szloch płynący z serca. – On jest chory, nie widzicie? Chory. Jakaś potworna, zakaźna choroba. Zielona sraczka. Wszyscy pomrzecie przed poniedziałkiem.

Marynarz z tatuażami mówi:

– Znam tę chorobę, matko. Zdrowe morskie powietrze zaraz go wyleczy. Odplywamy, chłopaki!

Grace podnosi się; marynarz wali ją pałką, potem jeszcze raz, na szczęście. Wychodzą w noc. Przechodnie usuwają im się z drogi, stara kobieta wygraża pięścią. Na lewo i jeszcze raz na lewo. Gummer nadal na rękach Ling-linga, bezwładny jak kukła, mruży coś, ale się nie broni. Wchodzi do portu. Koło pachołka stoi mężczyzna w niebieskim płaszczu, z kordelasem u boku, i obserwuje ich powrót.

– Coś ciekawego, Hubbard?

– Dwa szczury lądowe, proszę pana. Młody przyszedł dobrowolnie.

Oficer zagląda w twarz Jamesa.

– Ochotnik?

– Tak.

Oficer wyjmując z kieszeni monetę i wręcza ją Jamesowi.

– Witaj w marynarce króla Jerzego. Zawieźcie ich łodzią na okręt. Powiedz panu Tedderowi, żeby tego młodego zapisał w księgach jako ochotnika. Uwijajcie się teraz!

Wypluwają. Wiosła skrzypią w dulkach; mężczyźni rozmawiają dziwnym żargonem. Słychać pozdrowienia z innych statków:

– Ahoj, kto tam płynie?

– Akwilończycy!

Jak wysokie są burty okrętowe! Niektóre z okrętów wojennych mają wysunięte działa, a przez otwory strzelnicze sączy się światło, muzyka, gwar głosów. Gummer, zwinięty w kłębek, dygocze na dnie łodzi. James opiera na nim nogi, przyciska torbę do piersi, wdycha

słoną bryzę. Widać latarnię na statku przed nimi, głos woła: „Ahoj tam!”, a Ling-ling, Easter Smith, Li Chian Wu, ciągnąc za wiosło, szepcze:

– Jesteśmy w domu.

*Kingswear, 10 stycznia, 1773*

*Wielebny David Fisher do wielbnego Juliusza Lestrade'a*

*Szanowny Panie!*

*Pan Buller z Admiralicji poinformował mnie, że chciałby Pan dowiedzieć się czegoś o morskich losach Jamesa Dyera, który, jak rozumiem, był Pana bliskim przyjacielem. Wiedząc, że pływałem na „Aquilonie” jako kapelan przez znaczną część lat pięćdziesiątych, pan Buller zasugerował, że mógłbym zapoznać Pana z niektórymi wspomnieniami, co – błagając o wyrozumiałość dla ułomności pamięci, ułomności spowodowanej upływem dwudziestu lat – postaram się niniejszym uczynić. Jest również w mojej mocy dostarczyć Panu nazwisk innych akwilończyków, a w szczególności pana Munro, którego dawny adres w Bath, być może jeszcze aktualny, zdaje się, posiadam.*

*Aby umieścić moją osobę w tej narracji, niech mi wolno będzie powiedzieć, że wszedłem na pokład „Aquilonu” wiosną 1753 roku, ukończywszy uniwersytet – byłem studentem New College – w roku poprzednim. Miałem nadzieję na probostwo w Mere, ale ponieważ przypadło komuś innemu, nie mając ochoty na jakąś biedną parafię, zwróciłem się do mego wuja, wówczas kapitana okrętu „Furious”, aby załatwił mi stanowisko.*

*Wiedziałem wtedy tak mało o morzu i o życiu na okręcie wojennym, jak każdy przeciętny Anglik, a gdybym miał wyobrażenie o trudach, nudzie i niewygodach owego życia, wątpię, czy postawiłbym nogę na trapie, a tym samym nie zaznałbym owych młodzieńczych przygód, o których, jak się obawiam, za bardzo lubię teraz opowiadać, ku rozpacz mojej biednej żony – pani Nancy Fisher, z domu Arbott, z Arbottów z Exeter – być może słyszał pan o tej rodzinie. Ale gdy człowiek się starzeje, lubi patrzeć wstecz na ów okres swego życia, kiedy znajdował się pośród ludzi czynu i nie chłonał całej wiedzy o świecie jedynie z gazety.*

*Wracając do tematu, płynąłem pod kapitanem Reynoldsem – o którego charakterze wspomnę więcej niebawem – najpierw do Gibraltaru, następnie do Port Mahon, a stamtąd na Antyle, gdzie cierpiałem na żółtą febrę; gdyby nie opieka pana Munro, myślę, że zakończyłbym życie na tym niezdrowym wybrzeżu, tak jak to się stało udziałem kilkunastu członków załogi.*

*Latem 1754 roku wróciliśmy do Portsmouth, gdzie opuściłem statek, żeby spróbować szczęścia na terra firma, ale znalazłszy się w równie trudnej sytuacji, jak poprzednio, zaciągnąłem się znowu pod kapitana Reynoldsa i właśnie powróciwszy do służby, po raz pierwszy zobaczyłem Jamesa Dyera, a ściślej mówiąc, musiałem go wtedy widzieć po raz pierwszy, wówczas bowiem na pokładzie pojawili się nowi ludzie. Nie mogę sobie jednak przypomnieć, żebym go wtedy zauważył, ani po prawdzie żadnego innego z nich, oprócz człowieka nazwiskiem Dabb, który biegał jak oszalały po pokładzie, wyskoczył przez reling i więcej go nie widziano. Jak Pan wie, smutnym i niegodziwym zadaniem marynarki jest zapewnianie sobie rekrutów siłą i nigdzie nie zobaczy się takiej bezbrzeżnej rozpacz, jak na twarzach tych nieszczęśników, gdy zostaną wrzuceni na pokład i znajdują się nagle w świecie tak im obcym, jakby znaleźli się na księżycu. Jeśli, wielebny pastorze, nie miał Pan nigdy zaszczytu spacerowania po pokładzie jednego z okrętów Jego Królewskiej Mości, obawiam się, że trudno będzie Panu zrozumieć świat, do którego trafił Pana przyjaciel. Sami marynarze – z wyglądu, języka i charakterów – są zupełnie niepodobni do swych lądowych braci. Uszy człowieka z łądu atakują na statku nieustannie rozmowy o wantach, sztagach,*

fałach, bramslach, bomach, kabestanach i innych. Jest to też, proszę Pana, świat tak uporządkowany, tak bardzo dbały i zazdrosny o swe obyczaje – kto ma prawo spacerować po górnym pokładzie, a kto nie, kto uważany jest za dżentelmena, a kto nie – że bardzo łatwo kogoś nieumyślnie obrazić.

Ja, rzecz jasna, byłem „próżniakiem”, jak nauczyciel – zawsze było na pokładzie kilkoro dzieci – i tak jak płatnik, cieśla, chirurg i jego pomocnicy, to jest wszyscy ci, którzy nie musieli pełnić wachty. Miało to kilka zalet, nie najmniejszą z nich była ta, że mogliśmy – w normalnych okolicznościach – spać przez całą noc, podczas gdy żaden marynarz nie sypiał nigdy dłużej niż cztery godziny z rzędu, a i ta nędzna porcja snu była na łasce pogody. Taki musiał być los Pańskiego przyjaciela – wcisniętego do cuchnących kabin między pokładami, sypiącego w hamaku zawieszonym tuż obok hamaków usmarowanych towarzyszy, jedzącego wszystko zbyt gorące lub zbyt zimne, wiodącego życie regulowane gwizdkami, przekleństwami i chłostą – bo bosman i jego pomocnicy rzadko wydawali rozkaz, któremu nie towarzyszyło smagnięcie biczem, i to na statku, gdzie panowała, wedle powszechnej opinii, umiarkowana surowa dyscyplina.

Domyślałem się, szanowny Panie, że niecierpliwi się Pan, chcąc się dowiedzieć, kiedy po raz pierwszy zauważyłem Jamesa Dyera. Zadawałem sobie to samo pytanie, siedząc tu przy biurku, i dopiero dwie minuty temu zostałem wynagrodzony prawdziwą odpowiedzią, tak jakby została zachowana w bursztynie.

Znajdowaliśmy się właśnie w Zatoce Biskajskiej i odbywałem swój codzienny poranny obchód z panem Shattem, nauczycielem, kiedy on wskazał mi Dyera i powiedział, że pan Drake – bardzo sympatyczny oficer, trochę zaawansowany wiekiem jak na aspiranta – wspominał o jego opanowaniu i o tym, że widział go spacerującego po rejach w wyprostowanej pozycji, jakby robił to co najmniej od dwudziestu lat. Kiedy spojrzałem we wskazanym kierunku, zobaczyłem młodego człowieka w wieku czternastu czy piętnastu lat, w płóciennej kurtce i luźnych spodniach, dobrze zbudowanego, przystojnego, choć o dość ponurym wyrazie twarzy, właściwie, jeśli mogę tak powiedzieć, nie urażając Pańskiej o nim pamięci, o wyrazie twarzy nieco butnym, i nie wątpię, że to było przyczyną plotki, iż jest człowiekiem dobrze urodzonym. Inne poszlaki zdawały się to potwierdzać. Na przykład miał ze sobą, kiedy przyszedł na pokład, torbę z ubraniami, wśród których były piękne surduty, kamizelki itd. A także planetarium w pudełku – pan Munro wymógł na chłopcu, żeby mu je pokazał. Niezależnie od tych poszlak – sugestywnych, ale nie rozstrzygających – szeptano uporczywie, że jeden z wcielonych siłą ludzi, starszy człowiek nazwiskiem Gunner, który przybył na pokład w tym samym czasie, jest albo był służącym Dyera. Jak rodzą się takie plotki, nie potrafię powiedzieć. Myślałem dawniej, że są jak pszczoły Herodota, samorodne, i oczywiście gdy się już pojawią, bardzo szybko roją się na całym statku. Gunner, o ile wiem, zaprzeczał jakimkolwiek powiązaniom tego typu.

Z początku sądziłem, że ta gadanina o szlacheckim pochodzeniu zaszkodzi Jamesowi Dyerowi u prostych marynarzy, a jednak, czy to z wrodzonej rewerencji dla urodzonego lepiej niż oni, czy też ze względu na jego niezwykle opanowanie, stał się ich faworytem, a mówiąc ściślej, był przez nich szanowany, choć nie sądzę, żeby ktokolwiek go naprawdę lubił.

Pan Daniel Tusker, mój nauczyciel retoryki w szkole średniej, prosił mnie, abym nigdy nie dokonywał uogólnień, nie przedstawiając jednocześnie szczegółowych przykładów, które ukazywałyby owych uogólnień prawdziwość. Niech mi więc będzie wolno przedstawić przykłady wspomnianego opanowania – lub też wytrzymałości, odwagi, śmiałości, czy jak tam zechcemy to nazwać. Przypuszczam, że kilka razy musiał zaobserwować je również Pan sam. Wspominałem już o tym, że James Dyer chodził po rejach – przy każdej pogodzie. Kolejny przykład stanowił fakt, że zupełnie nie dał się zastraszyć panu Cladingbowlowi – bosmanowi, który był wyjątkowym brutalem i wielkim zwolennikiem „frycowego”,

*paskudnego zwyczaju potajemnego bicia marynarzy, na który starsi oficerowie przymykali oko. Dyer za rozmaite wykroczenia, prawdziwe czy urojone, został pobity bardzo okrutnie przez Cladingbowla i jego kompanów, Dominika i Muddita, tak że w jednym przypadku wezwano nawet pana Munro, który stwierdził u chłopca rozległe rany na plecach i pośladkach, za co Dominik i Muddit spędzili tydzień w kajdanach, choć Cladingbow uniknął zasłużonej kary aż do Minorki, gdzie dostał kartaczem i niewiele z niego zostało.*

*Pana Munro przy owej okazji zdumiało to, że chłopiec, choć oszołomiony, nie wykazywał żadnych oznak cierpienia, jakie wszakże musi być następstwem takiego pobicia; jeszcze bardziej zdumiała go, zdumiała nas wszystkich, szybkość, z jaką pręgi na plecach uszkodowanego zniknęły, po spędzeniu bowiem zaledwie jednego, jak sądzę, dnia w izbie chorych chłopiec zgłosił gotowość do podjęcia służby.*

*Obawiam się, że kolejnego zdarzenia, które chciałbym tu przytoczyć, nie mogę zrelacjonować z czystym sumieniem, ponieważ nie byłem jego świadkiem i znam je tylko z drugiej ręki, z opowiadań porucznika Williamsa z piechoty morskiej. Miało ono miejsce podczas ataku na osadę Baracoa na wyspie Kuba, w którym Pański przyjaciel odegrał znaczną rolę. Nie mogę poprosić porucznika Williamsa, żeby sam panu zrelacjonował ową historię, ponieważ nieszczęśnik ten zmarł na krwawą dyzenterię, ale pan Drake, który mieszka w Brixham, dałby się może namówić.*

*Niedługo po ataku na Baracoa James Dyer został na prośbę pana Munro sanitariuszem, to jest kimś w rodzaju pomocnika pana Munro i jego współpracownika, pana O'Briena. Uwolniło to chłopca od rygorów wachty i pozwoliło mu przenieść się do kokpitu, który pomimo panującego tam mroku – jako że znajduje się głęboko w trzewiach statku – i odoru dolatującego z pobliskiego biura płatnika, musiał być prawdziwym pałacem w porównaniu z poprzednią kwaterą Jamesa. Miało to również ten szczęśliwy skutek, że uwolniło go od tyranii Cladingbowla, i to właśnie bez wątpienia było jednym z powodów, dla których pan Munro o niego poprosił, pan Munro bowiem, mimo pewnych słabostek dość rozpowszechnionych na morzu, był dżentelmenem troszczącym się o innych.*

*Wkrótce okazało się, że chirurg nie ma powodu żałować swej decyzji, przynajmniej jeśli idzie o zdolności młodego człowieka. Bardzo szybko okazał się on kompetentny w swojej pracy, a czego jeszcze nie umiał, uczył się bez wysiłku i stał się tak biegły, że aż wzbudził zazdrość w panu O'Brienie. Pan Munro i Pański przyjaciel tak wiele czasu spędzali razem, że muszą z przykrością odnotować, iż stali się bohaterami brzydkiej i niegodnej pogłoski, rozpuszczanej przede wszystkim przez pana O'Briena, ale później zdobywającej powszechny posłuch. Nie wspominałbym o tym i nie ryzykował sprawienia Panu przykrości starymi plotkami, gdyby nie pewne reperkusje, które sprawiają, że opis nawet tak niesmacznego epizodu może okazać się istotny.*

*Ku mej konsternacji, Munro nie robił nic, by chronić dobre imię swoje czy Pańskiego przyjaciela, wręcz przeciwnie, zdradzał wszelkie objawy zauroczenia chłopcem. Nie potrafię wytłumaczyć jego niechęci do zaprzeczania owym pogłoskom w żaden inny sposób, jak tylko ten, że jego poczucie godności przytępione zostało konsumpcją laudanum, którego, jak mi wyznał, przyjmował tysiąc kropli dziennie, co wystarczyłoby, by uśmiercić kogoś mniej przyzwyczajonego do owego środka. Spożywał również znaczne ilości rumu, częściowo z powodu stanu uzębienia, bardzo zepsutego; ból, który towarzyszy tej przypadłości, dawał się znieść jedynie dzięki regularnemu płukaniu zębów alkoholem. Biedny ten człowiek nigdy nie czuł się całkiem szczęśliwy, a obecność młodego pomocnika była dla niego tak oczywistym dobrodziejstwem, że rozłączanie ich wydawało się wręcz gruboskórnością. Niemniej jednak postanowiłem porozmawiać z młodym Dyerem i przekonać go o konieczności przeciwstawienia się kalumniiom. Rozmawiałem z nim dość szczerze i doradziłem, żeby spędzał mniej czasu w towarzystwie chirurga. Z początku zdawał się nie rozumieć, o czym mówię, a kiedy wyłożyłem rzecz jaśniej, uśmiechnął się tylko, odpierając moją interwencję w*

najostrzejszych słowach, tak że, mówiąc szczerze, zacząłem się obawiać o swoje bezpieczeństwo, choć nie jestem ułomkiem ani człowiekiem tchórzliwym.

Co do pana O'Briena, udało mu się w końcu sprowokować chłopca, i jestem pewien, że nie zdawał sobie sprawy, jak groźnego zyskał w nim wroga. Myślę, że znając temperament swojego przyjaciela, nie będzie Pan zaskoczony, jeśli powiem, iż O'Brien wkrótce żałował swych poczynań. Został pobity, ciężko pobity, kiedy zszedł na ląd w Colombo. Nikt nie był świadkiem owego wydarzenia, a O'Brien powiedział tylko, że napadnięto go, gdy wracał do portu jakimiś wąskimi uliczkami. Ogólnie jednak sądzono, że była to pośrednio lub bezpośrednio robota Jamesa Dyera. O'Brien odzyskał przytomność dopiero po tygodniu, a kiedy tylko dobiliśmy do Portsmouth, zwolnił się ze służby i słuch o nim zaginął. Nie podjęto żadnych oficjalnych kroków wobec Dyera. Jak mawiał kapitan Reynolds, „marynarka to nie miejsce dla maminsynków”.

Pozbawiony zastępcy pan Munro wystąpił do Izby Lekarskiej z wnioskiem, aby przeegzaminowano Jamesa Dyera i pozwolono objąć obowiązki O'Briena; dzięki znajomościom pana Munro z kilkoma członkami zarządu, Pański przyjaciel uzyskał szybko możliwość zaprezentowania medycznych talentów, odbywszy podróż z Portsmouth do Londynu w towarzystwie swego mentora i stanąwszy już następnego dnia przed komisją. Nie pamiętam, jaki był dokładny wynik egzaminu; w każdym razie wystarczający, aby James Dyer otrzymał patent, i zaryzykuję twierdzenie, że stał się w ten sposób jednym z najmłodszych ludzi, jacy otrzymali takie stanowisko, choć z drugiej strony, trzeba powiedzieć, że w marynarce mężczyzna – lub chłopiec – którego gwiazda jasno błyszczy, może awansować znacznie szybciej niż w jakiegokolwiek innej służbie; i tak niektórzy zostawali kapitanami przed dwudziestką, admirałami, zanim ukończyli lat trzydzieści.

Teraz muszę przejść do opisu wydarzenia, które, jak sądzę, szczególnie Pana zainteresuje. Jest to wydarzenie, które pozostanie świeże w mej pamięci aż do dnia śmierci. Trwa ono również wyraźnie w zbiorowej pamięci narodu. Lecz jest jeszcze jedna sprawa, dziwna rzecz, o której chciałbym opowiedzieć najpierw; powinienem był właściwie napisać o niej wcześniej, gdyby inne zdarzenia nie wyparły jej z mej pamięci. Dotyczy ona domniemanego sługi Jamesa Dyera – Gunnera – i miała miejsce jakieś dwa miesiące od dnia, gdy obaj zjawili się na pokładzie w Portsmouth. W spiżarni odkryto zaszyte w hamaku ciało kobiety, dużej kobiety, w stanie posuniętego rozkładu, wymagające szybkiego pochówku, zanim zapasy chleba staną się niezdatne do spożycia. Dochodzenie ujawniło, że była „żoną” Gunnera – nie było rzeczą niespotykaną, że marynarze zabierali swe kobiety na morze – choć jej nazwiska po tylu latach nie pamiętam. Wezwano mnie, abym odprawił pogrzeb, a ciało z trzydziestodwufuntową kulą u nóg zostało powierzone morskim falom przez samego Gunnera i dwóch innych mężczyzn, gdy znajdowaliśmy się kilka stopni na południe od Azorów. Gunner był tym bardzo przybity i nazywał zmarłą swoim „jagniątkiem”, co było dość niezwykle, zważywszy, że ledwo zdołaliśmy przepchnąć ciało tej kobiety przez otwór strzelniczy, po czym, owinięte płóciennym całunem, zapadło ono pod powierzchnię wody niczym biały rekin, którego widziałem koło Botany Bay. Naprawdę niewytłumaczalne są drogi, którymi chadzą męskie uczucia. Podejrzewam, że nie każdy mężczyzna uznałby panią Fisher za taki wzór kobiecej doskonałości, jakim jest ona dla mnie.

Nie muszę Panu zapewne przypominać wydarzeń z wiosny roku 1756, kiedy to Francuzi pod dowództwem markiza de la Galissonière i księcia de Richelieu wylądowali na Minorce i wyparli nasz garnizon do Fort St Phillip, nakładając blokadę na wyspę i rozpoczynając oblężenie fortu. „Aquilon” był jednym z okrętów wysłanych z sir Johnem Byngiem na Morze Śródziemne, a dotarł do brzegów Minorcy dziewiętnastego maja. Rozkazano nam następnie nawiązać komunikację z fortem, ale nasze wysiłki pokrzyżowało pojawienie się głównych sił floty francuskiej na południowy wschód od nas. Choć byłem już od kilku lat na morzu i

brałem udział w licznych pogoniach i małych utarczkach, nie oglądałem jeszcze nigdy tylu nieprzyjacielskich jednostek naraz, i widok ten wzbudził wielki niepokój w moim sercu; nigdy, wcześniej ani później, takiego nie doświadczyłem. Nasza własna flota, złożona z trzynastu dzielnych okrętów wojennych, uformowała linię, aby powstrzymać wroga, ale wiatr ucichł i zapadły ciemności, zanim zdołaliśmy nawiązać walkę, zmuszeni byliśmy zatem przepędzić bezsenłą noc, pełną napiętego oczekiwania. Niektórzy z marynarzy prosili mnie, żebym napisał listy do ich bliskich, pożegnalne listy, co też uczyniłem, siedząc na śródokręciu, pisząc przy świetle gwiazd pod dyktando marynarzy, i wysłanie z Gibraltaru, po bitwie, kilku z tych czułych pożegnań było potem moim smutnym obowiązkiem. Około czwartej poszedłem do kajuty, żeby zjeść trochę solonej wieprzowiny z moich prywatnych zapasów, i przykro uderzył mnie widok pana Munro opartego bezwładnie o drzwi apteczki, z butelką rumu na kolanach. Próbowałem go obudzić, nie zdołałem, więc wezwałem Jamesa Dyera, żeby pomógł mi zanieść chirurga na jego koję. Pański przyjaciel leżał w swoim hamaku, wcale nie był zadowolony, kiedy go obudziłem – głęboko wierzę, że był jedynym człowiekiem na statku, który wówczas spał – i oświadczył mi bardzo dobitnie, żebym poszedł do diabła. W końcu podniosłem chirurga przy pomocy pana Hodgesa, płatnika, a potem wróciłem na pokład, bo nie mogłem wytrzymać pod pokładem w takiej chwili.

Ranek zastał nas spowitych mgłą i tylko z trudem mogłem rozróżnić maszty „Intrepida” przed nami, ale później słońce pochłonęło mgłę, a flotę francuską dostrzeżono dwanaście mil na południe i na wschód od nas. Zagrzmiało działo sygnalizacyjne i nasze okręty, które rozproszyły się trochę w nocy, uformowały znowu szyk bojowy i pociągnęliśmy na wroga w dwu eskadrach – jedną z nich dowodził admirał Byng, a drugą, w której był „Aquilon”, kontradmirał West.

Wielokrotnie nakazywano mi zejść pod pokład, ale przez godzinę nie mogłem oderwać się od panoramy wrogiej floty, teraz bardzo wyraźnie widocznej, niemal tuż-tuż na lewej burcie, z wysuniętymi lufami dział i małymi figurkami, uwijającymi się na pokładach. W końcu pozwoliłem się przekonać panu Drake’owi i ruszyłem na dół przez pokłady, na których kanonierzy przykucali przy swych armatach. Pamiętam, że porucznik Whitney w pędzie zbił mnie z nóg, a potem skrzyczał, używając najwulgarniejszego języka, zanim zdał sobie sprawę, kim jestem, za czym prosił o wybaczenie i przydzielił mi jako eskortę ogromnego Chińczyka, który zaprowadził mnie na dolny pokład.

Może Pan sobie wyobrazić moje przerażenie, kiedy dowiedziałem się od pana Hodgesa, że chirurg nadal śpi na swojej koi. Udałem się tam bez zwłoki i zorientowałem natychmiast, że sprawa jest beznadziejna. Choć rozgniewał mnie ten dowód beztroski i lekceważenia, bałem się również o pana Munro, gdyby bowiem sprawa doszła do uszu kapitana Reynoldsa, mogło się to zakończyć sądem polowym. Powiedziałem: „Co robić, panie Hodges?” a James Dyer odpowiedział: „Już zostało zrobione”, czy coś w tym rodzaju. Miał na sobie fartuch pana Munro i stał przy stole operacyjnym, skleconym z marynarskich kufrów, pokrytych płachtą żeglarskiego płótna. Miał przy sobie narzędzia – narzędzia pana Munro – i wyglądał na człowieka, który ma za chwilę zasiąść do smacznego obiadu. Powiedziałem: „Nie zamierzasz chyba pracować sam, Jamesie?”, na co on odpowiedział, że nie, i zaczął mnie namawiać, abym został jego pomocnikiem. Zupełnie mi się ten pomysł nie podobał, ale pan Hodges uznał chyba, że jest całkiem dobry, i zaproponował swoje własne usługi w charakterze drugiego pomocnika tak ochoczo, że nie widziałem możliwości odmowy.

Włożyłem starą kurtkę marynarską i grałem potem z innymi w karty, choć bez żadnej przyjemności, bo bardzo pragnąłem wyjść na pokład i zobaczyć, jak nam idzie z Francuzami. Tuż przed trzecią po południu poczulismy, że statek robi zwrot. Pan Hodges, który był na morzu od dwudziestu lat, pokiwał głową, mówiąc, że wkrótce się zacznie i żebym się pomodlił za zwycięstwo i przetrwanie. Wypowiedziałem więc słowa, których teraz nie zdołałbym za nic powtórzyć, z pewnością dość chaotyczna to była modlitwa, ale wszyscy w

izbie chorych – dwie kobiety, dwójka małych dzieci, pan Shatt i niejaki Stoker, syfilityk, zbyt słaby, by mógł walczyć – pochyłili głowy. Wszyscy, z przykrością muszę to powiedzieć, z wyjątkiem Dyera. Moje „amen” zagłuszył huk ognia, nie naszego, lecz nieprzyjacielskiego, i poczułem, jak dobry stary „Aquilon” drży cały, przyjmując na siebie jego siłę.

Była to, jak udało mi się ustalić później, pierwsza z salw wymierzonych w eskadrę admirała Westa, gdy pod rozwiniętymi żaglami gnaliśmy wprost na linie francuskie. Dwa następne pociski wystrzelono w odstępach czterech czy pięciu minut, zanim poczuliśmy, że okręt znowu zmienia kurs. „Teraz – krzyknął pan Hodges, który właśnie bandażował rękę jakiegoś marynarza i w którym nagle obudził się wojenny duch – teraz rozwalimy im nosy!” Był prawdziwym prorokiem, jeszcze bowiem nie skończył mówić, a już wystrzeliły nasze działa. Mój Boże, jakaż to była kanonada! Lampy przygasały i rozjaśniały się, gdy wybuch na wyższych pokładach zasysał powietrze z dolnego pokładu, a po każdej salwie słychać było potężny rumor lawet i łoskot stóp marynarzy pędzących do magazynów i skrzyń z amunicją.

Straciłem zupełnie poczucie upływającego czasu. Pamiętam wielką suchość w ustach. Nie będę udawał, że się nie bałem. Nie rozumiałem, jak okręt wytrzymuje takie cięgi, jak mógł przeżyć ktokolwiek na górnych pokładach. I rzeczywiście, wielu nie przeżyło, wciąż też przynoszono rannych do lazaretu, niektórzy z nich krzyczeli, niektórzy mdleli, niektórzy znosili swe rany z najprzykładniejszym męstwem. Wkrótce trudno było przejść ze względu na liczbę nieszczęśników leżących na podłodze. Co chwila słychać było krzyk: „Lekarza!”, a bardzo wielu, nawet starsi ludzie, wzywało swoje matki.

Pośród tego wszystkiego królował James Dyer. Ani przez moment nie słabła jego koncentracja, ani na chwilę nie przerwał pracy, by odpocząć, zetrzeć pot z czoła czy czegoś się napić. Przynosiliśmy mu najgorsze przypadki – wiszące bezwładnie ręce, zmiążdżone nogi, rozprute brzuchy – a on ciął, szył i wpychał wnętrzości na swoje miejsce. Przysięgam Panu, że znajdował przyjemność w tym demonstrowaniu swego geniuszu, i nie wierzę, by jakikolwiek chirurg ciął kiedy ludzkie ciało z chłodniejszą głową czy pewniejszą ręką, a już na pewno nie w takiej sytuacji, gdy cały świat trząsał się wokół.

W pewnym momencie usłyszałem za sobą jakieś poruszenie i zobaczyłem, że przyszedł pan Drake, który krzyczał, że kapitan jest ranny, i żądał, by chirurg poszedł na górę i tam się nim zajął. Pan Munro nie był oczywiście w stanie tego zrobić, więc spadło to na Pańskiego przyjaciela. Zamierzałem pozostać w lazarecie, ale pan Drake powiedział, że moje usługi mogą być również potrzebne, tak więc poszedłem na górę za Dyerem.

Pokład armatni był jedną wielką chmurą szarego dymu. Każde działo, nasze i nieprzyjacielskie, strzelało tak szybko, jak tylko dało się je powtórnie załadować, wszystkie były więc tak rozgrzane, że zachowywały się niczym rozbrykane żrebaki, skacząc wysoko, a potem odskakując do tyłu z wielce przerażającą siłą.

W kilku miejscach musieliśmy przestępować ciała zabitych mężczyzn, a także młodych chłopców – bo pamiętam doskonale, że widziałem twarz biednego Williama Oaksa, którego dziesiąte urodziny wypadły dzień przed bitwą. Nie widać było przyczyny śmierci, na ciele nie miał śladów, tylko mały siniak nad okiem.

Na górnym pokładzie jatki okazały się jeszcze większe, a gdy szliśmy do nadbudówki, krew zbryzgała nam pończochy. Wokół rozlegał się taki gwizd pocisków, iż byłem głęboko przekonany, że nie zejdem już nigdy na dół, że nadeszła moja godzina, nie wydawało się bowiem możliwe, żeby ktokolwiek przeżył w tak zabójczej atmosferze. W gruncie rzeczy doszedłem do nierozumnego przekonania, że cała francuska marynarka wojenna postawiła sobie za punkt honoru, aby mnie zniszczyć, później zaś odkryłem, że taki pogląd nie jest niczym niezwykłym u ludzi w wirze bitwy. Przykre to z pewnością uczucie, czekając bowiem na uderzenie kuli, trzeba starać się zachowywać jak przystało na dżentelmena, to znaczy nie chować się po kątach czy pełzać na brzuchu, szczególnie gdy się jest w

towarzystwie człowieka, który maszeruje przez tę dolinę cieni, jakby się przechadzał po ogrodach Ranelagh.

Biedny kapitan Reynolds leżał, podtrzymywany przez pana Drake'a, obok płataniny ciał poległych marynarzy. Nie miał lewej nogi, a pan Drake powiedział, że wybuch musiał wyrzucić ją za burtę, ponieważ nigdzie nie mógł jej znaleźć. Kapitan zapytał, gdzie jest pan Munro. Powiedziałem, że pracuje na dole. Kapitan uśmiechnął się wtedy i powiedział, że cieszy się, iż widzi pana Dyera, bo jest pewien, że ten zna się na rzeczy. Zapytał: „Czy będę żył?“, a Dyer odpowiedział, że tak, bo noga została równo obcięta i rana nie jest bardzo zanieczyszczona. Kapitan podziękował mi i już mieliśmy znosić go na dół, kiedy nieprzyjacielska kula uderzyła w bezanmaszt, zarzucając nadbudówkę gradem odprysków, z których jeden trafił mnie w oko.

Niewiele mogę panu powiedzieć na temat tego, co działo się później. Z początku myślałem, że zostałem zabity, a jednak jakoś znalazłem się na dole, podobnie jak kapitan Reynolds, który, zgodnie z proroctwem Dyera, przeżył bitwę i przeszedł w stan spoczynku jako emerytowany admirał. Co do samej bitwy, cóż, wie Pan, jak się skończyła i jakie miała konsekwencje dla biednego admirała Bynga. Wróg przerwał działania i odpłynął na zawietrzną, żeby przegrupować się poza zasięgiem naszych dział. Francuzi byli od nas szybsi, a admirał nie dał sygnału do pogoni. Co prawda nasze okręty zostały poważnie nadwerżone i choć pod Ansonem czy Hawkiem bez wątpienia popędzilibyśmy za wrogiem, w owym czasie byliśmy zadowoleni z tej chwili wytchnienia. Z pewnością nikt nie może oskarżyć angielskich marynarzy o brak woli walki. Są nieskończenie odważni. Nie sądzę, by kiedykolwiek myśleli o śmierci. Żyją tylko chwilą obecną. Przyszłość jest dla nich niczym.

Opuściłem okręt w Gibraltarze razem z kapitanem i tymi spośród członków załogi, którzy byli zbyt słabi, by sprostać trudom podróży do kraju. Ostatni raz widziałem Pańskiego przyjaciela, gdy przenoszono mnie koło lazaretu, do którego zajrzałem jednym zdrowym okiem i zobaczyłem go tam najwyraźniej krojącego ludzką rękę. Ponieważ jednak byłem w gorączce, mogłem się mylić. Chociaż teraz, gdy się nad tym zastanawiam, przypominam sobie, że nie był to ostatni raz, bo widziałem go jeszcze raz w Londynie, koło Temple Bar, prawie dwa lata później, spacerującego ze starszym dżentelmenem, dość tęgim, który, jak mi powiedziała pani Fisher, był jednym ze słynnych braci Hunter.

Ufam, że udało mi się zaspokoić Pańską ciekawość. Pana przyjaciel był osobą niezwykłą i wcale się nie zdziwiłem, kiedy usłyszałem, że pojechał do Rosji, żeby zaszczepić carycę. Ciekaw byłbym usłyszeć, jak powodziło mu się później, bo zdaje mi się, że potem już o nim nie słyszałem. Gdyby był Pan kiedy w tych stronach, proszę serdecznie, żeby zechciał Pan nas odwiedzić. Żyjemy bardzo spokojnie, ale rzeka dostarcza nam godziwej rozrywki. Pozostaję, Szanowny Panie, Pańskim pokornym sługą,

David Fisher

Kwiecień 1774 roku, Brixham

Solomon Drake do wielbnego Lestrade

Szanowny Panie!

Wielbny Fisher prosi żebym panu napisał co sie tyczy Jamesa Dyura z Aquilon i że sie pan interesuje jego rzyciem na możu, szczegulnie akcjom na Kubie. Jak sondze wielbny Fisher opowiedział panu reszte.

Miejsce kturęśmy najehali nazywało się Baracoo i po krutce poszliśmy tam żeby tszymać naszych ludzi w pogotowiu i żeby zobaczyć czy sie tam nie znajdzie co wartościowego. Powiosłowaliśmy w czterech łodziach pod dowuctwem porucznika Whitneya i mieliśmy surowy rozkaz żeby tszymać jenzyki za zembami, żeby sie wrug nie dowiedział. Ja



dowodziłem trzeciom łodziom – Benson MacNamara Johnson Dyur Gummer Parks Austin O Conner Lower i chińczyk Arthur Easter – wszyscy z kordelasami toporkami pistoletami czy pałkami według swojego rzucenia.

Godzine przed świtem wpłyneliśmy do małej zatoczki i na końcu widzieliśmy niewyraźnie miasto. Było tam ciho jak w grobie poza psem co nas zwenszył i zaczął szczekać. Wylondowaliśmy w najciemniejszej czenści wybżeża przy jakiś stopniach i magazynie tytoniu.

Porucznik Whitney powiutł pierwszom grupe żeby poszukać domu burmistsza a moja grupa poszła za nimi na wypadek jakby w mieście był garnizon. Pszes pińc minut mieliśmy zupełny spokuj potem jakiś dzwon zadzwonił w jednym z kościołow i rospentało sie niezłe piekło. Jakby wiedzieli że nas nie było wiencej jak tszydzieści pińc dusz mugł być z nami koniec ale oni myśleli że z tysionc ludzi pszyszło żeby ich zamordować w ich tuskach. Miasto było puste w ciongu godziny. Wtedy nasi ludzie zaczęli buszować po domach a porucznik Whitney nieśmiał powiedzieć żeby sie miarkowali bo prendzej posłaliby mu kule niż pszerwali zabawę.

Wpadali do domuw i wylatywali jak pszczoły koło uli. Wszystko co wartościowe zabierali ale najlepiej widziały im sie pienkne ubrania zwłaszcza damskie a jak już wiencej nie mogli udźwignąć pozakładali je na siebie i biegali dookoła jak kobiety z domu wariatuw. Zapewniam pana że był to najdziwniejszy widok jaki widziałem w moim ryciu.

Potem kubańczycy wrucili żeby walczyć, niektuży na koniach, niektuży na piehote. Widziałem jak zabili starszego mata Parksa, ale nasi ludzie chociaż obładowani łupem dali wrogowi dzielny odpur. Byliśmy na plaza mayor ktury jest głuwnym placem miasta. Zwaliłem właśnie jakiegoś człowieka z konia i myślałem sobie że taki wspaniały koń byłby świetnym prezentem dla mojej nieboszczki żony kiedy zobaczyłem Jamesa Dyura, jak stoi na placu i ładuje pistolet zupełnie nie patrzonc co sie dzieje wokuł, jakby był sam w jakimś pokoju. Jeden z żołnieży, hłopak mniej wiencej w wieku Dyura stał dwadzieścia stup od niego i ładuje muszkiet jak szalony a kiedy naładował podnosi go do ramienia i strzela i hybia. No nie był to thuzliwy kundel ten kubańczyk, a wieńkszość nich to thuzliwe kundle, bo miał też paskudny bagniet długi jak ramie i żucił się z nim na Dyura ryczonc na całe gardło. Niech mnie trafi jeśli nie muwie prawdy Dyur podnosi wtedy swój pistolet i celuje aż kubańczyk jest już prawie na nim. Myśle że ten kubańczyk myślał że mu sie udało bo jego bagniet był już o kilka cali od kamizelki Dyura. Jeśli tak to była to jego ostatnia myśl bo Dyur strzelił mu prosto w czaszke i taki był jego koniec. Była to najdoskonalsza rzecz w swoim rodzaju jakom widziałem. Ale co było jeszcze dziwniejsze i kazało mi sie zastanowić nad tym cusz to za młody człowiek z tego Dyura to to że on nawet nie spojżał na tego hłopaka którego zabił. Z mojego doświadczenia człowiek zawsze patszy na człowieka kturęgo zabił ale James Dyur odszedł sobie jakby pamięć tego zdążenia została zmaszana jak kreda z tabliczki.

Przebiliżmy sie z powrotem do łodzi i odbiliżmy od brzegu. Kubańczycy jeszcze do nas strzelali ale wtedy podpłynął Aquilon i sprawił im goroncom łaźnie. Weszliżmy na pokład i tylko Parks zginoł a kilku było rannych wtym porucznik Whitney ktury stracił kciuk i palec. Pokiwałby pan pewnie głowom gdyby pan zobaczył menszczyzn wspinajoncyh sie na pokład w sukniach i koronkach cali zakrwawieni i nieogoleni. Jeszcze teraz czasem o tym myśle i kiwam własnóm głowom. To był atak na Baracoo.

Nie wiem co jeszcze mugbym panu powiedzieć poza tym że czasami myślałem że James Dyur zahencał pana Munro do picia trunkuw. Pan Munro opuścił okręt w roku 56 i Dyur został chirurgiem i szczeże był bardzo dobry hociaż tszymał sie na uboczcu. Opuścił okręnt w roku 58. Zapytałem go dokont sie wybiera a on odpowiedział do wspanialszych zeczy niż mogłoby sie panu zamażyć panie Drake i zrobił znak piniendzy. Odpłynął po cichu salupą

*pewnej nocy. Myśle że jego stary sługa Gummer odpłynął razem z nim bo nigdy go wiecej nie widzieliśmy.*

*Mam nadzieje że ten list to to czego sie pan spodziewał i mam nadzieje że wybaczy mi pan mój surowy styl. Poszedłem na morze jak miałem dziewieć lat i okrent był moim uniwersetatem. Pozostaje pańskim pokornym sługom*

*Solomon Drake*

14

*Bath, czerwiec 1774*

*Pani Robertowa Munro do wielebnego Lestrade'a*

*Szanowny Panie!*

*Żadne nazwisko nie jest mi równie wstrętne, jak nazwisko James Dyer. Skoro pisze Pan, że umarł, cieszę się niezmiernie, to on bowiem zabił mojego męża, tak pewnie, jakby zamordował go własnymi rękami. Mój mąż był dobrym człowiekiem, którego jedynym błędem było to, że swą przyjaźnią i zaufaniem obdarzył kogoś, kto nie zasługiwał na żadne z tych uczuć. I choć mój mąż sam targnął się na swoje życie, jestem pewna, że jest teraz w niebie, tak jak jestem pewna, że James Dyer jest w piekle. Proszę nie pisać do mnie nigdy więcej w tej sprawie, bo nie mogę utrzymywać korespondencji z kimś, kto nazywa go swoim przyjacielem. Pozostaję z szacunkiem*

*Agnes Munro, wdowa*

15

Pasażerowie z kozła ześlizgują się na ziemię w płaszczach przemoczonych od deszczu, który siekł ich od chwili, gdy przejechali przez wioskę Box. Stoją na podwórzu, podczas gdy obsługa z zajazdu taszczy ich kufry z kosza na tylnej ścianie dyliżansu. Woźnica otwiera drzwi.

– Bath!

Wysiadają teraz pasażerowie z wnętrza dyliżansu, sześć osób, wkładają kapelusze, marszczą brwi, patrząc na niebo. Większość z nich drzemała i ma teraz blade, pogniecione twarze ludzi, którzy się właśnie obudzili. Tylko jeden robi wrażenie obojętnego na deszcz, nieutrudzonego długą drogą z Londynu. Lekko przekracza kałużę i rozmawia ze starszym mężczyzną, jednym z pasażerów z kozia. Mężczyzna kiwa głową, jakby dostawał jakieś instrukcje.

Oberżysta, rozkładając pelerynę nad głową, zaprasza podróżnych, żeby weszli, a oni z chlupotem ciągną za nim do gospody. Wewnątrz unosi się zapach pieczonego mięsa, przemoczonych ubrań i mokrych psów. James zamawia pokój. Jedna, dwie noce, nie więcej. Dziewczyna prowadzi na górę, otwiera przed nim drzwi, sama opiera się o nie, gdy on wchodzi do pokoju. James ogląda się na nią. Ona unosi brwi; niema oferta.

– Ile?

– Pięć szylingów. Z góry. Żadnych fanaberii, tylko po chrześcijańsku.

Patrzy na nią. Jej dekolt sięga absurdalnie nisko. Na prawej piersi półksiężyc blizny wygląda ze stanika. Dotyka blizny.

– Co to było?

– Twardy kawałek, proszę pana. Chirurg wyciął przed Bożym Narodzeniem.

Naciska pierś wokół rany. Dziewczyna odrywa jego rękę. Wygląda na wstrząśniętą, jakby jego dotknięcie zbudziło dawny koszmar.

– Z góry, powiedziałam.

Znalazł jeszcze dwie grudki. Odpycha go i cofa się na korytarz. W szarym deszczowym świetle jest już na wpół duchem i głosem ducha mówi:

– Pięć szylingów.

James kręci głową.

– Nie dałbym za ciebie sześciu pensów. Każ rozpalić ogień. Jak przyjdzie człowiek nazwiskiem Gummer, przyslij go do mnie.

Jest już dawno po zmroku, kiedy Gummer, pijany i zły, wraca do gospody.

– Znalazłeś go?

Gummer podchodzi do ognia.

– Nigdy nie lubiłem tego miasta – mówi. – Założone przez świniopasa, jak mówią. Chętnie w to wierzę.

– Pytałem, czy znalazłeś Munro. Bądź tak grzeczny i odpowiedz.

Gummer odwraca się od kominka. Jego spojrzenie jest bardzo szczere, zimne, mordercze. Mówi:

– Kiedyś posuniesz się za daleko.

– Nie ma tu dzieci, które mógłby pan straszyć, panie Gummer.

– Mówię poważnie – irytuje się Gummer. – Ty i twoje fochy! Zapominasz, kolego, że dokładnie wiem, skąd się wziąłeś.

– Jesteś bardziej pijany, niż myślałem. Proponuję, żebyś poszedł spać. Co tam znowu mamrociesz?

– Mówiłem właśnie, szczeniaku, że przyjdzie taki dzień. Na Boga, Grace miała rację co do ciebie.

– Kiedy tak szczekasz – mówi James – przywodzisz mi na myśl starego psa, który już dawno stracił kły i siedzi cały dzień we własnym smrodzie, czekając, aż ktoś wyświadczy mu uprzejmość i rozwali łeb. Starcy nie powinni grozić. Czy widziałeś Munro?

– Znalazłem jego dom. – W głosie Gummera nie słychać już buntu. Wpatruje się w ogień.

– Czy doręczyłeś list?

– Tak.

– A więc jutro rano złożymy wizytę naszemu staremu kumpłowi z okrętu.

Ogień wygasł. Gummer chrapie w łóżku. James siedzi przy stole, otwiera sakiewkę, wysypuje na dłoń monety, dzieli je na porządne stosy srebra i złota. Prawie dwadzieścia pięć funtów. Mężczyzna mógłby żyć spokojnie za taką sumę przez dwa czy trzy miesiące, gdyby chciał żyć skromnie, jadać w tanich jadłodajniach, trzymać się z dala od kart i rozpalać ogień w kominku tylko wieczorami. James nie ma takich planów. Tego rodzaju życie wiódł w Londynie – studencki pokoik na Duke Street za trzy szylingi sześć pensów tygodniowo (gospodyni: pani Milk, wdowa i córka pastora); wędrowka do szpitala Świętego Jerzego w nadziei ujrzenia, jak operuje John Hunter, lub przez nowy most w Westminster do Świętego Tomasza, żeby wlec się za doktorem Fothergillem w czasie obchodu. Przesiadanie w kawiarni Batsona w zimie ze względu na porządny ogień i ciągłe liczenie się z każdym szylingiem. Dość tego.

Wrzuca pieniądze z powrotem do sakiewki, wsuwa ją do kieszeni, zdejmuje surdut, kamizelkę i buty i kładzie się na łóżku. Gummer sapie, stęka coś niezrozumiale. James zdmuchuje świecę. Deszcz znowu zaczyna padać.

Ach, drogi chłopcze! Drogi Jamesie! Cóż za spotkanie! Nie uwierzysz, jak często o tobie myślałem od czasu naszych lat na morzu. Naszych junackich lat! Wejdźcie, wejdźcie i poznajcie panią Munro. Nie może się doczekać, żeby poznać sławnego Jamesa Dyera.

– Sławnego to przesada, proszę pana.  
– Kwestia czasu, kwestia czasu Jamesie. Obaj o tym wiemy. A tego faceta chyba znam. Tylko nazwisko mi umknęło.

– Marley Gummer, proszę pana. Do pańskich usług.  
– A, Gummer? Teraz już pamiętam. Cóż, jest pan również mile widzianym gościem. Niech pan uważa na tego kundla, panie Gummer. To jeden z piesków pani Munro. Przywitaj się z moimi starymi kumplami, Chowder.

Pies rzuca się na nogę Gummera, kopuluje z jego pończochą.

– Niewyżyty czort... Oto oni, kochanie. Zagwiżdź i powitaj ich na pokładzie. Cha, cha. O, cholera!

Munro zaczepia o koniec ławy, zatacza się, chwyta się kredensu i przewraca go, zwalając szklanki i butelki z niebieskiego bristolskiego szkła wielką kaskadą na podłogę. Wszystkie się tłuką. Cała czwórka patrzy na rumowisko, potem James spogląda na panią Munro. Na jej policzkach goszczą czerwone rumieńce. Jest młodą, dwudziestoparoletnią kobietą o twarzy niemal pięknej. Jej oczy mówią: „Widzisz, kogo poślubiłam? Widzisz, co muszę cierpieć?” Spogląda na męża.

– Robercie, muszę stwierdzić, że z dnia na dzień coraz większy z ciebie słoń. Strasznie był podniecony tym, że pana zobaczy, panie Dyer. Przysięgam, że nie widziałam jeszcze, żeby tak się cieszył na czyjś widok.

– Nie bardziej niż ja się cieszę ze spotkania z pani mężem. Na morzu był dla mnie niezwykle troskliwym nauczycielem. Bardzo jestem rad, że znowu będę mógł z nim pracować.

Pani Munro rzuca szybkie spojrzenie na męża.

– Bierzesz współnika, Robercie?

Munro spogląda na żonę, potem na Jamesa.

– Wspólnika?

– Cóż, Robercie, często ci mówiłam, że właśnie tak powinieneś zrobić.

James skłania głowę, mówi:

– Jestem pewien, że połowa miasta leczy się u pana.

– Połowa miasta! Ha! Nie, mój chłopcze, powodzi nam się bardzo skromnie, ale jakoś żyjemy. Czyż nie, Agnes?

– Mamy mięso na stole, to prawda, chociaż czasem myślę, że zbyt łatwo zaspokoić twoje ambicje.

– Żony! W dzisiejszych czasach trzeba być księciem, żeby człowieka było stać na ożenek. Nie zadowolisz ich mniejszą sumą niż tysiąc funtów rocznie. Zimny dziś ranek, napijmy się z pół kwarty grzanego wina, zjedźmy trochę ciasteczek, bo potem muszę biec do pana Leavisa. Przewrócił się wczoraj w nocy, wracając z balu u Simpsona. Pęknięta kość udowa.

– Powinieneś wziąć ze sobą pana Dyera, mój drogi. Dla podtrzymania na duchu. Czy w takich przypadkach nie trzeba mocno ciągnąć za nogę? Jestem pewna, że mógłby ci w tym pomóc.

– Mógłby, mógłby. Gdzie się zatrzymałeś, James? Musisz posłać Gummera po twój kufer. Nie, nie, nie chcę słyszeć żadnych wymówek. Pani Munro ucieszy się z towarzystwa osoby bliższej jej wiekiem. No, ale gdzie jest to cholerne wino?

Agnes Munro robi aluzje do tego, co James widzi na własne oczy: do powolnego upadku praktyki, która w chwili przybycia do Bath Munro, pełnego energii człowieka, który właśnie się ożenił i postanowił popracować nad swoim charakterem, wydawała się tak obiecująca, i rzeczywiście, w ciągu owego pierwszego sezonu przeszła wszelkie oczekiwania. Kiedy doktor jest trzeźwy, nadal wykazuje się kompetencją, a chwilami przejawia nawet przebłycki czegoś więcej, ale ci, którzy go teraz wzywają, robią to bardziej z lojalności, z sympatii dla człowieka, niż z wiary w jego umiejętności. Munro jest uprzejmy, staroświecki, siedzi przy

łóżku jakiejś nudnej, umierającej samotnej kobiety i gładzi jej drżące ręce, wiedząc cały czas, że ona nie zapłaci rachunku. Puszczą krew starym mężczyznom i ich żonom, a potem pije z nimi do wieczora, dyskutując o polityce i naśmiewając się dobrodusznie z szaleństw młodych ludzi, chociaż teraz odwraca się zwykle do swego nowego współpracownika i mówi: „z wyjątkiem tu obecnych”, a starcy mrużą oczy i promieniają życzliwą radością na widok szczęścia pana Munro.

W czasie nieustannych marcowych chłódów – ostatnie tchnienie zimy – Munro jest zbyt pijany, by wychodzić z domu. Posłańcy, którzy pojawiają się z wezwaniem, odsyłani są do domów z pytaniem, czy mógłby być pomocny pan Dyer. Większość chorych się zgadza. Po pierwszej wizycie chcą już jego, a nie starego lekarza.

W salach balowych i salonach, kulejący, niedomagający i znudzeni, z oddechem kwaśnym od cudownych leków, dyskutują o Nowym Człowieku, zaledwie dwudziestoletnim, jeśli można temu dać wiarę. Bardzo zdolny. Naprawdę bardzo zdolny. Oczywiście nie tak jowialny jak stary Munro. Robert Munro, porządny człowiek i swój chłop, ale...

Wrastający paznokieć u nogi pani Nigelli Pratt, sfuszerowany przez pana Crispa z Beaufort Square, zostaje wyleczony przez Jamesa Dyera. Pani Pratt mówi: „To niemal nieprzyzwoite, z jaką szybkością on pracuje. Był u nas w domu chyba nie dłużej niż pięć minut i już było po wszystkim. Jak Boga kocham – ledwo wszedł przez drzwi i podał dziewczynie kapelusz, a już po chwili stał w holu i odbierał gwineę od Charlesa. Nie sądzę, żeby powiedział więcej niż pięć słów przez cały ten czas, kiedy tu był”.

Tobiaszowi Bone’owi, sędziemu pokoju hrabstwa Middlesex, James usunął z czubka nosa ogromne znamię. Opowiadając o tym w kawiarni „Przy Pompowni”, sędzia stuka w stół dla podkreślenia wagi swoich słów, od czego podskakują filizanki:

– James Dyer jest jedynym kompetentnym chirurgiem w Bath, oczywiście poza starym Munro. Przypomina mi człowieka, który stanął kiedyś przede mną oskarżony o otrucie obojga rodziców.

– Munro?

– Nie, proszę pana, Dyer. Cholernie sprawne ręce, mówię wam. Ręce damy, czy orła, serce czyjeś tam – jak to szło?

Salvatore Grimaldi, muzyk i bliski przyjaciel lorda B., musi przejść operację usunięcia kamienia nerkowego. Zbyt długo z tym zwlekał. Nastąpiło całkowite zablokowanie moczowodu. Pacjenta przynoszą do domu pana Munro słabego, z ziemistą twarzą, wstrząsanego spazmami. Pomimo męczarni zachowuje się z wielkim opanowaniem; tylko raz, gdy niosący go ludzie zawadzają nim o stół, wybucha krótkim i gwałtownym potokiem neapolitańskich przekleństw. Natychmiast jednak prosi o wybaczenie i pyta, czy pan Munro zechce go wkrótce obejrzeć.

Munro, owinięty w koce, w futrzanej czapce na głowie, siedzi w sypialni, spożywając śniadanie złożone z madero i gorącej wody. Słyszał ruch na dole i kiedy wchodzi jego żona, pyta, kto przyszedł.

– Jakiś cudzoziemiec z atakiem bólu. James sobie z tym poradzi.

Munro kiwa głową.

– Co my byśmy bez niego zrobili?

Agnes puka do drzwi Jamesa. Otwiera Gummer z brzytwą w ręku. W głębi pokoju, przy toaletce, siedzi James bez surduta. Pani Munro mówi:

– Na dole jest pan Grimaldi. Cudzoziemiec, dość wpływowy. Cierpi na kamienie nerkowe i pan Munro prosi, żeby był pan tak uprzejmy...

– Jak tylko skończymy, zjedziemy na dół.

Agnes waha się chwilę.

– Bardzo pana proszę, żeby to nie trwało za długo, bo ten dżentelmen strasznie cierpi.

James patrzy na jej odbicie w lustrze.

– To zależy od pana Gummera. Nie chciałaby pani, żebym operował nie ogolony, prawda?

– Ależ nie. Jestem pewna, że nie byłoby to właściwe.

Mija pół godziny, zanim James pojawia się w chłodnym pokoju, służącym Munro za salę operacyjną. Jego świeżo ogolona twarz lśni, a w powietrzu unosi się słodki, drogi aromat, mieszając się z innymi, mniej przyjemnymi zapachami – potem cierpienia, zaschłą krwią. James bada pacjenta. Powieki Grimaldiego drżą, patrzy na młodego człowieka z coraz mroczniejszej i głębszej otchłani. Mamrocze coś o księdzu. James nie zwraca na to uwagi, każe służącym zdjąć mu spodnie, a potem przebiera się z surduta w jeden ze sztywnych od krwi kitli, wiszących na drewnianym kołku za drzwiami. Od trzeciego guzika kamizelki Grimaldiego gruby złoty łańcuszek prowadzi do kieszonki. James wyjmuje z niej zegarek, tłoczona złota koperta, emaliowany cyferblat, cacko wyprodukowano w Londynie. Zdejmuje łańcuszek z guzika i podaje zegarek Agnes Munro, stojącej w kącie pokoju. Mówi:

– Proszę mierzyć czas, od pierwszego cięcia do momentu wyjęcia kamienia.

Podchodzi do Grimaldiego, nachyla się do jego ucha.

– Panie Grimaldi, honorarium za operację będzie pański zegarek. Czy to panu odpowiada?

Usta Grimaldiego wykrzywają się w coś na kształt uśmiechu. Widać wyraźne kiwnięcie głową.

– Podciągnijcie mu nogi.

James bierze nóż, szczypce i inne przybory z szuflady, potem spogląda na panią Munro.

– Od pierwszego cięcia, proszę pani. A wy – zwraca się do służących Grimaldiego – będziecie świadkami. Zaczynamy!

Minuta i dwadzieścia sekund.

James podnosi do góry kamień. Jest on wielkości niedużego marynowanego orzecha włoskiego.

Zjawia się Munro, mruży oczy na widok zebranego przy stole towarzystwa. Podchodzi bliżej i podziwia ranę.

– Cięcie poprzeczne, co?

– Tak jak zaleca pan Cheselden. Ale mój czas jest lepszy co najmniej o dwadzieścia sekund od jego rekordu.

– Cheselden! Musimy to uczcić, James. Jak się czuje ten dżentelmen? Czy to nie pan Grimaldi? Jak się pan miewa?

Grimaldi szepcze:

– Straciłem zegarek.

– Stracił pan zegarek, ale zachował pan życie – odpowiada Munro. – Mówię panu, panie Grimaldi, widziałem, jak takie operacje trwały ponad godzinę.

Grimaldi przenosi wzrok na Jamesa.

– *Caro dottore*. On jest... narzędziem Boga.

Rysuje znak krzyża na piersiach. Służący wsuwają mu nogi w nogawki spodni, wkładają go z powrotem do lektyki, wynoszą. Grimaldi słabo macha ręką przez szybę. Munro idzie po butelkę frontiniaku, ostatnią z łupu zdobytego przez „Aquilon” na francuskim statku korsarskim w pobliżu Brestu i ocaloną na taką okazję. W sali operacyjnej James przebiera się w surdut, przeciąga z zadowoleniem.

– Zdaje się, że pani ma moje honorarium.

Wyciąga rękę po zegarek. Agnes Munro zamyka wieczko koperty, podaje mu go, a potem, gdy James odwraca się w stronę drzwi, wyciąga chusteczkę z rękawa, wspina się na palce i ściera plamkę krwi z jego policzka.

– Jest pan najdziwniejszym mężczyzną, jakiego znam, Jamesie.

James zastanawia się nad odpowiedzią. Coś szarmanckiego, jak z powieści albo ze sztuki. Ale nie czyta powieści, a te nieliczne sztuki, które widział w Drury Lane czy Covent Garden,

nie miały dla niego większego sensu. Taka gra jest zbyt męcząca, a jego umysł nadal rozkoszuje się cudowną operacją na pęcherzu Grimaldiego; jak zręcznie rozszerzył ujście, jak zgrabnie ominął tętnicę. Złoty zegarek to niewielka nagroda za taką pracę dla narzędzia Boga.

Mówi pani Munro do widzenia i wychodzi. Ona zostaje jeszcze minutę, patrząc, jak podłoga ciemnieje od krwi. Uśmiecha się, potem drży. Dzwony opactwa grają swoją melodię.

Grimaldi wraca do zdrowia. Lord B. przysłał Jamesowi pierścień z diamentem, potem swoich przyjaciół, swoje kółko. Do lata praktyka zalicza do swych pacjentów trzech baronetów, generała, admirała, biskupa, sławnego malarza i dwóch posłów do parlamentu. Konkurencja nie jest zadowolona. Szczególnie pan Crisp nie szczędzi wysiłku na rozpuszczanie plotek, nazywając ich cyrulikami i szarlatanami i mówiąc, że stary Munro nie wstałby rano bez butelki portwajnu, zresztą w nocy też nie. Może jego młody protegowany to potrafi? Unosi dwa palce ponad głowę, macha nimi, uśmiecha się, zbiera śmiechy.

Ale Crisp traci na ich rzecz zamożną panią Davy, a potem rodzinę Robinsonów, liczne plemię, które James szczepi na ospę. Trzy gwinee od osoby, potworna suma, ale pan Robinson jest przekonany, że życie drogich mu osób jest bezpieczniejsze w rękach tego człowieka, choć taki młody, niż jakiegokolwiek innego lekarza w Bath. Munro jest obecny, rzecz jasna, żeby mieć na wszystko oko, stanowi przeciwwagę dla widoku młodzieńca i z uznaniem starego mistrza kiwa głową, obserwując jego pracę.

Reklamują się w gazetach:

MUNRO I DYER, CHIRURDZY w BATH przy ORANGE GROVE pozwalają sobie ogłosić, że przyjmą NIEWIELKĄ liczbę NOWYCH PACJENTÓW ze względu na CAŁKOWITE WYLECZENIE I WYZDROWIENIE pacjentów, którymi opiekowali się do tej pory. SZCZEPIENIA, OPERACJE KAMIENI NERKOWYCH, USUWANIE GUZÓW, BRODAWEK, NAROŚLI WŁÓKNISTYCH, NASTAWIANIE KOŃCZYN, LECZENIE RAN POSTRZAŁOWYCH są naszą specjalnością. Wybierają nas WYŻSZE SFERY i wszyscy ci, którzy CHCĄ NAJLEPSZYCH USŁUG. DAMY traktowane z najwyższą DYSKRECJĄ.

Gummer zajmuje się takimi sprawami; ogłoszenia, reklama. Jego sylwetkę, wysoką i spłowiałą, często widuje się w ogrodach i miejskich pasażach, pod rękę z jakimś wpływowym dżentelmenem, który kiwa głową i uśmiecha się, na poły rozbawiony, na poły mile polechtany towarzystwem tak światowego łobuza. Gummer zajmuje się zbieraniem zaległych honorariów; zna ludzi, którzy potrafią dopilnować, żeby rachunek został zapłacony. Mistrzów perswazji, osłodzonej groźby, a gdy zawodzą inne środki, nigdy nie brakuje awanturników w obcisłych surdutach, którzy za szylinga powalęsają się pod drzwiami dłużnika. Więc pieniądze wpływają: złoto, srebro, duże piękne banknoty. A także beczułki, sztuki materiału, spadki.

Stary sztyl Munro zostaje zdjęty. Nowy – James Dyer & Robert Munro, chirurdzy – zwisa z żelaznej spirali nad drzwiami, a pod jego cieniem defilują obywatele republiki bólu; chronicznie chorzy i ci, których powaliła nagle jakaś krwawa katastrofa; przynoszeni pośpiesznie, omdlali, na rękach przyjaciół. I większość z nich wychodzi z tego miejsca, jeśli nie całkiem wyleczona, to przynajmniej mniej cierpiąca niż przed przybyciem, wszyscy oszołomieni umiejętnościami młodego człowieka, ukojeni dobrocią starszego. Niektórzy nawet umierają z wdzięcznością.

Na dwudzieste pierwsze urodziny Jamesa Munro wydaje przyjęcie, zapełniając salon na pierwszym piętrze przyjaciółmi i częstując ich wołowiną i ostrygami, puddingiem z

malinami, winną pianką i szampanem. Grimaldi śpiewa, piękny tenor, który niesie się po na wpół oświetlonej Orange Grove, aż wracający do domów zatrzymują się, by posłuchać.

Pod koniec drugiej karafki porto Munro odrzuca serwetkę, wstaje o własnych siłach i wygłasza mowę. Ma przy tym łzy w oczach i ściśnięte gardło. „Mój chłopak – powtarza – mój chłopak”, wskazując na Jamesa, siedzącego przy drugim końcu stołu, i wśród gości są tacy, którzy zaczynają się zastanawiać, czy Munro mówi poważnie, czy James może być owocem jakiejś młodzieńczej przygody starego lekarza. Patrzą to na jednego, to na drugiego, starając się odkryć podobieństwo. Te usta? Ten podbródek? A potem przenoszą wzrok na Agnes Munro i nawet najtępszych uderza przemiana, jaka zaszła w tej twarzy.

Nie potrafiłaby powiedzieć dokładnie, kiedy to się zaczęło. Może owego pierwszego dnia, kiedy wszedł do salonu, tak smukły w porównaniu z jej niezdatnym mężem; albo kiedy mówił do niej za pośrednictwem lustra, gdy przyszła go prosić, żeby się zajął Grimaldim; albo przy jednej z tych okazji, tak częstych, jak to tylko było możliwe, gdy obserwowała go przy pracy, jego twarz jak czystą wodę.

Jest ostrożna, niepewna siły swoich uczuć, ale jej życie jest już zawieszona między jednym spotkaniem a następnym, pełne niespokojnego napięcia, gdy go nie widzi, i niespokojnej radości, gdy jest przy nim. Dla Munro jest uprzejma, bardziej niż kiedykolwiek od czasu ślubu. Ale im usilniej gra swoją rolę – dobrej żony, lojalnej żony, żony wcale nie rozkochanej w pięknym młodym wilku, którego wzięli pod swój dach – tym bardziej on zdaje się popychać ją w stronę Jamesa. Wyprawy do sklepów, na bale, wieczory w teatrze, niedzielne spacerki, wszystko za sugestią Munro, podczas gdy on sam wymyka się do domu jakiegoś kumpla – Kenta, Thomasa czy Osbourne'a – i wraca do domu, chory z przepicia, dorożką lub lektyką, a potem przesiaduje po nocy w swoim gabinecie, przysypiając, wertując stare książki, mamrocząc coś do psa. Tak jakby był wdzięczny Jamesowi za zdjęcie z niego ciężaru małżeństwa. Czy chce zrobić z niej prezent? Ona wie doskonale, jaką była dla niego żoną, nie wpuszczała go do łóżka, robiła mu wymówki przy ludziach, zwłaszcza przy ludziach. Jednak nie wątpi w jego uczucie. Jest wielkie i niezręczne jak on sam. W lakierowanym pudełku w swojej sypialni ma plik jego wierszy pisanych do niej, namiętnych wersów, pełnych aluzji, których ona nie może pojąć. Czeka na znak, na słowo, na scenę. Jak on może nie podejrzewać? Jak może nie wiedzieć? A jednak nie robi nic.

Co do Jamesa, trudno sobie wyobrazić mniej ognistej mężczyznę, ale jego opanowanie rozpala ją, wciąga coraz głębiej w ponizającą namiętność. Nie potrafi sobie z tym poradzić. Wkrótce przestaje zwracać uwagę na to, kto widzi, kto wie, kto plotkuje. Nigdy nie czuła się tak wolna, tak ogromnie zaafierowana. Odkrywa w sobie przebiegłość, lubieżność, śmiałość, o które się nigdy nie podejrzewała. Jest dla samej siebie osobą obcą. Wszędzie unosi się cudowne tchnienie nadciągającej katastrofy.

Miasto ma rozrywkę. Nic nie bawi bardziej niż farsa z alkowy, a im bardziej szacowni aktorzy, tym większa uciecha. Czego się spodziewał Munro, mężczyzna w jego latach, żeniąc się z niedoświadczoną, upartą kobietą jak Agnes Munro? Albo później, zapraszając takiego Dyerę pod swój dach? Połowa kobiet z Bath poszłaby z nim do łóżka, zwłaszcza mężatek. Czy Dyer odwzajemnia jej namiętność? Nikt nie wie na pewno, bo kiedy zaczynają się zastanawiać, okazuje się, że on nie ma żadnego zaufanego człowieka, żadnego przyjaciela, poza tym jego totumfackim Marleyem Gummerem. No i samym Munro, oczywiście.

Nowy rok 1762. Świąta powodują nawrót podagry Munro. Zostaje zapakowany do łóżka – żelazna dieta i angostura. James i Agnes spędzają wieczory przy kominku w salonie, pijąc herbatę i grając w tryktraka. Ona pyta go o jego życie; on nie mówi jej nic albo nic, w co by rzeczywiście uwierzyła. Sama wymyśla życie dla nich obojga. Życie pełne przepychu, bogactwa, dzieci z kręconymi włosami, o imionach George, Caroline lub Hester, dom na Grosvenor Square, zazdrość sąsiadów. Boże, co by było, gdyby jej mąż umarł? Co wtedy?



James ogrywa ją w tryktraka, popija herbatę, zerka na nią. Rozumie, czego się od niego wymaga. Ona jest dla niego, część hojności tego świata. Kiedy czajniczek jest pusty, ostatnia gra skończona, a świece, dobre woskowe świece o czystym woskowym zapachu, wypalone do ostatniego cala swego życia, podchodzi do niej, składa pocałunek na jej rozognionych ustach, obmacuje ją i rozpala. Ona odrzuca głowę do tyłu, wzdryga się, kopie, przewracając stolik, strącając planszę i rozrzucając żetony po czerni i pysznej czerwieni nowego dywanu.

Szłocha, nie może się powstrzymać od pytania go, czy ją kocha, naprawdę, tak jak ona kocha jego, całkowicie, na zawsze, do końca życia.

James ustawia z powrotem planszę, układa żetony na skórzanych kołkach. Agnes klęczy obok niego. On nie bardzo wie, co ona mówi. Czy jest szczęśliwa, czy przestraszona? Szczerze mówiąc, robi wrażenie pijanej. Pomaga jej wstać, odpowiada na wszystkie pytania tak, tak, tak, oczywiście. Myśli o bliźniaczkach, o perłach i jajkach na twardo. Wspomnienie o nich jest jak palec naciskający mu piersi. Patrzy na portret Munro nad kominkiem, próbuje oswozić myśli. Studio Moliny, światło w studio, światło na włosach śpiących dziewcząt. Palec naciska mocniej. Jak koniec patyka, ale gorący. Nie podoba mu się to uczucie. Potrząsa głową, żeby się go pozbyć. Agnes pyta:

– Dobrze się czujesz, mój kochany?

Mówi coś do niej, nie wie co, i rusza w stronę drzwi. Schody są niezmiernie długie. Podciąga się na poręczy. Serce bije gwałtownie. Boi się, że nie dojdzie do swojego pokoju. Munro chrapie. Czy to głos Canninga? Canning?

– A czego się spodziewałeś, Jamesie?

– Nie tego!

– Nikt nie jest bezpieczny, Jamesie. Nawet ty. Zwłaszcza ty.

Leży na łóżku. W kominku płonie mały ogień. Boli go ręka, ma zaciśniętą pięść. Otwiera ją. Trzyma kostki od tryktraka. Upuszcza je na podłogę. Leży długo, nie mając pewności, czy się obudził, czy śni. Niektóre wrażenia – łomotanie okna, trzask ognia – zostają z nim; ale są też wizje, które unoszą się jak dym z innego świata. Mówi: „Mam gorączkę, jestem chory”. Czuje, że wypływa z własnego ciała; pokój jarzy się, bardzo jasno, a on patrząc w dół widzi siebie leżącego w poprzek łóżka, widzi Agnes, jak puka do drzwi pokoju męża, i twarz Munro, oślepioną, otumanioną, wyłaniającą się ze snu. Przez jeden straszny moment doświadcza jakby uczuć Munro, ogromnych zasobów jego zgryzoty. Walczy z tym, miota się w powietrzu, ucieka do nowych koszmarów. Szereg mężczyzn i kobiet brnących przez mgłę, głowy spuszczone na piersi, jakby dźwigali na plecach wielkie ciężary. Przed nimi cuchnąca, dymiąca jama, niby wspólny grób w mieście ogarniętym zarazą. Ci na czele szeregu wpadają w nią, niektórzy wrzeszcząc, niektórzy z głębokim jękiem podobnym do jęku śmierci. Inni idą w milczeniu. Jeden rozgląda się dziko, widzi Jamesa, pokazuje go palcem, potem macha na niego, żeby wszedł do szeregu. Szereg zatrzymuje się, inni patrzą, dwaj odsuwają się na bok, robią miejsce; jakiś głos woła: „To twoje miejsce, Jamesie Dyer!”

Incydent nie powtarza się. W kolejnych miesiącach jego siły, wspianała koncentracja są większe niż kiedykolwiek, tak jakby ten epizod go oczyścił. Mimo nalegań Munro, że powinien więcej odpoczywać, pracuje jeszcze ciężiej. Powstaje plan zakupienia budynku na Grand Parade i wykorzystania go jako prywatnej lecznicy. Sześć miesięcy później dokonują jej otwarcia z chińskimi lampionami, koncertami, przyjęciami. Górne piętra to punkt szczepień, na parterze znajduje się sala operacyjna, tak wspianała, jak w najlepszych londyńskich szpitalach, z miejscami siedzącymi dla trzydziestu widzów, którzy za skromną opłatą mogą się przyglądać, jak James Dyer tnie, kroi i wycina kolejne stopnie swej drogi do sławy.

Munro także można tam zobaczyć, bez opłaty, ale częściej spotkać go można nad rzeką, pijającego z butelki, karmiącego ciastem łabędzie lub drzemiącego w jakim osłonecznionym kącie, z przekrzywioną peruką, z kapeluszem nasuniętym na oczy. Czasem

jest z nim żona, siedzi opodal, niecierpliwie kartkuje jakąś powieść lub marszczy brwi, patrząc na wzgórza, ale rozwiązania – skandalu, pojedynku, ucieczki – jakoś nie widać. Pani Vaughan – której opinii w takich sprawach zawsze można zaufać, twierdzi, że państwo Munro i James Dyer zawarli porozumienie, rzecz bardzo niewłaściwa u ludzi z ich klasy, równie niewłaściwa jak córka farmera, która uczy się gry na klawikordzie. Munro najwidoczniej poddał się temu, co było nieuniknione. Co do pani Munro, okazała się bezwstydną, za co kobiety z Bath mają obowiązek nią gardzić. James Dyer – no cóż, jego trudno byłoby w ogóle nazwać człowiekiem. Maszyna do krajania. Automat. Niebezpieczny.

– Niebezpieczny? – pytają kobiety, z ręką zawieszoną nad robótką.

Pani Vaughan pochyla głowę.

– Wygląda na to, że urodził się bez duszy. Cóż ma zatem do stracenia?

## 17

Pacjenci przyjeżdżają z Bristolu, z Exeter, z Londynu. James i Munro nabywają drugi dom na Grand Parade. James udoskonala techniki leczenia, projektuje nowe narzędzia: sondy, kleszcze i pomysłowe nożyce. Na piętrze nowego budynku leczy rtęcią syfilityków. Leżą w małych salkach, we flanelowych koszulach, ze spuchniętymi od rtęci dziąsłami, oddając obficie ślinę do stojących obok naczyń, litr albo i półtora dziennie, aż zostają wyleczeni lub nie mogą znieść dalszej kuracji.

W 1764 roku owe kuracje rtęciowe i szczepienia w drugim budynku przynoszą Jamesowi czterysta pięćdziesiąt funtów. Jeśli dodać do tego litotomie, amputacje, puszczenie krwi, składanie kości, to jego dochody zbliżą się do siedmiuset funtów.

Zimą sześćdziesiątego czwartego roku może zaoferować mieszkańcom Bath nowy i potencjalnie jeszcze bardziej lukratywny rodzaj usług. Zostaje męską położną, akuszerem, gdy pewnej nocy wzywają go do ratowania życia rodzącej, niejakiej pani Porter. Przy porodzie, trwającym od trzech dni, obecni są doktor Bax i pan Crisp. Wieczorem trzeciego dnia, drapiąc się po brodzie złotym guzem swojej laski, Bax dochodzi do wniosku, że kobiecie nie można pomóc. Nie przysporzy mu też renomy obecność przy łożu zmarłej. Zrzeka się pacjentki. Pan Crisp zostaje, zadowolony z oczyszczonego pola. Prowadzi pana Portera na schody i szeptem, który słychać w całym domu, doradza zabicie dziecka, pozostawienie zwłok w łonie matki przez dwa, trzy dni, żeby zmiękły na tyle, by można je było wydobyć. Ma stalowy hak, odpowiednio długi, który stosował już wcześniej ze znacznym powodzeniem. W ten sposób ocali się matkę, to znaczy być może ocali się matkę, on nie może dać żadnych gwarancji; wszystko w rękę Boga, rzecz zależy też od konstytucji pani Porter; takie przypadki, proszę pana, są bardzo niefortunne, bardzo niepewne. Pan Porter jest zaszokowany, chwyta Crispa za surdut, potrząsa nim gwałtownie.

– Do diabła z pana hakami! Do diabła z pańską niekompetencją!

Biegnie po schodach, krzyczy do jednego ze służących:

– Przyrowadź Dyera!

– Dyera? – zdumiewa się Crisp. – Tego szarlatana! – Wychodzi z twarzą wykrzywioną gniewem, z okna swego powozu krzyczy: – To spadnie na pańską głowę! Umywam ręce! Szaleństwo! Obląkańcze szaleństwo!

Kiedy przybywa James, jest trzecia rano. Brzydką przez całą noc pogodę zastąpiła regularna burza. Do rana spadnie kilkanaście kominów, a już teraz w ciemnościach fruwać dachówki. Nie ma księżycy ani gwiazd. Wszystkie domy są zaryglowane, z wyjątkiem jednego.

Pan Porter czeka w jadalni, trzymając lampę przy oknie. Wypił pół butelki brandy, ale nigdy nie czuł się bardziej trzeźwy, bardziej przerażająco przytomny, nigdy w całym swoim

życiu. Dostrzega błysk lampy służącego, a potem konie z opuszczonymi głowami, wyłaniające się z mroku.

W chwili gdy James wchodzi do wyłożonego boazerią holu, a drzwi zostają zawarte, zaryglowane przed wicherą, sama jego fizyczna obecność, niewymuszona precyzja ruchów uspokajają atmosferę w domu. Idzie po schodach, niosąc swoją zieloną rypsovą torbę. Nie reaguje na ponaglenia.

Pan Porter widział go tylko raz z oddali, poprzez dziedziniec opactwa. Padało i Dyer schronił się pod zachodnim wejściem ze swym przyjacielem – czy sługą? – Marleyem Gummerem. Czekał na kogoś czy na coś. Wskazała go pani Porter. „To ten człowiek”. Tak go nazwała. Była wtedy dopiero we wczesnym okresie ciąży.

James otwiera drzwi. Pokój połogu. Pokój choroby. Może pokój śmierci. Kominek dusi się ogniem. Powietrze jest gęste, przegrzane. Trzy kobiety siedzą przy łóżku. W najstarszej z nich James rozpoznaje panią Allen, o której mówią, że ma specjalną moc, kontakty z niewidzialnymi siłami. Jej obecność jest widowym znakiem desperacji Portera. Kobieta nuci coś ponad łóżkiem, ponad postacią w łóżku. Przestaje, gdy słyszy Jamesa. Zwraca się do niego:

– Przeszedłeś ją wykończyć, co?

James mówi do pana Portera:

– Jeśli ta czarownica ma tu zostać, to niech trzyma głowę na kłódkę.

Nachyla się nad panią Porter. Ich oczy spotykają się na chwilę, jej wyglądające z otchłani cierpienia, jego tak współczujące jak księżycy. Kładzie rękę na jej brzuchu. Ona wzdryga się pod dotknięciem jego zimnych palców. To jej pierwsze dziecko. Szepcze:

– Proszę, niech pan go nie zabija.

James odrzuca koce, dźga, naciska, podejmuje decyzję. Podchodzi do pana Portera, mówi:

– Ma wąską miednicę, a dziecko się nie obróciło. Jest sposób na to, by ocalić ją i dziecko. Ale muszę ją przeciąć.

– Przeciąć?

– Tak jak przecięto matkę Cezara. Nacięcie brzucha.

– Przeciąć?

– Tak, proszę pana, przeciąć. Rozetniemy jej brzuch, żeby wyjąć dziecko. Trzeba to zrobić zaraz. Jeśli nie, będę musiał powierzyć ją czarom pani Allen. Jest oczywiście opłata za wezwanie w nocy.

– A jeśli pan ją przetnie, może pan ocalić ją i dziecko?

James wzrusza ramionami. Chce tej operacji, wierzy, że potrafi ją przeprowadzić, chociaż nigdy takiej nie robił ani nawet nie widział, poza operacją na skórzanej kobiecie pana Smelliego na wykładzie z położnictwa w Londynie sześć lat temu. Wie też, że lekarze powszechnie potępiają ten zabieg jako coś niewiele lepszego od zabójstwa matki. Nie słyszał o udanych przypadkach.

– Czy mam pańskie pozwolenie?

Oczy Portera zachodzą łzami.

– Nie ma innej możliwości?

James patrzy na panią Allen, potem znowu na Portera, unosi brwi. Porter udziela pozwolenia.

– Wyrzucicie stąd te kobiety – mówi James. – Nie, zostawcie tę.

Wskazuje na jedną z młodszych kobiet, która wygląda na silną i opanowaną. Nie strachliwą.

– I przynieście mi wodę, ciepłą wodę i wino, i czyste prześcieradła.

James zdejmuje surdut, otwiera torbę, wybiera nóż, bada krótko różową skórę, potem tnie, szybko, pionowe cięcie od pępka do włosów łonowych. Pani Porter wydaje z siebie ryk, małą białą piąstką trafia ze znaczną siłą w jego lewe ucho. On śmieje się, nie podnosi wzroku.

– Dobry znak, jak sędzę. Teraz proszę ją przytrzymać. Mam tu bardzo delikatną pracę. Potrąci pani mój nóż, pani Porter, i wykrwawi się pani na śmierć.

Przecina mięśnie ściany brzucha, otwiera jamę brzuszną, potem robi cięcie poprzeczne, od prawej do lewej w dolnej części macicy. Za nim rozlega się łomot, w chwili gdy pan Porter nie wytrzymuje widoku rąk obcego człowieka zanurzonych w rozprutym brzuchu swojej żony. Dziecko robi wrażenie, jakby chciało walczyć, przeciwstawić się tej straszliwej inwazji. Kopie Jamesa leciutko i chwyta go za ręce paluszkami jak płatki stokrotki, przywiera do krwawych strzępów macicy. W końcu zostaje wydobyte w powodzi płynów matki. James przekazuje je swojej asystentce, zawiązuje pępowinę, przecina ją, wyjmuje łożysko i upuszcza je na podłogę, gdzie pies ukrywający się pod łóżkiem wychyla pysk i bierze je na próbę w zęby. James zaszywa matkę; równiutkie szwy, które tak chwaliła panna Lucket. Co dziwne, pani Porter jeszcze żyje.

Młoda kobieta owija dziecko szalem. Pyta:

– Co mam z nim zrobić? Dać mu grzanego mleka z piwem?

– Niech pani robi, co się pani podoba – odpowiada James.

Rozgląda się po pokoju. Ojciec jęczy na podłodze, matka omdlała leży na łóżku, noworodek krzyczy w niepewnym uścisku młodej kobiety. On owija swoje noże.

– Proszę mu powiedzieć, że moje rachunki należy płacić natychmiast.

Kobieta zaczyna coś mówić, ale lekarz już wyszedł.

## 18

Robert Munro jest człowiekiem budzącym się powoli z długiego snu. Lub też, jak sam czasem o tym myśli, człowiekiem będącym na tropie samego siebie pośród mrocznego lasu. Nie śpieszy się. Obawia się tego, co musi przyjąć; obawia się, że nie będzie miał sił.

Wobec swej żony nigdy nie czuł większej czułości. Na pewno jej nie potępia. Narodziła się w niej namiętność. Jej skromne poczucie obowiązku nie mogło sprostać takiemu uczuciu. On sam jest winien. Kto jak nie on popchnął ich ku sobie? Hubka i krzesiwo. Należało mu się to, zdecydowanie. I gdyby sądził, że James Dyer kocha jego żonę, że to prawdziwa miłość, wtedy mogliby wszystko jakoś ułożyć. Ale Dyer jej nie kocha; nosi ją jak surdut, wkłada i zdejmuje, kiedy mu się spodoba. A to jest potworne, gorsze niż zdrada przyjaźni – szczerze mówiąc, ze strony Dyera nie było żadnej przyjaźni – gorsze nawet niż prześladowające go wizje ich miłosnych zmaganiań, odgłosy, które go czasem budzą, straszne dźwięki, wcale niekojarzące się z przyjemnością, raczej z tłumioną rozpaczą dziecka.

Cóż trzeba zatem zrobić? Zabić Jamesa? Zabić ich oboje? Zawisłby za to, ale szubienica nie ma tu znaczenia. Bardziej się boi, że zawiódłby podczas tego najważniejszego egzaminu swojego życia. Zawiódł siebie. Zawiódł Agnes. Zawiódł wszystkich. Głosy szepczą „Chwyć za szpadę, Munro!” – ale ręce mu ciężą, a krew pulsuje bardzo wolno w jego żyłach. Jak dobrze jest spać w ulubionym fotelu w gabinecie, przy zamkniętych okiennicach, z jedną świecą do towarzystwa. Odległe dzwony, odległe kroki. Tylko spać, przespać ranek, przespać wszystkie poranki. Bezkrzesny sen.

Trzaskają drzwi; Munro wstaje, zbliża się do okna i widzi plecy wychodzących. Co dzisiaj? Następny bal, koncert dobroczynny, wycieczka rzeką? Idzie na górę do swojego pokoju, stoi tam bezmyślnie przez chwilę, potem starannie wybiera ubranie, przebiera się i wraca do gabinetu. Na jego zegarku jest wpół do dziewiątej. Chowder waruje na podłodze, wpatrując się w niego czarnymi, błagalnymi oczami. „Dobry pies” – mówi Munro, potem nalewa sobie ostatni kieliszek, słysząc w głowie, raz po raz, aż tracą wszelki sens, słowa, które będzie musiał powiedzieć.

James i Agnes są w teatrze przy Orchard Street. To niedaleko od Orange Grove. Nie ma po co brać nowego powozu. Teatr jest zatłoczony, pełen zgiełku. Podarty plusz, żółte grzyby światła z kandelabrow. Ludzie przywołają znajomych; mężczyźni częstują się tabaką; kobiety wyglądają ze swych białych twarzy, straszą wypożyczone diamenty, trzaskają wachlarzami. Panuje atmosfera potwornej nudy, jakby nie zostało już nic na świecie poza modą, poza manierami, poza przewidywalnym mechanizmem intrygi. Nie toczy się nawet żadna wojna.

James i Agnes sadowią się w swojej łoży. Ona karmi go kandyzowanymi owocami, wkładając mu je do ust, i przez całą sztukę pyta go, dlaczego ta czy inna postać zrobiła to lub tamto i czy to nie pani Lewis siedzi pod nimi, i czy on nie sądzi, że ta aktorka w czerwonym jest skandalicznie brzydka. Czy chce jeszcze śliwkę w cukrze?

James nie interesuje się sztuką. Widzi przez mgłę postaci figlujące wśród malowanych drzew, słyszy niewyraźnie jakieś głosy, słowa, śmiech lub ciszę na widowni. Ktoś się kłóci, potem godzi. Piosenka. Żart o władzach miejskich. Żart o Wilkesie. Kolejna piosenka. Kochankowie umierają, potem znowu ożywają. Ktoś zostaje rozpoznany. Ktoś się opuszcza na chmurze znad sceny i rzuca w widownię papierowymi kwiatami. Widzowie klaszczą jak szaleni i tupią, aż budynek zaczyna się trząść. To wszystko jest takie bezsensowne. Takie dziecinne. Wcale go nie bawi.

Jedzą kolację niedaleko teatru – smażona ryba, gotowana baranina w sosie z kaparów – i idą spacerkiem, w chłodny, wilgotny wieczór, na Orange Grove. James jest zmęczony. Z rana musi amputować stopę pewnej kobiecie, potem kilka szczepień, a później wyjazd do Marshfield, żeby zbadać farmera, któremu strzelba wypaliła w twarz. Agnes paple o ogrodzie, kapeluszu, przyjaciółce, o tym dniu w zeszłym tygodniu, kiedy wydarzyło się coś, co ją zdumiało, nie, zasmuciło, a może rozśmieszyło. Wpuszcza ich służąca ze świecą w rękę. Dina. Patrzy na nich dziwnie.

Otwierają się drzwi gabinetu Munro. Stoi w nich Munro, wypełniając sobą przejście. Ubrany jest tak, jakby czekał na ważnego gościa. Nie wygląda jak błazen, rogiacz.

- Na chwileczkę, James.
- Jestem pewien, że to może poczekać do rana.
- Nie, James, nie może.

James postawił już nogę na pierwszym stopniu. Ignorowanie Munro nigdy nie było trudne. Aż do dziś. Odwraca się. Między nim a Munro stoi służąca, ściskając świecę.

Agnes zamarła nieruchomo w ciemnym kącie przy drzwiach wejściowych. Szepcze:

- Robercie?
- Dobranoc, Agnes – odpowiada Munro.
- Zechce pan się streszczać – mówi James.

Munro robi krok do tyłu, przepuszcza go. James wchodzi, Munro zamyka drzwi. Agnes patrzy na drzwi, potem na Dinę. Dina zaczyna płakać.

Dawno już James nie był w gabinecie Munro. Od kilku miesięcy Munro zabronił służącym tam wchodzić, obawiając się, że zburzą misterny nieład jego papierów. Przy krzesłach stoją sterty książek, a pod krzesłami światło wychwytuje zapomniane kieliszki, puste butelki. Na biurku kartki gęsto poplamione atramentem. Obok tacki z piaskiem leżą okulary, z których wypadło jedno szkło.

– Poprosiłbym cię, żebyś usiadł, ale obawiam się, że tę rozmowę lepiej przeprowadzić na stojąco.

- Do rzeczy.
- Munro głęboko wciąga powietrze.

– A więc do rzeczy. Chodzi o to. Obraziłeś mnie. Wykorzystałeś. Zrobiłeś to w moim własnym domu. Robiłeś to przez lata. Wiem, że wina nie leży całkowicie po twojej stronie. Ja mam w tym swój udział, podobnie jak moja żona. Ty byłeś mocny, my byliśmy słabi,

żałośnie słabi. Zasłużyłem na twoją pogardę. Cóż, wiem, że nie przepadasz za przemowami. Jesteś człowiekiem czynu. Wybitnym człowiekiem na swój sposób, tak, i wielkim chirurgiem...

– Do rzeczy!

Munro poci się gwałtownie; widać to przez surdut, ciemne plamy kontynentów rozlewają się spod pach. Mówi:

– Twoja zabawa w tym domu się skończyła, James. Dasz mi satysfakcję w najbliższej stosownej porze. Tymczasem wyniesiesz się spod mojego dachu. Wyślę do ciebie kogoś jutro. Nie sądzę, by była to w twoim życiu pierwsza sprawa tego rodzaju, z pewnością zatem wiesz, co należy robić. To wszystko.

James kłania się.

– Będzie pan dość łatwym celem, panie Munro. Życzę panu dobrej nocy.

Zmierzcha, gdy następnego dnia James wraca z Marshfield. Farmer już nie żył. Skręcając w Grand Parade, dostrzega pana Osbourne'a stojącego samotnie przy balustradzie. Podjeżdża do niego. Osbourne wita go sucho, mówi:

– Nie mogę mu wyperswadować tego pomysłu. Jednak nadal jest możliwe, że przeprosiny i zobowiązanie do niewidywania się nigdy więcej z panią Munro wystarczą.

– Zostałem wyzywany, proszę pana – odpowiada James. – To, czy będę się widywał z panią Munro, czy nie, nie ma tu nic do rzeczy.

– Jeśli go pan zabije, panie Dyer, zostanie pan aresztowany. Opamiętaj się, człowieku. To się skończyło. Jest pan młody. Może pan pojechać dokądkolwiek i żyć tam wygodnie. Munro to co innego. Nie zostawił mu pan nic do stracenia.

– Ma pan być jego sekundantem?

– Honor nie pozwala mi odmówić.

– A to sprawa honorowa, czyż nie?

– Tak jest.

– A zatem przyszedł pan tu, aby podać mi czas i miejsce, w którym honorowi może stać się zadość.

– Lansdown. Drogą na szczyt wzgórza. Będę czekał. Jutro rano o szóstej. Jeśli jeden z was zostanie śmiertelnie ranny, drugi będzie miał cały dzień na ucieczkę.

– A czym mamy się zabijać?

– Przywiozę parę pistoletów.

– Które zostaną naładowane w mojej obecności.

– Naturalnie.

– Zatem nie mamy o czym dłużej rozmawiać.

Wstaje o piątej, je lekkie śniadanie i zostawia pisemne instrukcje panu Timminsowi, totumfackiemu i garderobianemu, informując go, że dzisiaj nie będzie przyjmował żadnych nowych pacjentów.

Miasto jest prawie puste, gdy przez nie przejeżdża. James mija dwóch otępiałych młodzieńców, wracających po nocy gry i pijaństwa. Na Queen Square pastuch pędzi stado kóz. Mleczarka siedzi na odwróconym wiadrze i plecie warkocze. Zwykły ranek, zapowiedź jesieni w powietrzu.

James pojedynkował się wcześniej dwukrotnie, w Londynie, za każdym razem z kolegami studentami z powodu kłótni, których już nie pamięta. Przy pierwszej okazji pistolety były wadliwe, może spreparowane przez jednego z sekundantów. Za drugim razem kula Jamesa utkwiała w ramieniu przeciwnika. Razem z nimi było z tuzin innych studentów, więc nie brakowało chętnych, by ją wydobyć. Potem podniosła się krótkotrwała wrzawa, później

jednak sprawa ucichła. Dwaj nic nieznaczący młodzi ludzie, którzy pokłócili się gdzieś w ogródku tawerny, nikogo specjalnie nie interesowali.

Na Lansdown Hill ogląda się nagle i widzi panoramę miasta, domy stłoczone wokół opactwa, kominy sączące dym, rzekę spokojnie pobłyskującą światłem. Na króciutką chwilę przychodzi mu do głowy, że może stracić to wszystko, że zabije Munro i będzie musiał uciekać – do Francji albo do Holandii. W duchu wzrusza ramionami. Nie ma zamiaru zastrzelić Munro, nie czuje do niego wrogości. Z pewnością nie walczy o Agnes. Małżonek może ją sobie zatrzymać. Jeśli on go zabije, to przyczyną będzie głupota samego Munro, bezczelność, jaką okazał, wyzywając go na pojedynek. Czy nie wiedział, co robi? Ta absurdalna scena w gabinecie! James powinien był go tam od razu porządnie skopać i skończyć z całą historią. W tych sprawach istnieje tyle nudnych konwenansów.

Osbourne wychodzi na drogę, podnosi laskę. Kiedy James do niego podjeżdża, sekundant mówi:

- Jest pan sam?
- Jak pan widzi. Gdzie reszta?
- Tędy.

Prowadzi Jamesa przez coś na kształt drogi między drzewami, a potem przez starą kamienną bramę; na jednej z kolumn widać pęknięty herb.

- Co to za miejsce? – pyta James.
- Kiedyś był to ogród – odpowiada Osbourne.

Munro i jeszcze jeden mężczyzna czekają w oddali, koło tulipanowca. Osbourne podchodzi do nich, potem wraca z Munro. James zsiada z konia.

- Dzień dobry, Jamesie – mówi Munro.

Zachowuje się z tą samą powagą, z tym samym desperackim spokojem.

– Błagam was obu, abyście zaniechali tego niechrześcijańskiego czynu – apeluje Osbourne. – Jeszcze teraz możecie osiągnąć jakieś... porozumienie. Co wy na to?

- Jeśli pan Munro wycofa swoje wyzwanie – mówi James – nie będę musiał go zastrzelić.
- Nie mogę tego zrobić – odpowiada Munro. – Obraza jest zbyt wielka.

James wzrusza ramionami.

– Przez wzgląd na pana chciałbym wierzyć, że ma pan pewniejszą rękę do pistoletu niż do noża.

Osbourne daje znak czwartemu mężczyźnie, który pochodzi z pudelkiem. Osbourne otwiera je i ładuje pistolety. Wyciąga oba do Jamesa. James bierze ten z jego lewej ręki; to skałkówka dobrej jakości: ośmiokątna oksydowana lufa, złota blacha zamkowa, tłoczona w szachownicę rękojeść, przesuwna zapadka, zabezpieczająca zamek. W pozycji wyłączonej.

Munro bierze drugi pistolet; odwracają się, robią kilkanaście kroków. Munro woła:

- Chwileczkę!

Podaje pistolet Osbourne'owi i zdejmuje surdut i kamizelkę. James mówi:

– Nie musi się pan martwić o to, że materiał dostanie się do rany. Będę celował w pańską głowę.

Brak odpowiedzi. Munro bierze pistolet. Osbourne odchodzi na bok. Poranek jest bardzo cichy.

- Czy jesteście gotowi? – pyta Osbourne. – Strzelajcie, kiedy chcecie.

Strzał Munro pada niemal natychmiast. Błysk, obłoczek dymu, huk, który musi nieść się echem wiele mil.

James unosi pistolet. Czuje się nadzwyczaj dobrze tego ranka. Przygotowany na wszystko. Nie myśli: „zabiję Munro” czy: „nie zabiję go”. Podnosi pistolet na wysokość celu i strzela. Munro robi półobrót na palcach i pada w trawę. Osbourne podbiega do niego. James woła:

- Czy on nie żyje?

– Nie sędzę – odpowiada Osbourne.

James idzie ku nim, ciekaw, jaki rodzaj rany zadał. Patrzy na leżącego. Osbourne trzyma głowę Munro na kolanach i ściera krew z jego twarzy chusteczką, która już jest purpurowa. Munro ma zamknięte oczy, ale wyraźnie oddycha. Środek jego twarzy to krwawa masa. Kość i rozorane ciało. James mówi:

– Będziemy musieli sprokurować mu nowy nos. Zabierzcie go do domu. Tam się nim zajmę.

– Zajmie się pan?

– Tak, proszę pana. Zapomina pan, że to mój zawód.

Rzuca pistolet na trawę obok Osbourne'a, życzy mu miłego dnia i wyprowadza swego konia z ogrodu.

Agnes Munro, kiedy przywieziono jej męża do domu, pyta:

– Czy Jamesowi nic się nie stało?

Osbourne kręci głową, a gdy manewrują, wnosząc rannego po schodach, mruczy:

– To ciebie powinni zastrzelić.

Rana ma się świetnie. James opatruje ją codziennie, zaglądając do jamy w głowie Munro i wykonując serię szkieł, z których później każe zrobić ryciny. Żaden z nich nic nie mówi. Munro nie odzywa się do nikogo przez czternaście dni, a kiedy zaczyna mówić, jego głos jest równie zniekształcony, jak jego twarz. Co ciekawe, jedyną osobą, która go rozumie, jest James Dyer. Przyjaciele Munro przyglądają się temu zdezorientowani, zniechęceni. Nie widać wyrzutów sumienia w zachowaniu Jamesa ani urazy u Munro. Panuje między nimi jakby dziwna zmowa, typowa może dla kochanków lub tych, co ofiarowali sobie nawzajem śmierć. Agnes jest wyłączona. Snuje się po domu w obszarpanej sukience, skarżąc się samej sobie i pijąc jedną filiżankę po drugiej przesłodzonej czekolady.

Nos konstruuje zegarmistrz z Pierrepont Street, realizując projekt Jamesa. Lekki, zrobiony z wypolerowanej kości słoniowej i przymocowany do okularów Munro. James jest zadowolony dopiero po kilku przymiarkach. Munro siada na łóżku i przygląda się sobie w lusterku. Kiedy oddaje lustro, w oczach ma łzy. James mówi:

– Przetrwa pana o ładnych parę lat. Nos pana przeżyje.

Munro odpowiada:

– To jecht bewne. Bardzo brzemyszlina konsztrukcza. Jechtem czy bardzo wdżęcny.

Nie ma w tym ironii. Wyciąga rękę i ściska dłoń Jamesa.

## 19

Przez trzy miesiące przyjaciele Munro obserwują: dwaj lekarze zachowują się jak stare małżeństwo. Nikt bynajmniej nie podejrzewa Jamesa o chęć wynagrodzenia Munro krzywd. James Dyer jest nadal sobą: twardy, uparty, ambitny; ogromnie sprawny. Nie ma też w jego zachowaniu najmniejszego śladu serdeczności wobec Munro, żadnych wyrzutów sumienia. A jednak często widuje się ich spacerujących razem, czasem rozmawiających, częściej milczących. Spacerują o zmierzchu, bez celu włócząc się po mieście.

Przez pewien czas wystarcza samo ich pojawienie się w zasięgu wzroku – ludzie wychodzą ze sklepów czy kawiarni, żeby się na nich gapić. Nos Munro pokazywany jest dyskretnie dzieciom i przyjeźdnym. Krąży wiele domysłów co do tego, czy wkłada go w domu, czy nosi go w łóżku, czy zdarza mu się gdzieś go zarzucić albo czy spada mu czasem z twarzy, gdy na przykład zapina sprzączkę u buta. Czy sprawia mu ból? A jeśli Munro się przeziębi? Sam Munro chyba się do niego całkiem przyzwyczał, od czasu do czasu podnosi rękę, żeby się pogłaskać po nosie.



Agnes robi się korpulentna i popada w lekki obłąd, wlecze za sobą wszędzie Chowdera, patrzy złym wzrokiem na obcych, których podejrzewa o to, że się z niej naigrawają. Jej widok wzbudza trochę litości i trochę satysfakcji. Niejeden kaznodzieja nawiązuje z ambony do jej przypadku. Pochyla się, smagając powietrze swoją Biblią. Boża sprawiedliwość! Boży gniew!

Dłonie wiernych zaciskają się wokół wyimaginowanych kamieni.

A potem pewnego dnia kaznodzieje mają swoje święto. Ofiarowanie Pańskie 1767 roku. Ulice pachną węglowym dymem i mrozem, nocne niebo obficie nabite gwiazdami. James był na Grand Parade, gdzie przeprowadził trepanację czaszki u młodego człowieka, którego koń kopnął w głowę. Młodzieniec przeżył operację i wraca pod opiekę swoich przyjaciół, słaby, oszołomiony, ale jak najbardziej żywy. Kobieta, niezwykle piękna, całuje Jamesa w rękę, mimo krwawej powłoki na palcach. James zanosí pieniądze do sejfów w piwnicy, wkłada surdut i rusza na Orange Grove.

W salonie zastaje przy kominku Gummera, zdejmującego bułeczkę z rusztu. Patrzą na siebie, nic nie mówią. James dzwoni na służącą. Jest obecnie zaręczona z czeladnikiem piekarskim z Trim Street. Zamawia kolację, zjada ją z tacy w salonie. Z góry słyszy mamrotanie Agnes, przepytującej pustkę swojego pokoju. Gummer wychodzi na jakąś podejrzaną wyprawę, żeby kogoś zastraszyć czy przekupić. Chowder zwija się przed kominkiem, trzęsąc się i pierdząc.

Koło północy James idzie na górę do swego pokoju, wkłada nocną koszulę i szlafmycę i kładzie się do łóżka. Ale sen nie przychodzi. Czeka, zniecierpliwiony, nieprzyzwyczajony do okresów bezsenności, tak dobrze znanych osobom cierpiącym na tę przypadłość, do tajemniczych halucynacji, ciągłego przewracania się z boku na bok, bicia serca wprawiającego w wibracje całe łóżko. Traci poczucie czasu, dociera do niego głos nocnego stróża, ale nie słyszy, która godzina. Druga, trzecia?

Nagle dobiega go jakiś hałas. Niegłośny. Gdzieś na parterze. Coś się przewraca. Może Gummer potknął się o nogę stołu w ciemnościach albo Dina z hałaśliwą ostrożnością wkrada się do domu po powrocie z Trim Street. Jednak instynkt ostrzega go, że ten dźwięk to coś mniej niewinnego, że to niepozorny sygnał nieszczęścia. Wyskakuje z łóżka, stoi w ciemności, nasłuchując.

Po omacku znajduje hubkę z krzesiwem, które zawsze trzyma przy łóżku, zapala świecę, bierze laskę dla obrony i wychodzi na schody. Jeśli to jakiś nieszczęsny skurwysyn zakradł się, by napełnić swoją sakiewkę, to wybrał zły dom i złą noc. Ale już schodząc po schodach z przygotowaną laską, sam w to nie wierzy i nie jest zaskoczony, znajdując pokoje na parterze zimne, nienaruszone, puste. Wszystkie z wyjątkiem gabinetu Munro, gdzie słabe światło sączy się spod drzwi. Panuje też zapach, jakby stary lekarz – czy ktoś inny – palił ubrania.

Otworzywszy drzwi, James widzi dwie rzeczy: pożar, niezbyt jeszcze groźny, bo świeca spadła na dywan, i Munro, stojącego w powietrzu w kącie pokoju nad krzesłem leżącym na boku u jego stóp. Surdut Munro leży złożony na fotelu przy biurku. James rzuca go na płomień, zdeptuje ogień, otwiera okno. Gdy powietrze oczyściło się z dymu, bada Munro i upewnia się, że nie żyje. Te historie o ludziach ożywających na stole chirurga po odcięciu ze sznura, jakie to by było ciekawe! Munro jednak nie ożyje, dopóki nie zatrąbią na Sąd Ostateczny.

James zastanawia się, czy go nie odciąć, ale rozmiary wiszącego robią deprymujące wrażenie, a lina nad karkiem jest naprężona jak cuma. Munro może poczekać. Ranek będzie dobrą porą. James unosi świecę i dostrzega na biurku, obok kilku kopert zapieczętowanych czarnym lakiem, okulary Munro i nos z kości słoniowej.

James nie przychodzi na pogrzeb. Bada pacjentkę, kobietę z gorączką połogową. W świecie Jamesa ludzi wrzucano by do dołów z wapnem lub, tak jak Grace Boylan, przez otwór armatni z kulą u nóg do wody. Teraz jest tu, za chwilę niewidoczna, nic tylko morze. Żadnych przebieranek, żadnego żałobnego zamieszania.

Oficjalnie Munro zmarł na atak serca, ale prawda powoli wypływa na powierzchnię i po dwóch tygodniach od Taunton do Gloucester krąży pogłoska, że Robert Munro się powiesił, albo – jak niektórzy mówią – zastrzelił czy połknął truciznę i że to jego żona i ten łajdak Dyer doprowadzili go do tego. Wygląda na to, że wszyscy się tego spodziewali.

Trzy dni po pogrzebie Agnes zostaje wygwizdana, gdy przechodzi z Diną przez dziedziniec oactwa. Przez miesiąc nie wychodzi potem z domu.

Tydzień później James przyjeżdża na Grand Parade i zastaje wszystkie szyby na parterze wybite. Pan Timmins czeka na niego przy drzwiach, wyjaśnia, że w takich warunkach nie może, niestety, dłużej i musi w związku z tym, z całym szacunkiem i z głębokim żalem... James odpycha go od drzwi, zmiata szkło, wzywa szklarza.

Ludzie go unikają. Jego praktyka się kurczy. Wkrótce przychodzą już tylko ci, którzy nie są w stanie przejmować się opinią świata, których myśli nie sięgają poza chęć ulżenia swemu bólowi i którzy niby cenny sekret pielęgnują reputację Jamesa Dyera, nie jako człowieka, lecz jako chirurga.

Ci, których stan jest mniej rozpaczliwy, którzy nadal jedną nogą stoją w strumieniu ziemskich spraw, idą do pana Crispa, który sporo umie, do pana Farbanka albo do pana Boasa, bądź któregokolwiek z kilkunastu innych, mogących się pochwalić certyfikatem i umiejących utrzymać nóż w ręku, do ludzi, którzy nieraz pili na pohybel Jamesowi Dyerowi. Teraz ich marzenia się spełniły. Dyer bardzo szybko pozna niedostatek. Wtedy zobaczymy.

Marzec. Deszcz kamieni spada na plecy Jamesa, gdy idzie po ciemku przez Orange Grove. Tej samej nocy rozbite zostają nowe okna na Grand Parade.

Kwiecień. Zaledwie czterech nowych pacjentów przez cały miesiąc. Dina i kucharz odchodzą. Trudno znaleźć kogoś na ich miejsce. Agnes nie wstaje prawie z łóżka, leży w zatęchłej pościeli, ściskając w ręku mały portret zmarłego męża. James jej nie odwiedza. Mieszkają pod jednym dachem jak obcy ludzie.

Wygwizdywacze i kamieniarze robią się coraz zuchwalsi. James śpi w siodle, wracając od pacjenta z St Catherine's Valley, a gdy otwiera oczy, widzi, że drogę zagradza mu czterech mężczyzn trzymających w rękach kije, twarze mają owinięte szalikami. Jeden podbiega, żeby go uderzyć. James powala napastnika kopniakiem w głowę. Podchodzą pozostali; któryś chwytą za uzdę; ściągają Jamesa na ziemię. Bójka trwa krótko, przebiega w niemal całkowitym milczeniu. James nie ma w walce żadnych skrupułów, żadnych obaw. Biję po oczach i gardłach, ale czterech to zbyt wielu. Biorą górę, tłuką go kijami. Jak przez mgłę dociera do niego, że się pochylają, że szepczą, że ciężko dyszą. Potem słyszy, jak uciekają. Potem nic.

Gdy odzyskuje przytomność, jest już jasno. Żółty świt. Drobny deszcz. Wrona przygląda mu się ze skraju drogi. Kiedy widzi, że się poruszył, podskakuje do góry i ciężko machając skrzydłami, odlatuje nad lśniąca doliną. Koń schronił się pod dębem, stoi równie nieruchomy jak drzewo. Bardzo powoli James podciąga się na siodło. Niewielu widzi go wracającego do domu, ale wystarcza to do rozpuszczenia nowiny: ten łajdak cały posiniaczony! Odrobina zadośćuczynienia dla starego Munro.

Kiedy Gummer znajduje Jamesa następnego ranka na Grand Parade, kręci głową, śmieje się, a potem przynosi jedzenie i wino. Pręgi, guzy, ślady butów na plecach, nogach, ramionach kwitną, potem są wchłaniane przez skórę. James sam zajmuje się swoimi obrażeniami, kompresy, igła i nitka. Po dwóch dniach może już kuśtykać o lasce. Po czterech jest całkiem zdrowy, przyjmuje nielicznych pacjentów, którzy jeszcze pozostali, w salach

szczepień i na oddziale syfilityków, operuje zropiałe migdałki dziecka. Nie poszukuje napastników. Nie myśli o nich. To nie ma znaczenia. Jest Jamesem Dyerem. Nawet wrogowie nazywają go wybitnym, błyskotliwym. Nie cierpi. Ale po raz pierwszy od trzech czy czterech lat otwiera stare planetarium i pociesza się jego widokiem i wspomnieniami o sobie w Blind Yeo, wspomnieniami o chłopcu przekonanym o swej wielkości.

Gwiazdy go nie zawiodą. Piętnastego dnia maja 1767 roku dostaje list od doktora Fothergilla z Londynu.

*Drogi Jamesie!*

*Chociaż wolałeś zapomnieć o swoim starym nauczycielu, on o Tobie nie zapomniał. Jako stary człowiek znajduję przyjemność w śledzeniu kariery moich co zdolniejszych studentów i dowiedziałem się z wiarygodnych źródeł, że robisz dobry użytek ze swych talentów na południowym zachodzie. Jak słyszę, szczepienie przeciw ospie, ten tak ważny środek zaradczy, stało się twoją specjalnością.*

*Pan Puszyn, ambasador rosyjski w Londynie, ujawnił, że caryca Katarzyna pragnie sama poddać się szczepieniu, żeby dać przykład swemu narodowi i zmniejszyć plagę tej choroby w swoich włościach. W tym celu zażądała od swego ambasadora, żeby znalazł angielskiego lekarza, jako że nasi specjaliści znani są na całym świecie ze swych zdolności i wiedzy w tej materii. Zaproponowano kilka nazwisk, a ja pozwoliłem sobie umieścić Twoje wśród nich. Ufam, że nie weźmiesz mi tego za złe.*

*Ostatecznie przeprowadzi ów zabieg ten, kto pierwszy przybędzie do miasta Sankt Petersburg, albowiem zadecydowano, że ponieważ wszyscy na liście są w równym stopniu przygotowani do powierzonego zadania, wszyscy powinni mieć równe szanse. Zostanie wyznaczony dzień, w którym gotowi do udziału w podróży zbiorą się w Londynie, by stąd wyruszyć razem na kontynent, a stamtąd, tak szybko, jak będą mogli, do Rosji. Ja wprawdzie niezupełnie pochwalam ten tryb postępowania, uważa się jednak, że zapewni to nieco emocji i rozrywki zarówno tu, jak i tam.*

*Gdybyś chciał, abym potwierdził Twój udział, proszę, byś przyjechał tu, gdy tylko będziesz miał taką możliwość, przewiduje się bowiem, że cała sprawa rozegra się przed końcem roku.*

*Gdybym był młodszy, kusiłoby mnie zapewne, żeby pojechać tam samemu. Niebezpieczeństwa nie są błahe, ale i nagroda będzie pewnie bardzo hojna.*

*Pozostaję z szacunkiem*

*Fothergill*

W następnym tygodniu James jest w Londynie z Fothergillem w jego ogrodzie. Nie widać na nim śladu ostatniego pobicia. Nosi ubranie z doskonałej tkaniny, przyciął włosy i ma perukę, nową, drogą i lekko perfumowaną.

Choć niewykluczone, że Fothergill słyszał o aferze z Munro, a może nawet to go w pewnym stopniu skłoniło do napisania listu, nie padają żadne zawołane aluzje, żadne miny nie kwestionują moralnych kwalifikacji kandydata. James wyjaśnia swą metodę stosowania lancetu do szczepień. Fothergill kiwa głową z aprobatą. Piją wino na ławeczce pod kwitnącą wiśnią. Za zdrowie carycy. Fothergill mówi:

– Co za przygoda, Jamesie.

Jedzą rodzinną kolację, tradycyjne angielskie dania, za oknem zachód słońca. Córka Fothergilla rumieni się, widząc, w jaki sposób James, ten piękny mężczyzna, ją obserwuje, jakby leżała przed nim na stole operacyjnym.

Po kolacji Fothergill prowadzi Jamesa do pokoju na poddaszu. Jest on pełen wypchanych ptaków, straszących na ścianach, kości, skamielin i martwych motyli ze skrzydłami niczym z jedwabiu.

– Chodź – mówi. Przy stole stoi beczka. Kiedy Fothergill zdejmuje wieko, gorzko-słodki aromat tytoniu wypełnia pokój.

– Mój agent w Ameryce Północnej, pan Samms, pakuje swoje zdobycze w tabakę. To przypląnęło wczoraj na statku niewolniczym z Charlestonu. Proszę, podciągnij mi rękawy.

Fothergill zanurza ręce w tytoniowym pyłe, wydobywa na wierzch jakieś stworzenie, które wynurza się w półmroku pokoju. James pyta:

– Co to jest, proszę pana?

– *Mephitis mephitis* – mówi Fothergill, unosząc zwierzę jak ukochane dziecko. – Skunks. Zwykły śmierdziel.

## 20

Domy przy Grand Parade zostają sprzedane. Jeden kupuje jakiś aktor, drugi emerytowany kapitan Kompanii Wschodnioindyjskiej. Jest lipiec. Ostatni tydzień Jamesa w Bath. Nad rzeką zebrał się tłum, w miejscu, z którego lina pnie się stromo do wschodniej wieży opactwa. James podchodzi i staje z tyłu. Wszyscy wpatrują się w wieżę. Jakaś małeńka postać przymierza się do liny, kładzie się na czymś w rodzaju napierśnika balansującego niepewnie na linie. Ktoś krzyczy: „Leci! Leci!” i postać nagle frunie, pędzi w dół po linie, za trącą o linę deską ciągnie się strumień dymu. Wystrzał z pistoletu, dźwięk trąbki ponad wzgórzami. Postać nurkuje jak spadająca gwiazda, jak upadający anioł. Szaleństwo! Coś niebywałego!

Tłum wiwatuje. James popychany jest do przodu, aż znajduje się za rzędem osób stojących najbliżej niższego końca liny, przymocowanego do rusztowania, i patrzy ponad ich ramionami. Widzi mężczyznę, małego i żylastego, w połatanym surducie; obok niego, z trąbką w dłoni, ze łzami od pędu powietrza w oczach, dziewczynkę, czternasto- czy piętnastoletnią, może córkę. Kobieta stojąca w tłumie obok Jamesa mówi:

– To ona to zrobiła. Niedługo pożyje, co? Niedługo, ale wesoło.

James obserwuje dziewczynkę, która śmieje się tak, jakby nic piękniejszego nie mogło jej się przydarzyć w tym momencie życia. Patrzy na dum, przez sekundę jej oczy spotykają się z oczami Jamesa. Co za twarz! Co za niepohamowana radość w oczach!

James przepycha się między ciżbą, wydobywa z tłumy i idzie ciężki jak trup w stronę Orange Grove. Nie rozumie, co go tak poruszyło. To była tylko sztuczka cyrkowa, część tego szaleństwa na punkcie latania, jakie ogarnęło cały kraj. Dreszczyk emocji dla gawiedzi. Wchodzi do cichego domu, idzie na górę do swojego pokoju. Pokój zawsze był pusty, zielony i pusty. Teraz jest jeszcze bardziej pusty. James podchodzi do lustra, przeciera je. Taka twarz. Czy on żyje? Co to znaczy żyć? Cóż takiego czuje ta dziewczynka, czego on nie czuje?

Poprawia fular. Chłodne, zręczne palce. Myśli o Rosji, Rosji, Rosji..

## Część piąta

Paryż, 22 października 1767

Wielebny Juliusz Lestrade do lady Hallam  
Szanowna Lady Hallam!

Proszę mi wybaczyć, że nie pisałem wcześniej. Prawdę mówiąc, odczuwam ostatnio wstręt do robienia czegokolwiek, a najmniejsze zadanie męczy mnie ponad siły. Obawiam się, że jestem w związku z tym bardzo kiepskim towarzystwem dla Pani przyjaciela, monsieur Abouta, który prosi, żebym przesłał Pani najserdeczniejsze pozdrowienia, i mówi, że z ogromną wdzięcznością wspomina swój pobyt we dworze.

Zdaje się, że nie była Pani nigdy w jego domu, który znajduje się na Quai de Bourbon, zaledwie minutę drogi od katedry Notre Dame. Czy jest Pani wielbicieleką stylu gotyckiego? Parę dni temu wszedłem do katedry, a powietrze tak było ciężkie od zapachu kadzidła, że zakręciło mi się w głowie. Okna są bardzo piękne.

Na nieszczęście to miasto ma zbyt wiele pałaców, zbyt wiele kościołów, zbyt wiele zabytków. Przypuszczam, że w takiej samej sytuacji znalazłby się cudzoziemiec przybywający do Londynu, ale mnie brak entuzjazmu i cieszę się, że monsieur About nie zmusza mnie do niczego. Jak Pani wie, jest on człowiekiem interesu, choć nie jestem pewien, co to za interesy, wiem tylko tyle, że pracuje u jakichś Żydów w Faubourg Saint-Germain. Często zostawia mnie pod opieką swojej przyjaciółki, madame Duperon, bardzo eleganckiej i dowcipnej damy, z którą mogę ćwiczyć moją kiepską francuszczyznę. Jej angielski jest, mówiąc delikatnie, ekscentryczny, a akcent sprawia, że nawet najbardziej niewinne wypowiedzi brzmią dziwnie niewłaściwie.

To jednak na marginesie. Do podjęcia tej spóźnionej korespondencji skłoniło mnie nie tylko wspomnienie na moją obietnicę pisania do Pani, ale również bardzo niezwykły rozwój wydarzeń, na skutek którego, jak się zdaje, mamy opuścić Paryż i wyruszyć – jeśli noc zdrowego snu nie skłoni nas do porzucenia tego pomysłu – do Rosji! Sam nie bardzo rozumiem, jak do tego doszło. Wcale nie jestem pewien, czy to mądra idea, ale About jest zdecydowanie za tym, mówi, że był trzy czy cztery razy w Petersburgu i że woli być tam niż w Wenecji, Rzymie czy jakimkolwiek innym z wielkich miast Południa. Siedzieliśmy wszyscy przy kolacji, gdy uczynił tę propozycję, bez wątplenia powodowany swoją gościnnością, która zasługuje wręcz na miano wielkoduszności.

Piszę cały czas „my”, a powinienem, zgodnie z wymogami dobrych manier, przedstawić towarzystwo. About, rzecz jasna, ja i madame Duperon. Oprócz tego angielskie małżeństwo nazwiskiem Featherstone, które poznaliśmy w zeszłym tygodniu w Tuileries, kiedy About pomógł panu Featherstone, który znalazł się w nader kłopotliwym położeniu, ponieważ skradziono mu sakiewkę. Cała sprawa została tak szczęśliwie załatwiona, że postanowiliśmy wszyscy razem zwiedzić tegoż samego popołudnia Wersal. Nie widzieliśmy króla, ale zobaczyliśmy za to kilka ciekawostek w menażerii, a mianowicie małego czarnego jelenia z Chin, młodego słonia i nosorożca ze złamanym rogiem. Featherstone'owie są od tej pory naszymi stałymi towarzyszami.

Pan Featherstone jest człowiekiem w średnim wieku, krzepkim, zamożnym, jak sądzę, i od niedawna żonatym. Jego małżonka jest od niego dwa razy młodsza, fertyczna i ładniutka i myślę, że jest dla niego bardzo dobrą towarzyszką. Spędzają w Paryżu swój miodowy miesiąc. On był tu już wcześniej w interesach. Ona nigdy przedtem nie wyjeżdżała z Hereford i pozostaje cudownie niewzruszona galijskim wyrafinowaniem. Co najmniej raz na godzinę oznajmia Aboutowi lub pani Duperon – która tego zupełnie nie rozumie – że Francja pełna jest odrażających zapachów i ohydnych manier. Nawet w kwestiach mody, jak się

zdaje, kobiety z Hereford przewyższają swe paryskie siostry. Muszę przyznać, że dla mnie Featherstone'owie są nieco męczący, choć w moim obecnym stanie zda mi się takim niemal każde towarzystwo, co z pewnością sprawia, że to ja jestem bardzo nudny. Trochę też zapewne chaotyczny ze mnie korespondent. Czy nie pisałem o Rosji? Proszę mi pozwolić wyjaśnić.

Sprawa ta stanęła nagle na wokandzie przez ów niezwykle wyścig lekarzy. Jestem pewien, że czytała pani o tym lub słyszała. Cały „kondukt” – jak nazywamy grupę lekarzy – wyruszył z Londynu. Ci panowie mają przejechać przez Paryż, a potem Berlin w drodze do Sankt Petersburga, gdzie jeden z nich zdobędzie nieśmiertelność, szczepiąc carycę przeciw ospie. Reguły – pan F. jest moim informatorem – są takie: pierwszy w Paryżu będzie pierwszym, który wyruszy następnego dnia, a jego odjazd nastąpi o tyle godzin wcześniej przed rywalami, o ile wcześniej miał miejsce jego przyjazd. To samo dotyczy Berlina, skąd zawodnicy na łeb na szyję pognają do Petersburga. Zarówno tu, jak i w Prusach zaplanowano powitanie z udziałem brytyjskich ambasadorów, a kiedy pierwszy z lekarzy wjechał dziś na Place Royale, zebrał się mały tłumek, by go powitać, choć co najmniej połowa miejscowych miała, zdaje się, nadzieję zobaczyć jedną z metres króla.

Byliśmy tam właściwie przez przypadek. Pan F. chciał zobaczyć Bastylę, twierdzę, która znajduje się niedaleko od Place Royale. Dziesięć minut po tym, jak weszliśmy na plac, wtoczył się tam bardzo zakurzony pojazd z komicznie wystrojonym woźnicą w jaskrawożółtym surducie, który jodłował na konie i wyklinał tłum. Drzwiczki otworzyły się, my wszyscy wyciągnęliśmy szyje, a z powozu wyskoczyli doktor Dyer i jego pomocnik, doktor – elegancki i zwinny, ten drugi – z wyrazem twarzy człowieka, którego nic na świecie nie zdoła już rozbawić, co pozytywnie mnie do niego nastawiło.

Następny przyjechał doktor Dimsdale – choć myśmy go nie widzieli – trzy godziny po Dyerze i podobno już zdążył oskarżyć pozostałych o nieczystą grę. Cóż za żalosne z nas istoty! Moi towarzysze byli jednak bardzo poruszeni całą tą przygodą, nadal ją przeżywali, gdy zebraliśmy się tu chez About na obiad. Byliśmy przy mięsie, gdy gospodarz, w bardzo wesołym nastroju, stuknął pierścieniem w kieliszek i przedstawił propozycję naszej wycieczki. Rzucił ją tak lekko, że nikt z nas nie potraktował jej serio, ale potem pan About utkwiał w nas pytający wzrok i zaczęło mnie, a potem panu F., świtać, że nasz gospodarz mówił całkiem poważnie.

Nie kto inny jak pani F. podjęła rękawicę, zwracając się do męża i popierając propozycję Abouta. Pan F., jak każdy świeżo upieczony małżonek, nie chciałby wyjść na osobnika, któremu brak męskiej stanowczości, odpowiedział zatem na zapal swojej żony jeszcze większym entuzjazmem. Wówczas pozostało już tylko zbałamucić Pani korespondenta. About zwrócił się do mnie po francusku, by porozmawiać ze mną dyskretnie, jako że państwo F. nie znają tego języka, i wyłożył mi, że człowiek w moim stanie ducha może tylko skorzystać na takiej podróży, która winna ożywić ciało i dostarczyć tylu wspaniałych wrażeń duchowi, że zostaną w zupełności uwolniony od obecnej melancholii. Mówił tak serdecznie i, jak się wtenczas wydawało, tak mądrze, że nie bez pomocy jego piwniczki pozwoliłem się przekonać.

Pan F. zapytał wtedy, kiedy mielibyśmy wyruszyć. Ku naszemu zdumieniu, About odpowiedział, że musi to nastąpić jutro rano, że on sam zajmie się wszystkim, a my mamy tylko spakować nasze torby. Wszystkie niezbędne rzeczy kupimy po drodze. Nie potrzeba specjalnych przygotowań. Pojedziemy tą samą trasą, co ścigający się lekarze, a może nawet uda nam się dotrzeć do Petersburga przed nimi!

Mogę tylko powiedzieć, że w świetle świec plan ten wydał nam się czarujący i podziwialiśmy wielce siebie samych za odwagę przyjęcia go z taką nonszalancją. Teraz mój zegarek wskazuje za kwadrans trzecią rano. Paryż jest cichy, chociaż widzę łódź sunącą po rzece i słyszę coś, co brzmi jak szloch kobiety z ulicy na dole. Stałem się niejako ekspertem

od tych rzadko zaludnionych godzin nocy. Marynarze, jak mi się zdaje, nazywają je „cementarną wachtą” i dziwnie jest pomyśleć o nich, którzy nawet teraz, gdy piszę, żeglują z wiatrem i gwiazdami po wielkich i pustych oceanach świata.

Jest to też zapewne pora dziwacznych myśli. Błagam o wyrozumiałość. Chyba nie podziękowałem jeszcze należycie za Pani dobroć dla mnie w tej mierze. Nieco zbyt widoczne oznaki słabnięcia mojej wiary musiały być dla Pani kłopotliwe, jeśli nie wręcz obraźliwe, zważywszy na Pani silną wiarę i chrześcijańską prawość. To, że zostałem potraktowany tak wspomniałomyślnie, stawia mnie na zawsze w rzędzie Pani dłużników. Jest moim głębokim życzeniem, bym pewnego dnia mógł znaleźć środki na spłacenie owego długu.

Położę się teraz, zamknę oczy i przynajmniej odegram rolę śpiącego. Morfeusz może się wtedy zlituje i przyjdzie do mnie. Napiszę znowu za kilka dni i przedstawię wiadomości o wielkiej wyprawie do Sankt Petersburga, chociaż obawiam się – a może mam nadzieję? – że wszyscy o niej zapomnimy, zanim skończymy pić poranną czekoladę.

Pozostają Pani najpokorniejszym, najwdzięczniejszym, najbardziej niesfornym sługą  
Juliusz Lestrade

Paryż, 22 października 1767

Wielebny Juliusz Lestrade do panny Dido Lestrade  
Kochana Dido!

Parę słów od Twojego brata-tułacza. Mam nadzieję, że się już na mnie nie gniewasz. Wiem, że moje zachowanie było dla Ciebie powodem wielkiego niepokoju. Mogę tylko prosić o Twoją wyrozumiałość i cierpliwość i zapewnić Cię o mojej braterskiej miłości. Paryż jest dość ładny. Moja francuszczyzna zdaje egzamin, choć nie jest tak elegancka i poprawna jak Twoja. Co słyhać w Cow? Czy pani Cole troszczy się o Ciebie? Jak tam Twoje bóle głowy? Czy lekarstwo doktora Thorne'a przynosi Ci ulgę?

Kochana siostrzo, mówi się tu o tym, że być może pojedziemy do Sankt Petersburga w Rosji. Nie przerażaj się! Monsieur About, którego z pewnością bardzo byś polubiła, namówił mnie do tego, chociaż nie wiem, czy wyprawa dojdzie do skutku. Nie jest to zbyt prawdopodobne, jak sądzę, ale może byłoby lepsze niż obijanie się tutaj. Napisałem do lady Hallam. Czy ją czasem widzisz? Jak się miewa? Nie wiem, czemu zadaję Ci te wszystkie pytania; Bóg jeden wie, dokąd miałabyś wysłać odpowiedź.

Nie bądź na mnie zła, Diddy. Ty i ja powinniśmy zawsze starać się żyć w zgodzie. Dopilnuj, żeby George Pace naprawił dziurę w dachu, zanim pogoda naprawdę się zepsuje i, bardzo Cię proszę, zajmij się trochę ogrodem.

Twój kochający, niemądry brat

Juliusz

Berlin, 31 października

Wielebny Juliusz Lestrade do Lady Hallam  
Szanowna Lady Hallam!

Piszę do Pani z hotelu „Phönix” w Berlinie, gdzie mam bardzo wykwinny pokój i lepsze biurko niż w moim gabinecie w Cow, przy którym to biurku piszę właśnie do Pani.

Nie mogę jeszcze uwierzyć w to, że jestem tutaj. About jest czarodziejem, dobrotliwym Faustem. Ma niespożytą wręcz energię. Wyjechaliśmy z Paryża przed tygodniem; w dniu naszego wyjazdu służba obudziła nas przed świtem i wszyscy zebraliśmy się przy stole, mgliście pamiętając postanowienia z ubiegłego wieczora, na czekoladę i bułeczki. About już tam był i zjadał śniadanie, a wyglądał tak, jakby spał dwanaście godzin.

Pan i pani F. oraz ja, starannie unikając nawzajem swego wzroku, byliśmy zmuszeni okazywać zapał, którego bynajmniej nie odczuwaliśmy. Ale któż z nas zgodziłby się przyznać, że bywa mocny tylko w gębie? Że jest tchórzliwym pleciugą? Już po minucie



wznosiliśmy z Aboutem toasty za Petersburg, za carycę, za życie w podróży. I tak nasza troska o to, jakimi się okazemy w oczach świata, każe nam jechać na jego krańce. Była to, zapewniam Panią, bardzo komiczna scena. Ośmielę się twierdzić, że doskonale wypadłaby w teatrze.

Po śniadaniu pośpiesznie zebrano nasze kufry i wsiedliśmy do naszego rydwanu. Jest to dość wiekowy pojazd, brązowy w środku i na zewnątrz, poza szprychami kół, na których widać trochę starej żółtej farby. Wyściółka w siedzeniach gdzieś zabiła się w małe pagórki, jedno z okien się nie domyka, a od tylnej osi dobiega nas stale złowrogi lament, ale całkiem się przywiązaliśmy do naszego środka lokomocji, bo mocny to pojazd, z dobrym, suchym zapachem i mnóstwem miejsca dla nas wszystkich, nawet dla krynolin pani F.

Do chwili pierwszego popasu w ślicznym zajeździe pod miastem Compiègne wszyscy już pogodziliśmy się z losem, zwłaszcza gdy oberżysta uraczył nas wyśmienitą duszoną kaczką z bekonem, a About skłonił go do rozstania się z kilkoma butelkami najlepszego czerwonego wina z jego cave. Pogoda, szara w Paryżu, zmieniła się we wspaniałe jesienne popołudnie. Nasz powóz, noszący dumne imię „Mami Sylvie” po jednej ze starszych kuzynek Abouta, połykał odległości, pędząc między rzędami krzewów i przenosząc nas przez osady, które mimo wyraźnej biedy wydały nam się malownicze. Tej nocy, po raz pierwszy od wielu tygodni, dobrze spałem – co najmniej siedem godzin błogiej drzemki. Zastanawiam się, jak wiele z naszych cierpień, naszych psychicznych katuszy bierze swój początek z braku snu. Być może lekarstwem na wiele ludzkich dolegliwości byłby ni mniej, ni więcej tylko silny napój nasenny.

Doszła Pani może do wniosku, że dziwnie z nas niedobrana grupa podróżników, ale śpieszę donieść, że zupełnie dobrze się ze sobą zgadzamy. Państwo F. to porządni ludzie, których, niestety, dość łatwo zirytować, pan F. lubi się trochę przechwalać, ale zasadniczo ma jak najlepsze intencje, a to w końcu najważniejsze. Cechuje ich cudowne i bardzo konsekwentne pogardliwe nastawienie do wszystkiego, co nieangielskie. Wszystko, co widzimy – krowy, drzewa, budynki, nawet mężczyźni i kobiety, których mijamy na drodze – dla Featherstońskich umysłów ma swój piękniejszy odpowiednik w Albionie. Wcale nie drażni to pana About, wręcz przeciwnie – rozśmiesza go do łez, a chociaż ironiczny uśmiešek mógłby w takiej sytuacji być obrazą, taka szczerza wesołość brana jest za dobrą monetę. Pani F. jest bystrzejsza od swego męża. Czasem dostrzegam, jak jej twarz przybiera bardzo przebiegły wyraz. Przed końcem miodowego miesiąca z pewnością owinie sobie pana F. wokół palca.

Co do naszego kapitana, monsieur Abouta, zna już Pani trochę jego charakter i zdolności. Czy nie dostrzegła Pani w nim czegoś – jak by to określić? – czegoś tajemniczego?

Nie zdołałem go przejrzeć, a przecież mam do niego pełne zaufanie. Jeśli ktokolwiek potrafi bezpiecznie i szybko dowieźć nas wszystkich na carski dwór, to z pewnością właśnie on. W Brukseli widzieliśmy doktora Dimsdale'a i jeszcze jednego z zawodników, niejakiego pana Selkirka, a w Hanowerze zobaczyliśmy Oziasa Hampshire'a. Nie potrafiliśmy wówczas ustalić, który z nich prowadzi, ale w Berlinie przekonaliśmy się, że Dyer jest nadal na czele stawki i że oskarżenia wysuwane przeciwko niemu i jego pomocnikowi stają się coraz gwałtowniejsze. Krążą nawet pogłoski, że wynajął zbirów, którzy mieli powstrzymać doktora Lettsoma, i rzeczywiście wydaje się, że wypadł on z gry. Spędziłem dzień na zwiedzaniu – opera, pałac królewski, nowa katedra protestancka w Lustgarten, którą tu nazywają „filizanką starego Fryca” ze względu na kształt kopuły. Sam stary Fryc bawi właśnie w mieście i pan About udał się do pałacu w nadziei uzyskania audiencji. Nie chciał, żebyśmy mu towarzyszyli, twierdząc, że idzie w interesach i że byłoby to dla nas zbyt nudne. Zabrał ze sobą jedno z dużych pudeł, które wziął z Paryża; poniósł je za nim służący z hotelu. Nie wiem, co w nich jest, a gdy spojrzałem na nie uważnie dziś rano, About mrugnął do mnie w bardzo dziwny sposób. Nie wierzę, by mogło chodzić o coś niewłaściwego. Czy znane są

*Pani jakieś słabostki Fryderyka? Wielcy ludzie czasem je miewają. Myślę, że monsieur About lubi się z nami drażnić.*

*Państwo Featherstone wybrali się ze mną na zwiedzanie miasta. Berlin dość im się podoba, a jako że Prusacy byli naszymi sprzymierzeńcami w niedawnych wojnach, mogą liczyć na znacznie większą sympatię pana F. niż Francuzi. Dziś jemy obiad w „Bristolu” i idziemy wcześniej spać, żeby jak najlepiej wykorzystać wygodne pruskie łóżka, ponieważ About ostrzega, że im dalej zajedziemy na wschód, tym mniej wygodne będą nasze noclegi. Niech i tak będzie.*

*Juliusz Lestrade*

*Mam nadzieję, że ten list zastanie Panią w zdrowiu i szczęśliwości. Czy jedzie Pani tej zimy do miasta? Monsieur About właśnie puka do drzwi. Pozostaję Pani pokornym i posłusznym sługą.*

*Berlin, 1 listopada*

*Juliusz Lestrade do panny Dido Lestrade*

*Kochana Dido!*

*Twój brat jest w Berlinie! Tak, wiem, że nie mam tu żadnych interesów, ale jestem i tyle. Czy czujesz się dobrze? Zastanawiam się czasem, czy Thorne rzeczywiście wie, co robi. Większość lekarzy grzeszy niekompetencją. Sporo z nich to szaleńcy. Wszyscy są chciwi. Podróż z Paryża nie była najgorsza, chociaż bolą mnie plecy od tego przekłętego powozu i cierpię na najgorszy, jaki pamiętam, atak hemoroidów. Często marzę o tym, żeby być z powrotem w Cow, ale skoro nadal nie jestem zdolny do tego, by być dla ludzi przewodnikiem duchowym, to musiałbym znowu wyjechać i tylko przyczynić jeszcze więcej zmartwień tym, którzy mi są drodzy. Może Bóg jest na Wschodzie. Może zostanę muzułmaninem. Czy wpuściłabyś mnie do domu, Dido, gdybym został muzułmaninem?*

*Poza monsieur Aboutem jedzie ze mną małżeństwo nazwiskiem Featherstone. Pan Featherstone, który ma udziały w kilku bristolskich okrętach niewolniczych, jest wielkim dzieckiem o czerwonej twarzy. Pani F. jest flirciarą i wyszła za niego dla jego niewolniczego złota. Choć zabrzmi to niewiarygodnie, robiła do mnie słodkie oczy! Mówią, że podróżowanie osłabia moralny kręgosłup mężczyzny; jaki zatem może mieć wpływ na kobietę? Zobaczmy.*

*Jutro rano ruszamy znowu w drogę. Podejrzewam, że będzie odtąd znacznie mniej wygodnie. Oczywiście nikt mi nie zabroni wrócić do Paryża czy choćby nawet do Anglii, ale zamierzam wytrwać w tej podróży do końca. Będę miał potem przynajmniej o czym opowiadać, nawet jeśli zabraknie wnuków, którzy mogliby mnie wysłuchać.*

*Miałem sen ubiegłej nocy i Ty byłaś w tym śnie, ubrana w jedną ze starych sukienek mamy, tę szarą. Czy ją pamiętasz? Kiedy się przebudziłem, odczuwałem przez pewien czas bardzo silne emocje. Ciekaw jestem, czy ojciec czuł się szczęśliwy, kiedy był w moim wieku. Czy Ty jesteś szczęśliwa, droga siostrze?*

*Następny list wyślę z zimnego kraju Polaków. Pozdrów koniecznie starego Askew. Pamiętaj o mnie w swoich modlitwach.*

*Juliusz*

*Bydgoszcz, 8 listopada*

*Wielebny Juliusz Lestrade do pana Askew*

*Drogi panie Askew!*

*Nie wątpię, że Dido poinformowała Pana o moich peregrynacjach. Nie była wcale zadowolona, kiedy wyjeżdżałem, przysięgała, że zupełnie nie może mnie zrozumieć. Oskarżyła mnie o to, że chcę sobie dogodzić kosztem innych. Obawiam się, że jest w tym nieco słuszności, choć mam nadzieję, że Pan, stary przyjaciel, nie będzie dla mnie tak*

*surowy. Jak mógłbym sprawować me posługi jako rozmyślny hipokryta? Prawnik potrafi zapewne wykonywać swój zawód, nie pokładając zbyt wielkiej ufności w prawie, a żołnierz wypełniać swe obowiązki, nie wierząc, że bierze udział w sprawiedliwej wojnie, duchowny jednak nie może z zachowaniem przyzwoitości trwać na swym posterunku, nie mając wiary. Wiem, przyjacielu, że kręci Pan głową i mówi, że gdyby tak było, to połowa duchownych w Anglii musiałaby porzucić swych wiernych. Czasem zdaje mi się, że najbardziej obawiam się tego, iż mógłbym żyć szczęśliwie bez religii. Czy to duch naszych czasów? Przemądrzały wiek.*

*Jak się mają psy? Pańska piękna suka będzie w tym roku postrachem zajęcy. Mam nadzieję, że panna Askew ma się doskonale. Przedwczoraj przydarzyła mi się dziwna przygoda – miałem konfrontację z bandą miejscowych żołdaków. Obawiałem się o moje życie, choć myślę, że tego nie okazałem. Złapali mnie, jak sikałem pod ścianą za gospodą, gdzie spędzaliśmy noc. Wstrętne typy. Zapłaciłem im i dali mi spokój. Kraj tu bardzo biedny. Chłopi chodzą w korze z drzew zamiast butów. Nasz następny postój wypada w Gdańsku nad Bałtykiem i mamy nadzieję uzyskać tam jakieś nowiny o latających doktorach. Muszę sobie kupić porządny płaszcz, bo pogoda się zmienia. Proszę, by miał Pan oko na moją siostrę, nie jest przyzwyczajona do samotności.*

*Pozostaję z wdzięcznością i szacunkiem*

*Juliusz Lestrade*

*Kaszuby, 12 listopada*

*Juliusz Lestrade do panny Dido Lestrade*

*Kochana Dido!*

*Zbliżamy się do brzegu Bałtyku i do miasta Gdańska,*

*które, jak mi mówi About, jest kwitnącym ośrodkiem handlowym, zamieszkanym przez wielu Szkotów. Kraj tutejszy, choć żyzny, jest biedny, biedniejszy niż Francja, ale ludzie wydają się mniej uciskani. Jest też cholernie zimno; wiatr wieje nam prosto w oczy, bo z Rosji. Wczoraj wieczorem mój kręgosłup zupełnie odmówił posłuszeństwa, gdy leżałem w łóżku, próbując czytać „Kandyda” przy świecy. Przez kilka minut w ogóle nie mogłem się ruszyć i już myślałem, że tam umrę, bezbożny pastor w nędznej szopie w Polsce. Bez wątplenia to kara za czytanie Woltera. Książka od Abouta. Zrobił mi z niej prezent. Spotkał Woltera w Genewie.*

*Błędem jest podróżować w nadziei rozwiązania swoich kłopotów. Wiezie się je tylko ze sobą i jest się zmuszonym znosić je pośród obcych. Co sądzisz o tej złotej myśli? Wielką będzie dla nas ulgą dotrzeć do cywilizowanego miasta. Ostatnie dwa dni ciężkiej podróży nadszarpaneły nieco nawet pogodę ducha Abouta. Nie posunąłbym się do twierdzenia, że obszczał pana F.; było to raczej ciche warknięcie bardzo dużego psa, imponujące i komiczne zarazem, jeśli wziąć pod uwagę, że z kości i ciała jednego Featherstone’a można by zrobić trzech Aboutów. Dostrzegam pewne niebezpieczeństwo w tym, że pani F. widzi stale swego męża w towarzystwie niepospolitego mężczyzny. Jestem pewien, że pan Featherstone błyszczy jak gwiazda wśród swoich kolegów handlarzy niewolników, ale w porównaniu z Aboutem to polny kamień przy diamentcie.*

*Zdaje mi się, że czuję zapach morza. Zimnego, zielonego morza.*

*Twój kochający brat*

*Juliusz Lestrade*

zimnym powietrzu. Pani Featherstone chce zrobić zakupy. Wszyscy biorą się pod ręce i wychodzą z gospody. Pastor kupuje senes i tytoń. About nabywa wspaniały futrzany kapelusz. U tego samego futrzarza Featherstone'owie kupują pelisy, „To dla szanownej pani, to dla szanownego pana – *sehr schön, nicht wahr?* A ten drugi dżentelmen, czy też sobie życzy?”

Pastor liczy w myślach swe uszczuplone środki i decyduje się na parę rękawiczek. Na zewnątrz podziwiają swój wygląd w sklepowej witrynie.

– Teraz – mówi About – jesteśmy przygotowani do spotkania z carycą!

Wyruszają następnego ranka ze świeżymi końmi, podróżują wytrwale, głęboką nocą, ścigając gwiazdę polarną w stronę Rygi. Śnieg, częściowo roztopiony, pokrywa plamami krajobraz, ale po południu drugiego dnia ze wschodu nadciągają chmury, sine, szare, białe. Przez całą noc śnieg prószy ukradkiem z nieba za zamkniętymi okiennicami gospody, pada nieustannie, przestaje następnego ranka na tyle, by skłonić ich do dalszej podróży, a potem pada znowu, nieubłagane, zasypując wszystko miękką, lecz miazdzącą pokrywą. Jego niesamowity taniec, niesamowite piękno działa z początku rozweselająco. Potem, zupełnie nagle, jakby jakaś iskra przeskoczyła między umysłami podróżnych, opada ich trwoga. A jeśli powóz ugrzęźnie? Gdzie będą szukać pomocy? Czy nie byli lekkomyślni, ruszając w podróż pod koniec roku? About unosi ręce. Spokojnie! W Rydze wyposażą „Mami Sylvie” w płozy, typowy sposób podróżowania w tej części świata i niezwykle przyjemny. Wjadą do Sankt Petersburga jak na łyżwach! On sam robił to już tysiące razy. Cieszy się bardzo, że widzi taką pogodę. Na płozach pojedą dwa razy szybciej. Wszystko jest najlepsze na tym najlepszym z możliwych światów. Mruga do pastora, a jednak pastorowi nawet About wydaje się zaniepokojony, gdy rzuca ukradkowe spojrzenia na niewiarygodne zasłony śniegu, słabnące światło. Jak wolno posuwają się konie, grzęznąc po kolana w zaspach! Podróżnicy postanawiają, że w najbliższej wiosce, do jakiej dotrą, poszukają schronienia. Nie ma sensu kusić losu. Oni nie muszą wygrać wyścigu!

Wyglądają niespokojnie przez okna, wypatrując zarysu domu, migotania światła.

– Tam!

– Brawo, pani Featherstone!

Domostwo wygląda niewiele lepiej od szopy. About wyskakuje, wali do drzwi. Inni obserwują go przez okno, ścierając parę oddechów z szyby. Drzwi się otwierają, About wchodzi do środka. Pięć minut później wraca, śnieg na jego butach topnieje, gdy on siada z powrotem na swoim miejscu.

– Jesteśmy ocaleni! – Chichocze. – Ten wspaniały człowiek poinformował mnie, że zaledwie pół godziny drogi stąd jest klasztor.

Mija pół godziny. Godzina. Ani śladu żadnego klasztoru. Ani śladu czegokolwiek. Pani Featherstone pyta gniewnie, czy monsieur About dobrze zrozumiał wskazówki. Monsieur About rzuca jej twarde, przenikliwe spojrzenie. Pastor w duchu rozważa szanse przetrwania, gdyby musieli nocować w śnieżnej burzy. Mają trochę herbatników i pół butelki francuskiej brandy. Czy nie dałoby się rozpalić ogniska? Ma ze sobą hubkę i krzesiwo, a drzewa musi tu być pod dostatkiem.

Słowo „wilk” wyskakuje nagle w jego myślach, jakby samo zwierzę wyskoczyło z kniei. Bajki o wilkach z dzieciństwa. Dziecinne sny o zwierzętach ze zjeżoną sierścią i ślepiami koloru lodu, skradających się, czujnych, wietrzących śpiącego w borach snu. Nie ma tu mamy, która odegnałaby przerażenie kołysanką. To, myśli pastor, rozglądając się po swoich towarzyszach, mógłby być odpowiedni moment na odzyskanie pociechy w modlitwie, i składa w myślach ciche „Ojcze nasz”, słowa nieporęczne, wielkie jak buły rosną w jego ustach, gdy nagle wszelkie modły, wszelkie myśli zamierają.

– Czy to był?... – pyta pan Featherstone.

Drugi strzał słyhać wyraźniej niż pierwszy. Powóz zatrzymuje się; nikt nic nie mówi. Krzyk? Wstrzymują oddech. Słyszą tylko bicie własnych serc, szum wiatru.

– Myśliwi? – zgaduje pastor.

– W taką pogodę? – drwiąco odpowiada pani Featherstone.

– Może to był sygnał? – mówi pastor. – Podróżny w potrzebie. Czy nie powinniśmy tego sprawdzić, monsieur?

Pan Featherstone pyta:

– Czy w tych okolicach są bandyci?

About wzrusza ramionami. Raz i drugi.

– Przykro mi, ale są rzeczy, których nie wie nawet About.

– Dlaczego któryś z was się tym nie zajmie? – dopytuje się pani Featherstone. – Czemu tak siedzicie?

– Moim pierwszym obowiązkiem jest chronić ciebie, kochanie – odpowiada pan Featherstone.

– Brawo, monsieur – odzywa się About. – Co do mnie, byłem już na dworze i niespecjalnie mi się podobało. Jeszcze teraz mam mokre pończochy.

Patrzą w stronę pastora. Przez chwilę wytrzymuje ich wzrok, potem zapina płaszcz pod szyję, otwiera z wysiłkiem drzwi ze swojej strony powozu i wyskakuje tak lekko, jak potrafi, zanurzając się w rozszalałą zimę.

### 3

Woźnica ściska rusznicę leżącą na kolanach. Tylko oczy pozostają nieopatulone i po ludzku żywe. Jego płaszcz oblepia skorupa śniegu, śnieg pokrywa grubo rondo kapelusza.

– Chodźmy razem! – proponuje pastor.

Mówi po niemiecku, szukając odpowiednich struktur gramatycznych, podczas gdy śnieg bije go po twarzy. Tryb rozkazujący czy warunkowy? Woźnica kręci głową; niewielki gest zdradzający niezachwianą determinację.

Pastor odwraca się, poklepuje najbliższego konia, gniadosza. Czuje ciepło przez swoje nowe rękawice. Biedne zwierzęta. Jaki nieszczęśliwy mają wygląd. Osłaniając rękami twarz, patrzy naprzód, wzdłuż drogi do Rygi, potem idzie, nachylając się w stronę wichury; po dwudziestu jardach przypomina sobie, że nie ma żadnej broni. Pochyla się, podnosi gałąź, otrząsa z niej śnieg, trzyma ją jak muszkiet. Przy takiej pogodzie można tę gałąź wziąć za strzelbę. Nie słyhać więcej strzałów. Żadnego śladu życia.

Jak daleko ma iść? Nie może stracić z pola widzenia powozu. Bardzo szybko by wtedy zablądził, zboczył z drogi, stracił orientację, coraz bardziej zamarznięty, coraz słabszy. Gdyby się położył, śnieg zakryłby go w parę minut. Pochowany aż do odwilży; jakiś wieśniak z psem znalazłby wiosną zamarznięte zwłoki. Jakie to odludne miejsce. Cała kraina wydaje przeciągły niski jęk pustki.

Pastor ogląda się – „Mami Sylvie” jest nadal widoczna, choć za tumanem śniegu. Jeszcze dziesięć kroków i wraca. Liczy, dochodzi do siedmiu, potem przestaje. Coś się porusza w zamieci przed nim. Człowiek? Dwóch ludzi. Jeden stoi, drugi leży w śniegu. Na skraju drogi nieduży pojazd z kołami głęboko zanurzonymi w śniegu. Jeden koń.

Chwytając ciężko oddech, pastor podchodzi bliżej. Kimkolwiek są, nie wyglądają na zbirów. Raczej na ofiary niż sprawców przemocy.

– Halo! –

Mężczyzna ma pistolet, którym przez chwilę celuje w twarz pastora, potem opuszcza ramię. Pastor podchodzi bliżej. Odrzuca gałąź.

– Doktor Dyer?

Stoją teraz razem na drodze. Krótka ostrzyżona głowa Dyera jest rozcięta, zakrwawiona.

- Szanowny panie, cóż to za nieszczęście? Czy pana obrabowano?
- Pan mnie zna?
- Widziałem pana w Paryżu. Na Place Royal.
- Ja pana nie widziałem.
- Pastor Juliusz Lestrade. Czy to pański towarzysz? Jest ciężko ranny?
- To pocztylion. Mój „towarzysz” postrzelił go, uciekając.
- Postrzelił?
- Najpierw zranił mnie i napełnił kieszenie moim złotem.

Pastor klęka na śniegu obok woźnicy. Jest to mężczyzna po pięćdziesiątce, w szoku, przerażony. Kula trafiła go w nadgarstek i wyszła łokciem. Kiedy pastor podnosi wzrok, Dyer zagląda do swojego powozu, wyjmując torbę podróżną i inną, mniejszą, z zielonego rypsu, która pobrzękuje cicho, gdy ją podnosi.

- Rozumiem, panie Lestrade, że nie przyszedł pan tu z Paryża na piechotę.
  - Zgadza się. Powóz jest tam.
  - Będę zatem wdzięczny, jeśli zechce mnie pan odwiedzić do najbliższego miasta. Skoro pan o mnie słyszał, to wie pan, dokąd się udaję.
  - Obawiam się, że przy takiej pogodzie daleko nie zajedziemy. O! Już nadjeżdżają.
- „Mami Sylvie” cicho sunie w ich stronę. Pan Featherstone siedzi na koźle obok woźnicy. Featherstone trzyma rusznicę przy ramieniu. Pastor myśli: to będzie cud, jeśli nie zostanie postrzelony w tej przygodzie.

- Hej!
- Hej tam!

Ranny pocztylion zostaje przeniesiony do powozu; Dyer wsiada za nim, a krew rysuje na jego twarzy dziwną pajęczynę. Jedyne konia od powozu Dyera przywiązują do kosza z tyłu powozu. Pan Featherstone decyduje się zostać na koźle z woźnicą. Wewnątrz powozu pastor bez powodzenia usiłuje zająć się jęczącym pocztylionem. Pani Featherstone podaje Dyerowi chusteczkę, żeby wytarł sobie twarz. Dyer wyciera twarz, oddaje jej chusteczkę. Pani Featherstone przyjmuje ją i upuszcza dyskretnie na podłogę.

- Ten łobuz daleko nie ucieknie w taką zawieruchę – zauważa pastor.
- Złego diabli nie biorą – odpowiada Dyer. – Jestem pewien, że jak go będą wieszać, to sznur się urwie. Dokąd jedziecie?
- Dokądkolwiek uda się dojechać. Mówiono nam, że jest tu gdzieś klasztor...

Słychać podniecony okrzyk pana Featherstone. About opuszcza okienko.

- Ejże – dziwi się pani Featherstone. – Czy to może być to? Te ruiny?

Budynek wygląda jak kadłub przestarłego okrętu. Dwie centralne wieże, dwa niskie skrzydła, z których jedno jest najwyraźniej niezamieszkałe, bo widać, jak śnieg pada za ziejącymi pustką oknami. Drugie rokuje większe nadzieje, choć nie widać tam światła ani zachęcającego pióropusza dymu.

Zatrzymują się. Monsieur About i pan Featherstone stukają do drewnianych drzwi między wieżami. Pastor wygląda przez szybę, nie wierząc, że drzwi się otworzą. A jednak się otwierają, choć za czyją sprawą, widzi dopiero po chwili, gdy pan Featherstone wraca truchtem do pojazdu. Nawet wtedy trudno dostrzec więcej w rosnących cieniach, ostatnich promykach światła, niż to, że w drzwiach stoi wiekowy mężczyzna, trzymając małe światełko, które jakimś cudem płonie mimo porywów wiatru.

Pan Featherstone i pastor niosą pocztyliona. Za nimi niczym kondukt żałobny idą pozostali: Dyer, z gołą głową, pani Featherstone, dygocąca w swoim futrze, monsieur About, nucący coś pod nosem i od czasu do czasu obwieszczający: „Wszystko będzie świetnie. Zobaczycie”.

Ciche korytarze. Nieoświetlone puste pokoje. Wszędzie odór wilgoci i kotów.

- Podejrzewam – szepcze pastor do pana Featherstone’a – że ten człowiek mieszka tu sam.

Featherstone potakuje i mówi:

– Byle miał ogień i coś w garnku. Czy reguła nie nakazuje im dzielić się tym, co mają?

Jest ogień, choć ledwo go widać w wielkim kamiennym palenisku. Jest także garnek, do którego stary mnich zagląda, coś miesza, a potem wieszka garnek na trójnogu nad płomieniem. Kładą pocztyliona na stole, imponującym meblu, który kiedyś, jak zgaduje pastor, mógł służyć opatowi jako biurko.

– Czy on umarł? – pyta pani Featherstone.

– Nie, ale daje bardzo słabe znaki życia – odpowiada pastor.

Dyer parska śmiechem, krótkim i pozbawionym wesołości.

– Może mógłby go pan zbadać? – pyta pastor. – To znaczy, jeśli czuje się pan na siłach.

Dyer podchodzi do stołu, rzuca szybkie spojrzenie na rannego, idzie do swojej zielonej torby, wyciąga zwój bandaży i rzuca je pastorowi.

– Pan, zdaje się, lubi to zajęcie.

Pastor, skrępowany obserwując go publicznością, bandażuje ramię pocztyliona. Zawija właśnie supeł, gdy mężczyzna wydaje przeszywający krzyk, unosi się, niemal siada, po czym mdleje, waląc ciężko głową w stół. Pastor robi krok do tyłu, jak morderca na scenie. Wszyscy oprócz Dyer'a wpatrują się w człowieka leżącego na stole.

– Czy teraz umarł? – pyta pani Featherstone.

Później, ułożywszy pocztyliona na posłaniu ze starej słomy w rogu sali, jedzą z osmalonego mniszego kociołka. Jakaś papka owsiana okraszona słoniną. Piją kozie mleko ze wspólnej miski. Stary mnich w połatanym i wyblakłym benedyktyńskim habicie, z ciężkim drewnianym krzyżem na szyi, obserwuje ich z przyklejonym do twarzy uśmiechem. Jest z nim chłopiec, gruby, czternasto- czy piętnastoletni, o szerokiej, otwartej twarzy debila.

About, poliglota, próbuje wciągnąć ich w rozmowę. Gdy język zawodzi, gestykuluje i rysuje mapy palcem na dłoni. Mnich kiwa przyjaźnie głową, mruczy kilkanaście słów w jakimś niezrozumiałym dialekcie, potem wskazuje na chłopca, uśmiecha się i mówi:

– Ponko.

– Ponko?

– Ponko.

Chłopiec ślini się, obraca językiem, pokazuje na siebie.

– Ponko, Ponko.

Pan Featherstone beka. Jego żona pyta:

– Czy nie ma tu jakichś łóżek?

About kładzie głowę na złożonych rękach – dziecięcy gest oznaczający sen. Stary mnich mówi coś do Ponka. Ponko wychodzi. Podróżni patrzą ponuro na szyszki w palenisku. Od czasu do czasu płatki śniegu wpadają przez komin i syczą w płomieniach. James Dyer dotyka swojej głowy, mówi:

– Proszę pani, czy ma pani lusterko?

Pani Featherstone nie ma lusterka. Monsieur About tak. Podróżne lusterko w oprawie z wężowej skóry. Dyer wyjmuje z zielonej torby mały świecznik, do którego przymocowana jest zaokrąglona płytką, srebrna, dokładnie wypolerowana. W świeczniku tkwi ogarek, który Dyer przypala od lampy mnicha. Po dalszym szperaniu w torbie wyciąga igłę i nitkę. Nawleka igłę. Mówi:

– Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan przytrzymać świecę, o, w ten sposób, żeby światło odbijało się od tarczy. I lusterko, tak żebym widział, co robię.

– A co pan zamierza zrobić? – pyta pani Featherstone.

Dyer spogląda na nią.

– To, proszę pani, wydaje się oczywiste.

Zaczyna zszywać sobie głowę, ściągając poszarpane brzegi rany z taką szybkością i obojętnością, że ma się wrażenie – jak napisze później Pastor do lady Hallam – jakby zaszywał tylko odbicie w lusterku. Wszyscy z wyjątkiem starego mnicha, który przygląda się temu, jakby była to jedynie sztuczka magika, którą dawno temu zgłębił, są pod ogromnym wrażeniem.

– Brawo! – mówi monsieur About.

– Nadzwyczajne – wtóruje mu Pastor.

– Nie sędzę – mówi pan Featherstone – żebym potrafił to znieść tak dobrze.

Dyer nie zwraca na nich uwagi. Wraca Ponko. Mnich wstaje ze swego stołka, chwytając pokrzywionymi palcami jedno ze świateł i prowadzi podróżnych do ich pokoi, cel wymarłych braci. Pastor zostaje z Ponkiem i pocztilionem. Mnich wraca, drepcze do swego stołka, siada. Sztywny jak stare drewno. Pastor uśmiecha się do niego. Kiwiają do siebie głowami. Potem pastor składa ręce na stole, opiera na nich głowę i zasypia. Ostatnim świadomym obrazem, jaki przemyka mu przez myśl, jest widok Jamesa Dyer'a wbijającego zakrzywioną igłę w swe własne ciało. We własne ciało! Nadzwyczajne.

Gdy zbierają się następnego ranka, nieco wymięci po nocy spędzonej na zimnych siennikach, omawiają swoje położenie. James Dyer nalega, żeby jechać dalej. Do diabła ze śniegiem. Czy boją się śniegu?

– Czy widział pan te śniegi, proszę pana? – pyta pastor.

– Zamierzacie tu zostać następny tydzień? – irytuje się Dyer. – Następny miesiąc?

– Lepszy pobyt tu – odpowiada pan Featherstone – niż to, co mogłoby spotkać nas tam.

– Muszę się zgodzić z panem Featherstonem – wtrąca About. – Szaleństwem byłoby próbować dalszej podróży w takich warunkach.

– Ja nie podróżuję dla przyjemności, proszę pana – mówi Dyer. – Nie przyjechałem tu dla zdrowia.

– Co do mnie, nie zamierzam wysunąć nosa za drzwi – oświadcza pani Featherstone. – Może nie jest tu specjalnie wygodnie, ale przynajmniej nie grozi nam zagłada. Z pewnością pogoda musi się zmienić.

Dyer wstaje.

– Panie About, gdyby był pan tak dobry i uzyskał dla mnie jakiś prowiant u mnicha, ruszę w drogę.

– Naprawdę zamierza pan jechać? – pyta pastor.

– Tak.

Wychodzi. Inni patrzą po sobie zdumionym wzrokiem.

– On jest szalony. Kompletnie szalony – mówi pan Featherstone.

Pastor przytakuje.

– Może ten wypadek bardziej mu zaszkodził, niż myśleliśmy. Widywałem już ludzi ze wstrząsem mózgu, którzy przez jakiś czas nie byli przy zdrowych zmysłach. Spróbuję mu to wyperswadować.

– Proszę łaskawie uważać, żeby nie wziął nic ponad to, co należy do niego. Cokolwiek weźmie, będzie z pewnością stracone.

Pastor z trudem brnie wzdłuż budynku do stajni. Pod stajnią stoi „Mami Sylvie” pokryta śnieżną zaspą. Wewnątrz jest zaskakująco przyjemnie. Płoną dwie lampy wyjęte z pojazdu. Czuć zapach końskiej skóry, końskiego łajna i siana, mizerna dziesięcina klasztoru, świadcząca zapewne o tym, że stary mnich miewa więcej gości, niż im się wydawało. James Dyer ogląda podkowy swego konia. Woźnica, pykając z krótkiej fajeczki, dogląda pozostałych. Jest tam też Ponko, który żuje słomkę.



Pastor staje za Dyerem, mówi do niego głębokim, uspokajającym głosem. Dyer jest wściekły, kiedy stwierdza, że pastor nie przyniósł mu jedzenia. Wraca do klasztoru. Pastor czeka w stajni, uśmiecha się do Ponko. Woźnica wskazuje ręką dach i mówi coś do pastora, czego ten nie rozumie. Woźnica przemawia do niego jak do dziecka. Pastor słyszy słowa brzmiące jak „red” i „szne”, a potem dostrzega to, na co wskazuje woźnica. Długie kawałki drewna, zakrzywione na końcu. Z pewnością słynne płozy Abouta. Kiedy wraca Dyer, pastor mówi mu o płozach. Oczywiście dziś nic się nie da zrobić, ale jutro, pojutrze. Dyer mówi:

– Wczoraj był mi pan pomocny. Za to panu dziękuję.

– Podziękuję mi pan, zostając tu przez następne dwadzieścia cztery godziny. Nie jest pan gotów do podróży. A co z pocztylionem? Tylko pan posiada umiejętności, które mogłyby go ocalić.

Dyer wyprowadza konia ze stajni.

Pastor, osłaniając oczy dłońmi, obserwuje jego odjazd; koń uważnie wybiera drogę, jeździec go ponagla.

– Powinienem był go zatrzymać – mówi pastor do siebie. – Ten człowiek wyruszył na pewną śmierć.

Dyer wraca późnym popołudniem. Towarzystwo siedzi przy ogniu, między pastorem a Aboutem leży plansza do tryktraka. Ponko obserwuje ich ruchy z pełnym fascynacji niezrozumieniem. Słysząc odległe łomotanie do drzwi. Stary mnich budzi się ze swych medytacji, nie ma go przez dobry kwadrans, a potem wraca z Dyerem, chirurg w zapiętym pod szyję płaszczu, z torbami w obu posiniałych dłoniach. Nie może mówić; wiatr zmroził mu twarz. Sadzają go jak najbliżej kupki rozżarzonych szyszek. Z jego ubrania zaczyna kapać, potem parować. Pan Featherstone podaje mu swoją flaszkę. Dyer przełyka, krew wraca mu do twarzy. Głosem, jakim zapewne przemawiałby sam lód, mówi:

– Koń mi padł.

Nie odzywa się więcej tego wieczoru.

Na śniadanie jest tylko kęs sera i czarny chleb, tak twardy, że trzeba go rozmrażać przy ogniu, zanim da się zjeść.

– Jak się dziś miewa ranny? – pyta About.

– Może pan sam zobaczyć – odpowiada pastor. – W rękę wdała się gangrena.

– Nie będzie go łatwo pochować – mówi About. – Ziemia jest pewnie jak kamień.

Wchodzi Dyer i siada przy stole. Mówi:

– Śnieg przestał padać.

– Owszem, przestał – odpowiada About – ale mam nadzieję, że nie myśli pan o powtórzeniu swoich wczorajszych przygód. Jeśli zamierza pan wyruszyć dzisiaj, to będzie pan musiał to zrobić na piechotę.

Z uśmiechem znosi siłę spojrzenia Dyera.

– Skoro musimy zostać trochę dłużej, czy nie zechciałby pan, doktorze, zająć się pocztylionem? – pyta pastor.

– On nie jest moim pacjentem, pastorze. W ogóle mnie nie interesuje.

Pastor nie poddaje się.

– Składał pan przysięgę, więc powinien pana interesować. A jeśli nie dlatego, to ze zwykłych względów humanitarnych.

– Proszę nie próbować mi mówić, co powinienem, a czego nie powinienem.

– Zdaje się, że ktoś musi.

– Jest pan impertynentem. Próźniakiem i impertynentem.

– Czy to impertynencja próbować uratować ludzkie życie? Czy to próźniactwo?

– Moja praca, proszę pana, wiąże się z carycą. Nie przyjechałem tu, żeby skakać koło każdego pocztyliona, lokaja czy pokojówki, którzy się źle poczują albo dadzą postrzelić. Nie dotarłbym dalej niż do Dover.

Brak snu, brak ciepłej strawy. Pastor słyszy gniew we własnym głosie.

– Pan tego człowieka zatrudnił. Został postrzelony przez pańskiego towarzysza.

– Gummer nie był żadnym towarzyszem, proszę pana. – Dyer pokazuje swoją głowę. – To nie jest ślad po pożegnalnym pocałunku.

– Jednak towarzyszył panu. Do licha! Pies potrafi okazać więcej współczucia.

– Czy pan nazywa mnie psem?

– Nie, proszę pana, bo pies miałby więcej serca i nie zostawił umierającego człowieka tylko z tego powodu, że śpieszy na spotkanie.

– Co by pan powiedział na solidnego kopniaka w dupę?

Dyer wstaje, podchodzi do pastora. Pastor wstaje.

Dawno już tak się nie czuł. Czarna żółć. Zaciska pięści. Mówi:

– Z największą przyjemnością rozkwaszę panu nos. Dziwię się, że taki człowiek jak pan dożył swojego wieku.

– Jaka jest pańska cena, doktorze – wtrąca się About – za zajęcie się tym – wskazuje ręką – nieszczęśnikiem?

– Ma pan na myśli moje honorarium?

– Właśnie. To słowo wyleciało mi z głowy.

Dyer siada. Jest zupełnie spokojny. Tak jakby w ciągu ostatnich trzech minut zupełnie nic się nie stało. Pastor siada, oszołomiony gniewem, ze zgorzaniem stwierdza, że odczuwa rozczarowanie. Wpatruje się w swoje paznokcie. Drżą mu palce.

– Będzie to pana kosztowało konia – odpowiada Dyer.

About kręci głową.

– Nie, proszę pana. Już pan jednego stracił. Był pański. Ale nie dam panu na zmarnowanie jednego z naszych. Niech pan się zastanowi nad swoją sytuacją. Z nami, nie dziś, ale wkrótce, dojedzie pan albo do najbliższego miasta, gdzie może pan wynająć środek lokomocji, albo nawet do Sankt Petersburga, my bowiem także się tam wybieramy i z przyjemnością dowieziemy pana do carycy. Bez nas natomiast... – Wzrusza ramionami. – Widzi pan, że to my trzymamy w ręku wszystkie atuty. Czy nie wydaje się panu, że mam rację, pastorze?

– Nie tylko mi się wydaje, tak jest.

Dyer podnosi kawałek czarnego chleba, ogląda go, odkłada. Mówi:

– Pańskie słowo honoru, że dowiezie mnie pan do Petersburga z jak największym pośpiechem. Że nie będzie ani godziny niepotrzebnej zwłoki. Zgoda?

About spogląda na pastora. Pastor kiwa głową. About wyciąga rękę.

– Zgoda.

*Wielebny Juliusz Lestrade do lady Hallam*

*Szanowna Lady Hallam!*

*Nie wiem, kiedy będę miał możliwość wysłania tego listu. Jestem obecnie w klasztorze gdzieś między Königsbergiem a Rygą i oprócz małej wioski – o której więcej później – dookoła całkowite pustkowia, w którym utknęliśmy po uszy w śniegu, gdy złapała nas w drodze wielka zamieć.*

*Do naszej grupki – wszyscy mają się dobrze, choć przydałyby się nam porządne łóżka – dołączył ni mniej, ni więcej tylko jeden z lekarzy, za którymi jechaliśmy do Sankt*

*Petersburga! Jest to doktor Dyer; miał on to nieszczęście, że został napadnięty i obrabowany przez człowieka, z którym podróżował. Bardzo tajemnicza sprawa, z niemal śmiertelnymi następstwami dla pocztyliona, który został postrzelony w rękę i jest biedak poważnie chory, a leży teraz niecałe dwa jardy od miejsca, w którym do Pani piszę. Dyer, który otrzymał potężny cios w głowę, wydobrzył zdumiewająco szybko i jest naprawdę niezwykłym człowiekiem pod każdym względem. Nieczułym i chyba niezniszczalnym. Spodziewamy się, że zoperuje pocztyliona dziś wieczorem lub jutro rano, bo widać wyraźnie, że trzeba odjąć mu ramię, żeby ocalić życie. Język ma pokryty jakby brązowym futrem, a po bokach bardzo czerwony.*

*Trudno powiedzieć, jak długo będziemy tu uwięzieni. Pogoda się poprawia, to znaczy nie ma nowych opadów śniegu, ale leży go tyle na drogach, że z pewnością pozostaną nieprzejezdne przez wiele tygodni! Naszym ocaleniem może być odkrycie drewnianych płóz w tutejszej stodole, które są powszechnie używane w tych stronach do przekształcania powozu w coś w rodzaju sań. Niestety, ta metamorfoza nie będzie łatwa do przeprowadzenia, ponieważ trzeba dokonać pewnych przeróbek tak płóz, jak i osi naszego pojazdu.*

*Dziś w południe odbyliśmy wyprawę po śniegu do wioski, aby zdobyć prowianty – ja, monsieur About, pan Featherstone i chłopiec imieniem Ponko, który był naszym przewodnikiem. Z początku powstrzymywała nas obawa o to, jak będziemy wędrować po tak głębokim śniegu. Ale na wszystko jest sposób. Stary mnich – poza chłopcem jedyny mieszkaniec klasztoru – zaprowadził nas do wielkiego kredensu, który, sądząc po obfitych ilościach kurzu i pajęczyn, mógł przetrwać z czasów arki Noego. Tu pokazał nam przemyślnie obuwie swoich dawnych współbraci – buty jak rakiety tenisowe, zrobione z pasków skóry przywiązanych do drewnianej ramy wielkości dużej patelni. Wiele z nich przegniło, ale w końcu znaleźliśmy cztery odpowiednie pary i tym sposobem ruszyliśmy w drogę po roziskrzonym białym morzu.*

*Monsieur About rozsądnie zaopatrzył się w pomalowane okulary, chroniące przed błyskami odbijającego się od śniegu słońca, którego jaskrawość z początku bardzo przeszkadzała mnie i panu Featherstone. Jeszcze bardziej kłopotliwe okazały się jednak owe rakiety śnieżne – zanim zdołaliśmy do pewnego stopnia opanować technikę ich używania. Wolalbym zapomnieć, ile razy wywinąłem kozła, a gdy się już leży w śniegu, nie wyobraża Pani sobie, jak trudno jest odzyskać pozycję pionową, nie mówiąc o godności! Pan Featherstone był w podobnych kłopotach, a nawet monsieur About zanurzył dwa czy trzy razy swój galijski nos w zlodowaciałym puchu. Uczyliśmy się jednak na własnych błędach i na przykładzie Ponka i wkrótce posuwaliśmy się po śniegu niczym zręczne owady po powierzchni stawu.*

*Naszym pierwszym kontaktem z wioską był widok chmury szarego dymu; jeden z domów na skraju wioski – a wszystkie zbudowane są z drewna – spłonął. Sądząc po zdeptanym śniegu wokół tłących się belek, wygląda na to, że wszyscy wieśniacy pośpieszyli z pomocą sąsiadowi, choć najwyraźniej bez większego powodzenia, jako że dom strawiły płomienie. Ponko był tym bardzo podniecony i bez wątpienia opowiedział nam całą historię, bo paplał i ślinił się, biedaczysko, i robił niezwykle miny.*

*W samej wiosce nie było na dworze ani żywego ducha, oprócz wielkiego mastyfa, który warczał na nas bardzo groźnie, ale czmychnął, gdy tylko Ponko rzucił w niego paroma śnieżkami. Nie było też kościoła ani żadnego innego miejsca chrześcijańskiego kultu. Kiedy wspomniałem o tym Aboutowi, powiedział, że mieszkańcy tych stron wcale niekoniecznie są chrześcijanami i że wolą bogów swoich przodków, że wielu nadal czci przyrodę i że jeszcze teraz duchowni zmuszeni są wycinać drzewa uważane za święte przez miejscową ludność. Czy nie zastanawiałem się, ciągnął, gdzie się podziali wszyscy braciszczowie z klasztoru? Powiedziałem, że sądzę, iż istnieją wioski w pewnych częściach Anglii, w których chrześcijaństwo dotąd nie zapuściło korzeni, ale About odparł, że tutaj zabobon jest jeszcze*

*bardzo głęboki, i gdy byliśmy w wiosce, widziałem kilka rzeźb; przekonały mnie, że pewnie miał rację. Cieszyłem się, że mamy ze sobą Ponka, bo nie wiem, jak by nas przyjęto bez niego.*

*Niewiele udało nam się zdobyć pożywienia. Z pewnością ludzie chowali zapasy na długą zimę, ale jednak nabyliśmy trochę kiełbasy, masła, jednego kapłona, nieco twardego żółtego sera i skórzany bukłak miejscowego „wina”. Za to oddaliśmy dobry nóż, rękawiczki, które kupiłem w Königsbergu, oraz ciemne okulary monsieur Abouta. Szkoda mi było rękawic, ale zjeść się ich nie da. Kapłon uciekł nam w drodze powrotnej i musieliśmy go ścigać. Pan Featherstone, któremu dopisuje doskonały apetyt, a tym samym miał dobrą motywację do pogoni, złapał ptaka na samym skraju lasu i wcisnął go sobie za pazuchę, gdzie kurak siedział bardzo spokojnie, aż do chwili gdy ukręcono mu szyję. About zajmuje się gotowaniem; nasz przyjaciel mnich dostarczył trochę kartofli; odkryliśmy też stare suszone zioła wiszące u belki pod sufitem. Rosół będzie bardzo pożywnym daniem dla pocztyliona. Mam nadzieję, że da mu siły na przetrwanie czekających go katuszy.*

*Co do mnie, mam wrażenie, że moje zdrowie się poprawiło. Powietrze jest tu rześkie i czyste. Mam nadzieję i przekonanie, że wrócę do Cow nie tylko trochę mądrzejszy, jeśli idzie o zwyczaje tego świata, ale także zdolny służyć Pani ucztując na stanowisku, na które w swej łaskawości raczyła mnie Pani powołać. Zaprawdę, niezbadane są drogi Wszechmogącego.*

*Pan About poleca mi przesłać Pani wyrazy uszanowania i prosi, abym przerwał pisanie, nadeszła bowiem moja kolej na mieszanie stawy w kotle. Pozostaję zatem Pani wdzięcznym, wiernym i pokornym sługą*

*Juliusz Lestrade*

## 5

Jedzenie przytępiło ich zmysły. Przez godzinę po posiłku siedzą przy stole, nalewając wino z bukłaka, a ich myśli szybkoją, krążą, przysiadają. Pastor nabija fajkę, częstuje tytoniem. Kot wskakuje miękko na stół i zaczyna ogryzać kurzą kość.

About pyta, czy mógłby zaproponować towarzystwu rozrywkę. Wszyscy się zgadzają. Co to takiego – karty, tryktrak, zgadywanki?

About przecząco kręci głową, wstaje od stołu, przeprosza. Gdy już wyszedł z pokoju, pan Featherstone mówi:

– On całkowicie zmienił opinię pani Featherstone na temat Francuzów.

– Mam nadzieję, że na lepsze? – pyta pastor.

– Całkowicie zmienił – powtarza pan Featherstone. About wraca, niosąc trzy pudła; dwa mają rozmiary dziecięcej trumienki, trzecie jest mniejsze, z wypolerowanego bukszpanu. Mówi:

– Bałem się, że zimno mogło im zaszkodzić, ale widzę, że nie. Najpierw musimy sprzątnąć ze stołu.

Składają zbieraninę noży i naczyń na podłódze. Wycierają stół. Kot zeskakuje ze stołu, a potem wskakuje mnichowi na kolana. Pudełka stoją na podłódze u stóp Abouta. Pastor słyszy odgłosy ich otwierania, a potem coś jakby dźwięk nakręcanych zegarów. About mówi:

– Pozwólcie sobie państwo przedstawić dwie najelegantsze osoby z towarzystwa.

Wyciąga figurynki mężczyzny i kobiety, ubrane wytwornie według paryskiej mody, wysokości niemal dwu stóp. Dotyka włączników na ich plecach, a figurki zaczynają spacerować, mężczyzna wywija laseczką, kobieta obraca głowę i unosi koronkową chusteczkę, jakby chciała powąchać perfumy. Kot wstaje na kolanach mnicha i wygina grzbiet. Figurki zatrzymują się przed Jamesem Dyerem u szczytu stołu. Kłaniają się, obracają na niewidocznych kółkach i kontynuują paradę, z powrotem do monsieur Abouta, dochodząc

do niego akurat w tym momencie, gdy wyczerpuje się napęd sprężyn. About wkłada je z powrotem do pudełek.

– A więc na tym polegają pana interesy? – pyta pastor. – Handluje pan automatami?

– We Francji dżentelmen nigdy nie przyznałby się do tego, że zajmuje się handlem, ale wśród Anglików mogą to wyznaczyć bez wzbudzania uprzedzeń. Tak, na tym polegają moje interesy, pastarze. Moimi klientami są hrabiowie, książęta, królowie i, mam nadzieję, także caryca. Mam najlepsze lalki w Europie, a także najdroższe. Z tego powodu zachowuję pewną dyskrecję podczas podróży. Serdecznie przepraszam. Czy chcą państwo zobaczyć... *autre chose?*

Stawia mniejsze pudełko na stole, otwiera je i wyjmuje parę najelegantszych pistoletów do pojedynku, jakie pastor kiedykolwiek widział. Odwodzi kurki u obu i rozgląda się po twarzach swoich widzów.

– Doktorze Dyer, czy zechce mi pan zrobić uprzejmość? Panie Featherstone, proszę podać to doktorowi. Ostrożnie, mechanizm jest bardzo delikatny.

Featherstone bierze pistolet. Mówi:

– Mam nadzieję, że nienaładowane!

Kiedy About odwraca się do niego, na jego twarzy nie ma uśmiechu; zniknął gdzieś serdeczny gospodarz, wesoły, pomysłowy towarzysz podróży. Featherstone jest wyraźnie zaniepokojony. Pastor również. Myśli: jeśli to aktorstwo, to bardzo dobre.

– Oczywiście, że są naładowane – odpowiada About. – Nie żartuje się z takim człowiekiem jak doktor Dyer. Zakładam, że jest pan lekarzem, a nie zwykłym cyrulikiem.

Dyer bierze pistolet od Featherstone'a.

– Dla pana jestem wystarczająco dobrym lekarzem.

About wstaje. Dyer wstaje. Pani Featherstone kaszle.

Mnich głaszcze kota. Pastor mówi:

– Chciałbym jeszcze raz zobaczyć te pana lalki, monsieur.

About nie zwraca na niego uwagi.

– Pani Featherstone, czy mogłaby pani wydać komendę do strzału? Kiedy tylko pani zechce.

Pastor patrzy zdumiony na Abouta. Co za twarz! Oczy zwężone do ciemnych szparek, usta zaciśnięte, wysunięta szczęka. About wyciąga rękę do przodu, celuje prosto w pierś Dyera, w serce. Dyer powoli unosi pistolet. Pastor myśli: jak wspaniałe są wszystkie jego ruchy. Kot przy nim wygląda niezgrabnie. About coś knuje. Czy Dyer o tym wie? About jest dla niego obcą osobą. Co Dyer może myśleć, mając pistolet wycelowany w serce? Nie wygląda na to, żeby się przejmował. Nie istnieje nic bardziej niebezpiecznego niż człowiek, który się nie przejmuje. A może uważa się za nieśmiertelnego? Może o to chodzi?

– Ognia!

Nie da się powiedzieć, czyj palec szybciej naciska spust. Pastor, siedząc w równej odległości od obu mężczyzn, słyszy szczęk kurków niemal jednocześnie, chociaż gdyby ktoś nalegał, powiedziałaby, że Dyer był o ułamek sekundy szybszy. Nie ma błysku ani huk. A jednak coś, jakieś błyszczące przedmioty – co? Ptaki! – małe błyszczące kolorami ptaki wylatują powoli z luf obu pistoletów, machając złotymi skrzydełkami i śpiewając mechaniczną piosenkę, kilka nut, które w głębokiej ciszy komnaty są najdelikatniejszym i najpiękniejszym dźwiękiem, jaki można sobie wyobrazić.

W tle słychać krzyk, ekstatyczny, przerażony:

– *Jesu! Bin ich tot?*

Pocztalion siada na swym słomianym posłaniu, patrzy na nich nieprzytomnie. W dłoni Dyera i w dłoni Abouta małe ptaszki składają skrzydła i wsuwają się z powrotem do luf pistoletów.

Czas?

Pani Featherstone z zegarkiem Grimaldiego w ręku mówi:

– Trzy minuty. Trochę mniej, zdaje się.

– Jak się to panu podobało, pastorze? – pyta Dyer.

Trwa chwilę, zanim pastor odzyskuje głos.

– Gratuluję panu, doktorze. To było...

Dyer zanurza ręce w wiaderku, zmywając z palców plamy krwi. Odbiera od pani Featherstone surdut, zegarek, potem wychodzi z pokoju. Pozostali podchodzą i patrzą na nieprzytomnego człowieka na stole.

– Co my z nim teraz zrobimy? – pyta pani Featherstone.

– Nie ma za dużo pracy dla jednorękiego pocztyliona – odpowiada jej mąż.

Zmierzch. Wielebny Lestrade sunie niezgrabnie w stronę lasu na raketach śnieżnych. Zostawił pozostałych mężczyzn w stajni, pracują tam nad zamocowaniem płóz do „Mami Sylvie”. Zajmowali się tym przez większą część dnia, odkopali powóz, zdjęli tylne koła i dopasowali dwie płozy, ale najpierw sporo się namęczyli przy strugu i młotku. Dużo się też nakłęli, w czym on, ku swemu zawstydzeniu, nie był wcale ostatni.

Wyszedł teraz, żeby rozkoszować się samotnością i pięknym wieczorem, białym słońcem zachodzącym nad lasem, szaroniebieskim śniegiem, powietrzem przenikniętym światłem, niebem jak ogromny szklany dzwon, pod którym nieliczne dźwięki świata rozdymają tylko ciszę, melancholię. To świat, godzina stworzone do samotności. Pastor rozkoszuje się nią, z każdym skrzypiącym krokiem czuje coraz silniej wypełniającą go obecność duszy. Pogoda do pisania hymnów!

Czarny skraj lasu leży o pół mili od klasztoru, może mniej, a przecież zbliża się powoli, jak brzeg obserwowany z pokładu statku, i w ten sam sposób nagle jest tuż, zajmuje pole widzenia, każde drzewo zyskuje swą własną osobowość, już nie czarne, lecz zielone i fioletowe. Przy drzewach pastor staje i ogląda się. Ktoś stoi pod klasztornym murem. Nie potrafi rozpoznać, kto to jest. Macha ręką, ale postać nie odpowiada. Bardzo możliwe, że on sam jest niewidoczny w cieniu lasu. Odwraca się i mija pierwsze drzewa. Nie zamierza iść daleko; najwyżej kilka jardów. A jednak, jakie to kuszące; las jak z bajki! Idzie głębiej, odnajdując drogę do jaskini olbrzyma, do smoka, do pięknej królowny.

W późniejszych czasach, gdy się starzeje, gdy sztywnieją kości i nie ma już przed nim przygód poza ostatnią, zastanawia się, jak sprawy mogły się potoczyć, gdyby, dotarłszy do skraju lasu, zawrócił. Czy tego chciała od niego postać pod klasztorem? Czy też może wszyscy byli nieświadomymi narzędziami siły, która już dawno zdecydowała, że on się nie zatrzyma, lecz pójdzie dalej, głębiej w las, aż zobaczy światła i psy, i milczącą kobietę, uciekającą, by uratować życie...

Biegnie bezdźwięcznie po powierzchni śniegu, tak cicho, że można by ją wziąć za zjawę, za ducha. To szary obłok jej oddechu mówi mu, że jest realna. Przystaje kilkanaście stóp od miejsca, w którym ukrywa się przykucnięty pastor, patrzy wprost na niego. Światła poruszają się w półmroku, zmierzając w ich stronę. Cudzołożnica? Czarownica? Wyciąga do niej rękę. Jest to instynktowny odruch i przez chwilę wydaje się, że ona może przyjdzie do niego, ale zaraz nurkuje w bok, lekka i zwinna jak łania, biegnąc między drzewami, podczas gdy pochodnie mężczyzn rozkładają się niby wachlarz w błyszczącą sieć. Pastor myśli: złapią ją, zabiją tu. A jeśli złapią mnie? Jakie prawo może ochronić człowieka w takim miejscu? Rozsądek mówi pastorowi, że musi uciekać, że nie wolno mu się w to mieszać. Ale czeka,

nawet podkrada się kawałek do przodu. Słysząc wrzawę szczekania i głosów. Światła skupiają się w jednym miejscu. Czy ją znaleźli? Drżą mu kolana. Przysuwa się bliżej, ślizgając się po śniegu, nie śmiejąc oddychać. Pod pochodniami widzi taniec cieni; prześladowców kobiety. Czy już ją mają? Czekają na krzyk, odgłosy zabijania. Ale światła rozpraszają się i oddalają w lesie, głosy mężczyzn i psów cichną powoli.

Tutaj byli; widzi rozdeptany śnieg. Czuje ich zapach, zapach tłuszczu z ich pochodni. Rozgląda się, dostrzega na ziemi ciało kobiety. Podchodzi bliżej, spodziewając się jakiegoś okropieństwa, zakrwawionego śniegu, podciętego gardła. Ale gdy klęka, dotyka sukni, stwierdza, że jest pusta. Sukienka, buty, pończochy, szalik. Wszystko, co miała na sobie. Porusza go to niemal bardziej, niż gdyby znalazł jej ciało. A zatem naprawdę była czarownicą i odleciała naga w przestworza. A może rozebrali kobietę i zabrali ze sobą, żeby zamordować ją później. Zbiera ubrania. Nadal czuć w tkaninie jakiś ślad ludzkiego ciepła i właśnie wtedy, gdy wkłada zwinięte ubranie pod pachę, doznaje silnego wrażenia, że ona jest z nim, gdzieś blisko. Szepcze, dziwnym, napiętym głosem, obcym dla niego samego. Mówi:

– Jestem przyjacielem, przyjacielem. Jestem przyjacielem.

Bierze jej szalik, zawiązuje na niskiej gałęzi, potem biegnie długimi, mocnymi krokami przez morze śniegu, wynurza się z lasu i przez rozświetloną równinę pędzi do klasztoru. Całe towarzystwo siedzi półkolem przy ogniu. Wszyscy oglądają się, zdumieni widokiem pastora z takim wyrazem twarzy, ściskającego w rękach coś, co wygląda jak kobiece ubranie.

On na razie nic nie wyjaśnia, mówi tylko, że muszą z nim pójść, a jego głos jest tak nagły, tak pewny, że monsieur About natychmiast zapina płaszcz. Featherstone także wstaje, ale żona wiesza się na jego ramieniu. Najdziwniejszy jest Dyer, chociaż w tym momencie tak to nie wygląda. Wychodzi z Aboutem, przywiązuje rakiety śnieżne przy drzwiach i rusza za pastorem, który już biegnie przodem.

Nie rozmawiają aż do skraju lasu. Pastor mówi:

– Musimy komuś pomóc. Kobieta. Ludzie na nią polują...

About pyta:

– Wie pan, gdzie ona jest?

– Wiem, gdzie jej musimy szukać.

Dyer nic nie mówi, pogrążony w jakimś wewnętrznym pomieszeniu, popychany naprzód tą samą moce siłą, która zapanowała nad pastorem. Ciężko dysząc, przebiegają między pierwszymi drzewami. Światło księżycy wygląda jak kości rozrzucone pod drzewami. Pastor zastanawia się, czy znajdzie po raz drugi to miejsce, ale w gruncie rzeczy wie, że znajdzie, i nie jest zaskoczony, widząc ciemną plamę szalika zwisającego z gałęzi.

Zaczyna szukać, dźgając patykiem w gęstej architekturze jodeł, śniegu i cieni. Inni przyglądają mu się przez chwilę, po czym robią to samo. Zajmuje im to pół godziny, zataczają coraz większe koła, potem coraz mniejsze, aż schodzą się znowu. Pastor czuje, że zaczyna tracić zapał. Czy poprowadził ich na poszukiwanie ducha? Czemu kobieta miałaby tu być? To bez sensu. A przecież taki był pewny, że ona tu będzie, że się ukrywa, że czeka na jego powrót. Napotyka wzrok Dyer'a i już zaczyna formułować jakieś przeprosiny, gdy Dyer pyta:

– To jej ubranie pan miał?

– Tak.

– Długo nie pożyje w takim zimnie – mówi About.

– Nie chciała, żeby ją psy zwęszyły – wyjaśnia Dyer.

Patrzy ponad ramieniem pastora. Mija go i podbiega do zasy śnieżnej wokół korzeni wielkiego drzewa. Coś ciemniejszego wystaje ze śniegu. Dyer pochyla się. Waha się przez chwilę, zanim dotknie owego przedmiotu. To ręka.

Kopią, pochyleni nad pagórkiem jak hieny cmentarne, wygrzebując śnieg, odrzucając go za siebie. Kopią wzdłuż ramienia aż do ledwo ciepłej szczeliny jej pachy. Odkrywają bark, pierś, szyję. Odsłaniają twarz. Podbródek, usta, oczy.

– Czy ona żyje? Czy oddycha?

Dyer dotyka szyi kobiety, szukając tętna, przybliży twarz do jej twarzy, policzek do jej ust.

– Czy ona żyje, doktorze?

– Ledwo.

– Nie widać żadnych ran, chwała Bogu.

– Ta sprytna istota zakopła się w śniegu – mówi Dyer.

Pastor zdejmuje płaszcz. Mówi:

– Musimy ją wyciągnąć. Zanieść do klasztoru.

Podnoszą kobietę.

– Jaka ona mała – dziwi się About.

Owijają ją w płaszcz pastora. Pastor rozciera jej ręce, czuje, jak wracają do życia między jego dłońmi. Otwiera oczy. Białka odbijają światło księżyca.

– Proszę pani, jesteśmy tu, żeby pani pomóc – odzywa się pastor. – Proszę się nie bać. Niech pan jej powie, monsieur, żeby się nie bała.

– Ona się nie boi – mówi Dyer.

– Musimy ją zanieść – mówi About. – Musimy stąd odejść. Zaraz. Pan jest najmłodszy, panie Dyer. I chyba najsilniejszy. Poniesie ją pan pierwszy. Będziemy się zmieniać. *Allez!*

Dyer bierze kobietę na ręce. Jej głowa opiera się lekko o jego ramię. Gęsiego wychodzą z lasu. Od czasu do czasu z oddali dolatuje wycie psa, a może wilka. Pastor drży, czuje brak płaszcza; nagle opada go zmęczenie. Księżyc żegluj dalej, nisko po powierzchni nieba. Pastor nie wie dokładnie, co się stało, wie tylko, że się stało. Nie rozumie, jak wszystko się zmieniło, wie, że się zmieniło. Cieszy się, że James Dyer nie potrzebuje pomocy w niesieniu kobiety.

## 8

Kobieta – pozostaje bowiem bezimienna do chwili, gdy pastor nazwie ją Mary od imienia swej protektorki, Mary Hallam – ma na sobie własne ubranie oraz pelerynę ze zgrzebnej wełny, należąca do pani Featherstone. Spod kaptura obserwuje, jak woźnica wkłada torby i pudełka do kosza z tyłu „Mami Sylvie”. Konie są niespokojne po długim okresie zamknięcia w stajni, rzucają łbami, tańczą po śniegu. Woźnica robi ostatni przegląd płóz, krzywi się, kręci głową. Wielebny Lestrade, wychodząc z klasztoru, pyta panie, jak się miewają; czy cieszą się na myśl o sannie do Petersburga? Pani Featherstone oznajmia, że będzie szczęśliwa, wyjeżdżając stąd, bez względu na środek lokomocji, wyjechałaby nawet na oślim grzbiecie, gdyby w ten sposób mogła dotrzeć do bardziej cywilizowanej części świata.

Pastor rozciera dłonie, zastanawia się przez chwilę, kto teraz nosi jego rękawiczki, potem pomaga paniom wsiąść do powozu. Wychodzi Featherstone w swoim futrze.

– No i co, panie Featherstone? Sądzi pan, że pojedzie?

– Niech nas Bóg ma w swojej opiece, jeśli nie pojedzie. Nadal pan uważa, że to rozsądne zabierać tę kobietę?

– Uważam, że to nasz obowiązek.

– Chcę tylko powiedzieć, że oni, jej prześladowcy, mieli pewnie swoje powody... Mogą nie być zachwyceni.

– Mam nadzieję, proszę pana, że się o tym nie dowiedzą.

– Będzie nam bardzo ciasno, zważywszy, że jedzie z nami doktor.

– Panie Featherstone, czy zostawiłby ich pan tu tylko po to, żeby mieć trochę wygody?



Wychodzi James Dyer w brązowym surducie i spodniach, i długim szarym płaszczu. Patrzy w niebo, potem na powóz.

– Czy jest pan zadowolony ze stanu pocztyliona? – pyta pastor. – Wydawało mi się, że dziś rano wyglądał na niemal spokojnego.

Dyer kiwa głową.

– Będzie żył.

Zagląda przez otwarte drzwiczki do wnętrza powozu. Featherstone już wsiadł i pochyła się do przodu, żeby porozmawiać z żoną. Między nimi siedzi kobieta.

Pastor, idąc za spojrzeniem Dyera, mówi:

– Nie wydaje się, żeby przemarznięcie jej zaszkodziło. Musimy się zastanowić, co najlepiej z nią zrobić. Nie możemy jej zabrać do Sankt Petersburga.

– Jakie są pańskie zamiary, pastarze? – pyta Dyer. – Chce pan ją umieścić w żeńskim klasztorze? – Śmieje się albo prawie się śmieje: wypuszcza szybko strumień powietrza z nosa. – Jak by pan wytłumaczył te zęby? Tatuaze?

– Zapomniałem o tatuazach – mówi pastor.

Pojawia się monsieur About, mocno wdycha powietrze.

– *Tout est prêt?*

– Jeszcze tylko my.

Stary mnich wznosi rękę; błogosławieństwo.

Powóz szarpie, potem sunie do przodu, cudownie gładko.

– Brakuje nam tylko dzwoneczków – mówi About. – Dzyń, dzyń, dzyń!

Ponko biegnie obok, biegnie i przewraca się, aż „Mamie Sylvie” wyprzedza go, zostawia z tyłu, klęczącego na śniegu i machającego, jakby pojazd uwoził jego ostatnich i jedyńskich przyjaciół na świecie.

Pani Featherstone siedzi przy prawym oknie, patrząc do tyłu na falujący ślad płóz. Obok niej siedzi jej mąż, a przy nim Mary. Monsieur About usadowił się naprzeciwko pani Featherstone (jego widok: bezkresna równina, jeden z koni, fontanna śniegu spod przedniej płozy). Obok niego przycupnął wielebny Lestrade, z książką w ręku, od czasu do czasu rzucając okiem to przez jedno, to przez drugie okno i wyginając plecy, żeby rozładować gromadzące się tam napięcie. Po prawej stronie pastora James Dyer patrzy na swoje stopy, wygląda przez okno; bardzo często spogląda uważnie i otwarcie na kobietę siedzącą naprzeciw niego.

Po dwóch dniach sanny docierają do Rygi. Zatrzymują się w gospodzie w cieniu zamku. Featherstone'owie, About i pastor dzielą dwa pokoje. Dyer i Mary mają własne pokoje, opłacone przez monsieur Abouta. Jedzą pieczeń z dzika. Dyer spotyka angielskiego kupca i pyta go, czy nie słyszał o jakichś angielskich lekarzach w drodze do Sankt Petersburga. Kupiec mówi, że o żadnym nie słyszał. Jego łotewska żona kręci głową. Tyłu ludzi przejeżdża teraz przez Rygę. Więcej niż przez Berlin. Więcej niż przez Londyn!

Nazajutrz wczesnym rankiem, zmieniwszy konie, podróżni wsiadają do chłodnego wnętrza powozu, ściskając zawiniątka z bułeczkami, pikantnymi kiełbaskami i jajkami na twardo. Mary jedzie także. Nikt nie protestuje. Nawet Featherstone uśmiecha się do niej i szarmancko obiera jej jajko. Jadą na północ ku Woldze. Pastor robi notatki i szkice na końcowych pustych kartach „Kandyda”.

*22 list. Drgi kpskie ale łatwiej po śniegu. Lkkie opdy dziś. Puch. Niebo koloru popiołu. Po płd – pani F. wymiotuje, twarz całkiem zielona. Stajemy. M. naciska jej głowę wokół oczu. Pani F. lepiej. Smród w powozie ale za zimno żeby otworzyć okno. Niewiele dziś rozmowy.*

*23 list. Jms Dyer – czasem wygląda jakby nie wiedział o co mu chodzi. Nie ten sam człwiek który zszywał sobie głowę, odjął rękę pcztlń. Stale patrzy na M. Nie wierzę żeby się*

w niej zchł, ale ona ma nad nim jakąś władzę. About też tak mówi. Bawi go to. About opowiedział nam pikantną historyjkę o carycy i jej koniu. Pani F. za bardzo się śmiała. Mój krgsłp w lepszym stanie niż kdklwk od wyjazdu z Paryża. M. nie mówi ani słowa, przynajmniej ja nie słyszałem. Wydawało mi się że widziałem dziś o zmierzchu niedźwiedzia.

Na drodze mijaliśmy oddział kawalerii. Oficer zajął do środka i zsalutował. Piękna sylwetka. Elegancka blizna na policzku.

24 list. Zeszła noc w Pskowie. Forteca i kościoły. Wypiłem pierwszą szklanę kwasu, robionego z wody słodowej. Świetnie gasi pragnienie. Mamy nie jechać do Nowogrodu. Miałem nadzieję go zobaczyć. Pojedziemy brzegiem jeziora Pejpus ku Narwie. Wtedy znajdziemy się nad Zatoką Fińską i bardzo blisko naszego celu. Wszyscy w dobrych humorach poza Dyerem, którego dręczy jakiś niepokój. M. ma swój własny świat. Jej oczy – patrząc w nie ma się dziwne wrażenie. Żadnych czarnych kotów i nic złośliwego w jej twarzy. Poniżej: szkic jeziora Pejpus.

25 list. Spacerowaliśmy po białym piasku nad Zatoką. Hura! Po drugiej stronie leżą Helsinki. Zapytałem D., czy jest pewien, że wygra wyścig. Mogłem równie dobrze mówić po holendersku, bo nie odpowiedział. Zastanawiam się, jaką opinię o nim musi mieć M. To on ją znalazł, niósł ją. Nie mogę za skarby świata wyobrazić jej sobie jako żony! Lodowato. Widziałem okręt, angielski, wypływający z Zatoki. Ostatni przed wiosną, jak sądzę. Wracając do powozu, zauważyłem że D. kuleje. Kiedy zapytałem, co się stało, powiedział, że nie wie, potem powiedział, że się przewrócił, co mnie zdziwiło, jako że okolica była zupełnie płaska.

26 list. Wczoraj wieczorem dużo wypiliśmy i dziś w powozie wszyscy są bardzo przygaszeni. Podczas naszej uczyty D. zachowywał się niemal jak człowiek. Zaczął opowiadać historię o swojej siostrze i o tym, jak ją skrzywdził. Widząc go w takim nastroju, A. próbował coś z niego wycisnąć: kim są pańscy rodzice, doktorze? D. kręci głową. Czy Gummer był pana przyjacielem? D. Odpowiada, że kiedyś był. Że G. był dla niego bardzo surowy, ale potem on z kolei był bardzo surowy dla G., i że czasem tego żałuje. Wydawał się poruszony jakimś wspomnieniem. Miałem bardzo lubieżny sen na skutek spożycia tyłu darów Bachusa. Nie będę pisał, kogo dotyczył. Wstydzę się go, a jednak był b. słodki. Kiedy zszedłem rano na śniadanie, zobaczyłem M. na ławie z wielkim złym psem, który nas przestraszył wczoraj wieczorem. U jej stóp drzemał jak mały szczeniak... Huczy mi dziś w głowie. Kusi mnie, żeby poprosić M., aby mnie pomasowała. Ale to by dobrze nie wyglądało. Poniżej obrazek śpiącego pana F. który siedzi naprzeciwko, sapiąc jak miech kowalski.

27 list. Dziś mamy dotrzeć do celu – jeśli konie, płozy i drogi pozwolą. Chwała za to Bogu i jego słudze Aboutowi. Nie rozmawiałem z nim, ale podejrzewam, że jest deistą, agnostykiem czy kimś takim. Mniejsza o to. Jest moim przyjacielem. Bez tej podróży mogłem się męczyć miesiącami albo i latami. Kiedy człowiek nie wie, co ze sobą począć, musi mieć jakieś zajęcie. Byłem niemądry, a jednak wybaczam sobie i znajduję pociechę w świadomości, że będę lepszym pasterzem dzięki temu potknięciu. Bardzo pragnę zobaczyć Diddy. A także Cow, i lady H., i mój ogród, który nawet w zimie jest osłodą. F-ów będę zawsze wspominał z sympatią, choć nie spotkamy się w Anglii, tego jestem pewien. D. też nie zobaczę po St P. M. też nie. Mam nadzieję, że uda jej się żyć w spokoju. Jest takim typem, który zawsze będzie wzbudzał uprzedzenia ciemnych ludzi. To rysunek jej zębów. Udało mi się oddać duży stolec dziś rano, dobrego koloru, co przyniosło mi zadowolenie. Zacząłem niemal myśleć, że D. jest nieco szalony. Modlę się, żeby tak nie było. Może to tylko początki jakiejś choroby fizycznej – może nawet miłości! Niczego nie trzeba się tak

*bać, jak szaleństwa. Bardzo wielu poczuło na sobie cień jego kruczonych skrzydeł. Oszałeć to jakby zostać potępionym z tej strony grobu.*

9

Wjeżdżają do miasta nocą. Na ulicach stoją metalowe pojemniki z płonącym węglem, a dorożkarze zabijają ręce, żeby się rozgrzać, zwracając oczy, w których odbijają się płomienie, na monsieur Abouta, gdy ten pyta o rezydencję brytyjskiego posła. Palce wskazują kierunek; dorożkarze mówią językiem brzmiącym jak zgrzyt kamyków. „Mami Sylvie” sunie przez miasto; ukazują się światła na Newie, na jej lodowym grzbiecie, a w wysokich podwójnych oknach kilku bogatszych domów podróżni widzą cienie tancerzy. Ma się wrażenie, że wszędzie stoją pałace, pawilony, cerkwie ze złotymi kopułami; a wśród nich, za nimi, drewniane budy, nieużytki. Powietrze pachnie bagnami, rzeką, zimą.

W rezydencji posła trwa przyjęcie; przyjęcia odbywają się w całym mieście. Pastor wysiada zeszywniały z powozu i mówi:

– Gdyby tak postać na ulicy, to słyszałoby się tylko, jak strzelają korki od szampana!

Służba wpuszcza ich do holu, gdzie stoją pod portretem Jerzego III, chuchając na końce palców i ocierając kapiące nosy. Poseł pojawia się na szczycie schodów. Coś przeżuwa. Za kołnierz ma wetkniętą serwetkę.

– Czym mogę państwu służyć?

Czekają, żeby Dyer odpowiedział, żeby się przedstawił. Gdy ten się nie odzywa, pastor wskazuje na niego.

– To jest doktor Dyer, ekscelencjo. Przyjechał z Anglii.

– Dyer? Lekarz?

– Przybył, żeby zaszczepić cesarzową – mówi About.

– Ach tak? Tak. Oczywiście. Do diabła. Chodźmy zatem. Proszę mi pozwolić zmienić surdut. Oblałem się burgundem.

Znika, pojawia się dziesięć minut później, schodzi lekko po schodach, wołając służącego.

– Jak minęła podróż? Bez niemiłych przygód, mam nadzieję? Czy państwo coś jedli? Co słyszać w Anglii? Myślę, że poddałbym się amputacji kończyny, żeby znowu poczuć angielski deszcz. Goszczę na górze kochankę Nikity Panina i dwóch kozackich generałów. Trzeba z nimi pić, aż spadną pod stół. Mam tylko nadzieję, że jej nie zgwałcą w tym czasie, gdy my będziemy w pałacu.

Pani Featherstone, zmieszana, mówi:

– Czy nie powinniśmy się przebrać?

– Mój Boże, nie. Teraz nie obowiązuje taka surowa etykieta. Czasy Piotra Wielkiego minęły. Zresztą ona lubi cudzoziemców. Najlepszy jest francuski, ale angielski też ujdzie. Czy pan mówi po francusku, doktorze?

Dyer przecząco kręci głową.

– Nie szkodzi – mówi poseł. – Będę pana tłumaczem. Na dworze w ogóle nie słyszy się rosyjskiego. Chyba że w pokojach służby. Francuski język, francuskie maniery, francuska moda. Nazywamy to: małpa na grzbiecie niedźwiedzia. Co państwo na to powiedzą? To nasze sanie. Wskakujcie. Te futra to skóry wilków. Zapomniałem pańskiego nazwiska...

– James Dyer.

– Zdaje się, że mają dla pana mieszkanie na Millionnej. Wszystkimi się tu bardzo ładnie zajmują. Będziemy tamtędy przejeżdżać w drodze do pałacu.

Oczy łzawią im od pędu powietrza. Woźnica pokrzykuje, strzela z bata nad konikami. Poseł śpi. Pastor myśli: czemu Dyer nie zapytał, czy jest pierwszy? Czy bał się poznać prawdę? Poseł powinien był mu przecież powiedzieć. Coś powiedzieć.

Skręcają, konie wyrzucają kopytami śnieg. Po prawej zamarznięta arteria rzeki; po lewej Amsterdam, Wenecja, Ateny. Zdumiewające, myśli pastor, któremu wygodnie pod wilczą skórą i który uśmiecha się, bo to wszystko takie obce, zdumiewające, że to miasto nie utonie. A jednak mimo swego ciężaru wygląda zaledwie jak zarys miasta, ogromna dekoracja z jakiegoś nieprawdopodobnego teatru. Nie widać śladów żadnej gospodarki.

– Czy to pałac? – woła pani Featherstone, pokazując coś ręką z przodu.

– Boże! – mówi Featherstone. – Dość tam świec, żeby oświetlić cały Bristol.

– Wreszcie udało się zrobić na was wrażenie – śmieje się About. – Ale jak daleko musieliśmy w tym celu zajechać!

Pochłania ich pałac.

– Trzymajcie się blisko mnie! – mówi poseł. – Zgubiłem tu kiedyś najmłodszego syna pewnego lorda i od tamtej pory go nie widziałem.

Dwaj mężczyźni z diamentami przy butach mocują się u podnóża schodów. Podróżni wchodzą na górę, popatrując w licznych lustrach na swe zarumienione twarze.

– W tym upale można by uprawiać pomarańcze! – mówi About.

Kilkanaście kałmuckich w typie kobiet przykucniętych pod marmurowym filarem obserwuje przechodzących cudzoziemców. Jedna wskazuje Mary; pozostałe opuszczają wzrok, mamroczą coś. Oficer o mongolskich rysach, ciemnych oczach i skórze napiętej niby skórka jabłka skinieniem głowy pozdrawia posła. Poseł macha rękawiczkami, przeskakuje nad parą śpiących chartów rosyjskich i wbiega po następnym ciągu schodów. Kilka kropel wosku spada pastorowi na rękaw. Dyer idzie obok niego. Jak blado wygląda. Znowu ma kłopoty z nogą.

– Proszę mnie wziąć pod ramię, doktorze. Bo się zgubimy, jak tamten człowiek!

Służący przemykają obok nich z tacami, butelki parują i błyszczą od śniegu, z którego je wyjęto. Jeden niesie rybę, wielką jak prosię, potyka się, upuszcza tacę, ryba nurkuje w głębinach żółtego powietrza. Poseł pyta o drogę dziecko, zajadające kandyzowane płatki róży. Stoi ono przy drzwiach, za którymi sto, dwieście dam i dżentelmenów gra w karty. *Tout droit* – mówi dziewczynka. Poseł całuje ją i nurkuje między stolikami, nie oglądając się, macha na nich, żeby szli za nim. Na ścianach, bogatych i niedostrzeganych, w ciężkich złotolistnych ramach wiszą malowidła z innego świata. Karminowe biusty, krwawi bohaterowie, rozwiązłe bóstwa, księżęta z orszakiem anielskim, wszyscy z ponurymi minami, a przez okno na drugim planie widok na gorące brązowe wzgórze, czerwone dachówki Toskanii.

Czasem znad stolika, między kolejnymi rozdaniem lombra czy bostona, uniesie się jakaś upudrowana twarz, żeby spojrzeć na przybyszy, uśmiechnie się złośliwie, zaszepecze coś, straci zainteresowanie, wróci do gry.

W tej sali stoły zastawione są smakołykami, żeby gracze mogli się pokrzepić. Sterlet z Wołgi, cielęcina z Archangielska, wołowina z Ukrainy, bażanty z Czech. Oszronione dzbany z żurawiną, orszadą, migdałową ratafią.

– Te melony – mówi poseł, podchodząc do stołu – są z Bukowiny.

Zanurza palec w salaterce z kawiozem, zlizuje błyszczące jajeczka, woła lokaja, który znika i znów się pojawia. Poseł mówi:

– Możemy teraz wejść. Spróbujcie ją zainteresować.

Pastorowi zdaje się, że wszedł do pokoju prób zespołu operowego, a przecież złoto nie jest namalowane, diamenty nie są ze szkielek. Jak wszystkie sale, przez które przechodzili, i ta jest zbyt jasna, zbyt wspaniała, zbyt upstrzona nabytkami rosyjskich agentów, przetrząsających Europę z nabitymi trzosami. Tak wiele pięknych rzeczy, z których każda pojedynczo wzbudziłaby zachwyt. Razem wyglądają jak stos łupów chana – zabawki władzy. Pośrodku pokoju jakaś kobieta nachyla się nad stołem bilardowym, uderza, słychać stuk

kości słoniowej, potem podnosi wzrok na przybyszów, a jej błękitne oczy, jej błękitne spojrzenie wędruje od twarzy do twarzy.

Ponad gwar rozmów i dźwięk grzecznego i prostackiego śmiechu, unosi się głos, wyraźnie, egzotycznie angielski:

– ...co trzeci wieczór przed pójściem spać osiem granów kalomelu, tak, dobrze mówię, i osiem granów sproszkowanych szczypców kraba.

Kobieta przy stole bilardowym mówi po francusku z niemieckim akcentem:

– Kogo mi pan dziś przyprowadził?

Poseł składa heroiczny ukłon.

– Wasza cesarska wysokość, przyprowadziłem doktora Dyera z Anglii. Doktor Dyer i jego towarzysze podróży.

Dyer występuje do przodu, kłania się. Caryca wypowiada angielskie zdanie, najwyraźniej wyuczone na pamięć:

– Zrobił nam pan zaszczyt, przyjeżdżając z tak daleka. Witamy pana serdecznie w naszym mieście.

Gdzieś pośród garbatych, znudzonych kartów, dam dworu, szambelanów Anglik nadal przemawia.

– ...w takim przypadku zalecam osiem granów winianu antymonowo-potasowego i po przebudzeniu dawkę soli glauberskiej...

Caryca odwraca się, tłum się rozstępuje. Pastor zgadł już, kogo zobaczą; słyszał kiedyś ten głos, w Brukseli. Doktor Dimsdale, ugrzeczniiony i zażywny, sunie do boku carycy, której faworytem już najwyraźniej zdążył zostać. Cała sala patrzy, cichnie. Dworacy i cudzoziemcy w ciemnych strojach przyglądają się sobie wzajem; badawcze, inteligentne spojrzenia. W oczach Dimsdale'a chłodna świadomość zwycięstwa, w oczach Jamesa Dyera wyraz niezrozumienia, tak jakby jego duch przewodni zdradził go nagle z niewyjaśnionych przyczyn.

Ktoś chichocze. Szkolną francuszczyzną Dimsdale mówi:

– A jaka jest pańska opinia o soli glauberskiej, panie Dyer?

Caryca klaszcze; cała sala klaszcze. Tak jakby dwór nie słyszał nigdy takiego dowcipu, takiej błyskotliwości.

## 10

Co to jest? To planetarium, prawda?

– Tak.

– Musi je pan szczególnie lubić, doktorze, skoro wiozł je pan ze sobą tak daleko.

– Mam je od wielu lat.

– Piękna zabawka. Przypuszczam, że to jest Słońce, a to planety?

Pokój jest słabo oświetlony. James Dyer siedzi przy oknie, planetarium stoi na stole przed nim. Okiennice nie są zamknięte. Pada lekki śnieg. Na ulicy sanie i powozy rozwożą do domów ostatnich graczy, birbantów z Pałacu Zimowego.

– Myślę, doktorze, że służąca rozpałała już piecyk w pana pokoju.

Brak odpowiedzi. Pastor myśli: zirytuje go tylko, jeśli zostanie. Musi przetrwać swą porażkę w samotności.

Podchodzi do drzwi, potem, nie mogąc stłumić w sobie instynktu pocieszyciela, mówi:

– Poseł zapewniał mnie, że na naprawdę zdolnego człowieka czeka tu dużo pracy. I dużo pieniędzy. Mam nadzieję, że nie uzna pan tej podróży za zupełnie zmarnowaną.

Jakiś ruch w drugim końcu pokoju. Mary. Pastor nie wie, czy na niego patrzy; za słabe światło, zbyt zmęczony ma wzrok. Rozumie jednak, rozumie doskonale, że musi wyjść.

– Dobranoc, zatem. Dobranoc wam obojgu.

Idzie do swego pokoju, z niejasnych powodów zmartwiony. Czemu ten szorstki człowiek, który z pewnością o niego nie dba, wzbudza w nim tyle litości?

Rozbiera się, przez chwilę stoi nago w ogrzonym drzewem powietrzu, potem wkłada nocną koszulę, spiczastą szlafmycę, grube wełniane skarpetki. Kładzie się i modli, zwyczaj który powrócił po, jak się teraz wydaje, nieistotnym okresie milczenia. Modli się za Dyera, za siebie, za ukochane osoby: dziecinna modlitwa. Zdmuchuje świecę. Dziwne, jak nagle zapada ciemność. Gdzie się ukrywa, gdy pali się światło?

## 11

Featherstone'owie, monsieur About i pastor Lestrade w dwóch parach wynajętych sani jadą zobaczyć szczucie psami niedźwiedzia należącego do carycy. Dwa psy przypłacają pojedynek śmiercią. Psy zdają się żałować swego losu dopiero pod sam koniec życia. Jakiś człowiek podchodzi, żeby odciągnąć ich ścierwa. Niedźwiedzia zabierają, żeby wylizal rany. Piętnaście stopni mrozu. Oddechy woźniców zamarzają w ich brodach.

Kolacja u księżnej D. Chłodnik, kawior, pańska skórka. Damy wnoszone są po schodach przez służących. Monsieur About dla zakładu wypija jednym haustem butelkę szampana. Księżna mówi do pastora:

– Czy nie przyjechali państwo z jednym z angielskich lekarzy?

– Tak, wasza wysokość, ale on jest niedysponowany.

Na pożegnanie pastor całuje księżną w rękę. Ona mówi:

– Musicie tu przychodzić codziennie.

Człowiek nazwiskiem Bootle zabiera ich na Newski Rynek. Mięso jest zmrożone na kamień. Bootle pyta o Dyera.

– Nie chciał dziś wychodzić – odpowiada pastor.

– Źle się czuje?

– Jest zmęczony po podróży.

– A ta kobieta?

Kiedy zostają sami, About oznajmia, że Bootle jest szpiegiem. Sankt Petersburg, mówi, jest pełen szpiegów.

Bootle zabiera ich do łaźni. Jeden rubel za oddzielne pomieszczenie, pięć kopiejek za wspólne.

– Nie rozdzielajmy się – proponuje monsieur About.

James Dyer jest z nimi. Gdy są już rozebrani do naga, pastor widzi kilkanaście czerwonych pręg na plecach Dyera, jak ślady po biczu, i siniaki pokrywające jego piersi i nogi. Ma też ślady na rękach, jakby szperał w krzaku dzikiej róży. About jest poruszony, urażony. Mówi na tyle głośno, że pastor słyszy:

– Tego już za wiele. Za wiele.

Psuje im to cały dzień.

Przygoda dobiega końca. Ta przygoda. About sprzedał swoje zabawki agentowi carycy. Wiadomo, że jest zachwycona. Że zapłaciła hojnie. About mówi, że zabawią dwór przez tydzień, a potem zostaną wrzucone do pudełek i zapomniane. Mniejsza z tym. Im wszystkim się to przydarzy z czasem. Samej carycy! Zapomnienie, zapomnienie. Napelnia kieliszki. Spędzają wieczór w swoim mieszkaniu. Pastor i About są tam sami. Dyer i Mary mieszkają osobno, Featherstone'owie też zajmują swój własny apartament. Piece syczą: dobre rosyjskie piece, nic takiego nie ma w Anglii. Pastor myśli: może będę w domu przed Nowym Rokiem. Nowy początek. Dom.

About podchodzi, uśmiecha się, bierze go pod rękę, mówi:

– Mam jechać do Warszawy na początku przyszłego tygodnia. A potem jak najszybciej do Paryża. Niech pan jedzie ze mną. Nie chciałbym teraz podróżować bez pana.

Pastor pyta:

- Czy moglibyśmy zabrać doktora? I tę kobietę, jeśli nie zechce się z nią rozstać?
- Czemu nie? – odpowiada About.

Następnego dnia składają znowu wizytę w pałacu, ale carycy nie ma. Są tylko goście, tacy jak oni, spacerujący po pustych korytarzach, rozmawiający przyciszonymi głosami. Nikt nie gra przy karcianych stolikach. Służący nie biegają z szampanem – siedzą na schodach, piją i jedzą to, co ukradli z kuchni. Pali się tylko kilka świec. Jest zimno, głosy niosą się echem. Okazałe koszary.

Spędzają wieczór na Millionnej, grając w tryktraka i bezika, pijąc kawę i wino. Pastor żegna się o północy, idzie do swego pokoju, potem wyjmuje pióro i inkaust, ostrzy koniec pióra scyzorykiem, zanurza w inkaucie, wyciera, zanurza i zaczyna kolejny list do swojej siostry.

*Sankt Petersburg, 9 grudnia 1767*

*Wielebny Juliusz Lestrade do panny Dido Lestrade*

*Kochana Dido!*

*Piszę, żeby Ci powiedzieć, że wracam do Anglii, może nawet przyjadę, zanim otrzymasz ten list. Jadę do Warszawy z monsieur Aboutem, a stamtąd z powrotem do Paryża i do domu. Nie wyobrażasz sobie, jak pragnę znaleźć się znowu wśród Was. Nie żebym żałował mojego tu przyjazdu. W końcu to nie byle co, móc powiedzieć, że się poznało cesarzową Rosji. Zastanawiam się często, jak się powodzi temu biednemu pocztylionowi i czy nie uda nam się uzyskać jakichś informacji o nim w drodze powrotnej. Nasza mała grupka, która wkrótce się rozstanie, ma się dobrze, z wyjątkiem doktora Dyera; ten bardzo ciężko znosi swą przegraną z doktorem Dimsdale'em.*

*Mróz przerażający, ale oni tu wiedzą, jak się ogrzać, i nie było mi zimniej niż w domu.*

*Pozwól, że opowiem Ci, co porabiałem od czasu mojego ostatniego...*

Odkłada pióro. List może poczekać do rana. Pociera szczecinę na twarzy. Kto to golił się trzy razy dziennie? Collins? Johnstone? Ktoś na uniwersytecie? Paston?

Przypomina sobie o swojej małej fajeczce do opium i odnajduje pudełeczko na dnie torby. Pierwszy raz wziął ten narkotyk jako chłopiec, żeby złagodzić uporczywy kaszel; brał go potem jako student dla snów, jakie przynosił, i w owych okresach, gdy kończyło się stypendium, kiedy taniej i przyjemniej brać było opium niż jeść. Nie jest specjalnym nałogowcem. Dido zażywa więcej. Pali, siedząc w fotelu, zatrzymując dym głęboko w płucach. Czuje suchość w ustach. Uśmiecha się. Wie, że zapłaci za to jutro: ociężałość, zatwardzenie, a może i bóle głowy. Uśmiecha się szerzej. Jutro niech się samo o siebie martwi. Któż może twierdzić z pewnością, że będą wszyscy żyć tak długo?

Gdy skończył, odkłada starannie fajeczkę do pudełka i wychodzi, żeby łyknąć wina dla przepłukania gardła. Niesie w ręku świecę; jego cień sunie po ścianie jak szary, nadęty żagiel. Karafka stoi nadal na stole w salonie. Bierze jedną z brudnych szklanek, wacha i nalewa do niej troszkę wina, płucze usta, przełyka.

Po wyjściu z salonu widzi, że pali się jeszcze jedno światło, migocące w korytarzu prowadzącym do pokoju Jamesa Dyera. Kto tam stoi? Mruży oczy i rozpoznaje pokojówkę Zairę. Idzie w jej stronę, zastanawiając się, dlaczego nie zauważył wcześniej piękna jej włosów, bardzo czarnych na tle bieli skóry. Oczekuje, że się odwróci, słysząc jego kroki, nie chce jej przestraszyć, ale ona wpatruje się uporczywie w głąb pokoju Dyera. Gdy pastor dostrzega wyraz jej twarzy, pragnie być z powrotem w swoim pokoju. Nie chce mieć z tym nic wspólnego. Szepcze jej imię; ona zaciska rękę na jego ramieniu, przekazując mu swe

przerażenie. Dyer leży w łóżku na plecach z zamkniętymi oczami. Mary stoi obok łóżka. Pastor otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale Mary patrzy na niego, ucisza go. Przez chwilę zastanawia się, czy Dyer nie umarł, ale potem widzi powolne falowanie jego piersi, lekkie drganie skóry ponad sercem. Zaira wydaje z siebie skowyt. Słyszc szum moczu płynącego po jej nodze na podłogę. Pastor rusza, robi jeden krok, potem zatrzymuje się. Pokój jest zapieczętowany. Są tu siły, o których nie ma pojęcia, moc tajemna silniejsza od jego mocy. Nie może jej powstrzymać. Jedna ręka Mary jest wewnątrz ciała Dyera, teraz druga w czymś jej pomaga. Nie ma krwi; ciało rozstępuje się jak woda, jak piasek. Widać drżenie jej ramion, cierpienie na twarzy wywołane wysiłkiem niepojętej pracy. Dyer się nie porusza, czasem tylko wzdycha jak człowiek pogrążony we śnie. Gdy jest po wszystkim, ona siada ciężko na krześle, pochyla głowę, opuszcza ramiona. Pokój nagle wygląda spokojnie, zwyczajnie. Mężczyzna śpiący w łóżku, obok niego kobieta śpiąca na krześle. Pastor wchodzi, stawia swoją świecę na nocnej szafce przy łóżku, zapina nocną koszulę Dyera, potem okrywa go kołdrą. Zaira patrzy na niego. Czy jego też się boi? On bierze ją za rękę i prowadzi szybko korytarzem.



## Część szósta

## 1

Na moment przed przebudzeniem odczuwa ekstazę, chwilę rozświetlonego przerażenia, taką, jaką musi przeżywać człowiek, który potknął się na krawędzi przepaści i koziołkuje ponad odległymi skałami. Albo zbrodniarz, posyłany w wieczność pchnięciem kata, szybujący ponad cichnącym tłumem. Wszystko jest widoczne, wszystko jest zrozumiałe w jasnym świetle, w spokojnym powietrzu. Potem wiatr łamiący fale nad jego głową. Zgrzyt światła.

James Dyer umiera. Budzi się w piekle.

Z początku wie tylko, że musi uciekać od ognia w łóżku. Potem od ognia na podłodze. Potem od ognia w powietrzu. Dopiero gdy stacza się na podłogę, rozumie: to on jest ogniem, ogień jest nim. I tylko uciekając od siebie, może umknąć płomieniom. W torbie ma noże, a on jeszcze nie boi się noży. Mógłby umrzeć jak Joshua, gasząc nieznośne pragnienie brzytwą. Szuka po omacku torby, nie może jej znaleźć, nie widzi nic, torby, swoich rąk. Nie ma nic poza plamą bledszej ciemności, gdzie otwarta jest jedna z okiennic. Otwiera drugą, mocuje się z zamkiem okna. Słyszy własne łkanie. Zamek ustępuje, okno się otwiera. Śnieg tańczy na twarzy Dyer'a, który podciąga się na parapet, zwija, jakby chciał skoczyć do zamarzniętej rzeki. Wtedy ktoś go chwytą od tyłu, ściąga na podłogę; leży tam, wijąc się jak robak. Chce z nią walczyć, ale nie może znaleźć sił. Ona jest pełna determinacji. Zmusza go, żeby się ubrał. Nie rozumie, że on nie może tak dalej, że znosi to, czego znieść się nie da.

Wybierają najciemniejsze ulice. Drewniane domy śpią, przytulone do ziemi, cięższe niż pałace. Wyje pies, wrzeszczy dziecko, mruga lampa w jednym domu. Może ktoś tam jest chory, rodzina klęczy przy łóżku. Lekarz nie przyjdzie w taką noc jak ta, ani pop.

Mary na niego nie czeka, ale nie pozwoli mu też odejść. On prze za nią na dwóch nogach, potem na czworakach. Wie, że ona jest jego jedyną nadzieją, początkiem i końcem koszmaru. Na co jeszcze mógłby liczyć? Urodził się godzinę temu, został uwięziony w swym wnętrzu, ślepiec w płonąjącym domu. Jest teraz taki sam jak inni.

## 2

Kiedy otwiera oczy, jest jasno. Nie ma śladu miasta. Próbuje usiąść, ale przy próbie ruchu ogień przebiega jego ciało. Usiłuje mówić, ale ma zbyt suche gardło. Liże śnieg. Powoli, jakby przebywał rzekę pokrytą cieniutkim lodem, wykonuje niewielkie ruchy. Jego dłonie kurczą się i rozkurczają. Obraca głowę. Obserwuje go jakiś ptak, czarnoniebieskie pióra drżą na wietrze. Bada go. Ptasię oko nie ma głębi, na powierzchni migoce czarne światelko. Ptak zbliża się, podskakując. Lęk przed ptakiem jest większy niż lęk przed ogniem. James siada, z krzykiem wyrzucając z rąk garstkę śniegu. Ptak rozkłada skrzydła, leci nisko ponad ziemią, końcami skrzydeł dotykając niemal śnieżnej bieli. Potem wzbija się wyżej, kracze, krąży nad nim i znika ponad drzewami. Człowiek pada na plecy z twarzą zwróconą ku niebu. Może teraz, w świetle dnia, ktoś przyjdzie mu pomóc, zabierze go do ciepłego miejsca, uleczy. Niebo czerwienieje; słyszy kroki; podnosi wzrok. Przyszła kobieta. Kuca przy jego głowie i kładzie mu rękę na oczach. Pachnie dymem i piórami. On zasypia.

Mały płomień migoce niedaleko jego twarzy. Po drugiej stronie płomienia widzi kobietę mieszającą w kociołku. Kobieta ogląda się na niego. Mówi do niej, ale ona nie rozumie, co powiedział. Są w pokoju, małym drewnianym pokoju. Nie ma okien. Leży pod kołdrą. Nagi. Jest zbyt słaby, by się poruszyć, zbyt się boi powrotu płomieni. Kobieta poi go z wydrążonego rogu. Płyn ma ziemisty smak. James przełyka. Później ona bierze go za rękę i

wyprowadza z pokoju. Płomienie są wszędzie wokół niego, są chmurą, w której się porusza, ale nie przysparza mu to teraz takiego cierpienia. Gdy wychodzą na dwór, ona wskazuje ręką. Leży tam człowiek, z rozpostartymi ramionami, twarzą do ziemi. James nagi i bosy na śniegu podchodzi bliżej. Nie czuje zimna. Klęka przy człowieku, odwraca jego ciało, dotyka go, twarzy stężałej od mrozu, zarostu jak drzazgi wbite w ciało, ciemnych ust odsłaniających ciemne zęby. W oczach Gummera poruszają się złote światełka. Światełka to płomienie tańczące w ciemności. James nachyla się niżej. Widzi twarz swojej matki, drobnej, młodej. Nad nią gwiazdy spadają deszczem ponad wrzosowiskiem, wioską, fortowym wzgórzem. Widzi tłum obcych i chłopca leżącego spokojnie na łóżku. I jest tam Joshua Dyer w swym najlepszym surducie, zatroskany, czerwony od słońca i napitków; i Jenny Scurl z płatkami kwiatów we włosach; i Amos Gate, pocierający brodę. Charlie stoi przy drzwiach i Sara zerka ponad jego ramieniem. Jest tam Liza, która siedzi przy nim na łóżku. Płacze z jego powodu.

James kładzie głowę na piersiach martwego człowieka, przytula się do zimnego ciała, obejmuje je ramionami. Wyje.

Lusterka z lodu mówią mu, kim się stał. Ukazują mu zamglonego człowieka, brodę z obślinionych kłaków, ciemną plamę oczu jak opaska. Ona często każe mu pić z rogu nalewkę, która smakuje pleśnią i ziemią, która smakuje piwnicą. Potem on jest upiorem i widzi upiorne widoki, rozmawia ze zmarłymi albo z wędrownymi duchami tych, co jeszcze żyją. W nocy słyszy czasem diabły; są jak ludzie szepczący w odległym kącie ogromnego pokoju.

I znajduje słowo na płomieniu. Słowo, które wyskakuje z ust, zanim się je wypowie; które wymawia się tak, jakby było pestką wypluwaną spomiędzy warg: ból. Podnosi tyle akurat przeciągu, by zachwiać płomieniem świecy, nie tyle jednak, by go zgasić, nie od razu, chyba że płomień jest słabutki, świeca prawie dopalona.

Jego ciało pamięta; każde złamanie, każde pobicie, każde nakłucie igłą, każde przypalenie świecą. W bólu odkrywa swą historię, a powietrze wibruje agresywnie od głosów. Noc nie jest dość długa, by odpowiedzieć na ich oskarżenia, by uronić wszystkie łzy, jakich od niego żądają. Myślał kiedyś, że jego godziny są jak radosne ognie, które pochłaniają się same, zostawiając tylko bładny popiół. Teraz dowiaduje się, że czas tropi ludzi jak morderca, dokładny, bezstronny, zbierający ślady wszystkich lat. Nic nie znika. To była tylko arogancja i ignorancja. Nic nie znika, a cisza nie była ciszą, tylko jego własną głuchotą.

### 3

Kim jesteś?

– Odpowiadaj!

– Czemu nie odpowiada?

– W ogóle się do nas nie odezwał, panie doktorze.

– Skąd on jest? Jakie ma dokumenty?

– Pan Callow czytał dokumenty, panie doktorze. Nazywa się Dyer, jest Anglikiem, który oszalał w Rosji.

– Oszalał z jakiego powodu?

– Powód nie został podany. Tylko nazwisko i to, że przyjechał z Rosji.

– Ciekawe, czemu go tam nie zatrzymali. Kto go przysłał?

– Pan Swallow, ambasador.

– A pieniądze na jego utrzymanie?

– Są pieniądze. Pan Callow je ma.

– Powiedz Callowowi, żeby mu policzył siedem szylingów za tydzień. Znałem kiedyś jednego Dyer. Dyer!

– Odpowiadaj!

– Czy wie pan, gdzie pan jest? To jest Królewski Szpital Betlejem w Moorfields. Wyleczymy pana albo jeden z nas umrze w trakcie leczenia. Czemu jest w kaftanie?

– Próbował kopnąć strażnika, gdy go rozebrano.

– Kto to był?

– Pan O'Connor.

– Czy O'Connor się z nim drażnił?

– Nie, panie doktorze.

– Bardzo dobrze. Jutro zacznę kurację. Rozwiążemy ci język, Dyer. To nieładnie być takim upartym. Kto to wrzeszczy?

– Myślę, że Smart, panie doktorze.

– Czemu wrzeszczy?

– Nie potrafię powiedzieć.

– No cóż, chodźmy do niego.

– A ten, panie doktorze, czy ma być skuty?

– Tylko nogi. Dopóki go lepiej nie poznamy. Wtedy zobaczymy.

– Dyer!

– Odpowiadaj!

– Nie, proszę go nie kopać. Jest w końcu chrześcijaninem. Jak się szanownemu panu podoba pana nowy dom? Czy on już coś mówi?

– Pojedyncze słowa, panie doktorze.

– Tyczące?...

– Proszę?

– Co mówi?

– Obłąkańcza gadanina, panie doktorze. Nic takiego.

– Kiedy usłyszysz, że mówi, musisz to zanotować albo, jeśli nie potrafisz, zapamiętać słowa.

– Tak zrobię, panie doktorze.

– Jak mu się podobają kajdany?

– Nie narzeka.

– Dziś ma iść do wody.

– Tak jest, panie doktorze.

– Ma wymiotować.

– Tak jest, panie doktorze. Czy trzeba mu puścić krew?

– Strażnik?

– Tak, panie doktorze?

– Proszę go posadzić na sienniku. Czy przyjmuje jedzenie?

– Wkładamy mu je do ust, panie doktorze. Nie zawsze chce połknąć.

– Jeśli będziesz taki wybredny, Dyer, każę Wagnerowi wpychać ci jedzenie patykiem do gardła. Tak jak francuskim gęsiom. Jak mu się podobała woda?

– Krzyczał.

– Z zimna zapewne?

– Tak, panie doktorze.

– Czy to był tylko wrzask? Czy jakieś słowo?

– Imię, panie doktorze.

– Jakie imię?

– Zdaje mi się, że Maria czy Mary.

– Bardzo dobrze. Powiedz nam, Dyer. Kto to jest Maria? Żona? Siostra? Dziwka?  
– Może jest papistą. Mógłbym go skłonić do mówienia, panie doktorze, jeśli by pan sobie życzył.

– Nie, panie Wagner. Nic z tych rzeczy. Żyjemy w oświeconych czasach. Natura i filozofia są naszymi przewodniczkami.

– Aaaaaaaauuuuuuuuuuuuuuu! Aaaaaaaauuuuuuuuuuuuuuu!

– Zakneblować go!

– Mam na imię Adam. Przyniosłem ci coś do picia. Nie rozlej. To mleko. Świeże mleko. Jeśli masz pieniądze, możesz tu kupić, co chcesz. Jak będziesz spokojny, zdejmą ci kajdany i będziesz mógł wychodzić na galerie. Jestem tu trzysta dziewiętnaście nocy. Trzysta dwadzieścia dni. Wyjdę na wolność, kiedy świat znormalnieje. Są bardziej obłąkani od nas, przyjacielu, ale nie mów im tego. Mów im tylko to, co chcą usłyszeć. To słabi ludzie. Teraz pij, bo trzeba być silnym, żeby być wariatem.

– Dyer!

– Odpowiadaj!

– Czy będziesz dziś do nas mówił?

– Tak nie tak nie tak nie tak nie tak..

– Co on mówi?

– Mówi, że będzie mówił.

– Nie będziesz dziś wył?

– Nie.

– Wycie jest dobre dla psów. Skąd masz te znaki na rękach?

– Nie pamiętam.

– Zauważ, Wagner. Ten szaleniec jest bardzo sprytną istotą. Założę się, że sam sobie zrobił te znaki. Kim jest kobieta, którą nazywasz Mary?

– Nie wiem.

– Jest biegłym kłamcą. Znasz swoją własną rodzinę, jak sądzę?

– Oni wszyscy nie żyją.

– A przyjaciele? Nawet szaleniec miewa przyjaciół.

– Nie mam żadnych.

– Dyer! Czy chcesz być wolny? Spacerować po galeriach?

– Tak, panie doktorze.

– Co dałbyś za to, żeby być wolnym?

– Nie mam nic.

– A gdybyś miał, co byś dał?

– Wszystko.

– Wszystko to za dużo. To odpowiedź szaleńca. Ha! Tu go mamy, Wagner. Czy pacjent jest grzeczny? Czy jest posłuszny?

– Są gorsi od niego.

– Cóż, zobaczymy. Jeszcze miesiąc. Jeśli będzie grzeczny, zdejmemy mu kajdany. Proszę dopilnować, żeby miał świeżą słomę w sienniku. Jeszcze nie wachałem takiego smrodu. Mój pies by tu nie wszedł.

– Adam? Myślę, że muszę tu umrzeć.

– Wielu tak sądzi z początku.

– A potem?

– Ci, którzy nie umrą, żyją.

– Jak ty żyjesz?

– Nie wchodząc nikomu w drogę.

- To wystarczy?
- Uciekam w głąb swojej głowy. Tam mogę podróżować, dokąd zechcę, rozmawiać, z kim zechcę.
- Słyszałem kobietę. Śpiewającą. Dziś wieczorem albo wczoraj. Nie wiem kiedy.
- Strażnicy przyprowadzają je na noc. Żeby im umilały życie.
- A czy trzymają tu obłąkane kobiety?
- Są zamknięte oddzielnie. Czasem można je zobaczyć albo usłyszeć.
- Adam? Jak długo tu jesteś?
- Trzysta sześćdziesiąt dni; trzysta pięćdziesiąt dziewięć nocy.
  
- Dyer!
- Tak, panie doktorze?
- Chcę ci nałożyć wezykatorię na głowę.
- Błagam pana, żeby pan tego nie robił.
- Dlaczego błagasz?
- Kiedy pan to robi, okropnie mnie boli.
- No, no. Nie ma leczenia bez odrobiny cierpienia.
- Błagam pana, żeby pan tego nie robił.
- Chyba nie chcesz wyzdrowieć.
- Chcę.
- Chyba nie.
- Chcę, panie doktorze.
- A zatem nałożę ci wezykatorię na głowę. Zawsze stawiam na swoim. Prawda, Wagner?
- Tak, panie doktorze, święta prawda.

#### 4

Wszystkich Świętych 1768 roku. James Dyer zostaje uwolniony z kajdanów. Choć wolno mu teraz spacerować po galeriach, zostaje w swojej celi, aż wreszcie Adam wyprowadza go stamtąd i przedstawia współtowarzyszom. Cromwell, Perykles; kilku proroków ze Starego Testamentu, targujących się ze sprzedawcą piwa, chłopcem z wiaderkiem ostryg, dziewczyną z koszykiem pomarańczy. Strażnikiem jest tu O'Connor; pamięta Jamesa i dźga go w piersi końcem pałki. Przewraca go, potem traci dla niego zainteresowanie.

Na schodach otepiał metodysta, wygłaszający bezgłośnie kazanie, opędza się od rojów diabolicznych pszczół. Inni pacjenci siedzą, leżą lub stoją; w łachmanach, dziwacznych strojach, w kocach. Dłubią we wrzodach, kiwają się na piętach, jęczą, ślinią się, łkają. U stóp metodysty łysy krawiec przyszywa nic do niczego. Hałasy niosą się echem, bestiarium w katedrze.

James pokazuje coś przez kraty oddzielające mężczyzn od kobiet.

– Co to jest?

– Nazywają to trumną – odpowiada Adam. – Służy do karania agresywnych pacjentów.

Podchodzą do krat. Po drugiej stronie stoi wąskie pudło, wysokości pięciu do sześciu stóp, na dwóch małych żelaznych kółkach. U góry pudła znajduje się otwór o średnicy sześciu cali. Przezeń James widzi blade krążek kobiecej twarzy.

– To Dot Flyer – mówi Adam.

Woła do niej:

– Dzień dobry, Dot.

– Ależ ona musi cierpieć – mówi James.

– Jest do tego przyzwyczajona. Jest dzika. Strażniczki się jej boją.

– Ale przecież nie siedzi cały czas w tym urządzeniu?

- Ma okresy spokoju.
- Z trumny dobywa się głos, odległy i uroczysty jak głos wyroczni:
- Jak masz na imię?
- Adam, siostrze.
- A ten drugi?
- On się nazywa James. Niedawno pozbył się kajdanów.
- Kobieta zaczyna śpiewać. Adam mówi:
- Jej ojciec był muzykiem. Utopił się w studni.

Jej głos nabrzmiewa, pieśń grzmi wewnątrz pudła. Strażniczka, Passmore, stuka w drewnianą ścianę. Dot Flyer przesywa powietrze swą pieśnią, wygania resztki ciszy, jakie jeszcze kryły się w tym miejscu. W domu wariatów. Przychodzi druga strażniczka. Odjeżdżają z trumną. Pieśń cichnie.

Widzi ją następnego dnia; cień i błysk jej twarzy. Podchodzi do krat, opiera się o nie, przytula do nich policzek. Czasem jej twarz znika, a wtedy urządzenie wygląda jak pusta szafka od zegara, stojąca na rolkach w poszatkowanym światłocieniu galerii. Światło wpada przez okna otwartych cel. Wiatr przynosi dźwięki zewnętrznego świata, jego nikłą muzykę. Porykiwanie bydła na Moorfields, dudnienie dylizansów i osaczające nawoływania przekupniów koło londyńskich murów.

Potem ona mruga albo odwraca głowę i znowu jest świadom jej obecności. Nie mówi do niej. Zastanawia się, czy ona na niego patrzy, czy też w swym cierpieniu nie patrzy na nikogo poza sobą. Pozdrawia ją szeptem, czeka, potem, powłócząc nogami, wraca do swojej celi.

Nie ma jej następnego dnia ani następnego. Nie widzi jej przez tydzień, a kiedy widzi ją znowu, nie ma już trumny, ale poznaje ją po sile jej wzroku. Dot stoi pośród świty wariatek i strażniczek, miedziane włosy zgolone niemal do samej skóry, jedno oko opuchnięte w otocze zielonego siniaka, wykwit zimna na dolnej wardze. Kiedy on podchodzi do krat, ona szepcze coś do jednej ze swoich kum. Wszystkie obracają się, śmieją, a Dot Flyer najgłośniej. James wstydzi się – swoich łachmanów, swojej twarzy starca, swoich niezgrabnych ruchów przestraszonego psa. Wstydzi się tego, że chciałby się jej podobać.

Widząc go w pomieszaniu, kobiety śmieją się jeszcze głośniej. Jedna odwraca się tyłem, unosi spódnicę i błyska w jego stronę gołymi pośladkami, ogromną pomarszczoną dupą. Dot Flyer już się nie śmieje. Patrzy na Jamesa i jest w jej spojrzeniu coś ze wzroku Mary, coś równie bezpośredniego, penetrującego. Potem, jakby ostatecznie stwierdziła istnienie bądź nieistnienie tego, czego szukała, odchodzi w głąb kobiecego skrzydła, a jej świta podąża za nią; dumna i żałosna wspólnota, wspólnota potępionych.

W najciemniejszych i najdokuczliwszych zakamarkach nocy, w czasie cmentarnej wachty, próbuje zrozumieć, kim się teraz stał. Kim jest? Wariatem w domu wariatów. Obcym dla samego siebie. Nieumiejącym w nocy zapanować nad myślami, a czasem i nad ciałem. W jego brodzie widać postrzępione siwe kłaki. Ręce trzęsą mu się jak paralitykowi. Czasem, gdy budzi się rano, noga boli go tak bardzo, że gdyby miał pod ręką jakąś broń, zabiłby się natychmiast. Żyje w ciągłym strachu przed lekarzem, przed Wagnerem, przed O’Connorem, przed wszystkimi strażnikami, nawet tymi, którzy traktują go dobrotliwie, bo nic nie niepokoje go bardziej niż dobroć. Jego serce jest jak rana, a ta kobieta, ta córka topielca, porusza je. Jej imię przesącza się do jego snów jak woda do piwnicy. Myśli o niej bezustannie. Unika jej. To jej imię wymawia teraz, gdy zaganiają go nagiego w róg łaźni i polewają lodowatą wodą; kiedy parzą go, żeby miał bąble, kiedy mu stawiają bańki; kiedy dają mu emetyk, który powala go na kolana, a wymioty palą mu nos i boi się, że wyrzyga własny żołądek. Dot, Dot, Dot. Jakie piękne imię!

Ku własnemu zdumieniu zauważa, że rozwija się w nim rozpaczliwa próżność. Błaga cyrulika, żeby go dokładniej golił, chociaż brzytwa strzępi mu skórę, która pali go potem tak,

jakby zamiast potu wydzieliał sok z cebuli. Wiąże włosy kokardką ze słomy, wyskrobuje brud z paznokci.

Na powierzchni moczu w nocniku pewnego ranka, gdy dzwonek dzwoni, przynaglając do opróżniania naczyń, widzi odbicie innego człowieka. Nie tego, którym był, nie tego, którym się stał. Jest to miraż potencjalnego ja, jeszcze nienarodzonego, które może nigdy się nie narodzi. Człowiek stojący spokojnie w kącie oświetlonego, zatłoczonego pokoju. Uśmiecha się, a jego oczy, choć nawiedzone, są spokojne. Wspomnienie tej wizji nie odstępuje go przez wiele tygodni. Jakie niemożliwe wysiłki musi poczynić, aby stać się takim człowiekiem? Musi pozbyć się swojej skorupy szaleństwa; przyswoić sobie męstwo zwykłego człowieka. Do tego nie jest przygotowany. Jeszcze nie. W swych modlitwach, mamrotanych gorączkowo do jakiegokolwiek boga, który troszczy się o szaleńców, błaga o odsunięcie tej łaski; o długie odroczenie zbawienia.

## 5

Panie Rose – mówi lekarz – tego człowieka przywieziono do nas z Rosji. Dokładnie taki sam przypadek wypaczonego rozumowania, jaki opisuję szczegółowo w moim „Traktacie o szaleństwie”. Może pan czytał?

– Słyszałem, jak ktoś mówił o tej książce – mówi Rose. – Jak on się teraz miewa?

– Nie jest gwałtowny. Myślę, że powoli go wyleczymy. Czy chce pan pomacać jego czaszkę?

– Dziękuję bardzo, nie. Jaka była przyczyna jego szaleństwa?

– To nie zostało ustalone. Jest wiele dróg do szaleństwa, proszę pana. Niektórzy mają to po rodzicach, z gorączki, od uderzenia w głowę. Inni wariują z miłości lub rozpacz. Od alkoholu. Od zapału religijnego. Od porażenia słonecznego. Od czytania zbyt wielu książek, od zakażonego mięsa, od pogryzienia przez psa.

– Czy on otrzymał wykształcenie?

– Myślę, że tak. Znasz alfabet, Dyer? Umiesz czytać i pisać?

– Tak, panie doktorze.

Rose przygląda mu się uważnie. Nie podchodzi zbyt blisko.

– Czy jest wolny od chorób?

– Całkowicie – odpowiada lekarz. – A jeśli nada się panu, podszorujemy go trochę. Żeby wyglądał nieco porządniej.

– W takim razie myślę, że się nada. Chociaż wolałbym usłyszeć trochę więcej jego głosu. To głos się liczy.

– Odezwiij się, Dyer – mówi lekarz. – No, bez kawałów.

– Nie wiem, co powiedzieć, panie doktorze. Nie wiem, co ten dżentelmen chciałby usłyszeć. Nie mam daru konwersacji, proszę pana.

– Pochodzi z któregoś z zachodnich hrabstw – odzywa się Rose. – Somerset albo Gloucestershire. Z pewnością jest wykształcony i w swoim czasie obracał się w dobrym towarzystwie. Nie był może sam dżentelmenem, ale jednym z tych, którzy świadczą usługi dżentelmenom. Zarządca, pisarz. Dystyngowany cyrulik.

– Ależ to cudowna umiejętność, proszę pana, umieć tak dokładnie określić człowieka na podstawie jego głosu – mówi lekarz. – Gdyby znalazł się pan kiedy w biedzie, mógłby pan z tego żyć.

Rose podchodzi bliżej do Jamesa.

– Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne.

Bierze Jamesa za lewą rękę, trzymając palcami końce jego palców. Odwraca ją, mówiąc:

– Ręce wprawdzie zniszczone, ale to dobre ręce. Czy pracował pan jako malarz, panie Dyer, albo może jako muzyk?



James kręci głową. Jest przerażony pytaniami tego człowieka, jego przenikliwością. Jak na razie zostaje nierozpoznany, choć wie, że widział już wcześniej lekarza, w Londynie, w swoim poprzednim życiu. Znał co najmniej dwie z osób odwiedzających szpital. Żadna z nich go nie zdemaskowała. Teraz grozi mu dekonspiracja ze strony obcego człowieka. James wpatruje się w podłogę, mówi:

– Nie potrafię malować ani grać. Nie pamiętam, jak żyłem. Nie pamiętam niczego sprzed przybycia tutaj.

Rose puszcza jego rękę.

– Czasami trzeba zapomnieć.

Odwraca się do lekarza.

– Sądzę, że pan Dyer przydałby się w zespole. Za pańskim pozwoleniem.

– Ależ oczywiście, proszę go wziąć. Jaką będzie miał rolę? Jednego ze spiskowców? Ducha? A może tego komicznego człowieka w żółtych pończochach?

– Jako Malvolio byłby doskonały – mówi Rose. – Ale my gramy „Sen nocy letniej”. Mam dla niego upatrzoną rolę, lecz muszę ich zobaczyć razem, zanim zdecyduję. Potrzebuję jutro jakiejś dużej, wygodnej sali. To zawsze trwa dłużej, niż człowiek przypuszcza.

– Mamy tu więcej sal, niż potrafimy zapełnić – zapewnia lekarz. – Każę jedną dla pana przygotować.

Przywołuje Wagnera z galerii. Wagner przychodzi, staje w drzwiach.

– Wyczyść tego człowieka – nakazuje lekarz. – Daj mu świeżą bieliznę. Powiedz Callowowi, żeby mu odpowiednio policzył.

Wagner kiwa głową, cofa się, robiąc przejście dwóm panom. Rose odwraca się w drzwiach; światło błyska w brylancie u jego ucha. Uśmiecha się do Jamesa; robi małpią minę.

– *À bientôt, panie Dyer.*

## 6

O'Connor, machając kluczami, prowadzi ich w dół po schodach. Jest z nimi Adam. James idzie obok niego.

– Czy nas wyrzucają? – pyta.

– Wyrzucają?

– Odsyłają dokądś?

– Mamy być aktorami, Jamesie. Ten Rose ma wystawić z nami sztukę. Mamy się stać normalni, grając normalnych ludzi. Przez naśladowanie.

Na parterze we frontowej części szpitala przygotowano pokój. Meble spiętrzone w stos w jednym rogu i rozpalono mały ogień, choć jego żar nie rozprasza zimna pomieszczenia. Kobiety już tam są ze swoimi strażniczkami. Jest wśród nich Dot Flyer. Siniak przybladł. Jej twarz wygląda bardzo młodo, bardzo blado. Nie widać w niej dziś buńczuczności. Na przegubach Dot ma ślady po kajdanach. Strażniczki snują się pod ścianami, dłubią przy paznokciach, są chyba niepewne, czy uda im się tu zachować autorytet.

Pan Rose wchodzi do pokoju. Jest niskim mężczyzną. Ma piękne ubranie; atłasowa kamizelka, koloru jego nazwiska, złoto-srebrny surdut. Wspina się na krzesło, wyciąga rękę, ucisza zebranych.

– Jestem Augustus Rose. Niektórzy z was już mnie znają i przychodzili na moje koncerty tu, w szpitalu. Niektórzy – widzę tu pana Lyle, dzień dobry panu – brali udział w zebraniach mojego kółka dramatycznego. Drodzy przyjaciele, dziś zapraszam was do wzięcia udziału w ambitniejszym przedsięwzięciu.

Podnosi do góry plik kolorowych papierków.

– To są bilety na przedstawienie. Opowieść o zauroczeniu zagrana przez was samych przed publicznością złożoną z osób szacownych i znających się na sztuce.

Macha biletami. Jeden z nich frunie w powietrze i spada Jamesowi do stóp. James podnosi go.

SŁYNNY IMPRESARIO AUGUSTUS ROSE  
przedstawia TEATRALNĄ REALIZACJĘ  
sztuki pana Williama Szekspira „Sen nocy letniej”  
W WYKONANIU OBŁĄKANYCH  
ZE SZPITALA BETLEJEMSKIEGO  
w ogrodach szpitala 5, 6 i 7 czerwca 1769  
2 gwinee od osoby

Rose pochyla się, żeby odebrać bilet; James oddaje mu go. Rose mówi:

– Pan Dyer, prawda? Wkrótce zamierzam uczynić pana księciem. Co pan na to?

Zeskakuje z krzesła i zaczyna dzielić zespół: Ateńczycy po jednej stronie, duszki po drugiej. Gdy ustawił ich w dwóch krzywych rzędach, wraca na swoje krzesło.

– Teraz rozdzielimy role. Pan Nathaniel Collins i pan John Collins, wyznaczyłem panom role kochanków Demetriusza i Lysandra. Pani Donovan, pani będzie piękną i waleczną Hippolitą. Pani Forbellow będzie Hermią, która kocha Lysandra. Pani Poole Heleną, która kocha Demetriusza. Panna Flyer będzie Tytanią, królową duszków. Pan Adam Meridith będzie Robinem Dobroduszkiem, pan Asquini Oberonem, pan Dyer Tezeuszem, księciem Aten. Pan Lyle otrzyma rolę Piotra Pigwy, pan George Dee tkacza Dupka, pan Hobbes Egeusza, ojca...

– Nie będę grał żadnej dupy tkacza.

George Dee, rzeźnik z Houndsditch, z wybałuszonymi oczami, twarzą nabiegłą krwią, przepycha się do krzesła Rose'a. Wśród strażników widać poruszenie. Rose spokojnym głosem mówi:

– Panie Dee, myli się pan. Dupek to świetna rola, naprawdę komiczna. Jest uczciwym tkaczem, lubianym przez przyjaciół. On nawet...

– Dupa! Nie będę! Przecież pan mi obiecywał, że będę grał jakiegoś księcia czy wielkiego pana. Nie obiecywał pan?

Rose gestem powstrzymuje O'Connora.

– Drogi panie Dee, jestem pewien, że nigdy nie składałem takiej obietnicy. Jeśli jednak nie podoba się panu Dupek, mogę zaproponować panu rolę Fleta, przyjemną, choć mniejszą, lub Ryja...

Rzeźnik kręci głową. Wygląda to tak, jakby osa wleciała mu do ucha.

– Żaden Flet, żaden Ryj, żadna dupa! Pan powiedział, że będę Tezeuszem, tak pan powiedział!

– Z ręką na sercu, proszę pana, jestem pewien, że nie powiedziałem. A Tezeusz to długa rola – perswaduje Rose. – Nauczenie się jej na pamięć będzie ogromną pracą.

– Nie pozwolę, żeby mną pomiatano – protestuje Dee. – Nie zniosę tego!

Rose uśmiecha się.

– Jakie to autentyczne! Zupełnie jak Drury Lane. Panie Lyle, czy pan nas uratuje? Czy zamieni się pan na rolę z panem Dee? Ma pan, jak sądzę, niezbędny talent, by zagrać tkacza.

Lyle kręci głową. Dee gryzie się w rękę; wbija zęby w stare blizny.

– Będę Tezeuszem albo podpale sobie głowę! Dlaczego mnie męczycie? Dlaczego jestem prześladowany? To dlatego, że byłem wielkim mordercą zwierząt. Tak, wiem o tym. – Oczy mu się zwężają, łyżę torują sobie drogę po policzkach. – Macie prawo mnie prześladować.

Pan Hobbes obejmuje go.

– Niech on będzie Tezeuszem – odzywa się James. – I tak nie wiem, o co chodzi w obu rolach.

– Jest pan bardzo mity – mówi Rose. – Ale nie wiem, czy rola tkacza jest dla pana odpowiednia.

– Mnie wszystko jedno – odpowiada James.

Pan Rose spogląda na zegarek.

– Rozstrzygniemy to innym razem. Jestem pewien, że gdy pan Dee zapozna się z rolami...

George Dee uwalnia się z objęć pana Hobbesa, ociera gile z nosa i wpatruje się z zachwytem w Jamesa.

– Ty będziesz dupą! Ja będę Tezeuszem! Jestem księciem Aten!

Zaczyna podskakiwać, tańczyć. Jest to zaraźliwe. Rzędy rozpraszają się. Dot ciągnie Jamesa za rękę. On chwiejnie idzie za nią. Ci, którzy nie mogą tańczyć, stoją i trzęsą się jak prorocy. Panna Forbellow, podskakując blisko ognia, podpala sobie spódnice. Zostaje ugaszona. Podnózek szybuje w powietrzu, wybija jedno z okien. Ponad tupotem, pianiem, szczekaniem Rose wota:

– Do jutra, przyjaciele! Wszyscy będziemy sławni!

Do akcji wkraczają strażnicy, machają pejcami, machają pałkami. Szaleńcy uciekają przed nimi.

## 7

W pogodne dni odbywają próby w ogrodach, wypełzają gęsiego, mrużą oczy jak mieszkańcy jakiegoś podziemnego miasta, trzymając w rękach stare popularne wydanie sztuki. Rose odgrywa role, śpiewa wszystkie piosenki, na nogach podobnych nogom eleganckiej żaby pokazuje duszkom, jak tańczyć.

Zdarzają się incydenty. Helena zaprawia bykiem Demetriusza, Lysander niespodziewanie robi w gacie. Dot za pogryzienie strażniczki w nos zostaje zamknięta na tydzień w trumnie. Pośród tego wszystkiego Rose rozwija swe talenty. Jest niezmordowany. Z chaosu pierwszych spotkań wyłania się sztuka nie całkiem niepodobna do zamierzeń autora. James z początku niechętny, zdeprymowany, mamroczący swoje kwestie, w końcu znajduje schronienie w postaci tkacza, i ukryty w tkaczu zaczyna poruszać się i mówić ze swobodą, która go zdumiewa. Jego myśli nabierają jasności, bóle łagodnieją. Na rękach rany po igle Gummera, szczypcach Canninga zaczynają przysychać. Słyszy swój śmiech; jest to dla niego wstrząs. Nie potrafi sobie przypomnieć, kiedy się śmiał po raz ostatni.

Dot błyszczący; ma talent. Jej obecność, choć zawsze wnosi pewną gwałtowność, nawet gdy jest czuła albo odgrywa czułość, już nie onieśmiela Jamesa. Robi do niej słodkie oczy, chodzi u jej boku tak blisko, że czasem ich dłonie się stykają. Nie ma jeszcze między nimi żadnych czułych słówek. James nie potrafi jej objaśnić swych uczuć; polega to na braku odpowiedniego języka, a nie na niedostatku woli. Ale kiedy odgrywają swoje wspólne sceny, budząc się w wymyślanym lesie pod wymyślanym księżycem, a Rose i wariaci otaczają ich niemym kołem, wtedy są blisko i deklamują swe kwestie, jakby sami je wymyślili.

*Pójdź, spocznij na tej pościeli kwiecistej;*

*Chcę pieścić lico twe, wielkiej piękności,*

*Wieńczyć różami skronie jedwabiste,*

*Całować uszy twe, moja radości.*

(Siadają; ona obejmuje go).

Tydzień po Wielkanocy przybywają rekwizyty. Kolumny, płaskie drzewa, księżyc o twarzy człowieka odsypiającego obiad. Jest kosz pełen ubrań, drewniane miecze i korony. Płaszczki, kubraki sztywne od pudru i potu poprzednich aktorów. Suknie w jaskrawych

kolorach, szorstkie w dotyku, z których ani jedna nie ma pełnego garnituru guzików i pętelek. I głowa osła. Rose podaje ją Jamesowi, który zakłada ją sobie na ramiona. Jest ciężka i śmierdzi zgniłą skórą. James wygląda przez nie całkiem równo rozmieszczone oczy. Oddech szumi mu w uszach jak morze zakłęte w muszli. Cały zespół zbiera się wokół niego. Rose woła:

– Ach, Dupku, jesteś odmieńcem!

James odwraca się. Przez lewe oko osła widzi Dot, nagą, wciągającą przez głowę najjaskrawszy z kostiumów; złoto i szkarłat. Suknia jest na nią za duża. Zbiera ją w garść, obraca się, dyga i idzie ku niemu. On zamyka oczy. Łzy zatrzymują się na zaroście brody, drżą mu ręce. Chwieje się, boi się, że upadnie. Ktoś chwyta osłą głowę, zdejmuje ją; ktoś inny go podtrzymuje. James mruga, żeby pozbyć się łez. Powietrze otula jego twarz jak szal. Dot uśmiecha się do niego. Jest piękna.

Majowy wieczór. W ogrodzie. Ateńskie wyższe sfery, panowie i panie ze świata duszków wchodzą i wychodzą w pełnym cieniu szpitala. Panna Poole, wysoka, dziobata, obłąkana szwaczka z Isle of Dogs, mówi rolę Heleny. Adam – obecnie Puk – ubrany w halkę fruwa nad nią i czyni swe czary. James przycupnął poza areną w kształcie litery D. Powtarza sobie kwestię Puka: „Chłop klacz swoją znów odzyska, radość niechaj wokół tryska”. Ma na sobie osłą głowę. Już się do niej całkiem przyzwyczył. Zauważa Dot dopiero wtedy, gdy ona siada przy nim. Adam mówi:

*A więc śpij,  
Słodko śnij;  
A ja w oko  
Twe głęboko  
Zapuszczę, kochanku, lek.*

Dot bierze Jamesa za rękę. Przyciska usta do blizn, potem wsuwa ją sobie pod stanik sukni, przytrzymuje na wypukłości swej piersi, sutka sztywnieje pod jego dłonią. James czuje bicie jej serca.

Puk śpiewa:

– „Jaś swej Kasi pragnie znów; każdy wesół jest i zdrów...”

Cóż to za dary? To lawina radości.

Wzywa ich jakiś głos. Podnoszą się z trudem, zataczając się, idą po trawie. James słyszy brzęczenie chrząszcza, a potem Dot mówiącą:

– „Pójdź, spocznij na tej pościeli kwiecistej...”

Z każdym spotkaniem stają się śmielsi. Obmacują się za tekturowymi drzewami, w cieniu tekturowego księżycy lub przyciśnięci do kamiennej fasady budynku. Wokół nich sztuka zmierza chwiejnie ku swemu ostatecznemu kształtowi. Pan Hobbes cierpi na wypadanie kiszki stolcowej i zostaje natychmiast zastąpiony przez Johna Johnsona, pomyłonego nauczyciela. Bóg przemawia do bliźniaczych braci Collinsów, dyktuje im nowe wersy dotyczące odziedziczenia fabryki kleju w Brentford. Tezeusz jest trochę bardziej obłąkany niż na początku. Pan Rose, bez surduta i peruki, rozumie wszystko, przyjmuje wszystko, zagania ich w stronę premiery.

Strażnicy demoralizują się. Polegują, palą, grają w kości; odsypiają nocne hulanki. Dot i James, włóczący się w tym ostatnim tygodniu coraz bliżej drzwi szpitala, wślizgują się pewnego dnia niepostrzeżenie do budynku i giną w korytarzach. Zaglądają do sal, aż wreszcie znajdują taką, która odpowiada ich potrzebom. Duży pokój, pusty, poza setką, dwoma, pięcioma setkami kaftanów bezpieczeństwa zrzucanych na stos; jedno okratowane okienko wpuszcza światło; hałasy świata stłumione jak we śnie. Oboje kładą się na kaftanach; kaftany wzdychają i wydają tchnienie potu, psiego posłania, gnojowiska.

Wszystkie aromaty, jakie wydziela dusza w śmiertelnej walce. Tak, myśli James, będzie pachniał czyściec.

Dot unosi spódnice. James przykłęka, dotyka jej lekko. Ona drży, potem pochyla się, ściąga mu spodnie do kolan, bierze do ręki członek i błądzi językiem po jego górnej części. Jest to przyjemność tak ogromna, tak szokująca, jak żaden z bólów, które trawiły go od czasów petersburskich. James zatacza się w tył, wstaje niezdarnie. Boi się. Dot podchodzi do niego, obejmuje go od tyłu, opiera głowę na jego karku. On obraca się w obręczy jej ramion, całuje ją mocno w usta. Przewracają się znów na kaftanowe łożo, stukając się zębami, zderzając twarzami. Jego wejście jest brutalne. Jak pchnięcie, którym zabija się człowieka lub uśmierca zwierzę. Marzył o tym, że będzie łagodne. Dot gwałtownie chwytą powietrze, wbija mu paznokcie w żebra. Sprzączka jednego z kaftanów tnie mu kolano. Ból jest jak czarna lina; chwytą się jej. Śmieje się teraz jak prawdziwy wariat. Widzi, że ona też się śmieje, i marszczy czoło, i płacze, i walczy z nim, i liże mu twarz. Wychodzi z niej i spuszcza się jej na brzuch. Ona wyciera spernę ręką, potem ociera rękę o jeden z kaftanów. James leży obok niej na plecach. W pokoju brzęczy mucha, która może przyleciała za nimi z ogrodu. Mucha jedynym świadkiem.

– Musimy już wracać – mówi Dot.

Nazywa ją:

– Moja ukochana. Moja najdroższa.

Ona zdaje się nie słuchać. Chciałby opowiedzieć jej o Mary i o tym, że kiedyś był kimś innym, innym rodzajem człowieka, półczłowiekiem. I jak się zmienił, jak człowiek, który przeszedł przez zaczarowane lustro, jak człowiek, który wymięty wstał z grobu. Myśli: naprawdę jestem jak Łazarz. Czy Łazarz miał żonę?

– Musimy już iść – powtarza ona.

Przez małe okienko pada między nich przytępienie, zniekształcone światło. Błądzi po jej włosach, jego połatanych butach.

– Dot?

Ona kładzie palec na ustach.

– Dot, moja jedyna.

– Spokojnie, Jem.

Stoi przy drzwiach. Wyciąga do niego rękę. On bierze ją poważnie w swoją dłoń. Wracają do ogrodu. Nie biegną. Nie było ich przez piętnaście minut. Oberon wysłała Robina Dobroduszka na poszukiwanie magicznego kwiatu. Nikt ich nie szukał.

## 8

Augustus Rose, o czwartej w sobotnie popołudnie, spaceruje z lekarzem przed Królewskim Szpitalem Betlejemskim, pokazując mu rzędy ławek, które cieśle wznosili przez ostatnie trzy dni. Jeszcze słychać dźwięk pił, nagłe crescendo młotków, niemelodyjne pogwizdywanie robotnika, ale prace zostały już prawie skończone. Miejsca dla dwustu osób; pierwszych gości można się spodziewać za niecałe trzy godziny.

Szpital przybrał najodświętniejszy wygląd. Okna odbijają niebo nad Moorfields, pasemka pierzastych chmur. Ogrody przystrzyżono. Zapach kapryfolium zabija niemal smród konieczności. Tylko kraty w oknach na górnych piętrach i wrzaski podobne do okrzyków mew zdradzają, że nie jest to spokojna podmiejska siedziba jakiejś ważnej osobistości.

Lekarz przebrał się i nosi teraz garnitur w kolorze śliwkowym na przyjęcie gości. Rose snuje się za nim po trawniku, pokazuje dwór, lasek, zakątki i altany, wśród których rozgrywać się będzie akcja. Nie rozmawiali jeszcze o pieniądzach. Porozmawiają o tym później. Panuje między nimi wzajemna umiarkowana nieufność. Żaden nie oszuka drugiego na zbyt wiele.

– Nie ma nic takiego w sztuce, co by ich mogło nadmiernie podniecić? – upewnia się lekarz. – Nie chciałbym żadnej agresji wobec widowni. To by nam wcale nie pomogło.

– To spokojna sztuka – zapewnia Rose. – Bardzo łagodna sztuka. Zupełnie ich odpręża.

– Ta kobieta nazwiskiem Dorothy Flyer. Nie miał pan z nią kłopotów?

– Dot Flyer, panie doktorze, to nasza najjaśniejsza gwiazda.

– Wydałem polecenie, żeby potraktowano ją bardzo stanowczo, jeśli tylko da do tego powód – mówi lekarz. – Oni muszą się nas bać, panie Rose.

– Jestem pewien, że się boją.

Lekarz brzęczy monetami w kieszeni, mruczy:

– Dla ich własnego dobra.

Stoją i patrzą na robotników. Ostatni składa narzędzia do płóciennego worka, chustką ściera pot z czoła. Pies podnosi nogę przy jednej z ławek. Cieśla usiłuje go kopnąć, nie trafia. W końcu Rose mówi:

– Czy nie chciałby pan się spotkać z pańskimi aktorami?

– Moimi aktorami?

– Uważają pana za swojego protektora. Nie ma pan pojęcia, panie doktorze, jak wielką postacią jest pan w ich umysłach.

Lekarz kiwa głową, pozwala sobie na uśmiech.

– Oczywiście. Chodźmy ich zatem zobaczyć.

Rose wsuwa rękę pod ramię lekarza. Idą nieśpiesznym krokiem ku wielkim drzwiom szpitala, ku fosie cienia, który go otacza. Z okna na górze dobiega wrzask szaleńca. Gołębie pierzchają. Cieśla spogląda w górę, spluwa od uroku, zarzuca torbę na ramię. Pies obserwuje jego odejście, potem wskakuje na ławkę i układa się do czujnego snu.

## 9

Aktorzy są w pokoju, w którym rozpoczynali próby. Napili się wina na koszt pana Rose'a, ale nikt się jeszcze nie upił, poza dwoma strażnikami. Kosz z kostiumami został opróżniony. Było trochę kłótni przy wyborze co bardziej luksusowych przedmiotów – diademu z ciasta, pary butów z ekstrawaganckimi szpicami, hełmu z piórami z jakiegoś zapomnianego przedstawienia „Tamerlana”. Ale teraz są już spokojni, niektórzy mówią do siebie, niektórzy trzymają się za ręce, wpatrują w podłogę, niektórzy kołyszają się w kącie.

James siedzi na pustym koszu. Dot jest obok niego, przebrana za królową duszków, z niepokojąco wymalowaną twarzą. On trzyma na kolanach głowę osła. Głaszcze szczecinę i zastanawia się, dlaczego nie pamięta ani linijki swojej roli. Rose i lekarz przechodzą przed nimi jak generałowie dokonujący inspekcji w obozie w przeddzień bitwy. Po ich wyjściu wokół sceny zapalane są pochodnie i przybywają pierwsi goście, a potem muzycy, którzy zajmują miejsce obok sceny, stroją instrumenty. Skoncentrowani, dyskretni.

Gdy ławki są już pełne – kobiety machają wachlarzami, mężczyźni głośno rozmawiają, służący w oddali pocą się w swych liberiach – pan Rose wyłania się ze szpitala. Słychać słabe oklaski, kilka złośliwych okrzyków. Rose unosi dłoń, wita wszystkich w domu wariatów. Mówi:

– Spodziewajcie się niespodziewanego. Dziś będziemy razem śnić, ale jaki to będzie sen, zależy od naszych aktorów. Szanowne panie, proszę się nie bać...

Najpierw wychodzą pan Dee i pani Donnelly. Docierają do zieleni na wprost ławek i stają zagubieni jak dzieci, jedno obok drugiego, wpatrując się z lękiem w twarze nieznamych. Publiczność z początku zachowuje hipnotyczną ciszę, potem pada jakaś stłumiona uwaga, wybuch śmiechu.

Pani Donnelly zaczyna mówić, najpierw swoją rolę, potem rolę pana Dee, obie z niezwykłą prędkością. Publiczność wiwatuje, ktoś rzuca pomarańczą. Rzeźnik siada na

trawie, zdejmuje buty i rozciera sobie stopy. Wyskakuje młody człowiek we wspaniałym surducie i kradnie buty; jakiś głos naśladuje dźwięk myśliwskiego rogu, a pan Dee ściga młodzieńca za ostatni rząd ławek. Wchodzą bracia Collinsowie. Pani Donnelly z zamkniętymi oczami deklamuje ich kwestie, przestaje dopiero wtedy, gdy Nathaniel Collins przewraca ją na ziemię. Pojawia się znowu pan Dee z jednym butem w rękę. Ma rozciętą wargę. Macha butem nad głową. Słychać okrzyki: „Brawo!” Wchodzi pan Rose. Wygląda na zadowolonego, jakby wieczór przewyższył jego oczekiwania. Uspokaja widownię, mruga do niej i wskazuje na Dot Flyer wkraczającą na scenę wraz z orszakiem duszków. Płomienie pochodni odbijają się w jej włosach. Wygłasza swe kwestie – częściowo oryginalny tekst Szekspira, częściowo własną paplaninę – ze słodyczą, zmysłowością, czarującym roztargnieniem, które uwodzą publiczność i wymuszają ciszę. Krzykacze zostają zakrzyczani. Monety padają na trawę u jej stóp.

James gra swoją rolę tak, jakby unosił się w powietrzu nad swym prawym ramieniem i przyglądał się sam sobie. Przez chwilę, w połowie sztuki, zapada się gwałtownie w czasie i staje się znowu istotą ze swej przeszłości, zimną i wyniosłą. Jest to wstrząs przyprowadzający go o mdłości jak cios w splot słoneczny. Potem wrażenie mija i słowa, których zdawało mu się, że nie pamięta, płyną z jego ust, a ręce odtwarzają gesty, których pan Rose uczył tak cierpliwie. Jest zamyślonym, melancholijnym Dupkiem, ale to sprawia, że jego wygłupy są jeszcze zabawniejsze, a miłość Tytanii jeszcze bardziej absurda. Słychać śmiechy od strony ławek; widzowie są autentycznie rozbawieni, a kiedy Dot przytula go, klaszczą z uczuciem.

## 10

Drugiego wieczoru aktorzy są spokojniejsi. Tym razem zagrożenie stanowi publiczność. Niedzielnie podchmielona, niespokojna, rwąca się do bitki. Prędko do oklasków i do gwizdów. Kwadrans przed końcem przedstawienia zapada się część ławek, mężczyźni i kobiety lądują z krzykiem na trawie lub na kolanach innych widzów. Jedna kobieta ma złamane ramię powyżej łokcia. Nie ma zabitych. Na zakończenie ktoś celuje butelką w głowę Rose'a. Ten robi zręczny unik. Lekarz jest wściekły. Nie ma tego wieczoru uroczystości po przedstawieniu, nie ma wina, nie ma tańców. Adam siedzi w celi u Jamesa. Z oddali słyszą Rose'a i lekarza, wrzeszczących na całe gardło w gabinecie na parterze.

- Czy ty kiedyś kochałeś? – pyta James. – Czy kochałeś kobietę?
- Miałem żonę, James. To było dawno. Była młoda. Umarła.
- Przykro mi.
- To było dawno. Widziałem, jak się sprawy mają między tobą a Dot, James.
- Tak, ale nie potrafię powiedzieć, czy to miłość, bo chyba nigdy wcześniej nie kochałem.
- Widziałem w tobie światło, w twoich oczach, kiedy na nią patrzysz. To światło to miłość.
- Adamie, nie wiem sam, czego się bardziej boję. Czy tego, że ona będzie mnie kochać, czy tego, że nie będzie.
- To zawsze niebezpieczna rzecz, bracie, miłość.

Trzeci wieczór. Ostatnie przedstawienie. Ławki zostały naprawione, lekarz uspokojony. Aktorzy recytują swe kwestie z miłością, żegnając się z pożyczonymi słowami. Po przedstawieniu lord C. przesyła Dot gwineę, a ta daje ją Dolly Kingdom, starszej, uczciwej strażniczce i wysyła ją po wino i ostrzygi. Aktorzy znowu tańczą, jeszcze w kostiumach. Gdy Dolly Kingdom i chłopak z winiarni przynoszą zamówione produkty, muzyka milknie, butelki zostają opróżnione, muszle ostrzyg trzeszczą pod nogami. Powietrze przesiąka potem i zapachami morza.

James rozgląda się za Dot. Nie widzi jej; nie widzi też Asquiniego, który szeptał jej coś do ucha, gdy byli razem – Oberon i Tytania – i czekali na swoje wyjście na scenę. Asquini jest przystojnym mężczyzną; jego szaleństwo nie jest odrażające. Potrafi dobrze mówić; widział świat, a to, czego nie widział, umie gładko zmyślić. Nie cuchnie też jak większość pacjentów, a James wie, jak patrzył na Dot, rzucił jej spojrzenia „chodź tu”.

Kiedy Wagner oddała się od drzwi, szukając wśród butelek takiej, w której został jeszcze łyk wina, James wymyka się z sali. Czuje rwący ból w nodze. Opiera się o ścianę i zdejmuje buty, potem biegnie jak mała do pokoju z kaftanami. Przez szparę pod drzwiami widać światło. Wie, co zobaczy, gdy je otworzy: dupę Asquiniego podskakującą między udami Dot. Przykłada ucho do drzwi, nic. Czy usłyszeli, jak szedł korytarzem? Czy wsłuchują się w jego nasłuchiwanie? Naciska kłamkę. Drzwi niemal bezszelestnie się otwierają. Jego wzrok przyciąga świeca, której płomień pali się bardzo prosto, dopóki przeciąg z korytarza go nie odchyli.

– Zamknij drzwi, Jem – odzywa się Dot.

Jest sama, siedzi na stołku przy świecy. Naprzeciw niej stoi drugi stół, a na nim wyszczerbiona porcelanowa salaterka, pełna wiśni o przepysznie ciemnej skórce i zielonych szypułkach, w których odbija się światło.

– Od pana Rose’a – wyjaśnia Dot.

– On ci daje prezenty?

James rozgląda się po pokoju, jakby jego cienie mogły kryć Asquiniego, Rose’a czy też ich obu.

Dot śmieje się. Podnosi miskę i stawia sobie na kolanach. Bierze wiśnię do ust, potem przyciąga do siebie za poły surduta Jamesa i podaje mu owoc swoimi ustami do ust. W ten sposób zjadają pół salaterki. Nie ma w tym nic bezwstydne. Nic śmielszego niż uśmiech. Zagrzebują pestki pod kaftanami. Ciepło, zimno, gorąco.

Po jedzeniu kładą się na kaftanach. On ją pieprzy. Ona znaczy mu plecy paznokciami, ślini twarz wiśniowym językiem i wiśniowymi wargami. Jest to szybkie, czułe; niemal nieistotne.

– Niech Bóg ma w opiece Augustusa Rose – mówi Dot.

– Amen. Dot?

– Co, Jem?

– Zostań moją żoną.

– Wariaci nie biorą ślubów, Jem.

– To nie będziemy wariatami, bo będziemy małżeństwem.

– Nie znasz mnie, Jem. Nie zawsze potrafię dać sobie radę ze sobą. Za miesiąc byłabym tu z powrotem albo w Tyburn ze sznurem na szyi.

– Ja bym ci pomógł.

– Przecież ty z trudem radzisz sobie ze sobą samym.

– Dot!

– Cśś, Jem! Lepiej zajmij się tym.

Dot wyciąga korek z butelki. Grube zielone szkło. James bierze butelkę, pociąga z niej ze złością. To nie wino. Krztusi się, trochę płynu wylewa mu się z ust. Ciepło rozchodzi się po piersiach.

– Brandy?

Dot bierze butelkę. James patrzy, jak przy przełykaniu pracuje jej gardło. Nie pojmował wcześniej tego sposobu picia. Była to część brzydoty i niezrozumiałości innych ludzi. Nie coś, co on sam mógłby robić, co chciałby robić. Teraz, gdy ona podaje mu butelkę, James łączywie pragnie swojej działki. Gdy butelka jest pusta, leżą objęci na kaftanach. Ich oddechy są jak gorący obłok wokół ich głów, świeca płonie coraz krótsza, pożera się, a płomień podskakuje i migoce w powiewach powietrza, pokój drży od cieni. Zасыpiją, budzą



się, zasypiają. James słyszy odjeżdżające powozy, odgłosy odległej walki psów; słyszy kroki w korytarzu. Uwalnia się niezgrabnie z objęć Dot. Jego ruchy są gwałtowne, choć powolne, jak ruchy człowieka, który rozbiera się pod wodą. Chce zdmuchnąć świecę, żeby nie zdradziło ich jej światło. Droga do świecy jest długa. Dotyka płomienia, który parzy go, potem gaśnie, zostawiając czerwoną kropeczkę na końcu knota.

– Co się dzieje, Jem? – pyta Dot.

W tej samej chwili otwierają się drzwi. Z początku nie widzą, kto w nich stoi; mężczyzna z lampą, dwóch mężczyzn z lampami, może więcej. Potem O'Connor wchodzi do pokoju. Poblaskują, dzwonią kajdany.

Brandy uśmierza najgorszy ból, zresztą, mówiąc szczerze, O'Connor sam był zbyt pijany, zbyt rozleniwiony, żeby zrobić mu prawdziwą krzywdę. Kilka kopniaków, kilka uderzeń laską; brutalnych, ale do zniesienia. James uczy się, jak przetrwać, jak znosić ból; odkrywa pokłady odwagi. Miłość jest jego nauczycielką.

Liże palce i zwilża delikatnie otartą skórę nóg między kajdanami. Łańcuchy, żelastwo; w marynarce nazywali je żelaznymi podwiązkami.

Dzięki Bogu, nie nałożyli mu kaftana ani nie skuli rąk. Dot zabrali dość spokojnie. Strażniczki po obu bokach, a ona oglądała się sennie, zamroczona, uśmiechnięta. Nic nie mówiła. Słyszał, jak się śmiała, gdy prowadzili ją do kobiecego skrzydła.

Wyobraża ją sobie, siedzącą w swojej celi, w kajdanach tak jak on, w rozgrzanym powietrzu, myśląc o nim, tak jak on myśli o niej. Jest za gorąco, żeby spać; umysł ma zajęty planami.

Patrzy na cienie swych rąk. Czyż nie jest możliwe, że pewnego dnia odzyska swoją zręczność, swój talent? Przecież nie mógł ich całkiem stracić. Czemu nie miałby zostać lekarzem w jakimś prowincjonalnym miasteczku? Gdzieś na północy albo na zachodzie. Daleko stąd, z dala od ambicji. Łatałby farmerów; puszczał krew dziedzicowi. Potrzebowałyby tylko konia i cierpliwości, żeby jeździć po hrabstwie. Mógłby robić sam pigułki, jak pan Viney go kiedyś nauczył, a Dot sprzedawałaby jajka i różne rzeczy i jeździliby małym powozem do kościoła, i żyli jak Adam, nie wchodząc nikomu w drogę.

Marzenia rozgrzewają go niczym brandy. Zsuwa się na brudną słomę, układa stopy, najwygodniej jak może, i leży tam przez całą noc, sycąc się szczegółami swego przyszłego szczęścia. Przed świtem podnosi się i sunie w stronę okna. Po prawej nad Bishopsgate Street, nad Half Moon Alley i londyńskim przytułkiem niebo pokrywa się smugą masy perłowej. James czeka, słuchając płaskich tonów dzwonu z holenderskiego kościoła i nawoływań ptaków, najpierw tylko paru, oddalonych od siebie, niepewnych, jakby bały się, że ten świt może być fałszywy, czy może wystraszonych wielką ciszą nad polami Londynu. Potem setki śpiewają razem, wielkie bogactwo dźwięków, powietrze wibruje ich krzykiem. Jest tak, jakby nigdy wcześniej nie słyszał ptaków, nigdy nie widział świtu. Nigdy tak nie płakał. Świat jest dobry. To zdumiewające.

Prawda powoli wychodzi na jaw. W szeptach, pogłoskach. W podbrzuszu kłamstw. Jak ją zabrali do celi; jak się z nimi biła; jak ją unieruchomili i skuli, ręce i nogi; potem założyli jej obrozę, stalową obrozę, i przymocowali łańcuchem do kółka w ścianie celi. Jak ją zostawili, a ona pluła za nimi; przeklinała ich i wzywała piekło na świadka.

Rano znajdują ją siedzącą pod ścianą z wyciągniętymi do przodu nogami, głową wykręconą w obrozę, półotwartymi oczami, językiem wysuniętym spomiędzy zębów. Uwalniają ją z łańcuchów, wiedząc od pierwszego zimnego dotknięcia, że nie żyje. Jedna z kobiet na galerii widzi, jak kładą ciało na pryczy, i zanim zdążą jej dopaść, uciszyć ją,

wywrzaskuje nowinę. Krzyk podejmują inne, wędruje przez zaryglowane drzwi, przez żelazne kraty. Strażniczki, bojąc się o swoje bezpieczeństwo, wycofują się ze skrzydła, wracają po półgodzinie, jest ich kilkanaście z batami i pałkami. Na czele kroczy lekarz, nieogolony. Bada ciało, stwierdza zgon: apopleksja. Dość częste u szaleńców; typowe u istoty tak agresywnej jak Dorothy Flyer. Wydaje rozkazy; cele mają być zamknięte. Pochówek możliwie najwcześniej następnego dnia. Gdy lekarz wychodzi, właśnie dociera wiadomość, że jakiś wariat morduje O'Connora w męskim skrzydle.

O'Connor siedzi na schodach. Nie może mówić, bo ma złamaną szczękę. Na szyi i ramionach krew. Małżowina lewego ucha została odgryziona. Demonstruje ją, strzęp ciała na dłoni; potem wskazuje drzwi celi Jamesa Dyera.

James leży pozornie spokojny na podłodze. Pyta lekarza, czy to prawda. Z początku lekarz nie odpowiada, zadając własne pytania, na przykład: dlaczego zaatakował O'Connora? Kim była dla niego Dorothy Flyer? W końcu, chcąc zapewne skończyć rozmowę i zająć się przyjemnościami poranka, przyznaje, że to prawda. Miała udar mózgu. Nie żyje. Potem gniewnie powtarza, wykrzykuje:

– Nie żyje!

Przy drugim „nie żyje” obserwuje u pacjenta dziwną transformację, jakby został w nim strzaskany delikatny szklany trzon. Następuje niewielki, choć głęboki wydech, potem całkowity bezruch, następuje skurcz mięśni i twarzy, jaki towarzyszy niektórym rodzajom zatruc. Wagner pyta, czy ma skuć pacjentowi ręce. Lekarz kręci głową i wychodzi ze słowami:

– Moje łańcuchy są subtelniejsze niż pańskie, panie Wagner.

Następnego ranka Adam stoi obok Jamesa przy oknie celi. Patrzą na kondukt żałobny: kapelan, Dolly Kingdom, Passmore i paru nieznanym mężczyznom, wynajętych do opuszczenia trumny do grobu. Niechlujna procesja, sunąca przez bramę i skręcająca ku szpitalnemu cmentarzowi koło New Broad Street, trumna na wozie ciągniętym przez jednego konia. Z okna nie widać momentu złożenia do grobu. Po półgodzinie wracają, kapelan i strażniczki. Wynajęci mężczyźni jadą pustym wozem, palą.

## 12

Oslabiają go środkami przeczyszczającymi. Wymioty i bąble, gorsze niż na początku. Nie może przełknąć jedzenia. Strażnicy wlewają mu zupę do gardła; wyrzuca ją z powrotem do naczynia. Wlewają mu ją po raz drugi.

Nic mu nie zostawiła. Żadnego medalionu, żadnej pamiątki, żadnego listu. Żadnych słów na pożegnanie. Nic, co mogłoby go pocieszyć czy podtrzymać. Co ma zrobić ze swą miłością? Dokąd ma pójść? Miłość gnije w jego wnętrzu. On sam gnije.

Kradnie brzytwę szpitalnemu golibrodzie. Ostrze jest zardzewiałe, ale nada się do cięcia. To jego skarb. Chowa ją w bucie.

Gdyby Dot miała być ukryta przez dwadzieścia, trzydzieści lat, zniósłby to. To słowo „nigdy” go zabija.

Muchy siadają mu na twarzy. Pozwala im łązić. Potem muchy znikają. Jest zimniej. Wiatr uderza w kraty jego okna. Odwiedzający, którzy przechodzą pod drzwiami jego celi, onieśmieleni i uśmiechnięci mają na sobie futra i ciepłe płaszcze. Pewnego ranka na szarej

słomie jego łóżka leży śnieg. James wygląda przez okno. Moorfields przykryte jest kilkucalową warstwą śniegu. Grupka dzieci rzuca śnieżkami nad stawem. Dwaj mężczyźni z pakami na plecach ciągną w stronę miasta. Są czarni i uparci jak owady i zostawiają za sobą drobne ślady stóp. Jeden z nich się potyka; drugi zatrzymuje się, wraca, pomaga mu iść, wspierając go ramieniem. Jak powoli się posuwają! Cóż jest w tych pakach, że zmusza do takiego wysiłku?

Potem wspomnienie, zupełnie niespodziewane, widoku innej postaci, idącej powoli po śniegu. Pastor wędrujący do lasu koło klasztoru. Gruby, poczciwy pastor, który zatrzymuje się, odwraca i macha ręką.

### 13

W dzień Bożego Narodzenia odbywa się koncert zorganizowany przez pana Rose'a. Strażnicy zabierają Jamesa na dół do sali, w którym kiedyś odbywał próby przed przedstawieniem. Brzytwa w bucie sprawia, że James kuleje w bardzo dziwny sposób. Strażnicy prowadzą go do Rose'a. Rose, kłania się, wygląda bardzo poważnie, mówi:

– Przykro mi widzieć pana w złej kondycji. Jeśli ci panowie pozwolą, chciałbym, żeby pan usiadł tu z przodu.

Kiedy wariaci są już zebrani w sali i uciszeni szturchańcami i groźnymi spojrzeniami, Rose przedstawia Faustynę Bordoni, niewielką, błyszczącą postać, ubraną wedle mody z 1730 roku. Gdy kobieta się porusza, wydaje odgłosy niczym statek na morzu; sprawia to skrzywienie fiszbinów, szum jedwabów i tafty. Twarz ma Bordoni senną i wspaniałą; biała jak papier skóra jest uróżowana i usiana cętkami, brązowe oczy błyszczą pod ciężkimi powiekami. Przy fortepianie akompaniator, gruby młodzian. Ona śpiewa cichym, ale bardzo melodyjnym głosem. Wariaci są poruszeni. Człowiek nazwiskiem Clapp wyskakuje z ławek i bierze ją w objęcia. Strażnicy odciągają go na miejsce. Signora Bordoni uśmiecha się, żartuje po włosku z młodzieńcem i znowu śpiewa, a deszcz, który nastąpił po śniegu, siąpi i muzykalnie dzwoni w okno.

Po koncercie Rose znowu rozmawia z Jamesem, mówi o Dot Flyer, o swoim dla niej szacunku. Później James widzi, jak rozmawia na uboczu z lekarzem. W drugi dzień świąt zdejmują Jamesowi łańcuchy z nóg; dostaje paczkę z kocami. Na Trzech Króli Wagner przynosi mu ubranie z granatowej wełny. James boi się je nosić. Ma wrażenie, że to przynęta, która ma go z powrotem przyciągnąć do świata. Przez kilka dni paczka, na wpół otwarta, leży na podłodze. Potem James zrzuca z siebie łańcuchy, staje nagi, drżący, kościsty pośrodku swojej celi i wkłada ubranie.

Strażnicy go unikają. Nawet lekarz zadawała się szybkim spojrzeniem, rzuconym w głąb celi, gdy przechodzi korytarzem, kiwa głową i idzie dalej próbować swych umiejętności na innych, mniej widocznych, gorzej zabezpieczonych pacjentach. James wyjmuje brzytwę z buta i żłobi na palimpseście starej boazerii koślawe serce, imię Dot, swoje własne imię i datę: luty 1770.

- Adam?
- Mów, James.
- Nigdy już nie pokocham.
- Nie zawsze możemy wybierać.
- Nigdy już nie pokocham.
- Nic nie trwa wiecznie, bracie. A „nigdy” to kiepskie słowo.
- Kiedy ona umarła, twoja żona, co zrobiłeś? Adam?
- Zwariowałem.
- A kochałeś potem?

– To tak jak z deszczem, bracie. Nie zawsze uda się przed nim schować.

Czeka, z lekka przerażony tym, że zdrowieje, że nie ma dość charakteru, by umrzeć z rozpaczony, że życie w nim jest zbyt krnąbrne.

I czeka na nią, tę, która, jak upewniły go sny, przyjdzie. Na architekta. Na subtelną czarownicę. Wygląda jej przez okno, dzień po dniu, aż pewnego marcowego wieczoru jest pewien jej obecności. Grupka mężczyzn, cudzoziemców, stoi koło schodków prowadzących do szpitalnego ogrodu. Oglądają szpital, pokazują sobie architektoniczne detale dłońmi w rękawiczkach. Strzępy ich rozmów unosi porywisty wiatr. Potem ruszają dalej, a on widzi ją – stała za nimi w ciemnej sukni, z czerwonym szalem na szyi. Nie macha do niej. I tak będzie wiedziała, że ją widział. Czeka dziesięć minut, nieruchoma jak drzewo, potem odchodzi w stronę Finsbury.

Jest tam znowu następnego dnia. Jakim próbom go poddaje! Czy nie rozumie, że jest za wcześnie? Że on nie ma siły? Że jeszcze nie jest zdrow? A jednak jej ufa, bardziej niż sobie. Przyszła po niego, więc on musi iść. Ta pewność przynosi ulgę. Udaje się do Wagnera i prosi o rozmowę z lekarzem. Uzyskuje pozwolenie. Trzy dni później, wcześnie rano, Wagner przychodzi zabrać go z celi, a James kuśtyka za nim przez drzwi hałaśliwie otwierane kluczami strażnika. Kamień ustępuje miejsca dywanowi, ciemność światłu. W powietrzu nie czuć już zaduchu kału i uryny, zamiast niego pojawia się zapach wosku, gotowanego mięsa i prawdziwego węgla. Na stole przy otwartym oknie stoi wazon z żonkilami. James nie potrafi koło nich przejść: wzorce piękna wszelakiego, wszelakiej doskonałości. Wagner woła go, bez złości. Woła tak, jakby często widywał ludzi w takim stanie, oszołomionych kwiatami.

Drzwi, szerokie i wypolerowane. Wagner puka. Zostają zaproszeni. Lekarz, którego obwisła twarz zwieńczona jest aksamitną cynobrową czapką, patrzy na nich zza biurka. Sekretarz siedzi przy mniejszym biurku w głębi pokoju, na ramionach ma bawełniane zarękawki, chroniące rękawy przed inkaustem. Przed lekarzem leży rozłożona gazeta, a obok niej opróżniony do połowy kieliszek czerwonego wina, talerz ciasteczek i filiżanka, z której unosi się bogaty aromat kawy.

– Czego on chce? – zwraca się do Wagnera.

– Za przeproszeniem pana doktora – mówi strażnik – on chce opuścić szpital.

– Opuścić?

– Tak, panie doktorze. Tak mi powiedział.

Lekarz wpatruje się w Jamesa. Przez moment James wytrzymuje jego spojrzenie, potem spuszcza wzrok. Boi się, że zaczną mu drzeć nogi.

– Czy uważa się za wyleczonego? – pyta lekarz, przenosząc wzrok na Wagnera.

Teraz Wagner patrzy na Jamesa. Stojąc tu wśród tych ludzi, którzy dobrze mu nie życzą, James wcale nie czuje się wyleczony. Boi się, że jakoś się zdradzi, że powie coś szalonego, że zacznie śpiewać albo się ślinić, albo padnie z wrzaskiem na kolana. Wie, że musi odzyskać głos. Cisza w pokoju trwa już niebezpiecznie długo.

– Tak – mówi.

Dźwięk własnego głosu, niemal agresywnie głośnego, pomaga mu strząsnąć z siebie czar. Podnosi wzrok.

– Cóż on chce przez to powiedzieć? – pyta lekarz. – Cóż on chce powiedzieć przez to „tak”? Chcesz wyjść, Dyer?

– Tak – odpowiada James.

– No dobrze, proszę pana – mówi lekarz, częstując się kolejnym ciasteczkiem – a co pan ze sobą pocnie, jeśli uznam za stosowne pana wypuścić? Mów.

– Będę żył spokojnie – oświadcza James. – Nie wchodząc nikomu w drogę.

– A z czego będziesz żył? Co będziesz jadł?

James spogląda na sekretarza. Mówi:

– Potrafię czytać i pisać. Mógłbym pracować piórem...

Lekarz śmieje się, klepie ręką w stół, obraca się w fotelu.

– Słyszysz, Price? On chce być sekretarzem. Urzędnikiem! Powiedz mi, czy to odpowiednia posada dla ekswariata? – Po czym zwraca się do Jamesa: – Dokąd pójdziesz?

– Mam siostrę – oznajmia James, zaskoczony własną odpowiedzią. – W Somerset.

– Sądzisz, że się ucieszy, jak cię zobaczy, co? Swojego stukniętego braciszka? Zamierzasz tam iść na piechotę?

– Tak, panie doktorze.

Następuje dłuższa chwila ciszy, w trakcie której lekarz zjada ciasteczko. James znowu patrzy w dół, na dywan. Jest na nim szczególny wzór, niebiesko-czerwona arabeska, od której trudno mu oderwać wzrok. Wie, że decyduje się jego los.

– Panie Price – mówi lekarz – niech pacjent podpisze swoje zwolnienie. Skoro ma być sekretarzem, powinien umieć się podpisać.

Price kiwa na Jamesa, żeby podszedł do jego biurka, otwiera księgę, obraca ją i podaje pióro. Stuka w miejsce, w którym James ma podpisać.

Lekarz zajął się już swoją gazetą. Mówi:

– Jesteś wolny. Nie używaj mocnego alkoholu. Unikaj wszelkich wzruszeń. Zwłaszcza kobiet. Poza siostrą, rzecz jasna. Siostra może być.

James próbuje coś powiedzieć, ale nie może. Czuje się wyczerpany, jakby podczas całej rozmowy trzymał na głowie coś tak wielkiego i ciężkiego jak biurko lekarza. Pocą mu się końce palców. Wie, że jeśli natychmiast nie wyjdzie z pokoju, może mu jeszcze umknąć ten wątpliwy dar wolności.

Wagner bierze Jamesa za łokieć, wyprowadza, potem prywatnymi schodami wiedzie do drzwi z boku szpitalnego budynku. Nie ma pożegnań z Adamem, braćmi Collinsami czy Asquinim. Wagner uśmiecha się do niego, jakby to wszystko było ucieśną krotoczwilą, w której obaj musieli odegrać swe role. James patrzy na światło, wychodzi na zewnątrz. Czy tego chce? Czy znane potworności szpitalne nie są lepsze niż nieznanne potworności zewnętrznego świata? Czuje bardzo silne pragnienie, by się ukryć, wczłogać do cienia, wspiąć na drzewo.

Drzwi zamykają się za nim. Wzdryga się, słysząc chrobot klucza w zamku. Zamyka na chwilę oczy, koncentruje się, potem idzie bardzo wolno przez ogród, który kiedyś był podateńskim lasem. Na poły spodziewa się, na poły ma nadzieję usłyszeć głos wzywający go z powrotem, ale nikt nie woła. Wychodzi przez furtkę obok bramy głównej, zamyka ją za sobą starannie i idzie teraz szybciej, prawie biegnie, w stronę kobiety, która czeka w białym kurzu drogi, by uratować go po raz drugi.

## Część siódma

1770

*Kyrie elejson.*

*Chryste elejson.*

*Kyrie elejson.*

Słowa pierzchają jak nietoperze w cieniu łuków. Simon Tupper dostaje ataku kaszlu. George Pace siedzący za nim w ławce klepie starca po okrągłych plecach. Atak mija.

*Pan z wami.*

*I z duchem twoim.*

*Módlmy się.*

Zebrali się ci sami wierni, co w każdą Wielkanoc, teraz kołyszą się lekko na stępkach kolan. Jest tu oczywiście lady Hallam, piękna w złotożółtej sukni. Jego lordowska mość bawi w Londynie; polityka albo dziwki, albo jedno i drugie. Za lady Hallam klęczy Dido, włosy – nie wszystkie własne – spiętrzone na głowie za pomocą szpilek, brylantyny i hiszpańskich grzebieni. Pastor myśli: w nocy musi to trzymać w drucianej klatce jak zwierzę. Ładny ma wachlarz; złote gwiazdy na ultramarynowym niebie. Modny; a także praktyczny przy takiej pogodzie. Ciepło dziś w kościele. Starsi niedługo posną.

*Boże, Ty w dniu dzisiejszym przez Twojego Syna pokonałeś śmierć i otworzyłeś nam bramy życia wiecznego...*

W bilansie zysków i strat pastora występuje obecnie lekka nadwyżka po stronie kredytu. To prawda, że cierpi na zatwardziałe zatwardzenie, to prawda, że pokłócił się nieprzyjemnie z Dido wczoraj wieczorem o jakiś drobny domowy wydatek. Nie była to ich zwykła utarczka. Rzeczy, których lepiej nie mówić, zostały wypowiedziane przez obie strony, i pastor poszedł do łóżka z ciężkim sumieniem, przewracał się i wiercił, aż w końcu wygramolił się z pościeli, odnalazł pióro w zimnym pokoju i napisał pośpieszne przeprosiny, a potem wsunął je pod drzwi siostry, zauważając przy okazji, że pali się u niej jeszcze światło. Prawda też, że znowu w tę Wielkanoc nie potrafi odnaleźć swojej wiary, to jeden z tych nieczęstych odpływów, które dawniej tak go trapiły, a obecnie martwią mniej niż zatwardzenie. Bóg bawi się z nim w chowanego. Doświadczenie nauczyło go, że znajdzie drogę powrotną, że lepiej leżeć spokojnie na powierzchni wody niż ciskać się w panice.

Powyższemu przeciwstawić może, co następuje: jego pocziwa krowa Ruby ma cielaka. Pace przyszedł z tą wiadomością w porze śniadania, z rękami jeszcze śliskimi od wód płodowych. Wszyscy wtedy wyszli – pastor, Dido, pani Cole i Tabita – do stajni, gdzie zaprowadzono krowę poprzedniego dnia. Cudowny widok! Ogromny jezor krowy liżący cielę i samo cielę, drżące, oszołomione swym przyjściem na świat...

Jest też ogród rozjarzony porą roku, przez czerwonałą ziemię przebijają się kwiaty, kwiecie obsypuje drzewa owocowe, na płatkach zatrzymują się krople deszczu. W poprzednią niedzielę przyłapał Sama, jak zanurzał czubek języka we wnętrzu kwiatu. Wyglądało to z początku bardzo śmiesznie, chłopiec na palcach, z językiem w kwiecie. Ale potem, kiedy Sam sobie poszedł, kusilo go, żeby samemu tak zrobić. Bał się jednak, że go ktoś zobaczy.

*Boże Wszchemogący, Ojczy Pana naszego Jezusa Chrystusa, stwórczo całego świata, sędzio wszystkich ludzi, żałujemy za rozliczne grzechy i niegodziwości, które z pewnością popełniliśmy...*

Pośród tych słów widzi nagle oczyma wyobraźni genialną panią Cole, otoczoną wonnymi oparami, uwijającą się z nożem nad roznem, nad ogniem. Dziś, myśli myśl jak tryumfujący głos trąby – będziemy jeść salceson, gicz cielęcą i szparagi z grządkki pana Askew...

*Pozwól, litościwy Boże, abyśmy spożywając ciało Twego umiłowanego Syna i pijąc Jego krew, oczyścili nasze grzeszne ciała...*

Co za stary chleb. Miejmy nadzieję, że nie będzie niespodzianek. Błogosławione wołki zbożowe.

*Pan z wami.*

*I z duchem twoim.*

*W górę serca.*

*Wznosimy je do Pana.*

Światło, upstrzone kurzem strumienie, rozlewające się kolorowymi plamami na kamiennej posadzce, gaśnie nagle przysłonięte chmurą. Pastor przestaje widzieć koniec nawy, ale dostrzega mgliście, że drzwi otwierają się i szybko zamykają, że jakaś postać pojawia się w kościele. Odmawia modlitwę Pańską.

*Pokój Pański niech będzie zawsze z wami. I z duchem twoim.*

Lady Hallam przytrzymuje suknię w palcach, podnosi się, podchodzi do balustrady. Dido o krok nieco za nią, potem Astick z Sophie, swoją nerwową córką. Za Sophie doktor Thorne, poprawiający sobie spodnie w kroku.

Chmura odpływa. Światło rozjaśnia całą nawę, a pastor, łamiąc chleb dla lady Hallam, widzi, kto wszedł do kościoła, poznaje ją natychmiast, ale jednocześnie nie wierzy własnym oczom, pewien, że to nie może być ona, nie tu, nie w tym kościele. Ona, która tak nieodwołalnie należy do innego świata. Delikatne chrząknięcie. Spogląda w dół. Lady Hallam unosi brwi, bez złości. W ciągu kolejnych uderzeń serca pastor nie może się odnaleźć, zupełnie nie pamięta, gdzie jest, co tu robi. Potem kładzie chleb w złożonych dłoniach.

*Oto ciało Pana naszego, Jezusa Chrystusa...*

Dido pyta oczami: kim ona jest?

On nachyla się do jej ucha, szepcze:

– Na imię ma Mary. Cudzoziemka. Usiądź z nią.

Inni również pytają go wzrokiem. Thorne uśmiecha się, jakby w pojawieniu się obcej kobiety z natury rzeczy było coś nieprzyzwoitego. Nabożeństwo ożywia się. Domysły i kontrdomysły snują się od ławki do ławki, między modlitwami, za zasłoną kiepskiego śpiewu. Szyje niezbyt dyskretnie wykręcają się, by umożliwić oczom spojrzenie na tego nieprawdopodobnego intruza. Pastor słyszy całkiem wyraźnie słowo „Cyganka”.

*Pokój Boży, który przewyższa wszelki umysł, niech strzeże waszych serc i myśli w poznaniu i miłości Boga...*

W końcu drzwi otwierają się. Bogatsze powietrze dociera do pastora w chwili, gdy dopija resztkę wina. Gdyby to było możliwe, chętnie nalałby sobie jeszcze trochę, choć lichy to gatunek. Wyciera brzeg kielicha szmatką i idzie szybko przez nawę, a szaty powiewają za nim. Kieruje w stronę Mary długie spojrzenie i krótkie kiwnięcie głową. Do Dido mówi:

– Wróć, jak tylko będę mógł. Zostaniesz tu?

Dido pyta:

– Czy ona nas rozumie?

Oboje spoglądają na Mary, która wpatruje się bez większego zainteresowania w świętego Jerzego zabijającego smoka we wschodnim oknie. Tak jakby pojmowała, że musi być jakies zamieszanie, jakiś cud, a dopiero potem będą mogli zrobić to, czego od nich chce.

– Być może – mówi pastor. – Możesz spróbować zadać jej parę pytań.

Jego wzrok przyciąga ruch żółtej plamy przy drzwiach. Odwraca się, odchodzi. Dido patrzy na profil Mary, wystające kości policzkowe, oczy koloru bejcowanego drewna. Nie czuje przestachu. W jakiś dziwny sposób jej obecność ją uspokaja.



Na dziedzińcu kilkunastu parafian kręci się przy ścieżce, odczytując dobrze znane nazwiska na pochylonych nagrobkach. Od czasu do czasu rzucają okiem w stronę drzwi kościoła. Lady Hallam uśmiecha się do pastora, robi uwagę na temat liczby wiernych.

– O jedną osobę więcej, niż się spodziewałem – mówi pastor.

– Ach tak, istotnie – spostrzega się lady Hallam, jakby już całkiem zapomniała o tym incydencie.

Podchodzi Thorne. On i pastor wymieniają uścisk dłoni.

– Świetne nabożeństwo, pastorze.

Pastor kiwa głową, mamrocze podziękowania. Znowu ten uśmiech. Thorne, pochwywszy chłodne spojrzenie lady Hallam, odchodzi, wywijając laseczką jak kot ogonem.

– Ciekaw jestem – pyta pastor cicho – czy odgaduje pani, kto to jest?

– Och, myślę, że tak. Przyjrzałyśmy się sobie dokładnie, gdy wychodziłam z kościoła. Jakież ona ma oczy! Jest dokładnie taka, jak ją pan opisał w liście – skąd to – chyba z Rygi?

– Mogła to być Ryga. Wyznaję, lady Hallam, że nigdy nie byłem bardziej zaskoczony, choć, jak sądzę, ona ma duży talent do zaskakiwania.

– Jej obecność będzie wymagała bardzo wielu wyjaśnień. – Szeroki uśmiech, rozbawiony i pełen współczucia. – Może najlepszą metodą będzie nic nie wyjaśniać. Wie pan, pastorze, że pan i pańska siostra możecie liczyć na wszelką pomoc z mojej strony.

– Wiem o tym. Pani jest dla mnie bardzo dobra. Dla nas.

– Jestem waszą przyjaciółką. Teraz pójdę i postaram się odciągnąć ciekawskich. Proszę mnie wkrótce odwiedzić.

Podaje dłoń, którą on ujmuje; raz, dwa... Ta nieuchwytna trzecia sekunda.

– Cóż, Mary – mówi pastor. – Nieźle nas zaskoczyłaś.

Mary sięga do kieszeni fartuszka, wyciąga jakiś zwinięty liść, wkłada sobie do ust i żuje jak prymkę tytoniu.

– Mary, czy wiesz coś o doktorze Dyerze? Orientujesz się, gdzie przebywa?

Ona wstaje i powoli wychodzi z kościoła. Pastor robi ruch, jakby chciał ją przywołać z powrotem. Dido dotyka jego ramienia i mówi:

– Ona chce, żebyśmy za nią szli...

Idą za nią ścieżką między kępami żonkili, przez wiklinową furtkę, drogą przy kościelnym murze, wokół zatrzaśniętego i połamanego szkieletu bramy – obecnie podpory dla pnącego się zielska – do sadu. Tutejsza ziemia należy do Makinsa, wdowca, którego synowie postanowili przewietrzyć się na szerokim świecie, zostawiając ojca w domu z przygłupią córką. Tutaj jabłka gniją albo są zbierane przez dzieci. W letnie wieczory miejsce to odwiedzają zakochane pary. Czasem pastor słyszy ich westchnienia, gdy wraca do domu z Vespers.

Trawy czepiają się spódnic Dido. Stado much unosi się gniewnie z gówna zostawionego przez jakiegoś przechodnia. Słysząc brzęczenie pszczoł, czuć zapach dzikiego czosnku. Na chwilę tracą z oczu Mary, sunącej krętymi zielonymi nawami, przez błękitne cienie, przez fontanny kwiecica. Byłoby to, myśli pastor, zupełnie w jej stylu, gdyby zniknęła jak królik w norze. Ale odnajdują ją, stojącą pod drzewem cokolwiek większym od innych, jedną ręką, jednym palcem wskazującą na jego koronę, niby postać na alegorycznym obrazie. Dido i pastor spoglądają w górę. Czyjeś buty, czyjeś nogi, szara koszula. Twarz bardzo chuda, bardzo biała, otoczona bezkształtną, szarawą szczecią brody.

– Doktor Dyer! – woła pastor. – Spotkanie równie szczęśliwe, co niespodziewane. Bałem się... to znaczy, nie miałem o panu żadnych wiadomości. Czy dobrze się pan czuje? Zejdźcie pan? Te gałęzie są dość łamliwe.

Twarz spogląda w dół. Przemiana jest zdumiewająca, upiorna. Jakaż to choroba robi coś podobnego z człowiekiem?

– To jest doktor Dyer? – pyta Dido.

– Tak – mówi pastor cicho. – To, co z niego zostało. Doktorze Dyer! To ja, pastor Lestrade. Przecież mnie pan pamięta? Czy potrzebuje pan jakiejś pomocy?

Głos, ledwie słyszalny, opada z korony drzewa.

– ...kos, ptaszek o barwie ciemnej... o dziobie żółtożłoczym... drozd o nucie tak przyjemnej...

– Czy to piosenka? – pyta Dido.

– ...zięby, wróble i skowronki... źle kuka kukułka szara... która zdrady twojej małżonki... dokładnie zliczyć się stara...

Pastor dostrzega dwie młode twarze, wyglądające zza pnia. Jedną rozpoznaje jako twarz Sama Clarke'a, syna kościelnego.

– Sam! Chodź tu, dziecko. Chodź, nie gniewam się na ciebie.

Chłopiec podchodzi, przenosząc wzrok z pastora na drzewo, z drzewa na Mary.

– Czy dobry z ciebie biegacz, Samie?

– Średni.

– No cóż, średni będzie musiał wystarczyć. Skocz do Caxtona. Znajdziesz tam George'a Pace'a. Powiedz mu, żeby przyniósł drabinę, która jest w zakrystii, tutaj do sadu. I że potrzebna mi jest teraz, a nie wtedy, kiedy on dopije swój porter. Poczekaj! Nie rób tam zamieszania i nie mów, co tu widziałeś. Nie potrzebujemy widowni. Leć.

Obserwują, jak się oddala, rozrzucając stopami żdźbła trawy. Mary kuca obok korzeni drzewa.

– Boję się, że spadnie – mówi Dido. – Zabije się z pewnością, jeśli tak się stanie. Czy nie mógłbyś się po niego wdrapać, Juliuszu?

– Zachowaj rozsądek, z którym przyszedłeś na świat, Diddy – odpowiada pastor. – Nawet gdybym do niego dotarł, co by nam z tego przyszło, gdybyśmy obaj tam utknęli? Czy nie boisz się o mój kark?

– Kiedyś świetnie łąziłeś po drzewach.

– Tak, kiedyś. Trzydzieści lat temu. Pamiętam, siostrzyczko, jak ty wspinałaś się na ten wielki wiąz za domem ojca.

– Rzeczywiście – mówi Dido. – Ale kiedy dziewczęta stają się kobietami, nie mogą już tak swobodnie dysponować swoimi ciałami. Tego wymaga obyczaj.

– Nie wszystkie kobiety.

– Jesteś wulgarny, Juliuszu. W tym wcieleniu najmniej ci do twarzy.

Czekają, przyglądają się ceniom, wsłuchują w niedzielną ciszę. Od czasu do czasu z góry dobiegają strzępy chrapliwej piosenki, urywki szeptanych wierszy.

Wraca Sam, maszeruje jak dobosz. George Pace, nachmurzony, idzie za nim z drabiną na ramieniu.

– Dobra robota, Sam! Wielkie dzięki, George. Wynagrodzę ci to. To ten. Widzisz go? Teraz spokojnie. Nazywa się James Dyer. – Pastor przytrzymuje drabinę. – Dosięgniesz go? Masz go?

George Pace schodzi na dół, sam.

– Roi się od wszy – mówi. – Widzę, jak mu łążą po brodzie. A śmierdzi gorzej niż gnojowisko.

– Wołałbyś, żebyśmy go zanurzyli w olejku bergamotowym? – ironizuje pastor. – Na Boga, George, chcę tylko, żebyś go zniósł na dół. Nie musisz się z nim żenić.

– Z całym szacunkiem, proszę pana, wołałbym nie. On mi wygląda na zarażonego.

– Zaraza? Czy może studiowałeś ten temat w przerwach między zastawianiem sideł na ptaki lorda Hallama?

– Nie wrzeszcz tak, Juliuszu. Jeśli nie chce go znieść, to nie znieś.

– Czy zgłaszasz się na ochotnika, siostrze?

– Niewykluczone, że George ma rację – mówi Dido. – On może być na coś chory. To bardzo prawdopodobne.

– I w takim razie mamy go zostawić na drzewie? Widzę, że muszę to zrobić sam. Zawsze tak jest.

Nadal odziany w szaty liturgiczne, wspina się szczebel po szczeblu, drabina gnę się pod jego ciężarem. Pastor czuje w ustach straszną suchość.

Gałazka zdiera mu z głowy perukę, która spada jak zestrzelony ptak do nóg Dido.

– Doktorze Dyer?

Przed jego nosem pojawia się stopa. Chwyta za nią.

– Doktorze Dyer? Musimy pana zdjąć. Nie może pan tu zostać. Proszę postawić stopę na moich ramionach. Nie, o tak... au... spokojnie, doktorze... a teraz druga, tylko powoli... spokojnie, spokojnie – trzymaj drabinę, George! No, dobrze... właśnie tak... tak... tak... jeszcze trochę... tak... Pomóż mi, George, do jasnej cholery. Tak... jeszcze jeden szczebel... i... mamy go... dzięki Bogu.

– Brawo, bracie!

Pastor odbiera swoją perukę, wkłada ją niedbale na głowę, w myślach składając sobie gratulacje. James Dyer, sapiąc, przykuca w trawie koło nóg Mary. Teraz widać ogrom jego przemiany. Przypomina pastorowi rozbitka, takiego, który ledwo-ledwo uszedł z życia. Pastor kłęka przed nim. Pace miał rację co do wszy.

– Czy może pan chodzić? Mamy powóz pod kościołem. Parę kroków stąd.

W domu czeka na nich mały komitet powitalny. Pan Astick i jego córka, którzy przyszedli na obiad; Sam, który pobiegł na skróty przez pola i przyniósł wiadomość; oraz pani Cole i Tabita, niespokojnie wyglądające zza kuchennych drzwi.

Astick podchodzi i chwyta cugle, potem zbliża się do powozu, żeby pomóc wysiąść damom.

– To jest doktor Dyer – mówi pastor.

Astick podnosi wzrok. Człowiek w powozie przypomina mu jeńców, których widział po bitwie pod Plessy w pięćdziesiątym siódmym roku. Mężczyźni, których brody zdawały się wyrastać wprost z czaszki. Oczy za duże w stosunku do głów, widzące rzeczy niewidzialne dla nie tak wychudzonych ludzi.

– Jest zawszony – szepcze pastor, gdy Astick wyciąga rękę, żeby zdjąć Jamesa z siedzenia powozu.

– Nieważne – mówi Astick.

Jest silnym mężczyzną; bez trudu stawia Dyera na ziemi.

– Pani Cole – pyta pastor – czy pokój obok mojego jest gotów do użytku?

– Boże, łóżko nieposłane, a co do wietrzenia...

– Wietrzenie nie jest najważniejsze, pani Cole. Tabita, przygotuj pościel, jak najszybciej. Pani Cole, czy mogłaby pani przyrządzić trochę tego wspaniałego rosółu, który pani robi, albo – dodaje szybko, widząc, jak jej wargi układają się do wyrażenia sprzeciwu – jakiś inny z pani pożywnych napojów? Gdzie jest Mary?

Widzą, że siedzi oparta plecami o ścianę obory, z opuszczoną głową, obwąchiwana przez kota.

– Biedna kobieta – mówi Dido. – Jest zupełnie wykończona. Panna Astick i ja zajmiemy się nią.

– Ojej! – wykrzykuje panna Astick, siedemnastoletnia dziewczyna. – Nigdy jeszcze nie miałam do czynienia z cudzoziemką.

Pastor i pan Astick prowadzą chorego po schodach, trzymając go między sobą, do pokoju, gdzie Tabita wymachuje prześcieradłami, i sadzają go na zakurzonej ławie koło kominka.

– Tej brody trzeba się pozbyć – mówi Astick – i wszelkich innych włosów też. Gdyby mi pan przyniósł brzytwę, pastorze, zająłbym się tym sam. I gorącą wodę. Uwaga! Na rękawie... Może ja...

Astick zgniata wiesz między dwoma palcami. To wspaniałe, myśli pastor, wracając z brzytwą ze swego pokoju, jak nieoczekiwane zdarzenia ukazują charakter człowieka. Jakim dobrym żołnierzem musiał być Astick, dobrym chrześcijańskim żołnierzem. Cieszę się, że mogę go nazywać przyjacielem.

Rozbierają pacjenta, zwijają jego ubrania do spalenia, gołą go niczym trupa. Jest zresztą biały jak trup, białozółty. James podczas tej operacji wpatruje się w sufit. Oddycha szybko i płytko. Sam znowu biegnie z misją, tym razem po doktora Thorne'a. Wszy łążą nawet w brwiach Jamesa. Gołą mu brwi, rozgniatają wszy. Wchodzi pani Cole z rosołem. Pastor odbiera go od niej w drzwiach. Dmucha na powierzchnię płynu i usiłuje włożyć go nieco między spierzchnięte wargi Jamesa, ale rosół rozlewa się choremu po brodzie.

– Chyba nigdy jeszcze nie karmiłem człowieka.

– Nonsens – mówi Astick. – Nakarmił pan dziś rano cały kościół, pastorze. Chlebem i winem.

– Racja. Ale to tutaj to diabelnie trudna sztuka. Leci wszędzie, tylko nie do ust.

– Niech pan uniesie mu trochę głowę. O tak. Nie możemy go utopić w rosole.

– Aha! Teraz trochę poszło. I połknął. To będzie dla pana jak nowa krew, doktorze.

James wypija, łyżeczka po łyżeczce, pół filiżanki. Ciepło rozchodzi się w jego wnętrzu. Po raz pierwszy od wielu dni zdaje sobie sprawę z tego, że ma ciało. Nie jest to uczucie całkiem przyjemne. Kiedy jadł po raz ostatni? Mary karmiła go jakimiś korzonkami w New Forest. Potem w Salisbury, pomarańcza z bazaru, zgnieciona z jednej strony, i trochę chleba. Od tamtej pory nic, tylko coś zielonego z krzaków. Z ogromnym wysiłkiem, jakby staczał kamień z piersi, obraca się w łóżku. Kim jest ten mężczyzna? James woła:

– Mary!

– Zdaje mi się, że coś powiedział – mówi Astick. – Niech pan powtórzy.

– Mary.

– Mary?

– Tak – mówi pastor. – Kobieta, z którą przyszedł.

– Ona jest jego żoną?

– Jego towarzyszką. Tak mi się wydaje. Spokojnie, doktorze. Mary zaraz przyjdzie. Moja siostra i panna Astick się nią zajmują. Przebyliście, zdaje się, długą drogę.

– Długą drogę, długą drogę... – powtarza James.

Nie jest pewien, czy mówi na głos, czy tylko do siebie.

Myśli: nie byłoby tak źle tu umrzeć. Może to jest koniec podróży. Przetaczając głowę na bok, widzi pastora Lestrade'a i pana Asticka rozebranych do pasa i stojących naprzeciw siebie, jakby się mieli mocować. Ręka Asticka wlatuje do góry.

– Mam jedną! – woła mężczyzna.

– Dobra robota – mówi pastor. – Nie byłem tak zawoszony od ostatniego pobytu we Francji.

James, łysy jak księżyc, pływa w podziemnych rzekach gorączki i wyczerpania. Thorne przychodzi dwa razy, obserwuje pacjenta, stojąc jard od łóżka, i zostawia pudełko proszku Dovera, pudełko, które znika w niezbyt tajemniczy sposób po jednej z wizyt Mary.

Mary ma własne sposoby leczenia: nikt nie ma ochoty się jej sprzeciwić. Buszuje po ogrodzie pastora. O świcie i o zmierzchu rusza do lasu, skąd wraca z fartuchem pełnym dzięgiel i pierwiosnka, i czyścica, i innych roślin, które trudniej nazwać.

Nosi jedną ze starych sukni pani Cole, ponieważ gospodyni jest najbardziej podobna do Mary z figury, chociaż i tak trzeba było suknię trochę zwęzić. Zrobiły to w pokoju Dido, a

Mary stała przed nimi, nieporuszona jak księżna, obsługiwana przez pokojówki. To właśnie wtedy, gdy ją ubierały, zobaczyły tatuaże, deszcz niebieskich gwiazdek na pośladku i udzie, sięgający do zgięcia kolana.

Mary staje się oczywiście tematem plotek. Plotek o czarach, o złym oku, o nekromancji. A przecież w obcej tyle jest łagodności, że na świętego Michała pani Cole, sama nieco tym zdumiona, pokazuje jej swoje spuchnięte kolana, a Mary leczy ją, naciskając dłońmi stawy, aż u stóp gospodyni zbiera się kałuża płynu. („Boże – mówi pani Cole swojej kumie w następną niedzielę, unosząc spódnice, żeby pokazać dowód, wyleczone czerwone półkule swoich kolan. – Co ona ma za ręce! Co za ręce!”)

Na Zielone Świątki James pierwszy raz wstaje z łóżka – błazeńska postać w starym surducie pastora, snująca się po podwórzach i ogrodzie; często odnajdują Dyera uśpionego w trawie czy nawet zwiniętego na dywanie w salonie.

Pastor stwierdza z ulgą, że James nie przejawia więcej skłonności do wspinania się na drzewa, żadnych objawów obłądu. Kimkolwiek był, po jakichkolwiek dziwnych stronach podróżował, teraz wydaje się całkiem normalny, odpowiada rozsądnie na wszystkie pytania, choć te, co prawda, nie wykraczają na razie poza prosty katechizm: „Jak się pan dziś czuje?” „Lepiej, dziękuję panu”; „Czy będzie pan dziś spacerował?” – „Będę”; „Może pan co zje?” – „Talerz bulionu, jeśli można”.

Niewiele albo wręcz nic nie wiadomo o losach Jamesa od czasu, kiedy pastor widział go po raz ostatni w jego pokoju w Rosji, aż do jego pojawienia się na jabłoni w Cow. Lady Hallam, obserwując bieg wydarzeń z przestronnej perspektywy swego parku, doradza cierpliwość.

Gdy do lasów i ogrodów przybywa lato, na polach zboża są wysokie, a wioska przygotowana jest do wielkiego trudu żniw, wokół domu pastora unosi się atmosfera przemian. Tabita – nietrudno o tym usłyszeć – jest rozkochana w żołnierzu z Północy, który przybył na żniwa i zasypuje wszystkich opowieściami o wojnie i miastach na dalekich krańcach świata. George Pace nosi bukietki polnych kwiatów przy kapeluszu, jakby był gościem na jakimś trwającym bez ustanku weselu. Astick zagląda regularnie, żeby obserwować postępy Jamesa, a jego córka, jeszcze sześć miesięcy temu niezgrabne, kanciaste stworzenie, zamieniła się w kruchą, onieśmielającą piękność. Cóż nie mogłoby się zdarzyć, medytuje pastor, w takiej porze?

Noce pierwszego tygodnia sierpnia pochodzą chyba z jakiegoś bardziej południowego kraju, przyciągnęły z Włoch czy Afryki. Eskadry wolno żeglujących gwiazd suną po niebie. Wąskie okienka wiejskich chat i wielkie okna dworu stoją otworem dla zbłąkanych powiewów wiatru. Lady Hallam przesiaduje do świtu, przykładając uperfumowaną chusteczkę do skroni, spoglądając na blednącą ciemność swego parku, słuchając wrzasku pawy i pozwalając sobie w zaciszu swego odosobnienia na luksus głębokiej melancholii.

Pastor też markuje do późna, spacerując cicho po tykającym żarem domu, słysząc od czasu do czasu z pokojów na górze skrzywienie podłogi, gdy ktoś podchodzi do okna, by zaczerpnąć haustu tego piżmowego, tajemniczego powietrza. To nie może trwać, ale gdyby mogło! Pastor wyobraża sobie wioskę Cow przemienioną w La Vaca, pola pełne winorośli, wieśniaków opalonych i buńczucznych, kościół jako tajemniczą oazę cienia.

Pod koniec tego okresu szczęśliwości pastor wykrada się z domu przed świtem, bez peruki i surduta, z solidnym kijem w rękę i smakiem wina w ustach. Idzie w stronę lasu przez łąki. Nie ma żadnego świadomego celu i dopiero po dwudziestu minutach wytrwałego marszu przy świetle księżyca, który rzuca na trawę za nim cień o wyraźnych konturach, zdaje sobie sprawę, dokąd zmierza. „Krag”, jak to nazywa – nie zna innej nazwy owego miejsca, niezaznaczonego na żadnej mapie. Po prawdzie nie bardzo jest co zaznaczać, zwykłe koło z dębów, chociaż znalazł tam podczas grzybobrania pewne kamienie, sugestywnie oznakowane, które nasuwają mu myśl, że coś tam kiedyś było, może pogańska świątynia, i

sprawia mu przyjemność wyobrażanie sobie swojego odległego poprzednika w białej szacie, odprawiającego ceremonie przed kudłatymi przodkami dzisiejszych wieśniaków.

Przez dziesięć minut idzie pod baldachimem drzew i wkracza do kręgu, pewien w tej chwili, widząc go w świetle takiego księżycy, że wchodzi do świętego miejsca.

Jakiś człowiek siedzi na kępie trawy w samym środku kręgu. Pastor nieruchomieje, mocniej ściska kij w rękę, zamierza wtopić się z powrotem w cień drzew, ale postać obraca się w jego stronę i pastor przystaje.

– Czy to pan, doktorze Dyer?

– To ja.

Pastor podchodzi, nadal czujny, jakby ta postać, nie całkiem materialna na swojej kępie trawy, mogła się jeszcze okazać czymś nieprawdziwym, wytworem jego własnego umysłu lub, co gorsza, jakimś mieszkańcem owego miejsca. Te leśne duchy, w które pastor nie może jakoś całkiem przestać wierzyć, są podobno bardzo przemyślne. A komu lepiej płać figle, jak nie grubemu, podstarzałemu, pijanemu księżycem duchownemu? Gdy pastor jest już blisko, James mówi:

– Żal biednych szaleńców w noc taką jak ta. Słyszałem trzech czy czterech, odkąd tu siedzę, wyjących do tego wspaniałego księżycy.

– Coś takiego! To rzeczywiście pan. Jak pan znalazł to miejsce?

– Po prostu kiedyś tu zawędrowałem. Obecnie rzadko zdarza mi się zrobić coś celowo. Proszę, niech pan napije się trochę tego pysznego jabłeczniczka. Pozwoliłem sobie wziąć go z kuchni. Jeszcze dużo zostało.

Pastor pije z glinianego dzbana. James ma rację. Jabłecznik jest dobry. Czuje się w nim smak całego drzewa.

– Widzę, że pan rysował.

– Lubię próbować. Chce pan zobaczyć?

Kładzie na srebrnej trawie pięć kartek, a na każdej z nich widać tylko jeden okrąg z inkaustu, namalowany nierówno, ale z niezaprzeczną energią.

– Te dwa zrobiłem palcem.

Pokazuje na dowód ciemny koniec wskazującego palca.

– Mam jeszcze papier – nie chce pan spróbować? Rzecz polega na tym, żeby o niczym nie myśleć. Ani o tym, jaki jest piękny, ani jaki trudny do uchwycenia, ani w ogóle o próbie uchwycenia. Będzie pan zaskoczony, jak pan spróbuje.

– To znaczy, że mam to zrobić, a jednocześnie wcale tego nie robić?

– Właśnie tak – mówi James, a potem, widząc zakłopotanie na twarzy pastora, dodaje:

– Może nie wypiliśmy jeszcze dość jabłeczniczka.

Każdy z nich wypija trzy duże łyki. Dzban rozbrzmiewa dziwną, głuchą muzyką. Pastor beka, po czym macza palec w otwartej butelce z inkaustem i rysuje poszarpane koło, które jednak jakimś trafem wygląda bardzo księżycowo.

– Odważny rysunek!

Siedzą bezrozmownie na tyle długo, by niektóre gwiazdy zdążyły się schować za arabeską dębowego horyzontu.

– Doktorze Dyer, życzę panu radości z powodu pańskiego wyzdrowienia, bo widzę teraz, że naprawdę pan wyzdrowiał. Muszę wyznać, że wszyscy baliśmy się o pana w Wielkanoc.

– Jeśli zdrowieję – nie powiedziałbym jeszcze, że wyzdrowiałem, jeszcze nie – to dzięki pańskiej dobroci, dobroci pańskiej siostry, wszystkich domowników...

– I dzięki Mary...

– I dzięki Mary, oczywiście. Jej zachowanie musi się wydawać bardzo dziwne. No, ale w końcu pan troszkę wie, kim ona jest. Pan ją pierwszy zobaczył. W pewnym stopniu zawdzięcza panu życie.

Pastor kiwa głową i wspomina: pochodnie, psy, cichy bieg kobiety.

– Ona jest – mówi James – tak sędzę, bezbłędnym sędzią ludzkich charakterów. To nie przypadek, że właśnie tu mnie przyprowadziła.

– To miły mojemu sercu komplement, doktorze. Wie pan oczywiście, że może pan zostać – pan i Mary – tak długo, jak tylko zechcecie. Pokój, który pan obecnie zajmuje, można by uczynić przytulniejszym, gdyby go trochę przemeblować, a Mary – ciągnie pastor dyplomatycznie – jest, jak sędzę, dość wygodnie w małym pokoju obok Tabity.

– Obojgu nam jest bardzo wygodnie. Ale mam wrażenie, że powinienem panu wyjaśnić... to znaczy, na pewno się pan zastanawia...

– Owszem, ale nie wymagam żadnych wyjaśnień. Przede wszystkim musimy być pewni, że pan wyzdrowiał. Czy noga nadal boli?

– Trochę mi dokucza. To bardzo stara rana. Tak samo z rękami. Ból nie jest teraz ostry. Niemal się do niego przyzwyczaiłem.

– Proszę mi wybaczyć, doktorze, ale był pan niegdyś, tak się wydawało, zupełnie odporny na tę dolegliwość. Mam na myśli ból.

– Nie „wydawało się”, pastorze. Ja tego nie udawałem. Było dokładnie tak, jak powiedziałem. Nigdy nie odczułem ani przez moment fizycznego cierpienia aż do... aż do Petersburga. Samemu mi jest coraz trudniej w to uwierzyć. Wystarczy, jeśli powiem, że ostatnio nadrabiałem w tym względzie zaległości.

– A zatem on odszedł bezpowrotnie?

– Kto?

– Dawny James Dyer.

– Bezpowrotnie.

– I nie żałuje pan jego odejścia?

– Czasem myślę o tym, jaką wielką pewność dawała mi ta moja odporność. Stałem się teraz kimś w rodzaju tchórza. Ciągłe pełen jakiegoś chorobliwego strachu. I podczas gdy kiedyś byłem tak wolny od wahań i wątpliwości, jak to tylko możliwe, teraz stale padam ich ofiarą. Ha! Pół godziny zastanawiam się rano, który surdut włożyć, a jak pan wie, mam ich tylko dwa.

– To przejdzie. To tylko skutek tego, że był pan... taki niezdrów.

– Nie jestem pewien. Narodziłem się w nowej postaci, jako nowe ja, tak wyróżniające się słabością, jak poprzednie wyróżniało się siłą.

– Czy to nowe ja nie odznacza się też pewnym złagodnieniem, delikatnością?

– Możliwe. Nie wiem jeszcze zbyt dobrze, kim jestem, czego mogę oczekiwać. Na pewno skończyła się dla mnie kariera chirurga. Może mógłbym zarobić parę groszy malowaniem.

– Lady Hallam pamięta pana z czasów Bath. Mówi, że miał pan wtedy nadzwyczajną reputację.

– Tak, i to miło za strony lady Hallam, że mnie pamięta, choć, klnę się na Boga, mógłbym sobie życzyć, żeby o moim dawnym ja zapomniano jak o garstce prochu.

– Nie będziemy pana ścigać pańskim cieniem, doktorze. W końcu człowiek powinien mieć możliwość zmiany.

Wielu ludzi tkwi uwieczonych w swoich starych skórach, a byłoby lepiej, gdyby je zrzucili.

– Jak żmija? Mam nadzieję, że pan nie zrzuci swojej starej skóry.

– Nie miałbym pańskiej odwagi, choć pan to nazywa słabością.

– To nie był mój wybór.

Pastor, odczuwając intymność ich spotkania w takim miejscu, ośmielony nią, mówi:

– W Rosji, w mieszkaniu na Millionnej, byłem świadkiem czegoś, co...

James unosi rękę, pochyla się nagle do przodu, i patrzy tak, jakby w letnim nocnym powietrzu dostrzegł jakąś wielką i nieuchwytną substancję, jakiś kształt przesyłający mu wiadomość, którą on musi natychmiast rozszyfrować. Pastor, idąc za jego wzrokiem, widzi

jedynie rodzinę królików, których futerka srebrzą się w świetle księżyca, baraszkujących w trawie dziesięć jardów od ich stóp. Patrzy na twarz Jamesa i szepcze:

– Co się stało?

James prostuje się, potrząsa powoli głową, wdycha powietrze i sięga po dzban.

– Duchy. Tylko duchy. Pan coś mówił?

– Nic takiego. Nic takiego.



## Część ósma

1772

Pani Cole – mówi wielebny Lestrade, ocierając usta – nie tylko jest pani tak miła, że śmieje się pani z moich opowieści, ale przyrządziła pani najsoczystsze gołębnie na świecie. Nie wiem, co byśmy bez pani zrobili. Doktorze Dyer, czy zgodzi się pan ze mną?

James unosi kieliszek.

– Pani Cole jest najwspanialszą kucharką w Devon. Jest artystką.

– Prawdziwą artystką! – Pastor napełnia swój kieliszek. – Powiedział pan dokładnie to, co trzeba, doktorze. Tabito, moja droga, podaj mi krewetki. Dziękuję ci. A teraz powiedz mi, czy ten twój wojak odwiedzi nas, zanim odpłynie do Ameryki?

– Pozwól biednej dziewczynie zjeść obiad w spokoju, Juliuszu – mówi Dido.

– Może jeść obiad i rozmawiać, czyż nie? To było proste pytanie. Zainteresowałem się losami tego człowieka. Jest bardzo zdolnym botanikiem. Wiedziałas o tym? O różach powie ci dokładnie wszystko.

– Zawstydzasz ją, Juliuszu. Skończ z tym.

Łza odrywa się od spuszczonej głowy Tabity i wpada do maślanego sosu na jej talerzu. Pani Cole wyciąga chusteczkę z rękawa i przyciska ją mocno do nosa dziewczyny. Tabita dmucha. Dido, marszcząc brwi, spogląda na brata, który z poczuciem winy wzrusza ramionami i sączy swoje wino. James mruga do Sama, który siedzi naprzeciw niego. To urodziny chłopca. Na jego cześć wszyscy domownicy – z wyjątkiem George’a Pace’a, który czułby się nieswojo w takim towarzystwie – zasiedli przy jednym stole. Jest maj. Pada lekki deszczyk. Mary siedzi obok Sama.

– Panna Lestrade powiedziała mi, pastorze, że wybierają się państwo do Bath – odzywa się James.

– Niewykluczone. Astick chce jechać z córką. Moja siostra lubi to miejsce.

– Chciałabym pójść znowu do teatru – mówi Dido. – Wystawiają „Kupca weneckiego” z panem Barrettem i panem Deathem. Może chciałby się pan do nas przyłączyć, doktorze?

– Doktor nie przepada za teatrem – zauważa pastor.

– Chadzałem czasem do teatru przy Orchard Street – mówi James.

– Co pan oglądał? – pyta Dido.

James uśmiecha się.

– Obawiam się, że nie zauważyłem.

– W zimie – mówi Dido – stale śni mi się sen o wyjeździe do Bath. Jest zawsze piękny dzień, wszyscy ubrani są w najelegantsze stroje, a ja idę na bal. – Śmieje się i rumieni. – To oczywiście bardzo głupi sen. Czy lubi pan Bath, doktorze Dyer?

James przesuwa kostki gołębnie po talerzu.

– Wydaje mi się nieco...

Pastor klaszcze w dłonie.

– A oto desery! Mam nadzieję, że zostawiłeś sobie na nie trochę miejsca, Samie.

Tabita i pani Cole ustawiają na stole ciasta i galaretki. Rozchodzi się ciepły zapach migdałów i cynamonu. Ciasta zostają pokrojone i pani Cole nakłada Mary duży kawałek placka sezamowego. Mówi:

– Wiem, że to jej odpowiada. Lubi tę słodycz.

Mary je ciasto, odłamując kawałeczki palcami i ugniatając okruchy w kulki. James uśmiecha się do niej. Ona patrzy na niego przelotnie. Tabita, której łyż już obeschły, mówi:

– Dziś po południu są występy w Cow.

– Co to takiego? – pyta pastor.

– Murzyn – mówi pani Cole. – Z Exeter.

– Będzie się mocował – wtrąca Sam. – I podniesie wóz i konia, i dwóch mężczyzn każdą ręką.

– Jest z nim jego żona – dodaje Tabita. – Nie większa od palca.

– Czy żona też się mocuje? – chce wiedzieć pastor.

– Tabita mogłaby pójść z Samem na ten występ – mówi Dido. – To chyba nic niestosownego, pani Cole?

– Nie sędzę – odpowiada pani Cole – ale wybiorę się z nimi na wszelki wypadek. Chłopiec jest za mały, by się na tym rozumieć, a Tabita nie ma dość rozumu.

– Jest pani Salomonem w spódnicy, pani Cole – mówi pastor. – No, Sam, jeśli masz ochotę na ten ostatni kawałek ciasta, musisz nam coś zaśpiewać. Wiem, że doktor lubi twój śpiew.

– Ponieważ to jego urodziny – wtrąca James – to może my powinniśmy mu coś zaśpiewać?

Pastor kiwa głową.

– W takim razie zaśpiewamy wszyscy razem. Siostró, może poddasz nam jakąś melodię?

Deszcz przestaje padać. Gdy dopijają herbatę, popołudnie błyszczy już wodnistym światłem. Wychodzą do ogrodu. Pastor ogląda swoje żółte róże, bez i glicynie.

– Trzeba podwiązać pnącza – stwierdza.

Dido omotuje Samowi oczy szalem. Obraca go dwa razy i mówi:

– Łap.

Pozostali rozbiegają się, gwizdząc i wołając, wszyscy z wyjątkiem Mary, która, ku wielkiemu zadowoleniu Jamesa, wygląda na zupełnie zdezorientowaną.

– To zabawa, Mary! – wyjaśnia James. – Nie daj mu się złapać.

Sam, stojąc pół jarda przed nią, wyczuwa jej obecność, wyciąga obie ręce, potem zatrzymuje się, przekrzywia głowę, obraca się i biegnie prosto tam, gdzie stoi pastor nachylony nad tulipanami.

– On podgląda! – woła Dido. – Wstydz się, Sam!

– To nie to – mówi James.

Sam zdejmuje opaskę i oddaje ją pastorowi. Chłopiec patrzy na Mary. Śmieje się. Pastor zakłada opaskę. Po kilku minutach łapie panią Cole. Pani Cole łapie Tabitę. Tabita, poruszająca się zaskakująco szybko, łapie Jamesa. James łapie Dido. Wszyscy są zarumienieni, trochę zdyszani. Tabita, pani Cole i Sam ruszają do Cow. Dido idzie do domu i wychodzi z książką w ręku. Podnosi ją. James rozpoznaje książkę: „Życie i myśli J.W. Pana Tristrama Shandy” – ostatni tom. Czytają tę książkę na głos w dwa albo trzy wieczory w tygodniu, czasem czyta Dido, ale na ogół James.

– Chce pani teraz trochę poczytać, panno Lestrade? – pyta James. – W ogrodzie?

– Myślałam, że może najpierw trochę się przejdziemy i poczytamy nad rzeką. Juliuszu, czy chcesz zrzucić razem z nami trochę skutków ciast pani Cole? Przyniosę ci te mocne buty.

– Skutki ciast pani Cole są zupełnie niegroźne, moja droga, czego nie mogę powiedzieć o Laurensie Sterne – odpowiada pastor.

– Gadaj zdrów, bracie. Rzałeś jak koń, kiedy ostatnim razem James nam go czytał.

Pastor mówi:

– Sterne był człowiekiem o wątpliwej reputacji. Nie, idźcie we dwoje. Mnie tu dobrze. Niech pan ją zabierze, doktorze. To jej potrzebne są ćwiczenia fizyczne. Może byście przy okazji poszli zobaczyć tego zapaśnika Murzyna i jego żonę, co?

Chichocze, wyjmując motek sznurka z kieszeni. Z obejścia dochodzi dźwięk piły. George Pace coś majstruje. Dido wchodzi do domu. James idzie za nią. Chmurka na moment przysłania słońce, potem odpływa. Światło zdaje się jeszcze mocniejsze.

Ścieżka do drogi jest błotnista, ale powietrze pod świeżymi liśćmi cieszy zielenią i chłodem. Spacerują po brzegu, gęsiego, żeby oszczędzić buty. Dido pyta Jamesa, jak tam dziś jego noga. On odpowiada przez ramię, że pogoda jej służy, że noga nie boli już tak jak dawniej.

Kiedy dochodzą do mostu, przecinają drogę i ruszają brzegiem po drugiej stronie. Są tu duże płaskie kamienie, ocienione drzewami i niewidoczne z drogi. Zatrzymywali się tutaj wcześniej, żeby poczytać, porozmawiać lub popatrzeć na rzekę, choć rzeka niewiele różni się w tym miejscu od strumyka, a woda płynie cienkimi warkoczami po kamienistym dnie.

Dido podaje Jamesowi książkę. Wstążka zaznacza stronę. James przeciera oczy. Nie nosi już rękawiczek. Chrząka, podnosi wzrok, napotyka uśmiech Dido. Zastanawia się przez chwilę, po raz setny, czy jej nie zwodzi, czy ona nie oczekuje od niego wyznań miłosnych. Czyż nigdy nie słyszała ani nie widziała Mary wychodzącej z jego pokoju? Czy postanowiła to zignorować? Z drugiej strony, on sam nie bardzo potrafiłby wytłumaczyć swego związku z Mary. Ma on bardzo wiele aspektów, a pod wieloma względami jest zupełnie niewinny. James nie zdradziłby Mary, zalecając się do Dido. Niewykluczone, że Mary wręcz chce, żeby tak postąpił.

– Nie może pan znaleźć miejsca? – pyta Dido.

– Już znalazłem – odpowiada James.

Zaczyna czytać.

– „Gdy zatrzymawszy się na końcu ostatniego rozdziału, spozieram wstecz i badam treść tego, co zostało napisane, widzę nieodpartą konieczność umieszczenia na tej i trzech następnych stronicach znacznej ilości rozmaitych rzeczy, a to w celu utrzymania należytej równowagi między mądrością a głupstwem, bez czego żadna książka nie przetrzyma nawet roku...”<sup>[5]</sup>

James czyta do końca, zamyka książkę i kładzie ją na kamieniu. Dido mówi:

– To nie bardzo właściwa książka, ale nie mogę nic na to poradzić, że mi się podoba. Żałuję, że ją skończyliśmy.

James kiwa głową.

– Pan Askew był zdania, że dopiero śmierć autora była zakończeniem tej książki. Że pisałby dalej, gdyby mógł.

– No cóż – mówi Dido – gdybym miała napisać powieść, sądzę, że najwięcej kłopotów sprawiłoby mi zakończenie. Może Laurence Sterne miał ten sam problem.

– Chce pani powiedzieć, że łatwiej mu było umrzeć, niż skończyć książkę?

Dido śmieje się.

– Na pewno nie chcę tego powiedzieć. To byłaby skrajność.

– Nie. W końcu śmierć jest z pewnością zakończeniem.

Dido unosi brwi.

– Musi pan uważać, żeby mój brat nie usłyszał tych herezji.

James uśmiecha się do niej.

– Źle mnie pani zrozumiała, panno Lestrade.

Od wioski dobiega pojedynczy dźwięk rogu.

– To chyba to przedstawienie – mówi Dido. – Pewnie zaczynają.

Po chwili milczenia James proponuje:

– Może chciałaby pani tam zajrzeć? Widziałem ich już kiedyś, ostatniej zimy, ale nie oglądałem występu.

<sup>[5]</sup> Laurence Sterne, „Życie i myśli J.W. Pana Tristrama Shandy”. Przekład Krystyny Tarnowskiej (przyp. tłum.).

Dido wstaje, otrzepuje sukienkę. Na jej twarzy pojawia się słodki, smutny, cierpliwy uśmiech. Mówi:

– Możemy najwyżej zerknąć. Nie chciałabym, żeby mnie tam widziano.

– Rzucimy tylko okiem od drzwi. Nic w tym złego.

Róg rozbrzmiewa znowu w chwili, gdy docierają do pustej drogi.

Popołudnie robi się coraz gorętsze. Słońce wysuszyło już niemal kałuże na drodze. Namiot stoi na skrawku ziemi koło knajpy Caxtona; płótno, kiedyś czerwono-białe, spłowiało na kość słoniową i rdzę. Gdy zbliżają się do niego, dobiegają ich oklaski i wiwaty. Stają przy bocznym wejściu, gdzie poły namiotu zostały podwiązane. Zapachy dobiegające Jamesa są mu doskonale znajome: zdeptana trawa, pot, płótno, piwo. Chciałby powiedzieć Dido, że kiedyś występował w takim miejscu, a Marley Gummer szpikował go igłami.

W namiocie jest około czterdziestu osób, którzy przyglądają się, jak Wspaniały John zgina pogrzebacz. Jest rozebrany do pasa; ramiona mu drżą, oczy zwięzają się, potem unosi do góry pogrzebacz w kształcie litery U. Podaje go swojej żonie, która jest jeszcze mniejsza, niż James pamiętał, a ona obnosi go między wieśniakami, pozwala wziąć do ręki; ci kiwiają głowami i mruczą coś do sąsiadów. Piskliwym głosem kobieta wzywa, by jakiś silny chłopak wystąpił przeciw „Maurowi”. Młodzi mężczyźni podjudzają się nawzajem. Wypychają do przodu Jacka Hawkinsa. On próbuje wmieszać się z powrotem w tłum, ale zostaje znowu wypchnięty. Z ociąganiem wchodzi na arenę i niezgrabnie unosi ramiona. Kobieta odbiera od niego kamizelkę i koszulę. Jest niemal tak wysoki jak Murzyn i dwadzieścia lat młodszy, mocno zbudowany – pracuje na ziemi ojca, odkąd zaczął chodzić. Tłum uspokaja się. Jakiś grubas przy wejściu woła: „Zabij go, Jacko!” Wspaniały John rozgląda się. Przez chwilę widzi Jamesa i robi taki gest, jakby go poznał. Potem odwraca się, by stawić czoło przeciwnikowi.

Chwytają się wpół, powłóczą stopami w kurzu, napięte mięśnie na ich plecach i ramionach błyszczą. Hawkins atakuje; Murzyn chwieje się, przykłęka na jedno kolano, ale twarz ma nadal nieporuszoną, jakby myślał o czymś innym, o czymś poważnym i spokojnym. Tłum wiwatuje. Niektórzy pochylają się, jakby sami walczyli z jakimiś duchami. James czuje lekki ucisk ramienia Dido. Jack Hawkins spycha Murzyna ku ścianie namiotu, głowę ma wciśniętą mocno w brzuch przeciwnika. I wtedy Wspaniały John obraca się wokół swojej osi, dodaje własną siłę do nacisku Hawkinsa i przerzuca go lekko i łatwo, jakby farmer był chłopcem w wieku Sama. Hawkins leży przez chwilę na plecach, bez tchu, potem podnosi się, staje na nogi, jego spocone plecy pokrywa kurz. Kręci głową, uśmiecha się i odbiera koszulę i kamizelkę od kobiety.

Kobieta rzuca kolejne wyzwanie. „Kto pokona Maura?” Wspaniały John stoi spokojnie za nią, masując sobie lewy bark. Nagle robi chwiejny krok do tyłu, krzyczy, chwyta się powietrza i pada, a ziemia drży pod jego ciężarem. Szybkość, z jaką się to dzieje, oszałamia ich. Wpatrują się w wielkie rozciągnięte ciało, jego nienaturalną nieruchomość; kobieta podchodzi do męża powoli. Wykrzykuje jego imię. Nie ma odpowiedzi. Dido szepcze:

– Co to jest? Co się stało?

Instynkt nakazuje Jamesowi odejść; szybko odejść, z Dido albo bez niej. Wie, że jeśli nie zrobi tego zaraz, w tej chwili, będzie za późno, ale chwila mija, a on się nie rusza. Kobieta klęczy przy głowie Murzyna. Woła, żeby ktoś mu pomógł. Błaga.

James wchodzi w cień namiotu; głowy obracają się w jego stronę. Nie patrzy nigdzie, tylko na Murzyna i kobietę. Ona, widząc, że się zbliża, przestaje krzyczeć. Jego obecność zdaje się ją uspokajać. Wyciąga do niego ręce, papple coś, czego on nie rozumie, czego nie słucha. Patrzy w dół na Wspaniałego Johna. Nie minęło więcej niż pół minuty od ataku, ale on już wygląda tak, jakby od dawna nie żył. James przykłęka. Chce powiedzieć do kobiety: „On nie żyje”, ale nie potrafi; nie potrafi znieść myśli o jej rozpacz. Kładzie lekko rękę na piersiach Murzyna. Skóra jest wilgotna i zimna, James czuje jednak ciepło w okolicach serca.

Spotykał się z tym już wcześniej; trwa to kilka minut od chwili, gdy pacjent przestaje oddychać, od chwili, gdy przestaje pracować serce. Pamięta pewien wieczór w Bath, młodą kobietę na balu, która upadła tak samo nagle. Tańczono jakiś skoczny szkocki taniec. Był tam z Agnes Munro i nachylił się nad dziewczyną, domyślając się, że to serce. Przez moment zastanawiał się wówczas nad czymś szalonym: nad próbą przywrócenia jej do życia poprzez otwarcie klatki piersiowej. Przyszło mu to do głowy zupełnie spontanicznie, i myśl ta ożywiła go, nie miał jednak pod ręką swojej torby lekarskiej, a poza tym jego reputacja z pewnością nie zyskałaby na tym, gdyby ludzie zobaczyli, jak patroszy młodą kobietę na środku sali balowej. Teraz nie ma żadnej reputacji. Patrzy na swoje dłonie. Są pewne, wystarczająco pewne. Sięga do kieszeni surduta i wyciąga składany nóż. George Pace naostrzył go na ośce parę dni temu, gdy przygotowywał kosę. Ostrze jest teraz jak brzytwa. Pace powiedział: „Może pan doktor nim tera oprawiać rybę”.

James patrzy na kobietę, zdobywa się na uśmiech, grymas. Ona widzi nóż w jego ręku.

– Zaufaj mi – mówi James, przekonując w równym stopniu siebie, jak ją. – Zaufaj mi.

Ona kiwa głową. Może rozumie. Odwraca wzrok. James ma w kieszeni zegarek Grimaldiego, ale nikt mu dziś nie będzie mierzył czasu. Przyciska czubek noża do mostka Wspaniałego Johna, potem rozluźnia dłoń zaciśniętą na drewnianej rączce. Wie, jak trudno jest rozciąć człowieka, jak odporne może być ciało ze swymi węzłami i włóknami; ale noża nie można trzymać tak, jak dziecko trzyma pióro. Nóż musi unosić się w ręce jak pędzel artysty. James tnie, nieświadom jęku przerażenia, niedowierzania płynącego od otaczających go widzów; nieświadom zaduchu namiotu, bólu w nodze, na której klęczy. Otwiera klatkę piersiową, przecina chrząstkę żebrową, umiejscawia serce wewnątrz włóknistej rękawicy osierdzia, na poły ukryte pod workiem lewego płuca; dotyka go, chwytą, ściska. Na jedną minutę odzyskał dawną zdolność koncentracji. To jest cel, do którego biegła strzałka jego życia. W tym akcie łączy się całe jego doświadczenie. To prawdziwe i nieszukane żniwo.

Jego dłoń naśladuje rytm serca. Życie wypływa na powierzchnię oczu Murzyna. Martwy człowiek ożywa, chwytą powietrze, parska śliną, jakby był pod wodą i wypłynął nagle, gwałtownie z powrotem na powietrze. Mówi głosem wydobytym z milczenia, ze śmierci. Chwytą oddech, potem mówi, cicho i wyraźnie, kilka słów, które brzmią w uszach Jamesa jak słowa odwrócone, słowa lustrzane, język zmarłych, zdanie przemycone w ustach. Kobieta patrzy na Jamesa. Na jej twarzy widać kurz, który przykleił się do wilgotnych śladów po łzach. Mówi:

– To jego własna mowa. To Afryka.

### 3

Z czasem rana na piersiach zarasta wielką szarą blizną, a Murzyn zmienia imię. Już się nie siłuje. Żyje. To lekarz, którego nazwiska Murzyn nie pamięta, ale którego twarz pływa po powierzchni jego snów przez wszystkie lata życia jak księżyc po wodzie, lekarz, który był przyjacielem pastora i jego siostry, i który, podobno – prawda to czy plotka, był aż w Rosji, widział carycę i miał rozmaite przygody, zręczny, smutny, kulejący, zdolny człowiek, to on nie przeżył tego lata, zmarł w sierpniowy ranek na polu jęczmienia koło wioski, ze szkicownikami na kolanach; ścięty przez śmierć, spadł do tyłu ze stołeczka z jednym krótkim krzykiem zaskoczenia, a był przy nim tylko chłopiec, chłopiec i pies. Nie miał kto sięgnąć do środka jego ciała i przywrócić go życiu.

Przez niemal godzinę, podczas gdy chłopiec biegł po pomoc, James leżał tam samotnie, ciemna rozkrzyżowana postać, twarz muskana cieniem chmur, zboże falujące wokół niego jak tłum, nieciekawo niczego złocisty tłum. W kuchni domu pastora Mary obierała jabłka na szarlotkę, przerwała pracę, odłożyła nóż i jabłko na deskę. Pani Cole, podnosząc wzrok znad ciasta, była zdumiona, widząc, że jej przyjaciółka się uśmiecha.

## EPILOG

Trumna dojeżdża do mostu na wozie, potem mężczyźni biorą ją na ramiona. George Pace, pan Astick – na własne wyraźne życzenie – Ween Tull, Killick i Urbane Davis, wszyscy w swoich najlepszych ubraniach, z czarnymi jedwabnymi opaskami na kapeluszach i w czarnych zamszowych rękawiczkach po dwa szylingi sześć pensów za parę, z funduszy pastora. Pastor kroczy przed trumną z siostrą i lady Hallam. Za trumną idą Mary i Sam, pani Cole i Tabita, doktor Thorne, pani Clarke i kilkunastu drobnych farmerów i kupców, którzy znali zmarłego, na tyle przynajmniej, by towarzyszyć mu w tej drodze.

Jest dobry dzień na pogrzeb: chłodne powietrze, niskie chmury, lekka mżawka. Kościelny Clarke wita ich przy bramie. Niosą trumnę do kościoła ścieżką pod bijącym dzwonem.

*Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach przez wzgląd na swoje imię...*

Dido ociera oczy, podobnie jak pani Cole i Tabita, a Sam, pobierający pierwszą lekcję rozpaczy, nie może powstrzymać łez mimo usilnych starań. Pastor myśli: to straszne, że chłopiec był przy jego śmierci. Ogromny szok. A przecież zdawało się, że James jest coraz zdrowszy, coraz silniejszy. I coraz szczęśliwszy. Można go było niemal nazwać szczęśliwym człowiekiem w tych ostatnich miesiącach.

*I ujrzalem niebo nowe i ziemię nową, bo pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły...*

Wnoszą trumnę na cmentarz. Pan Clarke i jego pomocnik pan Potter, poważni, czekają nad grobem. Mogiła obok jest jeszcze świeża: Sally Caxton i jej dziecko. Zwiędłe kwiaty na darni, płatki o brązowych brzegach w mżawce zmieniają się w mierzwę.

Żałobnicy zbierają się wokół grobu. Pastor z Biblią w ręku, nie zaglądając do niej, mówi:

– „Dni człowieka są jak trawa; kwitnie jak kwiat na polu: ledwie muśnie go wiatr, a już go nie ma, i miejsce, gdzie był, już go nie poznaje”.

Pan Astick zdejmuje rękawiczki, bierze grudkę ziemi, kruszy ją w dłoni i rzuca na trumnę. To samo robi lady Hallam, potem podaje trochę ziemi Samowi, a ten nachyla się i upuszcza ją niepewnie, jakby wieko trumny mogło się stłuc pod jej ciężarem. Mary stoi nad grobem z oczami jak szparki brązowego światła i odprawia własną ceremonię, wzywa swoje duchy, żeby zmieszały się z tymi, które zamieszkują powietrze nad Cow.

Gdy jest już po wszystkim, idą do bramy. Pastor zaprasza zgromadzonych na kieliszek wina na plebani. Lady Hallam zabiera powozem Dido i panią Cole. Pozostali ruszają pieszo do mostu. Część z nich zabierze wóz, inni mają tam konie przywiązane do drzew i pilnowane przez chłopaka. Niebo jest wyraźnie jaśniejsze. Niewiele rozmawiają. Z pół dobiegają głosy żniwiarzy. Kobieta niosąca dziecko na jednym ręku i kamienny dzban w drugim, zatrzymuje się i pochyla głowę, gdy kondukt ją mija. Pastor wita ją skinieniem i mruczy jej nazwisko.

Coś w rowie obok przyciąga jego wzrok. Pastor zatrzymuje się. Pan Astick patrzy ponad jego ramieniem.

– Biedactwo – mówi.

Ruszają dalej; pozostali rzucają okiem, ale nie zatrzymują się. Tylko Sam wlokący się z tyłu za grupą przystaje i kuca. Na zboczu rowu leży kocię z poderżniętym gardłem. Wygląda na to, że jest tam od niedawna. Futro na piersi jest sztywne od krwi, widać wiśniowe plamy na trawie. Oczy ma kociak zaciśnięte, jakby w walce z własnym cierpieniem, a przez

uchylony pyszczek Sam widzi język i zęby, nadal perłowo białe. Bierze patyk i szturcha kocię, prawie tak, jakby w tym wieku cudów spodziewał się, że zwierzę się obudzi i pobiegnie. Potem wsuwa patyk pod ciało i zsuwa je w dół, przez ostróżkę, dzwonki i jaskry, na dno rowu.



## OD AUTORA

James Dyer, wielebny Lestrade, Dido, Mary, lady Hallam – wszystko to są postaci fikcyjne, obywatele świata wyobraźni, przeżywający zmyślane przygody w wyobrażonym wieku osiemnastym. Niektórzy bohaterowie jednak mają swoje historyczne pierwowzory. Najważniejszym z nich jest Thomas Dimsdale, który w roku 1767 został zaproszony na dwór cesarski, żeby zaszczyć carycę Katarzynę przeciwko ospie. Jego podróż przebiegła bez szczególnych przeszkód, szczepienie – zabieg zawsze ryzykowny – okazało się całkowitym sukcesem. Nie istnieją, niestety, żadne zapisy na temat wyścigu przez śniegi ani faktu, by Dimsdale napotkał tak groźnego rywala, jak James Dyer.